



Marek Stelar /

# CIEŃ

VIDEOGRAF



Marek Stelara

# CIEN

VIDEOGRAF



Redakcja  
*Anna Seweryn*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej  
*Grzegorz Bociek*

Projekt okładki  
*Dariusz Kocurek*

Korekta  
*Urszula Bańcerek*

Wydanie I, Chorzów 2016

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 32-348-31-33  
[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)  
[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12  
[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)  
[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016  
tekst © Marek Stelar

**ISBN 978-83-7835-516-8**

---

*Strzeżcie się fałszywych proroków,  
którzy przychodzą do was w owczej skórze,  
a wewnątrz są drapieżnymi wilkami.*

Mt 7, 15-16

---

# I

Cisza. Niemal żadnego dźwięku, choć nie było jeszcze późno. Niebo na zachodzie płonęło ostatnimi promieniami słońca odbijającymi się w podstawie nadciągających wraz ze zmierzchem poszarpanych chmur. Jak na tak wczesny wieczór ta cisza była niezwykła. Nic nie działo się za oknem, ulicą nie przejeżdżały samochody, żadnych rozwrzeszczanych dzieciaków z sąsiedztwa, okoliczne psy też jakoś przycichły... Było tak cicho, że słyszała tylko sekundową wskazówkę kuchennego zegara, jej każdy ruch odmierzający kolejne minuty podczas monotonnej i niekończącej się wędrówki wokół tarczy. Cisza; kojąca i przytulna. Czasem taka cisza jak teraz budziła w niej niepokój i bolesne wspomnienia tego czasu, który minął. Czasu, w którym królowała na zmianę z wypełniającymi tamten dom wrzaskami innych ludzi i chaosem własnych myśli. Ale nie dziś. Dziś cisza była przyjazna i błoga. Było jej w niej dobrze.

Siedziała w kuchni, przy stole wciśniętym w kąt koło okna, i w skupieniu robiła notatki w książkowym kalendarzu. Bosą stopę, wysuniętą do przodu, opierała piętą o terakotową posadzkę. Drugą nogę bezwiednie założyła za nogę krzesła, nie czując, jak uciśnięte mięśnie łydki powoli drętwieją. Mrowienie było jeszcze bardzo delikatne. Machinalnie założyła za ucho niesforny kosmyk jasnych włosów, opadający co chwilę na czoło. Długopis wędrował po stronach kalendarza. Cofała się o kilka dni, by coś uzupełnić lub skorygować, albo wybiegała o kilka dni naprzód, jakby chciała upewnić się, że o niczym nie zapomniła. Między kartki, jako uzupełnienie notatek, powtykane było kilkanaście wycinków z gazet i wydruków ze stron internetowych. Powoli zbliżał się koniec.

Wreszcie nadszedł czas, by otrząsnąć się z marazmu i zacząć działać. Poczwała, jak do oczu znów napływają jej łzy. Zamrugwała szybko, nie pozwalając, by pojawiły się na rzęsach i spłynęły po policzkach. Nie będzie więcej łez. Dokończyła zdanie, podkreślając je grubą krechę, odłożyła długopis i zamknęła kalendarz. Pogłaskała się po brzuchu, w którym kiełkował owoc jej planu. Niechciany czy może raczej nieplanowany. Lecz mimo to była pewna, że pokocha to dziecko, kiedy tylko przyjdzie na świat. Już je kochała. Nie jego wina, że nigdy nie dowie się, kto jest jego ojcem. Tego była pewna – ta wiedza w niczym mu nie pomoże...

Z kubka z wieżą Eiffla upiła łyk herbaty i spojrzała w okno. Zastanawiała się, co robi Marek. Nie chciała dzwonić do niego teraz, nie w takim nastroju.

I tak w końcu rozmowa zejdzie na ten sam temat, co zwykle. Prawie zawsze tak się działo. Nie było możliwości, żeby się od tego uwolnić, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Ale Marek, w przeciwieństwie do niej, w jakiś niepojęty sposób potrafił zawsze przejść do porządku dziennego nad ludzkimi tragediami. Żyć dalej, mimo wszystko, choć widział ich tak wiele, własna nie ominęła go również. A teraz, po tych straconych latach, których nigdy nie odzyska, był jej jedynym oparciem. Tłumaczył cierpliwie, że widocznie tak musiało być. Ona tak nie potrafiła. Bo wcale nie musiało tak być. A on jakby tego nie rozumiał czy może nie chciał zrozumieć...

Wplotła palce we włosy, podparła czoło dłońmi, kładąc łokcie na blacie stołu, i spojrzała na leżącą obok kalendarza komórkę. Kierowana nagłym impulsem chwyciła ją drapieżnym ruchem, jak nałogowiec, który po nieudanej próbie rzucenia palenia dorwał paczkę schowaną na czarną godzinę gdzieś na dnie szuflady. Z historii połączeń wybrała numer Marka. Odebrał. Usłyszała jego łagodny głos.

– Cześć, małeńka.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do niego, mimo że nie mógł tego widzieć.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Dobrze – odpowiedziała zgodnie z prawdą i znów pogłaskała swój brzuch.

Marek nie miał pojęcia o dziecku, zresztą ciąża była wczesna i niewidoczna. Nikt o niej nie wiedział, ona też by się nie zorientowała, gdyby nie brak okresu. Nie miała nawet porannych mdłości.

– Jak w pracy? – zapytał.

– Jak to w pracy – rzuciła zdawkowo, ale on nie dał się zbyć.

– Ten przygłup dalej ci dokucza? – Wiedział o jej szefie, dupku i chamie, który kiedyś, przy kilku osobach, tuż po jej powrocie do pracy ze zwolnienia spowodowanego nawrotem depresji, nazwał ją wariatką.

– Uspokoił się. Nagrałam go raz i zagroziłam, że oskarżę o mobbing. Na razie mam spokój... Zobaczymy się jakoś? Niedługo?

– Tak – odparł po chwili wahania. – Wskoczmy coś zjeść. Ale teraz muszę już kończyć...

– Nie pogadasz ze mną? – zdziwiła się i coś zakłuło ją w sercu.

– Naprawdę nie mogę. Muszę odprawić mszę.

– O tej porze? – zapytała podejrzliwie.

– Akademicką.

Westchnęła. Czasem trudno pogodzić się z tym, że nie jest się



najważniejszym dla kogoś, kto jest kimś takim dla ciebie. Że jest ktoś ważniejszy. Nawet jeśli stworzyli Go ludzie, przekonani o tym, że to On stworzył ich.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ty dewotko. – Słyszała, jak śmiech grzechocze mu w gardle i poczuła, jak kąciki jej ust wędrują do góry.

– Bardzo – dodała jeszcze.

– Ja ciebie też. Cieszę się, że wróciłaś. Do zobaczenia – szepnął i rozłączył się.

Położyła telefon na stole i wzięła do ręki długopis. Czyste kartki papieru wyjęte z drukarki leżały przed nią, czekając, aż zapełni je swym starannym, równym pismem. List. Krzyk rozpacz. I nie bezduszne, wysłane mejlem wyrazy, poskładane z pikseli i migające z monitora albo wyplute na kartkę z kartridża drukarki, tylko żar emocji przelany ręką na papier prosto z serca i głowy. Chciała, by targające nią uczucia widać było wyraźnie w mocniejszym przyciśnięciu długopisu, w szerszej niż w innych miejscach przerwie między wyrazami, kiedy się zawaha. Wiedziała, że adresat odczyta to wszystko, co znajdzie się między wierszami.

Długopis zawisł na chwilę w powietrzu, a potem dotknął białej powierzchni i zaczął sunąć po niej, prowadzony pewną ręką. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie będzie żadnego wahania ani zastanawiania się nad słowami. Że od dawna cały ten list ma w głowie, poukładany litera po literze, wyraz za wyrazem, zdanie po zdaniu... I teraz te zdania spływały na papier niemal bez chwili przerwy, zapełniając go swoimi drobnymi, niebieskimi rządkami, równiuteńkimi niczym prążki na tkaninie.

Cisza, cudowna i niespotykana cisza, wciąż trwała w najlepsze, towarzysząc jej do chwili, w której skończyła pisać, i długo potem, kiedy odłożyła już długopis i zgasła lampkę. Siedziała tak, otoczona kokonem zapadającego zmierzchu, wpatrując się w leżący przed nią prążkowany prostokąt. Papier niewyraźnie odcinał się od mroku bladą poświatą, coraz jaśniejszą w miarę jak jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności.

Nareszcie... Oddychała szybko, trochę za szybko. Nagle poczuła lekki ból z tyłu głowy. Zobaczyła, jak koło kartki pojawia się kropka. Po chwili druga i trzecia. Czerwień krwi w półmroku wyglądała jak czerń. Krople skapywały po kolei na blat biurka z cichymi, ledwo słyszalnymi pacnięciami; czwarta, piąta...

## II

Krugły delikatnie odsunął wiotką gałąź bzu, podniósł nikona i wycelował obiektyw. Zaczynała się niezła akcja. Niewinne pieszczoty na kanapie przerodziły się właśnie w dziką kotłowanie na podłodze przed kominkiem. Przed kominkiem, ale równocześnie za kanapą, która stała tyłem do Krugłego, więc zanim ostra jazda się zaczęła, nie zobaczył twarzy kochanków, a tylko ich wystające nad oparciem potylicy, ramiona i dłonie. Wyraźnie widział palce wplecione we włosy i wędrujące po karkach, delikatnie i powoli, bez drżącego wyczekiwania, tylko ze spokojną pewnością nieuchronnego nadejścia spełnienia. Nie spieszili się, mieli czas. Ale Krugły go nie miał. Dziwiła go beztroska tych ludzi, zwłaszcza kobiety, pani domu, która nie zadbała nawet o opuszczenie rolet albo chociaż odsunięcie się gdzieś w mniej widoczne miejsce salonu. Wychodzące z niego na taras przeszklone drzwi, przez które Krugły miał idealny widok, były wielkości sklepowej witryny w galerii handlowej. Na zewnątrz panował już mrok, wewnątrz domu rozświetlone było dyskretnymi, wpuszczonymi w sufit lampkami i ogniem otwartego kominka. Fragment salonu wykadrowany ościeżami przeogromnych drzwi przywodził na myśl scenę, i to co najmniej Teatru Narodowego. Cóż, zaoszczędzili mu tylko roboty.

Krugły spojrział przez obiektyw i zobaczył, że para niemal w całości zniknęła za kanapą. Widać było tylko wystające zza niej splecione ze sobą łydki i stopy, poruszające się rytmicznie na krowiej skórze, rozciągniętej na podłodze między kanapą a paleniskiem kominka. Cmoknął zniechęcony i odsunął aparat od twarzy. Nogi nie załatwiały sprawy, musiał mieć twarz, a przynajmniej jedną – jej. Patrzył, jak nogi nagle wyprężają się w spazmie rozkoszy, potem nieruchomieją, a po jakimś czasie leniwie przesuwiają się, głaszcząc się wzajemnie stopami po łydkach. „Dupa blada” – pomyślał Krugły, uświadamiając sobie, że będzie musiał poczekać na następny raz. Tego, że będzie następny raz, był niemal pewien. On wyglądał na ogiera; ona zachowywała się, jakby nie miała faceta od roku. Krugły wiedział, że to nieprawda. Bo miała, ale tak się akurat składało, że zupełnie innego niż ten, który właśnie z niej spełzał.

Kilka minut później zza kanapy wyłoniła się ona. Przez chwilę Krugły widział zarys jej pełnych piersi i pośladków. Szybko ubrała się w biały szlafrok, potem wzięła z kominka paczkę LM-ów, wyciągnęła z niej jednego papierosa i zapaliła go. Mężczyzna został za kanapą, wyciągnięty na łaciejatej

skórze, zapewne rozgrzewając się do powtórki. Ona tymczasem podeszła do szklanych drzwi, odsunęła jedno skrzydło na bok i wyszła na taras. Uruchamiana fotokomórką lampa włączyła się, zalewając białym światłem kawał ogrodu. Krugły znieruchomiał w swej kryjówce, mając gorącą nadzieję, że zasłona z mroku nocy i gęstych krzewów bzu jest wystarczająco szczelna. Kobieta chciwie zaciągała się dymem, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w nieokreślony punkt gdzieś na czarnym horyzoncie. Zatrzymała dym w płucach na kilka sekund, a potem gwałtownie go wypuściła, z odgłosem przypominającym suszarkę na najwyższym biegu, tak donośnym, że dotarł aż do kryjówki Krugłego. Starannie, choć nieco nerwowo zgasła niedopałek, wycierając żar o jedną z kamiennych płyt tarasu, wrzuciła wystrzępiony filtr do stojącej obok drzwi doniczki i wróciła do domu. Lampa na ścianie zgasła wkrótce po tym, jak szklana tafla zasunęła się za kobietą. Teatralna scena znów biła blaskiem wnętrza, jarzącym się w ciemności nocy pełgającymi cieniami płomieni łapczywie obejmujących rozżarzone polana. Krugły przyszykował aparat, ale nie dane mu było zrobić zdjęcia na miarę premii. Kobieta i mężczyzna usiedli na kanapie, po chwili głowa kobiety zniknęła za oparciem. Krugły zaklął cicho. Czyżby mieli ograniczyć się do zwykłego *fellatio*? Wpatrywał się w tył kanapy, jakby chciał ją zaczarować i uczynić przejrzystą. Kanapa nie zrobiła Krugłemu tej przyjemności, pozostając taką, jaką była, więc następne dwadzieścia minut spędził w nerwowym oczekiwaniu na zmianę sytuacji.

I faktycznie, w końcu zmieniła się, jednak nie w taki sposób, w jaki Krugły mógłby sobie życzyć. W pewnej chwili na otaczających go gałęziach zobaczył mignięcia światła latarki i poczuł, jak coś chwyta go za kurtkę i ciągnie do tyłu, ku ścieżce biegnącej za ogrodem. Sekundę później znalazł się na niej; wąskiej, zwirowej dróżce, którą dostał się godzinę wcześniej na teren posesji. Ścisnął mocno nikona i zanim zdążył pomyśleć, co robić, to coś, co wyrwało go z kryjówki, nagle rzuciło go na ziemię, a potem chwyciło za poły kurtki i poderwało do góry. Tak musi się czuć łania schwytna przez lwa, jakieś dwie sekundy przed przegryzieniem szyi i niechybną śmiercią.

– Ładny aparat – powiedział jakiś głos w ciemności. – Twój?

Światło latarki migało chaotycznie po żwirze, ogrodzeniu i jego twarzy. Krugły zaczął zastanawiać się, jakim cudem ten ktoś widzi cokolwiek, skoro jest ciemno jak w dupie u Afroamerykanina, i czy jeśli powie, że pożyczył aparat od kolegi, to mu go nie zniszczą. Ale właściciel głosu nie dał mu dokończyć myśli. Cios w twarz wywiał ją z mózgu Krugłego razem

z pozostałymi, przez chwilę pozostawiając jego głowę boleśnie pustą.

– Mój – wystękał, czując, jak puchnie mu dolna warga.

– Podglądać przyszedłeś, z boku jeden? – Drugi, jeszcze groźniejszy głos uświadomił Krugłemu, że jego szanse na ocalenie aparatu, i być może swojej przystojnej twarzy, właśnie zmały dwukrotnie. W zasadzie spadły niemal do zera.

– Zaraz wszystko wyjaśnię – wystękał niewyraźnie, bo język nie mógł prawidłowo ułożyć się na wargach. Pewnie wyglądały już jak usta Natalii Siwiec.

– Oby to brzmiało przekonująco. – Kolejny cios, tym razem w brzuch, wycisnął Krugłemu powietrze z płuc i znów powalił go na ziemię.

Oddychał spazmatycznie, próbując złapać oddech. Tuląc do piersi aparat i chroniąc długi obiektyw pod pachą, podniósł się, uklęknął na żwirze, podpierając się wolną ręką, i uniósł głowę. Spojrzał na swych oprawców załzawionymi oczami i ujrzał dwie niewyraźne sylwetki, majaczące w bladej poświacie ulicznej latarni, stojącej u wylotu ścieżynki. Zobaczył, że są jednakowo ubrani, a w ciemności błyskają odblaskowe paski, jakie zwykle naszyte są na spodnie i bluzy policjantów służby patrolowo-prewencyjnej. Na czapkach z daszkiem srebrem nici błyszcząły orzełki.

– Chłopaki, posłuchajcie... Ale oni nie posłuchali, tylko powlekli go dalej, w stronę ulicy.

Krugły, wciąż tuląc aparat niczym najdroższy skarb, już spokojniejszy, zastanawiał się, jakim cudem mógł dać się tak podejść. Gdy policjanci rzucili go na bruk koło latarni, zobaczył stojącą pod nią kobietę. Znów paliła papierosa, ale nie miała na sobie białego szlafroka, tylko strój do biegania; buty do joggingu, obcisłe legginsy i takąż koszulkę. Musiała szybko biegać, skoro już tu dotarła, inną kwestią było, jakim cudem Krugły nie zauważył, że znika zza kanapy. Zagapił się? Przepęzła pod tym krowim skalpem czy co?

– Ten papieros to zamiast rozgrzewki? – zapytał, taksując zmęczonym spojrzeniem jej postać.

– Żartowniś nam się trafił, co? – Jeden z policjantów, sierżant, trącił Krugłego butem – Za mało ci wpierdoliliśmy?

Drugi, młody posterunkowy, pochylił się, chwycił go za włosy i przyciągnął do siebie. Krugły zamrugał, kiedy jego twarz znalazła się w zasięgu oślepiającego światła.

– Kurwa, zaczekaj... – rzucił nagle sierżant zduszonym głosem. – Czekać...

– Na co?

– Ja go znam. To... On jest... z komendy wojewódzkiej...

Krugły zamknął oczy i opadł na ziemię, opierając się na łokciu. Musiał trochę odpocząć. Chociaż chwileczkę.

– To wasz? – zapytała kobieta ze zdumieniem w głosie, wskazując papierosem leżącego na bruku obszarpańca, który parę minut wcześniej był niejakim Robertem Krugłym.

– O co tu chodzi, panie...? Komisarzu? Dobrze kojarzę? – zapytał niepewnie ten, który powiększył mu usta.

– To już nieaktualne. – Krugły, niedbale machając dłonią, splunął odrobiną krwi, potem otarł podbródek i skrzywił się lekko z bólu. – Panowie pozwolą: emerytowany podinspektor Robert Krugły. Obecnie: Biuro Detektywistyczne Krugły. Mam pokazać licencję? I czy mogę wstać?

Kobieta wyrzuciła już papierosa gdzieś w ciemność i gryząc w skupieniu dolną wargę, patrzyła, jak policjanci pomagają pozbierać się człowiekowi, który ją podglądał. Krugły, zastanawiając się, czy zmiana pozycji na pewno była dobrym pomysłem, spojrział na nią bez złości, za to z lekkim podziwem.

– Jak pani mnie wypatrzyła? – zapytał.

Oddała spojrzenie, ale w jej oczach było z kolei coś na kształt kpiny pomieszanej z rozbawieniem.

– Kiedy w nocy palę na tarasie, a robię to zawsze w tym samym miejscu, koło drzwi, przez te krzaki widzę okno sąsiadów. Jasny prostokąt, poprzecinany liniami gałęzi i punkcikami liści. A dziś na jego tle, oprócz tych gałęzi i liści, był pański wielki, ciekawski łeb.

Krugły uśmiechnął się obolałymi ustami. „Fellatio” – pomyślał, kręcąc głową. Co za fatalna pomyłka... Zamiast lodzika telefon na policję.

Gliniarze popatrywali na siebie, wyraźnie nie wiedząc, co zrobić.

– Przepraszam za to... – powiedział jeden z nich, wskazując twarz Krugłego.

Krugły machnął ręką.

– Nie ma sprawy.

Nie było. Sam święty nie był; kiedy prawie dwadzieścia lat temu obsługiwał nocne trasy w mieście, jako zwykły krawężnik, nieraz zdarzało mu się dać pouczenie paroma szybkimi w twarz. Gnojki, którym to robił, nie znały innych form perswazji, a zatrzymanie na dołku traktowały jak trofeum, więc czasem starał się nie dawać im okazji, by je zdobyć.

– Czy będzie pani wnosić oskarżenie przeciwko temu panu? – Sierżant popatrzył na kobietę i wskazał Krugłego.

Ten postanowił zachować resztki godności i nie robić miny zbitego psa, żeby wziąć ją na litość. Będzie, co ma być. Kobieta z zaciętą miną zbliżyła się do niego i zdecydowanym ruchem wyjęła mu z rąk nikona. Fachowo sięgnęła do klapki i wyciągnęła kartę SD. Krugły zacisnął zęby. Kij tam z kartą, ale miał na niej niezgrane jeszcze zdjęcia z Bieszczad i trochę portretów Ewy, które zrobił, ucząc się fotografowania. Uważał, że są całkiem udane. Kobieta z powrotem wetknęła mu w ręce aparat, chowając kartę w dłoni.

– Popęnił jakieś przestępstwo? – spytała policjantów, wskazując w bok, w kierunku ścieżki prowadzącej do jej ogrodu. – Formalnie?

Spojrzeni po sobie. Posterunkowy nieco nerwowo wydymał wargi. Brakowało tylko, żeby zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Nno... – Sierżant wysunął do przodu żuchwę. – Pan ins... Ten pan nie wszedł na teren pani posesji; był co prawda w krzakach, ale po drugiej stronie ogrodzenia. Robił pani zdjęcia bez jej zgody, ale... – Urwał, patrząc, stropiony, w ziemię.

Krugły podziękował mu w myślach. Siedział na płocie, w dodatku nogi miał po tamtej stronie. Kobieta potrząsnęła głową.

– Ale? – zapytała.

W oczach znów miała kpinę, lecz patrząc w nie, Krugły był już pewien, że wszystko ujdzie mu na sucho. Oprócz utraconych zdjęć.

– Niech sobie idzie – stwierdziła po dłuższej chwili.

Na pożegnanie obrzuciła całą trójkę wymownym, choć nieco zagadkowym spojrzeniem. Poprawiła rękaw bluzy wpijający się jej pod pachę i ruszyła truchtem przed siebie. Nagle zatrzymała się, nie przestając truchtać w miejscu.

– Jeszcze jedno, panie detektywie buszujący w bie – powiedziała, odwracając się – niech pan powie temu dupkowi, który pana wynajął, żeby dał sobie spokój. Nie on pierwszy wpadł na taki pomysł. – Wycelowała w Krugłego trzymaną w ręku kartą pamięci. – Mam taką kolekcję filmów z jego seksualnymi wyczynami, że mogłabym założyć internetowy serwis z pornosami. A zbieram je od kilku lat. Więc jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie i w dupie mam, co na to jego męskie ego, zresztą tak małe, jak jego mózg i przyrodzenie. I niech się łaskawie odpierdoli: dom ma zostawić mnie, czy mu się to podoba, czy nie. Resztę niech sobie zabiera, mam to gdzieś. Inaczej ten rozwód będzie go kosztował jeszcze więcej. Dobranoc.

Zaczęła biec sprężystym, lekkim krokiem, niknąc po chwili w ciemności, a potem za rogiem ulicy. Policjanci spojrzeli w milczeniu na Krugłego. Takie zatroskane spojrzenia rzucają spod zmarszczonych brwi zaci ludzie, patrząc



na członka swojej rodziny, który się stoczył, zostając czarną owcą szargającą jej opinię i dobre imię.

– No, co? – mruknął Krugły, wzruszając ramionami. – Z czegoś trzeba żyć...

Spakował aparat do torby, obejrzawszy go przedtem pobieżnie w świetle latarni. Wyglądał na nieuszkodzony.

– Dzięki, panowie – rzucił cicho gdzieś przed siebie, opierając się o całkiem wygodny płot. Chyba go potrzebował.

– Nie ma sprawy – odpowiedział sierżant. – Miejmy nadzieję, że kobitka nie zmieni zdania i niczego nam nie zarzuci. Wie pan, że powinniśmy załatwić to inaczej? – Poklepał okładkę służbowego notatnika. – Zgłoszenie to zgłoszenie.

– Wiem – burknął Krugły. – Właśnie dlatego wam dziękuję. A nie dlatego, że jestem miły.

Sierżant westchnął. Solidarność solidarnością, ale będzie musiał coś wymyślić.

– Podrzucić pana gdzieś? – zapytał.

Krugły pokręcił głową.

– Nie, dzięki. Za rogiem mam samochód.

Policjanci postali jeszcze przez chwilę w milczeniu, a potem odwrócili się jak na komendę i odeszli, znikając za rogiem. Krugły, wciąż oparty o płot, usiłując się pozbierać, usłyszał nagle ryk przegazowanego silnika. Wycie ścichło nagle, jakby kierowca przestraszył się i gwałtownie odpuścił pedał gazu. Kiedy radiowóz odjechał, Krugły został wreszcie sam, przetrawiając w myślach gorzcy porażki. Pozbierał z chodnika kluczyki i resztę rzeczy, które wysypały się z kieszeni podczas szarpaniny. Zrobił to, stękając i czepiając się płotu, bo pulsujący ból brzucha nie pozwalał mu ani wyprostować się, ani skrecać tułowia. Tak, płot był jak zbawienie. Zgięty wpół, związany walką o oddech, Krugły poczłapał do samochodu, wszedł do niego z niewiele mniejszym wysiłkiem, niż wymagało wcześniejsze pozbieranie się z ziemi, i pojechał do domu.

Miał na dziś zdecydowanie dość. I potrzebował prysznic.

\* \* \*

Krugły wszedł cicho do mieszkania, starając się nie obudzić Ewy. Ostrożnie odłożył aparat na szafkę na buty i na palcach poszedł do łazienki. Delikatnie zamknął za sobą drzwi, bojąc się, że trzask starej klamki rozlegnie się w ciszy nocy jak wystrzał. Ostatnio Ewa z jakiegoś powodu zrobiła się drażliwa.

Obudzenie jej nie byłoby dobrym pomysłem i Krugły utwierdził się w tym przekonaniu, gdy spojrzął w lustro.

Kiedy, jadąc do domu, zerkał na swoją twarz we wstecznym lusterku, nie wyglądała tak źle. Tylko że w samochodzie robił to w nikłym świetle mijanych latarni. Za to teraz, pełen blask ledowych żarówek brutalnie obnażył realny stan zniszczeń. Dolna warga obwisła z lewej strony pod ciężarem opuchlizny przeciętej cienką, czerwoną linią pękniętego nabłonka. Na policzku wykwitł malowniczy siniec, który zapewne już wkrótce zacznie przybierać barwy tęczy. Pod okiem pojawiła się krwawa wybroczyna, a jego białko tęczówki nabiegło krwią. Guz nad uchem, na szczęście ukryty we włosach, był już tylko niewartym uwagi dodatkiem. Krugły wyglądał, jakby ktoś próbował grać jego głową w rugby. Z twarzą niemal przylepioną do lustra z niesmakiem obmacywał obrażenia, lekko sycząc co jakiś czas.

– Ślicznie. – Krugły odruchowo zwarł dłonie w pięści i zasłonił się, kiedy głos Ewy zabrzmiał niemal tuż koło jego ucha.

– Jezu, nie strasz mnie! – prawie ryknął, po chwili uspokoił się i ze zdziwieniem spojrzął na Ewę. – Jakim cudem tak cicho otworzyłaś te drzwi?

– Sposobem. – Wzruszyła ramionami. – Delikatnie i z uczuciem. Coś ci się stało?

Krugły odwrócił twarz do lustra.

– Nie, skąd. Czemu pytasz?

– Nie jestem w nastroju do żartów. – Ewa spochmurniała, opierając się z założonymi rękami o framugę.

Krugły pomacał językiem ząb, stwierdzając ze ściśniętym gardłem, że chyba lekko się chwieje. Co jak co, ale zęby miał ładne, swoje i chciał ten stan utrzymać najdłużej, jak to możliwe.

– W zasadzie to ja też nie jestem w nastroju do żartów – powiedział, zastanawiając się, czy spróbować go dotknąć palcami.

Kurewsko bał się, że mu w nich zostanie.

– Ktoś cię pobił, Robert?

– Nie, nie. Nie do końca. To było... Cóż, można powiedzieć, że to było nieporozumienie.

– Nieporozumienie? Nieporozumienia kończą się słowem „przepraszam”, a nie ciężkimi obrażeniami.

– Eee... Słowo „przepraszam” padło – wyjaśnił uprzejmie Krugły, dodając niepotrzebnie: – Na końcu.

– To nie jest zabawne, Robert. – Głos Ewy zadrżał. – Nie podoba mi się ta



twoja praca.

Krugły westchnął.

– Ewa, to nie pora na takie rozmowy. Zresztą już to wałkowaliśmy, i to nie raz ani nie dwa, więc proszę cię, nie wracajmy do tego więcej. Dobra?

– Teraz sytuacja się trochę zmieniła...

– Kochanie, nic się nie zmieniło. Zrozum, to była zwykła pomyłka. Trochę mnie oklepali po twarzy i to wszystko, żadne wielkie halo.

– Czy wy zawsze musicie mieć ostatnie zdanie, do cholery?! – wrzasnęła Ewa i wybiegła do sypialni.

Krugły usłyszał tylko głośnie trzaśnięcie drzwi.

– Czy ja powiedziałem coś nie tak? – z bezbrzeżnym zdumieniem w oczach zapytał swojego odbicia w lustrze.

Zajrzał jeszcze pod podkoszulkę, żeby obejrzeć kolejny imponujący siniec na brzuchu, tuż koło mostka. Ciosy raczej ominęły nerki, ale miał wrażenie, że następnym razem wysika się na czerwono. Pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym zgasił światło i poszedł udobruchać Ewę. Prysznic sobie na razie darował.

Kiedy próbował otworzyć drzwi sypialni, okazało się, że Ewa zamknęła się od środka. Zapukał cicho.

– Ewa? Otwórz. Ehm... Drzwi się zatrzasnęły...

– Nie zatrzasnęły się – usłyszał – idź spać na kanapę. Nie chcę cię teraz widzieć.

Cóż było robić? Zrezygnowany, powlókł się z powrotem w stronę łazienki, wziąć ten nieszczęsny prysznic. W połowie drogi usłyszał dźwięk przekręcanego klucza. Zawrócił i wszedł do sypialni. Światło było zapalone, Ewa siedziała na łóżku, oparta o ścianę, z podkurczonymi nogami, obejmując kolana rękoma. Krugły usiadł obok niej. Nie spojrzała na niego.

– Co jest, Ewuś? – zapytał. – Co się dzieje? Nie poznaję cię ostatnio, wiesz? Dopada cię jakaś przeszłość czy co?

– Jestem w ciąży, Robert – powiedziała, wciąż na niego nie patrząc.

Krugły zdrętwiał, zobaczył przed oczami ciemne plamy w tym samym momencie, w którym krew odpłynęła mu z twarzy, i po raz pierwszy w życiu poczuł, że zaraz zemdleje.

– Jak... jak to: w ciąży? – wyjąkał, kiedy się już trochę pozbierał i wreszcie był w stanie poskładać kilka słów z sensem.

Wciąż miał sucho w ustach, czuł, jak krew tętni mu w uszach, zapomniał nawet o bólu brzucha, żeber i rozciętej wargi.

– Dzidziuś. W brzuchu. Moim. Ja: mamusia, ty: tatuś. Już rozumiesz?

– Przestań, to nie jest śmieszne. Pytam, jak to możliwe u ciebie? Kurwa, przecież brałaś tabletki!

– Możesz nie przeklinać przy dziecku?

Krugły oddychał głośno przez nos.

– Który to miesiąc? – zapytał.

– Jeśli dobrze policzyłam, to jakiś czternasty tydzień. Pamiętasz, pod koniec lutego byłam chora, na jakiś czas odstawiłam, potem znów zaczęłam je brać. Wspominałam ci o tym przecież.

– Nie pamiętam. – Krugły zmarszczył brwi, kiedy typowo samcza myśl przeszła mu przez głowę, wywołując mały, ale bolesny skurcz serca. – Poza tym nie zgadza mi się coś. Skoro odstawiłaś...

– To nie tak, panie detektywie. – Ewa uśmiechnęła się słabo. – Po odstawieniu tabletki antykoncepcyjne działają jeszcze przez jakiś czas. Jak zaczyna się je brać ponownie, to znów mija trochę czasu, zanim zaczną działać. To zawsze sprawa indywidualna. A może po prostu coś pomyliłam...?

– Jezu... – szepnął Krugły. – Przecież ustaliliśmy, że nie chcemy... Nie jesteśmy gotowi na... Nno...

– Na dziecko.

– Właśnie.

– Sugerujesz, że mam się iść wyskrobać?

Krugły zamilkł.

– Nie. Nigdy.

– Innej opcji nie ma. Skrobanka albo poród. Pierwsze odpada. Czyli zostaje drugie. Nie zakładam poronienia.

– Jesteś absolutnie pewna? Że jesteś w ciąży?

– Dla pewności zrobiłam test dwa razy. Ale pewna to będę, dopiero jak pójdę do ginekologa...

– Więc teoretycznie istnieje możliwość, że...

– Robert... – Ewa złapała Krugłego za rękę i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy. – Stało się i pogódź się z tym. Jesteśmy w ciąży. Razem, tak?

– Wszystko się strasznie skomplikowało. Ewa, ja...

– Tak? Wydusisz to z siebie w końcu?

– Ja się boję, rozumiesz...? Nie jestem gotowy, absolutnie!

– Jak mam to rozumieć? – zaniepokoiła się.

– Mam nielimitowany czas pracy, czasem wyjeżdżam. Niespodziewanie. A dziecko to opieka, latanie po lekarzach, wstawanie po nocy. Nie dam rady!

– To kto, przepraszam, ma dać radę, jak nie ty?

– Jezu, nie w tym sensie...

– A w jakim?

– Dobra, daj mi trochę czasu, Ewa. Muszę się z tym oswoić. Muszę to przemyśleć, żeby niczego nie palnąć. Jestem teraz totalnie rozbity.

– Dobrze – westchnęła i spojrzała na niego z ukosa. – Możesz spać ze mną.

– Jaka ty jesteś dla mnie dobra – Krugły wysilił się na słaby żart.

Słyszał własny głos, niższy niż zwykle, z trudem przeciskający się przez ściśnięte gardło, ale próbował zachowywać się w miarę normalnie. W życiu nie tylko ciosy trzeba umieć przyjmować jak mężczyzna.

– Czy to oznacza, że nie będziemy mogli... – Zawiesił głos.

– Będziemy mogli. Nic mu nie zrobisz, jeśli o to ci chodzi. Ale nie dziś, dobra?

Krugły, układając się obok Ewy, parsknął nerwowym śmiechem.

– Dziś? Teraz? Obawiam się, że nie stanąłbym na wysokości zadania... – Jęknął z bólu, kiedy opadł na obolałe zebra.

Po chwili Ewa wstała, podeszła do komody pod ścianą i wyciągnęła coś z szuflady.

– Popatrz. Na razie dzidzius wygląda tak. – Pokazała mu testy ciążowe, na których zobaczył po dwie różowe kreseczki. – Zostawiłam na pamiątkę.

Uśmiechnęła się, a Krugłemu znów zaschło w gardle. Ewa odłożyła testy z powrotem do szuflady, wróciła do łóżka i położyła się obok niego. Przywarła do niego plecami, „na łyżeczkę”, przykrywając ich kocem.

– Nie zostawisz mnie? – zapytała cicho, nie odwracając się.

– Zgłupiałas? Nigdy.

– Ożenisz się ze mną?

– A ma to dla ciebie aż takie znaczenie? Nigdy nie miało. Przecież to tylko papierek i dwa metalowe kółka. Sama tak mówiłaś.

– A jak teraz ma znaczenie?

Zastanowił się.

– Nno... Jeśli tak... Cóż, zdecydowanie, i mimo wszystko ta myśl jest dla mnie jednak o wiele mniej przerażająca niż perspektywa rychłego ojcostwa.

– Czy to niezbyt zřeczne oświadczyńy?

– Zastanowię się. Za dużo się dziś działa...

– Mógłbyś się pospieszyć. Nie chciałabym iść do ślubu z brzuchem.

– Chyba za starzy jesteśmy na takie krygowanie się, co? I za dłuęo ze sobą jesteśmy, żeby się tym przejmować.

– Możliwe... Też się boję, wiesz?

– Wiem.

– Nie dziecka. Mam już czterdziestkę na karku. Ryzyko...

– Wiem. I to też mnie martwi.

– Będzie dobrze, zobaczysz.

Milczeli przez chwilę. Nagle Ewa westchnęła.

– Obwisną mi cycki i brzuch, będę miała wielki tyłek, rozstępy i nie będę miała czasu na malowanie się ani na farbowanie włosów. Nie zostawisz mnie? Nas?

– Odrosty i obwisłe cycki to chyba w obecnej sytuacji nasz najmniejszy problem, co?

– Możliwe. Ale nie zostawisz?

– Daj spokój. Powiedziałem już: nie zostawię cię. Was.

Leżeli w ciszy przy zapalonym świetle. Krugły lekko uniół głowę, chcąc sięgnąć wzrokiem jej twarzy.

– Ewa... Ale nie masz nikogo innego, prawda?

– Zwariowałeś? – W jej głosie było zdumienie, ale nie odwróciła się, więc nie widział jej oczu. – Masz jakieś wątpliwości?

– Tak tylko pytam...

– Nie mam nikogo – powiedziała uspokajającym tonem. – I nie zamierzam mieć.

Znów poleżeli chwilę w ciszy.

– Interesująco pachniesz, wiesz? – mruknęła Ewa.

– Bo nie wziąłem prysznic.

– Nie szkodzi. To taki... samczy zapaszek. Seksowny...

Krugły nie widział niczego seksownego w zapachu potu, ziemi i krwi, ale nic nie powiedział. Kobiety są z Marsa, a mężczyźni z Wenus. Albo na odwrót.

– Śpijmy już, co? Wyłączysz światło?

Krugły wstał i trzepnął kontakt otwartą dłonią. Po ciemku wrócił do łóżka i przytulił się do Ewy, czując już po chwili, jak zasypia. Zwiotczała w jego objęciach, oddychając spokojnie i miarowo. Jej włosy pachniały migdałami. On nie mógł zasnąć. Myśli kotłowały mu się w głowie, złapał się na tym, że boi się położyć rękę na brzuchu Ewy. Wyczerpany atrakcjami wieczoru, zasnął nad ranem twardym snem. Obudził się sam, o wpół do dziewiątej, a obok siebie, na poduszce Ewy, zobaczył kartkę z narysowanym sercem i napisem: „Miłego dnia, tatusiu!”. Wpatrywał się w nią z dziesięć minut, a potem poszedł wreszcie wziąć prysznic.

\* \* \*

– Gratulacje! – Głos Michalczyka był przepełniony autentyczną, szczerą i głęboką radością.

Gdyby Krugły nie rozmawiał z nim przez telefon, pewnie miałby ochotę rzucić się na niego. W zasadzie odległość niczego nie zmieniała; teraz też miał.

– Krugły tatusiem! – zawołał znów Michalczyk. – Coś takiego... Jak samopoczucie?

– Jestem, kurwa, tak przerażony, że nie masz pojęcia. Ewa powiedziała mi trzy dni temu, a ja dalej mam chaos w głowie...

– Mam pojęcie, wyobraź sobie. Też to przeżyłem jakieś dziesięć lat temu. Ale to miło słyszeć, że w twardej Krugłym drzemią ludzkie uczucia. Jak Ewcia?

– Znosi to lepiej niż ja. To tak między nami.

– Zobaczysz, będzie fajnie. Zanim pojawił się Mikołaj, miałem dzieciowstręt, nerwowe pocenie rąk na dźwięk wycia bachora... To mija. Jung powiedział, że człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, jeśli tylko osiągnie odpowiedni stopień uległości. Nie wypada mi polemizować z Jungiem, bo jestem za krótki intelektualnie, ale ja twierdzę, że to nie kwestia uległości, tylko po trosze pozytywnego nastawienia, ale przede wszystkim instynktu.

– Przetrwania?

– W twoim przypadku: tacierzyńskiego.

– Ja go chyba nie mam. Może raczej poszukam w sobie tej uległości?

– Masz, masz. Tylko głęboko ukryty, bo do tej pory nie był ci potrzebny. Ale wyjdzie, zobaczysz. Jak tam robota?

– Jakoś leci. – Krugłemu nie chciało się gadać o bęckach, które dostał ostatnio od kolegów po byłym fachu. – Chyba zrobię sobie króciutką przerwę. Kilka dni: laba, rower, może spędzimy weekend nad morzem...

Pogadali jeszcze chwilę. Potem Krugły postanowił wyskoczyć na miasto. Nie w jakimś konkretnym celu, chciał się po prostu przejść i przewietrzyć myśli. Pogoda była taka sama jak stan jego umysłu: do dupy. Anomalie pogodowe kazały wątpić w rychłe nadejście lata, wyglądało na to, że natura olała tę porę roku zimnym deszczem, przechodząc od razu do jesieni. Idąc przed siebie, Krugły wracał myślami do chwil sprzed parunastu miesięcy...

Przejście Krugłego na policyjną emeryturę nie było konsekwencją wydarzeń sprzed dwóch lat, związanych z napadem na bankowóz, śmiercią Strzębosza i dziewczyny w domu Södergrena oraz tajemniczego zniknięcia podejrzanego o zabicie prostytutki Michalczyka. Wszystko rozeszło się po

kościach: Michalczyka przeniesiono do rejonówki w Goleniowie, z czym zresztą pogodził się bez problemu, a postępowanie dyscyplinarne prowadzone w sprawie Krugłego umorzono. Mimo to Krugły czuł, że się wypala. Nie mógł żyć bez pracy, ale coraz bardziej przeszkadzały mu sztywne ramy, w jakich działała komenda wojewódzka i w ogóle policja. Był już w zasadzie bardziej przed pięćdziesiątką niż po czterdziestce, mógł się więc spodziewać, że za jakiś czas posadzą go na stałe za biurko w ciasnym, ciemnym pokoju, co prawda pięknej, ale cierpiącej na syndrom chorych budynków komendy wojewódzkiej. Nie chciał tego tym mocniej, im ta perspektywa była bliższa i coraz bardziej realna.

Odszedł na własną prośbę, rok po tamtych wydarzeniach. Na osłodę dostał przedtem awans na podinspektora, który z racji wysługi lat teoretycznie i tak należał mu się dużo wcześniej. Następcą Gasika na stanowisku komendanta wojewódzkiego gratulował Krugłemu sukcesów w pracy, lejąc nieomal łzy rozpaczy, wyrażał żal z powodu jego odejścia ze służby, po czym zapomniał o nim zaraz potem, jak Krugły opuścił gabinet na pierwszym piętrze. Koledzy zrobili świeżo upieczonemu emerytowi pożegnalną bibę w Kafe Tango, zrzucili się na ogromny wiklinowy bujany fotel i cudowny bukiet w postaci skrzynki piwa, w której tkwiły butelki z przeróżnymi gatunkami złocistego trunku, każda z innego kraju. Berdak śpiewał *Nie płacz, kiedy odjadę i Ta ostatnia niedziela* do momentu, w którym otworzył usta za szeroko i znów zwichnął sobie żuchwę. Dziewczyny z Wydziału Zaopatrzenia i Inwestycji zrobiły własnoręcznie małą makietkę budynku komendy. Było miło i smutno równocześnie; ze starej ekipy zabrakło Cześka Kudelskiego, starego wilka samotnika, który tydzień wcześniej skończył ze sobą w swoim mieszkaniu na osiedlu Zawadzkiego. Kiedy go znaleziono, w pokoju był tylko on, sznur, przewrócone krzesło, trzy równie puste jak mieszkanie flaszki po wódce i niedokończony model bombowca. Jedną z kolejek wypili za Cześka.

Podczas tamtej imprezy, a wcześniej także w pracy, wszyscy pytali, co Krugły będzie teraz robił. Uśmiechał się tylko tajemniczo i mówił, że się zastanawia. Ale już wiedział, co będzie robił. Co chce robić. A Michalczyk mu w tym kibicował.

– Prywatny detektyw Robert Krugły to brzmi dumnie – mówił, kiedy Krugły dopiero zaczynał myśleć o odejściu z policji. – Masz doświadczenie i wiedzę. Oraz, co nie mniej ważne, znajomości. Licencję dostaniesz bez problemu, nawiasem mówiąc, wręczy ci ją twój były szef. Masz za sobą wieloletnią służbę w policji, nienaganną opinię, i tak dalej. Egzamin to dla ciebie pryszcz.

Założysz działalność gospodarczą, zrobisz fajną stronkę w necie. Twoi koledzy nie odmówią ci informacji, jakby co; od spraw gospodarczych masz mnie: oczywiście nie wolno mi w tym aktywnie tobie pomagać, ale mówić ci, jak masz działać – mogę. Koledzy z techniki operacyjnej to doradztwo w sprawie sprzętu... Tudzież pomoc; nie widzisz tego, ale mrugam do ciebie okiem. Więc jak?

– Jakie to proste, Mateusz. – Krugły mimo wszystko miał mnóstwo wątpliwości i w sumie – nic dziwnego.

Kiedyś z ciekawości skoczył ze spadochronem. Oczywiście w tandemie. Pamiętał to uczucie, kiedy kucał w odsuniętych drzwiach lecącej cztery kilometry nad ziemią awionetki Cessny, czując na karku ciepły oddech instruktora, a na twarzy porywy lodowatego wiatru. Zastanawiał się wtedy, czy to aby na pewno był dobry pomysł. Teraz czuł się dokładnie tak samo. Skok w nieznaną i niepewność powodzenia. Ale tym razem za plecami nie miał nikogo, kto umiałby się znaleźć w kryzysowej sytuacji. Bo Michalczyk dobrze mu życzył, zarażał entuzjazmem, ale też nie miał stuprocentowej pewności, z czym to się je.

– To jaką masz inną opcję, Robert? – pytał prokurator. – Najać się w hotelu za detektywa? Siedzieć pod krawatem i w granatowym garniturku w dziale bezpieczeństwa jakiejś korporacji? Zarządzać ochroniarzami w hipermarkecie? Nic nie robić, dziadzieć z nudów i dziadować, szastając w biedronce pieniędzmi ze stypendium Zakładu Emerytalno-Rentowego MSW?

– I tak mi je pomniejszą w przypadku znaczniejszego przychodu...

– Tego ci życzę. Dużych przychodów. A jak ci nie wyjdzie, to się zastanowisz, co dalej. Możesz nawet współpracować z większymi biurami detektywistycznymi, to naprawdę chłonny rynek, a ludzi z twoim doświadczeniem i znajomościami nie ma wcale tak dużo. Może pomyśl o jakiejś dotacji z urzędu miasta? „Moja pierwsza firma” czy coś takiego?

– Kasa na start to nie problem. Babcia zostawiła mi coś niecoś w testamencie. Nie ruszałem tego, wiesz, taki kapitał ratunkowy.

– Może to niezręcznie zabrzmie, ale to jak szczęście w nieszczęściu, co?

Krugły w końcu odważył się na ten krok. Ewa nie była najszczęśliwsza, ale nie miała wyjścia. Mogła się z tym albo pogodzić, albo nie, co i tak nie zmieniłoby jego decyzji. Więc się pogodziła. Po kilkunastu tygodniach załatwiania formalności Krugły został licencjonowanym detektywem, właścicielem firmy Biuro Detektywistyczne Krugły. A teraz na dodatek już

niedługo miał zostać ojcem.

## **Piątek, 3 lipca**

Krugły nigdy wcześniej nie był tak blisko śmierci, jak w tamtym momencie. W dodatku był kompletnie nieświadomy, że kostucha nadchodzi, a w zasadzie nadjeżdża. Spotkał ją na przejściu dla pieszych, na które wtargnął w niemal katatonicznym stanie zamyślenia. Przyoblekła się przebiegle w jak najbardziej realny kształt srebrnej toyoty, ominęła go o centymetry i wyraźnie zawiedziona „pudłem”, odjechała z rykiem klaksonu. Krugły nawet nie zdążył się porządnie przestraszyć, bo tuż za nią zjawił się czarny, wielki jak potwór cadillac escalade. Powoli wtoczył się na pasy, zatrzymując się tuż przed Krugłym, jeszcze bardziej zaskoczonym niż dwie sekundy wcześniej, w chwili, w której uświadomił sobie, że prawie zginął. Tylne drzwi otworzyły się, a z przepastnego wnętrza czarnego potwora rozległ się lekko rozbawiony głos:

– Człowiekowi przed śmiercią należy się porządny posiłek. Zatem zapraszam pana na obiad, panie komisarzu.

Krugły ogarnął się trochę, zbierając myśli. Męski głos brzmiał znajomo, ale w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i kiedy słyszał go wcześniej. Twarz dzięki ciemnym szybom ukryta była w półmroku spowijającym wnętrze cadillaca, więc nie mógł pomóc swej pamięci, dopasowując go do fizjonomii.

– Dziękuję, nie skorzystam – rzucił. – Nie przyjmuję zaproszeń od obcych mężczyzn. Wam w głowach tylko jedno.

Ze środka wyłonił się rękaw czarnej marynarki. Wystawała z niego dłoń, na której było więcej złota, niż babcia Krugłego uzbierała przez całe swe długie i pracowite życie. Dłoń wykonała zapraszający ruch. W głębi auta Krugły widział czyjeś spodnie i fragment skórzanej tapicerki. Wszystko czarne. Rany boskie, czyżby jednak ta toyota go rąbnęła, a on umarł i przyjechali po niego z przedsiębiorstwa pogrzebowego?

Stał bez ruchu i czekał. Po chwili zza uchylonych drzwi ukazała się twarz. Znajoma, choć nieco starsza, niż Krugły ją pamiętał. „Pan Milion Baksów”. Włosy, wciąż gęste, były już prawie zupełnie siwe, mięsista, opalona skóra policzków i podbródka obwisła, a pod oczami pojawiły się worki.

– Ale z pana dowcipas, no. Będę nalegał. Jak pan chce, możemy nawet dogonić tego chuja w toyocie. – Mężczyzna obejrzał się nagle, zerkając przez tylną szybę na stojący za cadillakiem samochód. – Wsiadaj pan, zanim zaczną trąbić.

– Nic z tego, panie Sokołowski. Mój kodeks honorowy mi nie pozwala. Nie



mogę.

– Teraz już pan może. Nie pożałuje pan. Dobry obiad i krótka rozmowa. Niczym pan nie ryzykuje.

– O ile pamiętam, Zbrojewski był ostatni raz widziany żywy właśnie na obiedzie z panem.

– Czysty przypadek, mówiłem to panu wtedy. Co pan z takim starymi historiami mi wyjeżdża?

– Bo historia lubi się powtarzać. I tego się właśnie obawiam.

– Dowcipas i filozof na dodatek. Wsiada pan?

Krugły wsiadł. Zrobił to wbrew sobie, zastanawiając się, czy będzie tego żałował. Sadowiąc się na skórzanej kanapie, z nawyku rzucił okiem na kierowcę. Tę twarz, mimo że widział ją z profilu, również znał. Rozsiadł się wygodniej. Potężny, sześciolitrowy silnik zabulgotał i Krugły poczuł, jak przeciążenie wciska go w oparcie.

– To co, gonimy? – zapytał Sokołowski.

Krugły pokręcił przecząco głową i patrzył na siedzącego obok człowieka w czerni.

Sebastian Sokołowski. Człowiek o nienaganej prezencji. „Pan Milion Baksów”, jak określił go kiedyś pewien kolega Krugłego. Tak zwany biznesmen, człowiek interesu o mafijnym rodowodzie, który ślizgał się w szczecińskim półświatku od wielu lat. Autokomisy, lombardy, transport, gazy techniczne, sieć pralni – mydło i powidło. Nie wychylał się (z wyjątkiem kupna potwora, w którego trzewiach teraz tkwili), nie robił wokół siebie szumu, i może to dlatego wciąż spokojnie robił swoje interesy. Tylko nie wyglądał już jak milion dolarów. Czas trochę go zdevaluował, do jakichś stu tysięcy.

– Widzę, że mnie pan pamięta, panie komisarzu? – Uśmiech na opalonej twarzy skojarzył się Krugłemu z krokodylem.

– Czyta mi pan w myślach.

– Nasze miłe spotkanie... Ile to? Dziesięć lat temu, co?

– Myliłem się. Nie czyta pan w myślach. Na pewno nie pomyślałem, że było miłe.

– Wkurzył się pan wtedy, kiedy kazali panu zostawić mnie w spokoju, co? To dlatego jest pan na mnie taki cięty?

– Dalej współpracuje pan z CBS? Mówię: „współpracuje”, bo na razie nie przychodzi mi na myśl inne określenie.

– Pan daruje, ale nie mogę z panem rozmawiać na te tematy. Nie jest pan

funkcjonariuszem policji. A nawet gdyby pan nim był i tak nie miałby pan uprawnień, żeby mnie o to pytać.

– W porządku. – Krugły uniósł ręce w geście poddania. – Pojęcia tylko nie mam, jakim cudem darowali panu tę „wydmuszkę” ze „Szczurem”.

Sokołowski był zamieszany w głośną sprawę porwania i zabójstwa niejakiego Zbrojewskiego, również biznesmena podejrzanej konduity, z którym podobno był skonfliktowany. Nagabywany przez oficera Centralnego Biura Śledczego, podjął współpracę z CBS jako informator. Powołując się na posiadane przez siebie informacje, zdobyte swoimi kanałami, wskazał pewnego złodzieja samochodów z Rajkowa pod Szczecinem, niejakiego „Szczura”, jako osobę będącą bezpośrednim świadkiem porwania i być może zabójstwa Zbrojewskiego. „Szczur”, któremu groziły poważne zarzuty, poszedł na współpracę i za obietnicę uzyskania statusu świadka koronnego obiecał ujawnić osobę odpowiedzialną za porwanie i zabójstwo. Tą osobą miał być... Sokołowski. Prokuratorowi trudno było w to wszystko uwierzyć, bo wyszło na to, że Sokołowski, wystawiając organom ścigania „Szczura”, tak naprawdę doniósł sam na siebie. Pogubił się jeszcze bardziej, kiedy w sądzie „Szczur” stwierdził w końcu, że zeznania dotyczące Sokołowskiego zostały na nim wymuszone przez policję. Beztróskim tonem wyjaśnił, że podczas przesłuchania funkcjonariusz groził mu, że zabójstwo zostanie przypisane jemu, a nie Sokołowskiemu, i to on, „Szczur”, pójdzie garować na resztę życia. Poza tym nie posiada absolutnie żadnej wiedzy o Zbrojewskim i jest zdziwiony, czego wszyscy od niego chcą. Notatka służbowa oficera CBS z wcześniejszego rozpytania Sokołowskiego zaginęła, oficer ów był już na emeryturze, a ponieważ przebywał nie wiadomo gdzie, był nieosiągalny. Kiedy już nikt nie mógł połapać się, gdzie leży prawda i czy w ogóle jakaś prawda istnieje, sprawa się ryła. „Szczura” skazano tylko za przynależność do gangu, a Sokołowskiego uwolniono od zarzutów, mimo że to z nim właśnie podczas obiadu w jednej z restauracji na Wałach Chrobrego Zbrojewski po raz ostatni widziany był nie jako trup. Krugły w mniej więcej tamtym okresie polował na Sokołowskiego w związku z jego komisami samochodowymi. Dziwnym zbiegiem okoliczności pojawiały się w nich kradzione w Holandii i Belgii samochody. Kiedy znalazł gościa, który był ogniwo łączącym Sokołowskiego z gangiem złodziei, z góry przyszło polecenie, żeby zostawić biznesmena w spokoju. Osobiście musiał Sokołowskiego przeprosić, a tamten gość-ogniwo więcej na spotkaniu z Krugłym się nie pojawił. Z tego, co wiedział Robert, już nigdzie się nie pojawił. A jednym z członków owego

gangu złodziei samochodów był właśnie „Szczur”. Tamta sprawa we wspomnieniach Krugłego funkcjonowała pod nieoficjalnym kryptonimem „Czeski film”, bo nikt, włącznie z nim samym, nie wiedział o co, prócz pieniędzy, w niej chodziło. W końcu doszedł do wniosku, że Sokołowski rękami policji załatwił prywatne porachunki ze „Szczurem”.

Jechali w milczeniu uliczkami Starego Miasta, escalade z trudem mieścił się między zaparkowanymi na poboczach samochodami. Krugły rozglądał się po wnętrznościach potwora, przestronnych niczym średniowieczna katedra.

– Podoba się panu auto? – ni to stwierdził, ni to zapytał Sokołowski. – Imponujące, co? Wersja Platinum, sprowadziłem sobie ze Stanów. Sam konfigurowałem...

Krugły skrzywił się. Zrobił to specjalnie, mimo że fura robiła wrażenie. Ale wyczuwalna w głosie Sokołowskiego chęć usłyszenia komplementu trąciła wieśniactwem.

– Mam funeralne skojarzenia – odpowiedział niedbale, rozglądając się wokół. – Trochę jak w grobie. Tfu, tfu, odpukać...

Sokołowski nie zareagował na jawną zaczepkę.

– Lubię czarny kolor, bo jest elegancki. Po prostu.

– Tak, to widać, że pan za nim przepada. No i wielkie jest... To w ramach akcji „Bądź widoczny na drodze”? Gdyby w pewnym momencie rozległo się wołanie „hop, hop!”, to będę ja, proszę wysłać kogoś na poszukiwania... A wie pan, co mówią o właścicielach dużych samochodów? – Odruchowo podrapał się małym palcem w policzek.

– Lubię przestrzeń i wygodę. Widzę, że pan komisarz ma dziś zły dzień.

– Były komisarz, a w zasadzie podinspektor w stanie spoczynku. Aktualnie wyłącznie: pan.

– Tak, tak, wiem, słyszałem. O pana nowym zajęciu też. Te sińce to efekt jakiegoś szkolenia?

– Owszem – bąknął Krugły. – Taki nietypowy certyfikat jego ukończenia...

Sokołowski przyglądał mu się z lekkim rozbawieniem.

– Zachodniopomorska policja poniosła niepowetowaną stratę, co? – Ton jego głosu korespondował ze spojrzeniem. – Nieodżałowany komisarz Krugły nieoczekiwanie przeszedł w stan spoczynku, zostawiając kolegów z pracy w nieutulonym żalu. Zbrodniarze i krętacze wszelkiego autoramentu już zacierają ręce...

– Pan też?

– Pyta pan, czy żałuję?

– Pytam, czy pan zaciera.

– Ja? Ja, panie komisarzu... Pan pozwoli, że ze względu na stare czasy będę pana tak tytułował?

– Pozwolę – zgodził się łaskawie Krugły.

– No, więc, panie komisarzu, ja jestem biznesmenem. Param się wyłącznie interesami, a nie zbrodnią, a moje ręce są nieskazitelnie czyste. – Sokołowski obejrzał dłonie, zadbane i starannie wymanikiurowane, a potem przeciągle spojrzał na Krugłego. – Był pan kiedyś w Radeckim?

– Owszem.

– Więc pewnie z przyjemnością odwiedzi pan to miejsce jeszcze raz.

– Teraz? Z panem?

– Tak. Zapraszam serdecznie. I gorąco.

– Wspominałem już, co sędzę o zaproszeniach na obiad od obcych?

– Owszem. Ale ja przecież nie jestem obcy!

Krugły, widząc brwi Sokołowskiego, uniesione wysoko w teatralnej minie świętego oburzenia, westchnął.

– W takim razie odwiedzę. Ale tym razem bez przyjemności.

– Jak pan woli. W takim razie zapraszam.

Cadillac po chwili zatrzymał się na Tkackiej, koło strzeżonego parkingu w miejscu dawnego baru Ekstra. Sokołowski otworzył swoje drzwi i wysiadł. Krugły przesunął się po kanapie w ich stronę. Wolał nie ryzykować wyjścia na ulicę przez te po swojej stronie; gdyby przypadkiem coś nadjechało i je uszkodziło, musiałby sprzedać mieszkanie, żeby pokryć koszty naprawy. Spuszczając nogi na chodnik, zerknął w stronę kierowcy. Ich spojrzenia spotkały się we wstecznym lusterku. Krugły wysiadł i poprawił marynarkę. Sokołowski zamknął drzwi, a Krugły stwierdził, że coś jest w tym, o czym mówił mu kiedyś Jarek Berdak: w amerykańskich autach nie tylko dźwięk silnika jest charakterystyczny; nawet odgłos trzaśnięcia drzwiami jest zupełnie inny.

Ruszyli w kierunku restauracji Radecki & Familia. Niepozorna witryna kryła za sobą miłe, klimatyczne i niezbyt obszerne wnętrze ozdobione wymalowanymi na ścianach łacińskimi sentencjami oraz kuchnię, wydającą ze swych czeluści kulinarne cuda. Weszli do środka, Sokołowski przepuścił Krugłego przodem. Krugły zastanawiał się, czy to grzeczność, czy przejaw graniczącej z podejrzliwością ostrożności i czy w związku z tym fundator jego dzisiejszego obiadu usiądzie plecami do ściany. Sokołowski wybrał rozwiązanie pośrednie, kierując się do stolika w małej, dyskretnej loży na niskim podeście, ukrytej za lekką ścianką przedsionka. Usiedli. Nad ich

głowami, na ścianie widniał napis: *Hosti pectus, cor amico*. Pierś dla wroga, serce dla przyjaciela. Czytając kartkę z tłumaczeniem sentencji, Krugły zastanawiał się, czy wybierając akurat to miejsce, Sokołowski chciał dać mu coś do zrozumienia. Rozejrzał się po ścianach i uznał, że gdyby to on miał wybierać, usadziłby ich w drugim kącie. *Homo homini lupus*.

– Na co pan komisarz ma ochotę? – zapytał Sokołowski, biorąc od kelnerki kartę dań. – Proszę się nie krępować. Ja zapraszam, tak jak się umawialiśmy. Jeśli chodzi o zupę, to polecam Leśnego Dziadka.

W milczeniu studiował menu. Krugły zrobił to samo. Zgodnie z sugestią Sokołowskiego postanowił się nie krępować. Jako przystawkę obaj zamówili krewetki w sosie różanym, potem krem z grzybów leśnych. Na drugie Krugły zażyczył sobie cytrynową limandę ze szpinakiem zapiekaną z mozzarellą, a Sokołowski polędwicę w sosie kurkowym.

– Z deserem niech pan się wstrzyma – rzucił do Krugłego, kiedy ten dyktował kelnerce swoje zamówienie.

Krugły poprzestał więc na obiedzie. Przystawkę podano od razu, zaraz potem zupę. Sokołowski jadł w milczeniu, rzucając tylko czasem zdawkowe uwagi dotyczące sztuki kulinarnej, a Krugły był mu nawet wdzięczny, bo mógł w spokoju delektować się posiłkiem. Swoją drogą, mógł trafić gorzej. Musiał uczciwie przyznać, że Sokołowski w porównaniu ze swoimi kolegami od interesów był człowiekiem cywilizowanym, wysławiał się z elokwencją, a rozmowa z nim nie była męczarnią. Pomijając okoliczności, Krugły mógłby nawet określić ją jako przyjemną. Gdyby miał słuchać potoku „kurw” i „yyyyy”, przerywanych sporadycznie normalnymi słowami stanowiącymi zasadniczą treść rozmowy, chyba nie dałby rady. Nie dziś i nie w tym stanie psychicznym.

Jedli w milczeniu, ciszę mącił jedynie brzęk sztućców. Skończyli niemal jednocześnie, odkładając noże i widelce na wyczyszczone półmiski.

– Koniaku? – zapytał Sokołowski, wycierając usta serwetką i zerkając w stronę kelnerki. – Na lepsze trawienie. Mam tu swoją butelkę.

– Do tak zacnego lokalu trzeba przynosić własny alkohol?

Kelnerka podeszła z tacą do ich stolika i zabrała talerze. Sokołowski zagryzł usta, powstrzymując lekki uśmiech.

– Niech się pan nie wysila. Nie robię tego po to, żeby panu zaimponować. Dla mnie to jest naturalne. Ja rozumiem, że ludzie gorzej sytuowani mogą uważać coś takiego za zbytek czy przesadę, ale nic na to nie poradzę. I, szczerze mówiąc, mam to głęboko w dupie.

- Kto bogatemu zabroni, co?
- Otóż to. Lepiej być pięknym i bogatym. Co nie oznacza, że takiego kogoś omijają nieszczęścia. Bogaci też mają problemy...
- Samochody nie mieszczą im się na standardowym miejscu parkingowym?
- A pan znowu... Może umówmy się, że już dość, co? Mnie nie bawi pana zgryźliwy humor. Jest zbyt czarny, nawet jak dla mnie.
- W porządku, przepraszam. – Krugły spojrział gdzieś w bok. – Ma pan rację. Dziś stanowczo nie jest mój dzień.

Kelnerka pojawiła się ponownie, tym razem niosąc kieliszki i na wpół pełną butelkę koniaku. Na szkle wygrawerowane było nazwisko Sokołowskiego. Postawiła wszystko na stole i zniknęła. Sokołowski podniósł butelkę i spojrzął znacząco na Krugłego.

- Więc jak?
- Poproszę.

Po chwili trzymał w dłoni pękaty snifter, czując unoszący się nad nim delikatnie gryzący w nozdrza aromat. Sokołowski podrapał się w czubek nosa i oparł wygodnie, kładąc łokieć na oparciu i zakładając nogę na nogę.

– Niech pan chwilę potrzyma kieliszek w dłoni, panie komisarzu. Butelki stoją w witrynie w piwnicy, tam jest odrobinę chłodniej niż tu. A koniak musi być lekko ogrzany ciepłem ciała, wtedy bukiet i doznania są pełniejsze.

- Nie jestem smakoszem. Szczerze mówiąc, wolę piwo.

Sokołowski wzruszył ramionami i lekko wykrzywił usta.

– Jak pan uważa. Więc, jak już mówiłem, bogaci też mają problemy. Też dostają raka, też wypadają im zęby, też mają hemoroidy i również zdarzają im się w rodzinie ciężkie przypadki zidiocenia. – W zamyśleniu spojrzął na trzymany w upierścienionej dłoni kieliszek, pokręcił nim bardzo delikatnie i przeniósł wzrok na Krugłego. – I tu dochodzimy do sedna sprawy, panie komisarzu. Po to ten obiad. Bo o interesach lubię rozmawiać przy dobrym posiłku, a mam do pana interes.

– Trzeba było tak od razu. Bo ja nie robię interesów z ludźmi pańskiego pokroju, panie Sokołowski. I to, że nie jestem już policjantem, niczego w tej materii nie zmienia.

– Nie chcę robić z panem interesów. Powtarzam: mam interes do pana. Chcę pana wynająć.

- Do czego?

– Do tego, czym pan się obecnie zajmuje. – Pokiwał głową na boki i zmarszczył lekko brwi. – Poniekąd.

Krugły zamilkł, nieco zaskoczony. Sokołowski chciał go wynająć jako prywatnego detektywa? Świat się kończy, no, naprawdę...

– O ile wiem, nie ma pan żony? – zapytał, zaskoczony.

– Otóż mam. I tak się składa, że tę samą od ponad dwudziestu lat. A co, to pańska specjalizacja? Śledzenie niewiernych żon?

– Nie tylko niewiernych żon. Niewiernych mężów również. Szczerze mówiąc, w statystykach to oni wygrywają.

– Błąd, panie komisarzu. To nie oznacza, że więcej mężczyzn zdradza żony. To oznacza, że więcej żon nie ufa swoim mężom i zwraca się do specjalisty o potwierdzenie swoich podejrzeń. To tylko świadczy o ich przewrotności!

– Może i tak, ale zwykle okazuje się, że ich podejrzewania są jak najbardziej słuszne. Co niby miałbym dla pana zrobić? Pytam z ciekawości i trochę dlatego, żeby ten obiad nie był dla pana całkiem stracony, bo raczej nie zamierzam przyjmować żadnego zlecenia.

– Oferuję panu bardzo godziwą stawkę. Plus zwrot kosztów, oczywiście.

– Czytywał pan klasyków amerykańskiego czarnego kryminału, jak widzę?

Sokołowski pokręcił głową.

– Nie miałem czasu na czytanie, musiałem zarabiać pieniądze, które przepijali moi rodzice. Więc musiałem zarobić następne, i tak dalej. Moja siostra lubiła czytać, ale wołała *Anię z Zielonego Wzgórza* i inne babskie czytała.

Jego głos brzmiał obojętnie, tylko wzrok, który wbił w swój snifter, mógł świadczyć o tym, że mimo upływu czasu nie da się do takich rzeczy nabrać dystansu. Krugły lekko oklapł na swojej kanapie. Nie żeby zaraz miał wyrzuty sumienia, że zrobił Sokołowskiemu przykrość, ale w dawnej pracy napatrzył się na takie dzieciaki, jakim musiał być człowiek siedzący naprzeciwko niego. Kilkunastolatki biorące się za bary z życiem, z niezłomną wolą i odpowiedzialnością za rodzinę, których brakowało ich mentalnie ułomnym rodzicielom.

– Słucham – powiedział z rezygnacją.

Sokołowski wciągnął powietrze przez nos i odstawił kieliszek na stolik.

– Lucyna, moja siostra, nie żyje. Zmarła dwa lata temu. Ostra białaczka limfatyczna, nic się nie dało zrobić, mimo że koszty nie grały roli. Jak pan widzi, panie komisarzu, problemy bogatych polegają nie tylko na gabarytach miejsc postojowych. Zawsze mieliśmy tylko siebie, bo o parze alkoholików, która nas przypadkowo spłodziła, szkoda w ogóle wspominać. Mieliśmy tylko siebie, z wyjątkiem pewnego okresu w jej życiu, w którym ona miała

mężczyznę. Niejakiego Zbyszka. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda; Lucyna, niestety, nie była atrakcyjną kobietą. Więc kiedy poznała tego gnoja, myślała, że złapała Pana Boga za nogi. Potem było klasycznie; spotykali się, on zrobił jej dziecko, a wkrótce po jego narodzinach zniknął...

Sokołowski urwał na chwilę, wpatrzony niewidzącym wzrokiem gdzieś w przeszłość, a Krugły na dźwięk słowa „dziecko” przez chwilę poczuł jakiś irracjonalny lęk.

– Nawet skurwiela na oczy nie widziałem, da pan wiarę? – Sokołowski wrócił do niego spojrzeniem. – Siedziałem wtedy przez parę lat w Niemczech, na budowach, a Lucyna bała się, że z troski, a może z zazdrości, nie wiem, będę tego jej gacha tępił. W każdym razie on zostawił ją z brzuchem, z którego dwadzieścia parę lat temu na świat wypełził Rafał...

– Wspomniał pan, że zniknął już po narodzinach siostrzeńca...

Sokołowski sięgnął po kieliszek i dokończył koniak. Przez chwilę ruszał ustami i policzkami, zapewne delektując się jego smakiem, a może tylko pozując na smakosza trunków. Potem, wciąż trzymając kieliszek w dłoni, spojrzał ciężko na Krugłego.

– Co to, kurwa, za różnica? – burknął ponuro. – Efekt jest ten sam. Chociaż, jak tak się dobrze zastanowić, to mogę być mu nawet wdzięczny, że nie zostawił jej od razu, tylko raczył poczekać do narodzin Rafała. Przynajmniej dał mu swoje nazwisko. Inaczej ten nedorobiony palant nosiłby nazwisko swojej matki. A jak jej, to i moje...

– Widzi pan, zawsze trzeba doszukiwać się pozytywnych stron.

– Łatwo panu mówić. Nie jestem zdania, że dzieci powinny odpowiadać za grzechy ojców czy matek. To byłaby głupota. Więc to nie dlatego mam do Rafała taki stosunek, a nie inny. To, że zrobił go jakiś niewydarzony casanova, nie ma nic do rzeczy, takie rzeczy się zdarzają, szkoda tylko, że akurat mojej siostrze. Ale Rafał jest kretynem. Jest mocno ograniczony. Być może to przez ciężkie zapalenie opon mózgowych, które przeszedł w dzieciństwie, być może to zasługa genów tatusia, nie wiem... Konflikt pokoleń nie ma nic do rzeczy, to nie tak, że ja nie rozumiem młodzieży. Jego podejście do życia jest, delikatnie mówiąc, takie jak on cały – kretyńskie. Wie pan, że zamierza zostać gangsterem? Mówi mi to bez żenady...

– Wzorce rodzinne? – przerwał mu Krugły.

Nie mógł się powstrzymać. Sokołowski pokręcił głową.

– Umawialiśmy się, no nie? – sapnął.

– Owszem, ale sam pan musi uczciwie przyznać, że coś w tym jest?



Sokołowski przewrócił oczami i cicho mlasnął.

– Powiedzmy, że rozumiem, o co panu chodzi. Ale ja całe życie ciężko pracowałem. Święty nie jestem, to prawda, korzystałem z różnych okazji, kiedy się nadarzały, ale uczciwej roboty nigdy się nie bałem. A on nie przepracował w swoim życiu ani jednej godziny. Słucha tych swoich raperów; nosi ciuchy, które kosztują fortunę, a wyglądają jak wyciągnięte z kontenera PCK; wciąga różne świństwa, których skład chemiczny nie jest znany nawet tym, co je produkują. Otoczony kolesiami, którzy są koło niego tylko dlatego, że ma kasę. Kasę ode mnie, oczywiście. Jest jak rozkapryszone dziecko w ciele dorosłego, które chce pokazać, jaki z niego gość. Twierdzi, że hip-hop to jego życie, ale tak naprawdę jego życie to pasmo porażek. Jest żalosny i w dodatku kurewsko irytujący. Potrafi całymi dniami siedzieć na dupie i nic nie robić, rozumie pan? Bo ja nie jestem w stanie tego pojąć! Nie ogarniam tego! A muszę go utrzymywać, darmożjada jebanego!

– W takim razie dlaczego nie kopnie pan go w to, na czym siedzi i nie wyśle go do jakiejś roboty, żeby się nauczył życia?

Sokołowski roześmiał się gorzko.

– Bo gnojek jest niereformowalny. Spieprzy wszystko, czego się tknie, łopatę potrafi zepsuć. Kurwa, kulkę od łożyska nawet...

– A samo kopnięcie w dupę?

Sokołowski odkręcił butelkę i nalał sobie następną porcję koniaku, nie pytając Krugłego, czy również ma ochotę.

– Nie mogę tego zrobić. Przysiągłem Lucynie. Tam, w szpitalu, już pod sam koniec, wyglądała tak, że przysiągłbym jej wszystko. Obiecałem jej, że będę się nią opiekował. Wtedy nie wiedziałem, ile nerwów będzie mnie to kosztować. Pewnie, że mógłbym dać mu to mieszkanie w Goleniowie, w którym wegetuje, i hajs na parę miesięcy życia, a dalej niech radzi sobie sam... Tylko że on przepierdoliłby tę kasę w tydzień na wódę, panienki, koleśki i prochy, a przygoda z samodzielnością skończyłaby się zaćpaniem na śmierć i położeniem obok mamusi w rodzinnym grobowcu. A ja... Obiecałem jej... Nie wyglądam na takiego, co? – Spojrzał na Krugłego przytomniejszym wzrokiem.

– Nie – przyznał Krugły bez żenady.

– A jednak... Nieważne. Chodzi o to, że teraz ten idiota wylądował w pudle. Uprzedzając pańskie pytania: nie za prochy, nie za kradzieże, nie za rozboje. Został aresztowany za popełnienie dwóch morderstw, rozumie pan? Oskarżają go o to, że zabił dwie osoby! W pale się nie mieści! On musiałby

się mocno skupić, żeby je w ogóle policzyć, a co dopiero zabić...

– Zabijanie to jedna z prostszych rzeczy, niestety – rzucił Krugły ponuro. – I najczęściej robią to właśnie tacy ludzie jak pański siostrzeniec.

Sokołowski puścił tę uwagę mimo uszu.

– Siedzi w apartamencie na Grenadierów w Goleniowie... – Głos miał zabarwiony sarkazmem, a Krugły wiedział, o czym mowa; w tym miejscu znajdował się zakład karny i areszt śledczy. – W dodatku chyba jest dumny z tego, że gwarantuje, zwłaszcza że jeden z tych nieboszczyków był więziennym klawiszem. Wysłałem mu mecenasa, to idiota zaczął mu pierdolić o szacunie pod celą i takie tam... I że nie będzie współpracował, bo nie jest kapusiem... Ciśnienie mi rośnie, kiedy sobie to przypominę. On chyba nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co mu grozi. Gotów się jeszcze przyznać, żeby mieć większy szacun... Chcę, panie komisarzu, żeby pan w jakiś sposób dowiódł, że nie on to zrobił. Czarno na białym, żeby prokurator odpiardolił się od niego raz na zawsze. Proszę pana o to.

Krugły milczał. Myśli kłębiły mu się w głowie. Miał ochotę na jeszcze jeden koniak, ale jakoś nie chciał sam się obsługiwać ani prosić Sokołowskiego, żeby mu nalał. Po tym, co usłyszał przed chwilą, wiedział, że Sokołowski nie pożałuje kasy na wydobycie siostrzeńca z opałów. Krugły miał więc okazję sporo zarobić; rozważania o aspektach moralnych pracy dla bandziora w obecnej sytuacji życiowej sobie darował. Obawiał się jednego; że współpraca nie skończy się na tym jednym przypadku. Że z jakiegoś powodu, nie wiedział z jakiego (kasy, przyzwyczajenia, adrenalinki – czegokolwiek), nie będzie umiał odmówić Sokołowskiemu następnym razem. I on uzależni go od siebie w jakiś sposób, a kolejne zlecenia będą coraz mniej legalne i coraz bardziej niebezpieczne – przykładu nie trzeba było szukać daleko, siedział w cadillacu, pewnie drzemał za kierownicą albo bawił się przyciskami i pokrętłami na desce rozdzielczej. I Krugły musiał to brać pod uwagę, zwłaszcza teraz... Nagle, w jednym momencie, podjął decyzję. Spontaniczne działanie nie zawsze się opłaca, ale Krugły nie lubił oglądać się wstecz. „Ten jeden raz” – zdecydował.

– Potrzebuję czasu do namysłu – rzucił stanowczym tonem.

Podjęcie decyzji nie oznaczało, że podzieli się nią od razu z zainteresowanym. Niech się podenerwuje, a co.

– To nie znaczy, że może pan mieć nadzieję, że się zgodzę – zastrzegł. – Po prostu nigdy nie mówię „nie” od razu, dla zasady, tylko zawsze rozważam wszystkie opcje. Ale uczciwie mówię, że szanse nie są duże.

– Daję panu czas do wieczora.

– Decyzja nie jest łatwa, panie Sokołowski.

– Niech pan nie będzie dzieckiem, panie komisarzu. Nie mam czasu na głupie zabawy.

– W takim razie do wieczora.

Sokołowski uśmiechnął się.

– Jest jeszcze jeden fakt, który może panu pomóc w podjęciu decyzji. Sprawę Rafała w gołeniewskiej prokuraturze prowadzi niejaki Michalczyk. To powinno sporo ułatwić. Podobno się znać. I to dość dobrze, z tego, co mi wiadomo.

– Bardzo dużo panu wiadomo – mruknął Krugły.

Sokołowski wzruszył ramionami.

– Wiedza o kontrahencie to podstawa sukcesu w biznesie. Pańska firma, zdaje się, ma w ofercie wywiad gospodarczy, to chyba wie pan, o czym mówię, prawda? Nie chcę niczego sugerować, w końcu to pan jest fachowcem, ale proponuję, żeby zaczął pan od spotkania z Rafałem w areszcie. Skoro zna pan tego prokuratora, to chyba nie będzie problemu, żeby umożliwił panu takie spotkanie? Niech pan wydobędzie od gnojka wszystko, co pomoże panu ustalić, gdzie był i co robił w tym czasie, w którym ginęli tamci ludzie. A potem pan to udowodni i jakoś udokumentuje. Resztą zajmie się mecenas.

– To chyba nie będzie zbyt trudne i czasochłonne? Hipotetycznie, zakładając, że przyjmę zlecenie.

– Żeby się pan nie zdziwił. Podejrzewam, że on sam nie wie, gdzie wtedy był i co robił. To co, deser? – Sokołowski spojrział na zegarek.

Krugły zerknął na swój. Był wart jakieś dziesięć razy mniej, ale pokazywał dokładnie taki sam czas. Dochodziła trzynasta.

– Nno, nie wiem... Mam trochę roboty...

– Bez deseru pana nie wypuszczę. Jedziemy na lody do Marczaka.

Nie czekając na rachunek, Sokołowski wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki gruby zwitek dwustuzłotówek spiętych gumką recepturką. Krugły uśmiechnął się w duchu. Nie ma to jak trochę drobnych pod ręką. Pewnych nawyków nie da się wyplenić, nie zmieni tego nawet drogi garnitur. Sokołowski wyciągnął ze zwitka jeden banknot i rzucił go na stół. Po chwili, z kieszeni spodni wygrzebał jeszcze nieco wymiętą pięćdziesiątkę, położył ją na blacie, wygładził kantem dłoni i przesunął w kierunku butelki. Krugły próbował nie parsknąć śmiechem. Wstali i wyszli na ulicę, nie czekając, aż

ktoś z obsługi zabierze pieniądze ze stołu.

Czarny potwór czekał na swojego czarnego pana w tym samym miejscu. Po chwili, prowadzony pewną ręką kierowcy, zerkającego co jakiś czas na Krugłego w lusterku wstecznym, pędził przez miasto, lawirując między samochodami i budząc powszechny podziw lub popłoch wśród przechodniów i kierowców. Krugły myślał o Ewie i dziecku. I tak w milczeniu dojechali na Piłsudskiego. Kiedy wóz zatrzymał się, Krugły z Sokołowskim wysiedli.

Lodziarnia wyglądała, jakby przeniesiono ją tu z dawnych czasów. Z przedwojennych czy z PRL-u, nieistotne; ważne, że istniała. Niepozorne okienko w murze, mała lada chłodnicza, obok ławeczka, stojąca pod ścianą na granitowych płytach trotuaru, pamiętających niemieckich gospodarzy miasta.

– Najlepsze lody w mieście. – Twarz Sokołowskiego rozjaśnił uśmiech dziecka. – Ręcznie robione. I nigdy nie ma pewności, jaki smak akurat dziś będzie w ofercie. Wizyta tu jest trochę jak pudełko czekoladek; nigdy nie wie pan, na co trafi.

Krugłemu było wszystko jedno. Był najedzony do granic przyzwoitości, wkurzony, śpiący i nie miał ochoty ani na lody, ani na dalszą rozmowę z Sokołowskim. Usiadł na ławeczce i gapiąc się w niebo, czekał, aż tamten złoży zamówienie. Chwilę później Sokołowski usiadł koło niego, rozparł się na swojej części ławeczki i wyciągnął jedną nogę daleko przed siebie. Balansował stopą na obcasie zamszowego mokasy, pewnie drogiego jak cholera, zresztą też czarnego, jak cała reszta jego i jego najbliższego otoczenia. Krugły poczuł zapach mango i czegoś jeszcze.

– Lubię tu tak sobie czasem posiedzieć – powiedział Sokołowski, pochłaniając sporą część loda jednym kęsem.

Krugły podziwiał stan szkliwa jego zębów, a przynajmniej tej ich części, która była dziełem natury, a nie protetyka. Czekał, aż Sokołowski przełknie i dokończy myśl.

– A wie pan dlaczego, panie komisarzu?

Krugły oczywiście nie miał pojęcia, dlatego zrobił minę mającą w jego przekonaniu wyrażać uprzejme zainteresowanie.

– Ta część ulicy Piłsudskiego przypomina mi Berlin, konkretnie jego stare dzielnice, te, które oparły się wojnie. Jest najbardziej berlińska ze wszystkich w Szczecinie. Nie do końca ta skala, oczywiście, ale jednak. Niech pan spojrzy na te szpalery lip, place na jej końcach, detale na budynkach, proporcje szerokości do wysokości fasad i tak dalej. Znać tę samą rękę w planowaniu. – Wskazał na przejeżdżający tramwaj. – Nawet te żółte szroty,

które przez pomyłkę zamiast na złom trafiły z Berlina do nas, potęgują to wrażenie... Wie pan, że większość ludzi w tym mieście nie ma bladego pojęcia, kim był Hans Hobrecht, i są przekonani, że te place i układ ulic powstały na wzór Paryża?

– Wiem – mruknął Krugły.

Pytanie musiało być retoryczne, bo Sokołowskiego najwyraźniej nie interesowała odpowiedź. Wciąż nie patrząc na Krugłego, kontynuował wywód.

– W Berlinie zaczynałem, Zachodnim, oczywiście. Jako młody chłopak. Przewoziłem papierosy dla grubszych ryb, zresztą moich starszych kolegów z podwórka. Miałem na sobie takie obszerne, workowate spodnie, a pod nimi rajstopy, zwykle damskie rajstopy, wypchane paczkami fajek. Pamiętam, jak stałem w tych wypchanych rajtkach na ulicy z dwoma kumplami i czułem, jak pot ścieka mi po dupie z gorąca. Staliśmy i patrzyliśmy na witrynę aldiego. Patrzyliśmy na półki pełne słodczy, kolorowych puszek, pudełek, butelek i słoików, a ślina ściekała nam po brodach. Oczy pewnie mieliśmy jak dwumarkówki, te prawdziwe oczywiście, z federalnym orłem, a nie ten enerdowski aluminiowy szajs. Staliśmy tak i gapiliśmy się na sklep, w którym kupowała miejscowa biedota, emigranci na dorobku, gastarbeiterzy i pastowani, i przysięgaliśmy sobie, że kiedyś też będziemy pławić się w luksusie.

– Spełniło się, jak widzę?

– Tylko mnie – mruknął Sokołowski. – Jarka zastrzelili gdzieś na Śląsku, a Marcin się stoczył, potem zachorował i skończył w hospicjum. Zafundowałem mu nagrobek na cmentarzu na Gołęczynie, bo nie miał nikogo bliskiego. W każdym razie właśnie dlatego mam sentyment do tamtego miasta. I do tego też. Dobrze się w nich czuję. I pewnie dziwi się pan, że ktoś taki jak ja, w pańskim mniemaniu zbir i bandyta, wie o swoim mieście takie rzeczy, jak ta o Hobrechcie, co? – Sokołowski zmrużył kpiąco oczy. – A tu proszę. Wie pan, to zabawne, ale ja takie samo zdanie mam o policjantach. Przeważnie tępakach, mało zainteresowanych tym, co dzieje się poza policją. Światem, kulturą, pięknem... A w końcu paru poznałem...

– Niektóre znajomości trwają do dziś, co? – Krugły wskazał podbródkiem cadillaca, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Sokołowski roześmiał się.

– Zna pan „Synka”?

– Nie osobiście, ale trudno było o nim nie usłyszeć swego czasu. Kiedy

straszy się podejrzanego nienaładowaną bronią, trzeba mieć pewność, że naprawdę jest nienaładowana. Zwłaszcza kiedy się to robi na komisariacie.

– Przecież nic mu nie zrobił.

– Powiedzmy...

– Tak, sprawa zrobiła się głośna, bo chłopak ogłuchł na jedno ucho. Życie...

Sokołowski zamilkł na chwilę, wsadził końcówkę języka do wafelka, wydobyl z niego resztkę lodu i spojrzał przed siebie.

– Nie żądam od pana, żeby znalazł pan mordercę tych dwóch ludzi – powiedział cicho gdzieś w przestrzeń. – Klawisza i tego drugiego. Nie interesuje mnie to, choć oczywiście, jeśli taki przy okazji będzie efekt pańskiego śledztwa, też będę zadowolony. Ale chodzi mi przede wszystkim o to, żeby udowodnił pan, że nie zrobił tego mój siostrzeniec, rozumie pan?

– A jeśli zrobił?

Pytanie zawisło między nimi. Sokołowski stłumił dyskretnie beknięcie, wstał, podszedł do kosza na śmieci i wyrzucił do niego pusty wafelek. Stojąc nad śmietnikiem, zaczął starannie wycierać palce w papierową serwetkę.

– Zaręczam panu, że nie zrobił. – Mówiąc to, wrócił do ławeczki i stanął nad Krugłym, zasłaniając sobą słońce. – Zrozumie pan, kiedy pan go pozna. Pańska teoria o łatwości zabijania jego przypadku nie dotyczy. Naprawdę, ten głupi gnojek nie potrafi nawet zaplanować wizyty w kiblu, a co dopiero zabójstwa.

Mówiąc to, Sokołowski wycelował w Krugłego palec, do którego przylepił się małeńki kawałek serwetki. Krugły z lekkim rozbawieniem patrzył na skazę na nieskazitelnym wizerunku człowieka, którym tak naprawdę gardził i któremu zapewne w końcu nie odmówi.

– Może zrobił to w afekcie? – mruknął.

– Z tego, co wiem, ciosy nożem w serce, które zadano tym dwóm, były starannie wymierzone, niemal jednakowe w obu przypadkach. A ten tępak pewnie nawet nie wie, po której stronie jest serce...

Sokołowski zauważył nagle biały skrawek wystający spod paznokcia i z lekkim niesmakiem wypisanym na twarzy zdjął go, strzepując resztkę papierka na wiatr. Odprowadził go zdziwionym spojrzeniem, jakby miał mu za złe, że miał czelność zrobić mu coś takiego.

– Później prześlę panu filmik, który w razie problemów pokaże pan Rafałowi – powiedział. – Może wtedy gówniarz zastanowi się nad sobą. Liczę, że pan przyjmie moje zlecenie, panie komisarzu. To naprawdę się panu opłaci. Byłby pan głupcem, gdyby pan go nie przyjął. Rozumiem, że ma pan

swoje zasady i szanuję to, ale z pana nie jest żaden Marlowe czy inny Sam Spade. Pan ma kredyt, nędzną policyjną emeryturkę, a pańska towarzyszka życia pracuje w budżetówce. Bądźmy realistami. I jeszcze jedno: nie powiększa się panu czasem rodzina, co?

Krugły zacisnął zęby. Bez wątpienia Sokołowski miał trochę racji. To, co obecnie robił w życiu zawodowym, można było w jakiś sposób przyrównać do prostytutki i liczył się z tym, że zasady, którymi się w życiu kierował, będzie musiał może nie tyle łamać, co naginać. Ale z tym powiększeniem rodziny Sokołowski przegął. Krugły oblizał usta.

– Widzę, że coś pan jednak wie o amerykańskich klasykach... To może zamiast mnie, niech pan weźmie tego specja, który tak dokładnie, choć zapewne nielegalnie, prześwietlił moje życie?

– Och... – Sokołowski pogardliwie machnął ręką. – Ten facet jest dobry tylko w grzebaniu właśnie. Nawet pan nie wie, ilu rzeczy można się dowiedzieć o człowieku, przeglądając zawartość jego śmietnika. Ale zdaję sobie sprawę, że do takiej roboty, jaką panu proponuję, potrzeba kogoś bardziej finezyjnego niż typ po kursie fotografii, który podgląda ludzi łamiących szóste przykazanie. Kogoś ze znajomościami. Takiego jak pan. Musi mi pan wybaczyć to grzebanie w śmietniku, musiałem dowiedzieć się o panu czegoś więcej ponad to, o czym ćwierkają wróbelki na mieście.

– Moja partnerka nie wyrzuciła testu ciążowego do śmieci – powiedział Krugły cicho, spoglądając na Sokołowskiego spod zmrużonych powiek. – Zachowała go na pamiątkę...

Sokołowski nie wyglądał na przejętego. Podniósł głowę, wystawiając twarz na słońce i cmoknął cicho.

– Ja nie pytam o pańskie metody. Pan też niech nie pyta o moje.

Krugły wiedział, że nie ma sensu dalej ciągnąć wątku. Po chwili milczenia Sokołowski uśmiechnął się lekko, wciąż z twarzą wyciągniętą ku bezchmurnemu niebu.

– Mam nadzieję, że nie wziął pan do siebie moich słów o tępych gliniarzach? – zapytał wesoło. – To moja prywatna opinia, zdaję sobie sprawę, że może być odrobinę krzywdząca. Ale zawsze mówię to, co myślę. Stać mnie na to. Po prostu.

Krugły uśmiechnął się półgębkiem. Nastął czas zapłaty. Nie żeby był mściwy. Po prostu wkurwiony. Za to grzebanie w śmieciach. Między innymi...

– Skąd. – Ton jego głosu był beztroski. – Nie mam panu tego za złe, bo naprawdę ciężko mnie obrazić, poza tym przypominam panu, że nie jestem już

gliniarzem. Ale jeśli mam być szczery, sędzę, że mimo wszystko spod płaszczyka pańskiej ogłady i kulturalnego obycia wciąż wygląda ten chłopak w rajstopach wypchanych fajkami. W dalszym ciągu zakompleksiony, choć dużo starszy i dużo bogatszy. To oczywiście moja prywatna opinia, choć nie do końca mnie na nią stać. A tak przy okazji, skoro już wróciliśmy do tego momentu naszej rozmowy: James.

– Naprawdę musi pan mieć spierdolony dzień, panie komisarzu, a przecież umawialiśmy się, że już dość. – Twarz Sokołowskiego odwróciła się od słońca i stężała w grymasie lekkiego niezadowolenia. – Znów robi pan wszystko, żeby mnie wnerwić. Albo żebym z pana zrezygnował. Ale ja jestem uparty i już podjąłem decyzję. Nie odpuszczę panu, choćby nie wiem, jak pan się starał. – Spojrzał z ukosa na Krugłego. – O co chodzi z tym Jamesem?

– Hobrecht miał na imię James, a nie Hans. Ale mimo to i tak ma pan u mnie punkt.

Na twarzy Sokołowskiego wykwitł szeroki uśmiech. Pokręcił głową, podpierając się pod boki. Stał na szeroko rozstawionych nogach, obutych w te mokasyny za średnią krajową, i uśmiechał się

– James, mówi pan... Możliwe, nie będę się kłócił – powiedział i wyszczerzył zęby, jeszcze droższe niż buty. – Naprawdę się cieszę, że to pan będzie prowadził to śledztwo, panie komisarzu. Bardzo się cieszę.

– Były komisarzu – sprostował skromnie Krugły.

– No tak – zgodził się Sokołowski. – No tak... Cóż, czekam na telefon.

– A jak nie zadzwonię?

– Zadzwoni pan. Jestem tego pewien. Kryguje się pan, jak napalona dziewczica przed jurnym młodzieńcem, która nie zdaje sobie sprawy, że i tak natura zaplanowała wszystko za nią. Nie oprze się pan. Życzy...

– Nie, dziękuję, przejdę się. Muszę przemyśleć parę rzeczy.

– Zatem... do wieczora?

– Do wieczora...

\* \* \*

Krugły zadzwonił do Sokołowskiego już po południu. Przełknął jego uwagę o pewności co do podjętej decyzji, którą tamten miał, czekając na telefon Krugłego. W odpowiedzi na to zaszalał przy ustalaniu stawki, przez co to Sokołowski musiał teraz przełykać ślinę. Ale biznesmen zniósł to po męsku i zgodził się na nią. Krugły mógł być zadowolony. Obiecał, że zabierze się do pracy od poniedziałku i wyłączył się.



Mógł spokojnie zaczynać weekend.

### III

#### Wcześniej

Leżała na łóżku, w pościeli nie pierwszej świeżości, i patrzyła w sufit. Robiło się jasno, zza zasłoniętych kotar do pokoju wpadało trochę szarości wczesnego świtu. Obudziła się przed chwilą z drzemki i zastanawiała się, czy uda się jej wyjść przed szóstą i zdążyć na pierwszy pokaes do Goleniowa.

Kątem oka widziała twarz i całą postać chłopaka. Leżał na boku, z głową opartą na dłoni, łokieć wbijał się w poduszkę. Gapił się na nią. Z zachwytem. Na jej profil, szyję, piersi, brzuch, biodra, łono, uda i stopy. Lubił stopy, to już wiedziała. Studiował jej ciało, pożerał ją wzrokiem. Miał spojrzenie zdobywcy. Takie spojrzenie ma każdy facet, który właśnie ochłonął po tym, jak pierwszy raz uprawiał seks z kobietą. Przez chwilę zrobiło się jej nawet miło, ale to uczucie po chwili minęło. Zdusiło je zatęchłe powietrze, jego nieświeży oddech, świadomość tego, co temu chłopakowi robi i tego, po co to robi.

Poczuła, jak pościel się porusza. Zerknęła w bok i zauważyła na jego twarzy porozumiewawczy uśmiech. Spojrzała w dół i zobaczyła członek wystający z jego ręki. Dłoń poruszała się, czerwona główka jego penisa robiła się coraz większa. Wstyd prawiczka minął, nie zakrywał się już pościelą. Pozwalał, by na niego patrzyła, odkrywał płynącą z tego przyjemność.

Westchnęła w duchu. W środku była sucha i poobcierana. Czy im kiedykolwiek przyjdzie do głowy, że kobieta potrzebuje czegoś innego niż wciskanie go tam na siłę? Sięgnęła po żel nawilżający, ale powstrzymała ją jego druga ręka.

– Naprawdę zrobiłabyś dla mnie prawie wszystko?

Oblizwała suche nagle usta.

– A na co masz ochotę?

– Ale zrobiłabyś?

Włączył lampkę nocną i światło zalało małe pomieszczenie. Postarała się, żeby jej uśmiech był kokieteryjny.

– Myślę, że tak.

Teraz on oblizwał usta, ale nie dlatego, że były suche.

– Lubisz ból? – zapytał cicho.

Jego oczy pociemniały. Zaczął szybciej oddychać, ręka też poruszała się coraz szybciej, aż czuła drżenie materaca. Ogarnął ją lekki niepokój, ale zmusiła się, żeby nie pokazać tego po sobie.

– Ale cy nie robi mi pan ksywdy, panie... – wysepleniała dziecięcym

głosikiem.

– Poruczniku. Może być poruczniku – wydyszał.

– Nie zrobi mi pan ksywdy, panie poruczniku? – Przekrzywiła głowę, włożyła palec do ust i prowokująco pociągnęła się za dolną wargę, pokazując zęby.

Wyglądała teraz jak mała dziewczynka i wiedziała o tym.

– Poczekaj...

Wyskoczył z łóżka. Wyglądał śmiesznie ze sterczącym, nabrzmiętym podnieceniem członkiem. Pobiegł do drugiego pokoju, a ona na wszelki wypadek wycisnęła na palce trochę żelu i wtarła go w siebie. Zamknęła oczy i pomyślała o Marku. O nich wszystkich. Kiedy wrócił, wciąż był nagi i wciąż miał wzwód. Tylko w dłoni trzymał coś długiego i czarnego. Pas. Skórzany pas z metalową klamrą.

– Wypnij pupę – wycharczał.

– Jesteś pewien? – zapytała cicho.

– Obiecałaś przecież...

– Obiecałam. – Obróciła się na brzuch, podkurczyła nogi i uniosła pośladki, wypinając je ku niemu.

Czuła się jak dziwka. Odarta ze wstydu dziwka.

– Nic ci nie zrobię – powiedział, ledwo widząc przez zamglone pożądaniem oczy. – Obiecuję, tylko parę klapsów paskiem. Pozwolisz mi? Błagam...

Zamknęła oczy, kiedy obracał lampkę w jej stronę.

– Pozwolę...

\* \* \*

– Przepraszam. – Łzy leciały mu z oczu. – Boże, przepraszam cię, Agnieszka! Ja... Ja nie chciałem. Jezu, nie wiem, co mnie opętało!

Zamiast jej pomóc, stał nad nią i załamywał ręce, biadoląc, jak przekupka nad kopą rozbitych jaj. Zaciskając zęby z bólu, uniosła lekko lewą pierś i obejrzała głębokie rozcięcie skóry na żebrach. Bolało jak diabli.

– Masz jakiś bandaż? I wodę utlenioną? – syknęła.

Stała przy umywalce i papierem toaletowym tamowała krwotok. Czuła, jak drżą jej nogi, dziękowała losowi, że okrzyk bólu wyrwał chłopaka z amoku, a nie spowodował wpadnięcia w jeszcze większy szal.

– Zaraz, gdzieś tu mam...

– Dobra, zostaw, nie szukaj. To trzeba zszyć.

– Jezu... Mam wezwać pogotowie? – Usiadł na sedesie i schował twarz

w dłoniach.

„Mięczak. Mięczak i bydlę” – pomyślała, a głośno powiedziała:

– Zwariowałeś? Żeby sąsiedzi zobaczyli? – Wyraźnie się uspokoił, więc dodała: – Daj mi jakiś materiał. Podkoszulkę na przykład. Tylko czystą... I wezwij mi taksówkę. Sama pojedę.

Kiedy kwadrans później wymykała się na zewnątrz, obejrzała się jeszcze. Jego przerażona twarz, wystająca zza zasłony kuchni, wywoływała w niej, nie wiadomo dlaczego, wściekłość. A może to raczej wyraz jego oczu, błyszczących wdzięcznością za to, że pozwoliła mu uniknąć skandalu? Odetchnęła głęboko rześkim powietrzem i wściekłość minęła. Wsiadając do taksówki, pomyślała, że zemsta nie zawsze jest słodka. Czasem droga do niej zaprawiona jest goryczą. Ale wystarczy odpowiednia motywacja, żeby jakoś to znieść.

# IV

## Poniedziałek, 6 lipca

Pierwszą rzeczą, jaką Krugły zrobił po wyjściu Ewy do pracy, był telefon do Michalczyka.

– Obiecałem ci pomoc... – powiedział poważnie prokurator, kiedy już wyjaśnił mu, w czym rzecz i że ma szansę zarobić niezłe pieniądze – ...więc dotrzymam słowa. Fajnie się składa, że prowadzę tę sprawę. Przyjeżdżaj.

Krugły pojechał więc do Goleniowa. Zostawił samochód na parkingu przy ulicy Dworcowej, w cieniu drzew małego skwerku. Kiedy przeszedł przez ulicę, znalazł się pod drzwiami wyglądającego na wszystko inne, tylko nie prokuratorę budynku prokuratury. Poznał go po emaliowanej tabliczce z godłem państwowym i nazwą instytucji. Nie był tu nigdy wcześniej. Wszedł do środka, potem ktoś skierował go na górę, gdzie znalazł gabinet Michalczyka. Nie pukając, wszedł do środka. Mateusz wstał zza biurka i wyszedł mu naprzeciw.

– Witaj w moim skromnym królestwie.

– Bardzo skromnym – zauważył Krugły i nawet to było eufemizmem. – I masz w nim taki sam bałagan jak w poprzednim.

Michalczyk obejrzał się za siebie, ogarnął spojrzeniem swoje biurko i regały i zmarszczył brwi.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Zupełnie nie wiem – powiedział, założył ręce do tyłu i stanął w lekkim rozkroku na środku pomieszczenia, najwyraźniej zadowolony z siebie.

Gdyby rozłożył ramiona, prawie dotknąłby przeciwległych ścian. Krugły nawet nie bardzo wiedział, gdzie ma się podziać, żeby czegoś nie potrącić. Usiadł w końcu na małym foteliku ustawionym między szafami, jak orzech w szczękach dziadka. I tak też się poczuł, kiedy ledwo się w nim zmieścił.

– Ja w sprawie Rafała Gruszewskiego, panie prokuratorze. – Uśmiechnął się. – Mam go wyciągnąć z pierdła.

– Tak też myślałem, panie inspektorze. Pan w sprawie „Gruchy” Gruszewskiego; małego, wrednego skurwysynka, który wszystkim działa na nerwy.

– Właśnie w tej. To o co dokładnie chodzi?

– Dokładnie to nie wiadomo. – Michalczyk pokręcił głową. – Bardzo dziwna sprawa. Dwa zabójstwa, dokonane w ten sam sposób w Goleniowie, w odstępie kilku miesięcy. Zasztyletowano dwóch mężczyzn, którzy nie mieli

ze sobą nic wspólnego, a przynajmniej na razie nic mi o tym nie wiadomo. Inne środowiska, inny status materialny, kompletnie różny tryb życia... Tylko śmierć taka sama. – Ostatnie słowa wypowiedział przeciągle, dość zagadkowym tonem.

– Grucha ich zadźgał?

– Grucha? Hm... „Zadźgał” to niezbyt pasujące w tym przypadku określenie. To nie były dźgnięcia. To były... wkłucia.

– Wkłucia?

– Dobra, zacznijmy od początku.

Michalczyk usiadł za swoim biurkiem. Stosy papierzyśk flankowały puste pole na jego środku. Leżały tam dwie schludnie ułożone obok siebie teczki aktowe. Prokurator przysunął sobie jedną z nich i otworzył ją zamaszystym ruchem.

– Krystian Zawadzki, lat dwadzieścia sześć – powiedział. – Funkcjonariusz Służby Więziennej w stopniu młodszego chorążego, pracujący w charakterze strażnika w Zakładzie Karnym w Goleniowie, został zamordowany nad ranem siódmego kwietnia, tuż po świętach wielkanocnych. Znalaziono go około siódmej rano. Przejąłem tę sprawę po prokuratorze Peszce, który miał udar, więc zaczniemy może od „mojego” umrzyka – zdecydował nagle.

Zamknął okładkę teczki, odsunął ją na bok i sięgnął po drugą. Otworzył ją takim samym ruchem jak poprzednią i popukał palcem w jakiś dokument, leżący na wierzchu stosiku.

– Wojciech Wichłacz, lat dwadzieścia osiem, ratownik medyczny zatrudniony w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Szczecinie, filia Goleniów, jako kierowca-ratownik. Żonaty od dwóch lat, dzieci nie miał. Miał za to, jak wynika z zeznań kolegów, hobby: dystrybucja środków odurzających i narkotyków. Znaleziony martwy w sobotni poranek trzynastego czerwca, w parku XXX-lecia, niedaleko stadionu. Żona twierdzi, że poprzedniego wieczoru był u jakiegoś swojego kolegi na imprezie. Potwierdza to podejrzany Gruszewski, dodając z dumą, że na rzeczonej imprezie goście ostro grzali. Różne rzeczy: wódka, dopalacze, coś mocniejszego też było... W parku nastąpił ciąg dalszy. W nocy wszyscy się rozeszli, Wichłacz został. Nie wiadomo po co. Posprzątać? W każdym razie zginął między trzecią a trzecią trzydziści rano, znaleziony został o siódmej przez mieszkającego w sąsiedztwie właściciela jamnika; ściśle rzecz biorąc, najpierw przez jamnika, potem przez właściciela. Leżał na plecach, ręce miał ułożone na brzuchu, palce splecione, brakowało tylko wciśniętej w nie gromnicy, bo

wyglądał, jakby leżał na marach w cmentarnej kaplicy. Zobacz...

Michalczyk przysunął Krugłemu jedno ze zdjęć. Ujęcie obejmowało szeroki plan, widać było spory fragment terenu, a w jego centrum leżały zwłoki. Nieboszczyk faktycznie sprawiał wrażenie, jakby w niepojęty sposób w niezmienionej pozycji przeniesiony został z katafalku na środek małej, otoczonej drzewami polanki, na której walały się butelki i puszki po piwie. Wyglądał, jak gdyby ktoś zapomniał go pochować: groteskowo i nie na miejscu. Tylko ciemna plama wsiąkniętej w ściółkę krwi, w której leżał, świadczyła o tym, że to nie porzucone przypadkiem zwłoki.

Michalczyk zabrał zdjęcie.

– Facet, który robił sekcję Wichłacza, w przeciwieństwie do tego, który kroił Zawadzkiego, jest bystry. Zobaczył, że nieboszczyk ma na czole i dłoniach jakąś substancję, więc pobrał próbkę i dał do analizy. Wyszło, że jest to oliwa z oliwek, i to nie jakaś taniocha z dyskontu, tylko wysokiej jakości oliwa, rozumiesz? Pozostałych składników, tych, których użyto do zagęszczenia mazi, z wyjątkiem wosku nie zidentyfikowano. Możemy postawić hipotezę, że niedługo przed śmiercią Wichłacz chciał zrobić pizzę i próbował odkręcić słoik z oliwkami, używając do tego oprócz rąk także czoła. A może nie mógł odkręcić tego słoika i ze złości potraktował go z dyńki. Jeśli jednak uznamy tę hipotezę za mało prawdopodobną i wykluczmy ją z dalszych rozważań, to mnie osobiście narzuca się inna. I sam już nie wiem, czy jest bardziej prawdopodobna od tej ze słoikiem.

– Mianowicie?

– *Extrema unctio*.

– To jakieś wyuzdane zabawy erotyczne?

– Eee... Nie. Zupełnie nie. To tak zwane ostatnie namaszczenie. Ujmując rzecz precyzyjnie: namaszczenie chorych, ale w przypadku Wichłacza niewątpliwie sprowadziło się to do ostatniego. A wtedy zwykła oliwa zmienia nam się w *oleum infirmorum*. Tak zwany olej chorych, którym kapłan namaszcza czoło i dłonie chorego lub umierającego podczas udzielania sakramentu namaszczenia chorych. Zasady tego obrzędu ściśle określa konstytucja apostolska papieża Pawła VI. Sprawdziłem przy okazji.

– Ty... – Krugły zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, Michalczyk miał wciąż ten sam poważny wyraz twarzy. – ...żartujesz sobie teraz ze mnie?

Prokurator rozparł się na krześle.

– Zarówno Wichłacz, jak i Zawadzki... – Wskazał wzrokiem drugą teczkę leżącą na biurku. – ...zginęli w ten sam sposób. Zostali uśpieni... tak, uśpieni

eterem, wyobraź sobie, ułożeni w pozycji, w jakiej zwykle układa się zmarłych, po czym zadano im jeden precyzyjny cios w klatkę piersiową. Żle mówię, to nie był cios, a przynajmniej tak twierdzi patolog. Już bardziej to „wkłucie”, o którym mówiłem przed chwilą. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wyglądało to tak, że sprawca przyłożył nóż w okolicy mostka, pod kątem, zarówno w płaszczyźnie osi ciała, jak i podłoża, po czym, opierając się na trzonku, pchnął go mocno. Oś ostrza była lekko skrzyżona w prawo, tak by sięgnęło serca.

– A ja przez całe życie myślałem, że serce jest po lewej stronie?

– W mordercy prawo. Klęczał nad ofiarą w pozycji „na jeźdźca”... Powiem ci, co mówił mi patolog. Tylko w teorii rana idealnie odpowiada wielkości ostrza. To bajki, choć można je znaleźć nawet w podręcznikach medycyny sądowej. W rzeczywistości niemal nigdy nie jest tak, że szerokość rany odpowiada szerokości ostrza, zwłaszcza w przypadku ostrza obosiecznego. Zarówno przy wkłuciu, jak i wykluciu ostrze rotuje we wszystkich płaszczyznach, co powoduje automatyczne nacięcie tkanki w szerszym zakresie, zależy to też od siły nacisku i kilku innych rzeczy. Czasem ta rana ma nawet lekko zakrzywiony kształt. U obu ofiar te rany wyglądały niemal identycznie. Czyściutko i bez zniekształceń. Czyli nie był to cios zadany zamasyście, tylko powolne i precyzyjne pchnięcie. Idealne, rozumiesz? Nawet nie drgnęła mu ręka! Aż nie do wiary, ale właśnie dzięki temu patolog z bardzo dużym prawdopodobieństwem ustalił rodzaj narzędzia zbrodni. Nóż wojskowy wzór dziewięćdziesiąt dwa. Używany był przez jednostki specjalne Wojska Polskiego, i tu pojawiają się dwie opcje: albo nasz ptaszek to były żołnierz wojsk powietrzno-desantowych czy innych specjalnych, albo nie. Jestem świadomy, że fakt użycia takiego noża może nie mieć żadnego związku z przeszłością sprawcy. Taki majcher można sobie kupić na Turzynie albo zamówić w sieci.

– Racja. Jak ich uśpiono?

– O tym, że Zawadzki był w momencie śmierci nieprzytomny, było wiadomo od razu. Kiedy lekarz pogotowia wszedł do pokoju, w którym leżały jego zwłoki, wyczuł zapach eteru. Zawadzki musiał spać, kiedy sprawca wszedł do domu, i wygląda na to, że włamanie go nie obudziło. Nie było śladów walki ani obrażeń obronnych. Jeśli nocny gość od początku zamierzał zabić Zawadzkiego w taki wyszukany sposób, a zapewne zamierzał, musiał mieć pewność, że ofiara się nie obudzi. Dlatego po prostu polał eterem poduszkę. Odczekał chwilę, a potem zrobił swoje.



– No, właśnie: eter? Tego się jeszcze używa?

– Pytałem patologa. Rzadko, bo rzadko, ale bywa. Eter etylowy jest bardzo niebezpieczny, łatwopalny i wybuchowy. Od jakiegoś czasu jest wypierany przez inne leki.

– Dobra. A Wichłacz? Mówiłeś, że zginął po ostrej imprezie? W parku, tak?

– Zgadza się. Ale, o dziwo, był czysty, mam na myśli twarde narkotyki. Miał tylko lekkie stężenie alkoholu we krwi i był trochę upalony. Wygląda na to, że był dilerem z krwi i kości. Sam twarde nie brał, a wyłącznie handlował. U niego wykryto eter po badaniach toksykologicznych próbek pobranych podczas sekcji. Zginął w samym środku weekendu, więc zanim go pokroili, minęło trochę czasu. Gdyby zrobili sekcję od razu, eter dałoby się wyczuć po otwarciu zwłok. Nie mam stuprocentowej pewności, że Zawadzki również miał na sobie ślady olejku, ale układ zwłok i identyczne obrażenia prawie na pewno wskazują na tego samego sprawcę. I ten eter... Ale mam coś jeszcze...

Sięgnął po teczkę Zawadzkiego i wyciągnął z niej jedno ze zdjęć. Było częścią dokumentacji fotograficznej sporządzonej na miejscu zbrodni i przedstawiało zwłoki Zawadzkiego. Denat leżał na kanapie, wyglądając niemal identycznie jak Wichłacz. Na tej fotografii jednak ciało wypełniało sobą cały kadr, dzięki czemu szczegóły widać było o wiele wyraźniej niż na poprzedniej. Jasna koszula powalana była krwią, która ściekła również na welurowe pokrycie kanapy. Ręce, złożone na brzuchu, były brudne, wyraźnie widać było, że opuszki palców są niemal czarne od jakiejś substancji. Zawadzki miał zamknięte oczy, a na twarzy niezwykle spokojny. Wyglądał, jakby spał głębokim snem albo przynajmniej był po tanatopraksji czy zabiegach kosmetycznych, wywierających zwykle na bliskich irracjonalne wrażenie, że w nieboszczyku tli się jeszcze życie. Krugłemu przyszło też do głowy, że ten spokój świadczy o tym, że okoliczności nagłego odejścia z tego świata przynajmniej nie przysporzyły Zawadzkiemu cierpienia. Ponieważ ostatnimi czasy często bywał w nastroju filozoficznym, podzielił się swoim spostrzeżeniem z Michalczykiem. Podejście prokuratora do sprawy było bardziej praktyczne. Jak zwykle rzucił tekst o szczęściu w nieszczęściu.

– Ten facet nie miał bliskich – wyjaśnił następnie Krugłemu. – Biedny, samotny klawisz, sam jak palec w swoim malutkim domku na uboczu podgoleniowskiej wioski... Nawet koledzy z pracy niewiele o nim wiedzieli. – Przesunął zdjęcie w kierunku Krugłego. – Mówiłem ci, że medyk nie kojarzył, czy na czole Zawadzkiego były jakieś ślady. Ręce były pobrudzone ziemią z ogrodu, wygląda na to, że się tego wieczora nie mył, więc rozumiem,

że w tym przypadku doktorek mógł nie zwrócić uwagi na tłuste plamy. Ale zobacz to... – Michalczyk wskazał czoło denata. – Widzisz? Skóra nieboszczyka z takim stażem jest półmatowa jak wosk. A to miejsce nad nosem lekko świeci się w błysku lampy flesza. Tylko ten jeden fragment skóry jest tłusty. Co może świadczyć, że też został... hm... namaszczony...

– Może to pot?

– Nie. Leżał na tej kanapie prawie osiem godzin od momentu śmierci, a w nocy i rano było ciepło i sucho. Sprawdziłem pogodę. Pot wysechłby; olejek z oliwy – nie. Ten olej chorych ma właściwie konsystencję gęstej, lepkiej mazi, przypomina z wyglądu maść tygrysią. Czyli mamy podstawy sądzić, że Zawadzkiego odwiedził ten sam ktoś, który później zajął się w podobny sposób Wichłaczem.

– Może, kto wie... Były jakieś odciski palców?

– Wszędzie czysto. To znaczy czysto w domu nie było, chodzi mi o to, że sprawca miał lateksowe rękawiczki. Z małym wyjątkiem... – Michalczyk uśmiechnął się chytrze. – W mieszkaniu Zawadzkiego były wyłącznie jego odciski palców. Jakby nikt nigdy do niego nie przychodził. Ale technik znalazł coś interesującego. Jeden podejrzany odcisk palca. Jeden, jedyny paluch, który nie należał do właściciela. Był świeżutki, ale częściowy, odcisnięty na blacie biurka. Kciuk. Tak jakby sprawca, bo zakładam, że do niego należał odcisk, kładł albo brał coś z biurka. Dwoma palcami, kciukiem i palcem wskazującym. Coś małego.

– Co mógłby kłaść czy brać? I po co zdejmowałby do tego rękawiczki?

Michalczyk cmoknął cicho.

– Czego nie robi się w rękawiczkach?

– Nie zmuszaj mnie, żebym zaczął wymieniać. Będzie dość obrzydliwie...

Po prostu mi powiedz – poprosił Krugły.

– Nie robi się znaku krzyża ani nie udziela się sakramentów, na przykład.

– Jakże błyskotliwe i zupełnie przypadkiem pasujące do twojej teorii.

– A jakże. I powiem ci jeszcze, co to mogło być. To coś, co kładł albo zabierał...

– Słucham.

– Małe, okrągłe, metalowe puzderczko, w którym ksiądz zwykle ma to mazidło. Olej chorych. Sprawca po uśpieniu ofiary przygotował puzderko, kładąc je na biurku stojącym obok łóżka, zdjął rękawiczki, wziął pojemniczek z biurka, namaścił ofiarę, potem odłożył puzderko na blat i z powrotem założył rękawiczki. A następnie zabił Zawadzkiego. Odcisk zostawił, biorąc lub

odkładając puderko z olejem, rozumiesz?

– Powiedzmy. – Krugły wzruszył ramionami. – Teoretycznie możliwe, choć mało prawdopodobne. Musiałby być zdrowo porąbany.

– Nie wykluczam tego.

– Seryjny? I to z niezłym bałaganem na strychu? – Krugły wskazał swoją skroń.

– Nie mówię: nie. – Michalczyk patrzył na Krugłego poważnie. – To uspienie przed zabójstwem to jak gest miłosierdzia. Swoiście pojęty, ale jednak. Nie chce, żeby ofiara cierpiała, więc wygląda to raczej na coś w rodzaju fizycznej eliminacji. Nie jest bestią, jak zdecydowana większość seryjnych...

– Kompleks boga?

Michalczyk milczał.

– Jeśli już rozważać tę sprawę pod kątem seryjnego, to według typologii Holmesa najbardziej pasuje mi tu motyw misyjny. Facet ma jakiś pomysł na te zabójstwa. Skojarzenia z obrządkami kościelnymi i pogrzebowymi to fakt, a nie nasze wymysły. Tak uważam. Tacy jak on zwykle mają określoną grupę ofiar. prostytutki, kobiety w ogóle... Albo na odwrót, mężczyźni, jak pewna seryjna zabójczyni ze Stanów, prostytutka zresztą... Zwróć uwagę, że brak tu motywu seksualnego. Nie ma żadnej agresji. Amoku. Facet się kontroluje. Robi to niezwykle starannie, zawsze tak samo, ale w okolicznościach, które nie zawsze mu sprzyjają. Dom Zawadzkiego pomijam, tam miał komfortowe warunki. Ale park? Nawet w nocy ktoś może tamtędy przechodzić, a o tej porze roku jasno zaczyna robić się już koło czwartej rano. Musi mieć nerwy ze stali! Albo niesamowite szczęście...

Krugły przygryzł wargę i zaczął machinalnie przesuwać zdjęcie martwego Zawadzkiego po blacie biurka.

– To nie musi być gest miłosierdzia – powiedział powoli.

– Nie?

– Niekoniecznie. Morderca może usypiać ofiarę po to, żeby nie musieć siłować się z nią. Morderca albo... morderczyni. Rozumiesz?

– Dobrze kombinujesz... Ale jeśli to kobieta, to co z teorią o namaszczeniu? Nie ma kobiet księży.

– Więc może to jednak nie namaszczenie?

– A jeśli gość jest mikrej postury albo jest w podeszłym wieku? Może jest kaleką?

– Jeszcze jakieś pomysły?

– Może jest kaleką kobietą mikrej postury?  
– Mam coś jeszcze lepszego. Może to dziesięcioletnie dziecko? Ukradło eter ze szkolnej pracowni chemicznej...  
– Przestań. – Michalczyk wzdrygnął się. – To już przesada...  
– No, dobra. I taka cisza wokół tego tematu? – zapytał Krugły, zdziwiony. – Pamiętasz sprawę Koślina? Nawet gimnazjalne gazetki szkolne o tym trąbiły...

– To powiatowe miasto, a ja dbam o dyskrecję. W swoim i nie tylko swoim dobrze zrozumianym interesie. – Prokurator poklepał teczkę. – Wichłacz zginął po imprezie alkoholowo-narkotykowej w parku, co faktycznie skrzętnie odnotowały miejscowe gazety, traktując to jako menelskie porachunki. Ale Zawadzki odszedł, że tak powiem: grzecznie, w swoim domu, w samotności. Nie miał znajomych, którzy mogliby to szeroko komentować, na przykład na Fejsie, więc jakoś się to nie rozniosło, przynajmniej nie oficjalnie. W lokalnych tytułach wspomniano tylko o włamaniu i przypadkowym zabójstwie, Peszka też pilnował, żeby dziennikarze nie zwęszyli sensacji. A ja byłem pierwszy, który skojarzył, że te zbrodnie się ze sobą łączą. Co prawda dopiero kiedy po powrocie z urlopu przejąłem sprawę Zawadzkiego, a potem dostałem raport toksykologiczny z sekcji Wichłacza, ale zawsze... Ten udar Peszki można uznać za swego rodzaju zrządzenie losu.

– Ciekawe, czy Peszka byłby tego samego zdania? – zaciekawiał się Krugły. Michalczyk zastanowił się przez chwilę.

– Masz rację. – Pokiwał głową. – Peszka zapewne miałby nieco odmienny punkt widzenia. Podobno zaczyna już z powrotem mówić... O czym to ja...? – Zamilkł na chwilę. – Aha. Czemu jeszcze nie ma wrzawy? Bo założyłem szlaban na informacje. No, i pamiętaj, co się teraz dzieje. Ludzie mają co innego na głowie: tych prezydent, tamtych premier, emigranci, JOW-y, matuzaleмовy wiek emerytalny, sześciolatki w szkołach, gender-srender i in vitro. I bardzo dobrze...

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli te twoje podejrzenia co do zbieżności z obrządkami kościelnymi są słuszne, to...

– Sprawdzić, czy nie ksiądz... – mruknął Michalczyk w zadumie i spojrzał na Krugłego. – Do tego zmierzasz?

– Mniej więcej. Z drugiej strony, to jednak mało prawdopodobne. Jak ta kobieta czy dziecko. Przecież ksiądz nie mordowałby w taki sposób, żeby od razu zwrócić na siebie uwagę, no nie?

– Od razu? Uważasz, że mógłby podejrzewać kogoś z organów ścigania

o skojarzenie tłustych plam z kościelnym obrzędkiem? Mocno wątpliwe.

– A ty? Ty skojarzyłeś.

– Ja? – Michalczyk skromnie spuścił wzrok. – Ja, oczywiście, jestem wyjątkiem. Bo nie jestem... schematyczny.

– No nie, nie jesteś. Więc po co je zostawia? To już bardziej pasuje świr, ogarnięty dziwną manią. Jakaś manifestacja? Może forma zadośćuczynienia ofierze? Swoją drogą, znasz statystyki dotyczące zabójstw dokonanych przez księży?

– Sprawdzę. Nie obito mi się ostatnio o uszy, coś mi dzwoni o jakimś zabójstwie na początku lat dziewięćdziesiątych, ale tam w grę wchodził romans z mężatką. I ten ksiądz zrobił tak, że ta kobieta przestała być mężatką, a zamiast tego została wdową. Nieważne, teraz należy zadać sobie pytanie, jak do tego wszystkiego ma się młody, niezbyt rozgarnięty człowiek, zwany „Gruchą”, który kibluje w tutejszym areszcie jako podejrzany o popełnienie tych zbrodni.

– Myślałem, że skoro ty go przymknąłeś, to znasz odpowiedź na to pytanie.

– To nie do końca tak. – Michalczyk cmoknął z lekkim niesmakiem. – Typek przewinał się w śledztwie, widział Wichłacza jako jeden z ostatnich, poza tym podczas przesłuchania w mało subtelny sposób dawał do zrozumienia, że stać go na stuknięcie gościa, jeśli go wkurwi, co podobno miało tego dnia miejsce. Znaczący twierdził, że, cytując: Wichłacz wkurwił go na tej imprezie, więc mu jebnął. No i gwóźdź programu: pod paznokciami Wichłacza znaleziono naskórek ludzki, a badania DNA potwierdziły, że to skóra Gruchy. Sam rozumiesz, że to Gruszewskiemu nie pomogło, bo wniosek nasuwa się sam: szamotał się z Wichłaczem, próbując uśpić go szmatą nasączoną eterem. To co miałem robić? – Spojrzał na Krugłego. – Byłbym debilem, gdybym go w tej sytuacji nie zamknął. Związek między Zawadzkiem a Wichłaczem niewątpliwie istnieje, choćby ze względu na sposób zabójstwa, tak samo, jak istnieje związek między Wichłaczem a Gruchą. Ale od samego początku miałem problem z powiązaniem Gruszewskiego z Zawadzkiem. Tu już przestało mi się zgadzać, bo nie odkryłem niczego, co mogłoby ich ze sobą łączyć. A tak na marginesie, Gruszewski jest za głupi nawet na asocjalnego, niezorganizowanego seryjnego mordercę. Jest totalnie niestandardowy, wymyka się wszelkim schematom i klasyfikacjom, mówię ci...

– Jakbym słyszał jego wuja – mruknął Krugły.

– Sam widzisz.

– Co robi policja?

– Teraz? Pewnie nic. Zrobili już, co mogli. Peszki sprawa chwilowo utknęła, teraz ją dopiero ruszam, a moja: sam widzisz, jak wygląda... – Prokurator spojrzął na zegarek. – To co, jedziemy odwiedzić tego twojego Gruchę?

– Jasne. – Krugły rozpoczął mozolny proces wygramolenia się z ciasnego fotelika.

– Zadzwonię jeszcze do naczelnika, uprzedzić go.

Michalczyk wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki telefon i kręcąc się w prawo i lewo na swoim fotelu, wybrał numer.

– Czołem, panie pułkowniku – rzucił. – To co, możemy zaraz wpaść, wszystko gotowe? Nie będzie problemu? Dobra... Dobra, jak skończymy, wdepnę do ciebie... Na razie!

– Ech, te znajomości... – rzucił Krugły z ulgą w głosie, bo zdołał się wreszcie wydostać z pułapki zastawionej między szafami.

Michalczyk wyszczerzył zęby.

– Mówiłem, że to małe miasto, nie? Mietek jest niezły w brydża. Spotykamy się czasem u niego na partyjce. Razem z prezesem sądu rejonowego i komendantką komisariatu w Nowogardzie, wyobraź sobie.

– Sitwa jakaś...

– Dobrzy znajomi.

– Ile tu jesteś? Rok? Nawet nie...

– Mam wrodzoną łatwość zawierania przyjaźni.

– Nie boicie się zamachu, jak tak siedzicie wszyscy razem w jednym pomieszczeniu?

– Spotykamy się spontanicznie, bez grafiku. – Michalczyk zgarnął obie teczki, odłożył je na bok biurka i wstał. – Jedziemy. Grucha pewnie nie może się doczekać.

– Wątpię...

\* \* \*

Od kilku minut Krugły z Michalczykiem siedzieli w sali przesłuchań goleniowskiego aresztu śledczego. Ściany były odnowione, ale wyglądało na to, że ze względów oszczędnościowych nie odbyły się konsultacje z projektantem wnętrz. Zielony kolor sprzyja rozładowaniu napięcia, więc jego użycie w przybytkach tego rodzaju jest jak najbardziej zasadne. Jednak w tym przypadku barwę zieloną przełamano czymś o odcieniu zgnilizny, a efekt owego zabiegu przywodził Krugłemu na myśl ściany nieremontowanych od

czasów wojny klatek schodowych i wychodków czynszowych kamienic w centrum Szczecina. Wielkość sali też nie była porażająca, wszędobylska ciasnota to widać jakaś goleniowska przypadłość. Gdyby nie wąskie, zabezpieczone siatką okno, wyprute w grubym, ceglanym murze, Krugły miałby wrażenie, że siedzi w schowku na szczotki. Prosty stół, czy raczej biurko, podobne do tych, które Krugły pamiętał z czasów swojej szkoły, oraz cztery krzesła w tym samym stylu stanowiły całość istic spartańskiego wyposażenia.

Nagle szczęknęły otwierane drzwi i pojawił się w nich funkcjonariusz Służby Więziennej. Wprowadził do środka młodego chłopaka ze skutymi z przodu rękami. Aresztant był ogolony na łyso, na policzkach i czole miał szpecące blizny po młodzieńczym trądziku. Jego lekceważąca i równocześnie drapieżna mina musiała wymagać współpracy wielu mięśni i dużo wysiłku włożonego w to, żeby utrzymać ją na twarzy. W świetle jarzeniówek jej skóra wyglądała blado i niezdrowo, a jej wyraz stanowił mieszaninę arogancji, znużenia, ale i czegoś jeszcze. Chłopak poruszał się dziwnym, kołyszącym krokiem, rzucając na boki górną połową ciała i wyginając szyję, tak by głowa pozostała w pionie. Przypominał bociana, który, brodząc niepewnie po zalanej wodą wyboistej łące, instynktownie obawia się potknięcia i upadku.

– Czy on ma jakiś atak? – zapytał Krugły Michalczyka.

– O ile wiem, jest zdrowy – bąknął prokurator. – Nie zgłaszał niczego lekarzowi.

Chłopak wyciągnął do klawisza skute kajdankami dłoń.

– Zostają – rzucił Michalczyk, nie podnosząc oczu znad papierów.

Gruszewski wydał wąskie usta i poczęstował go jadowitym spojrzeniem małych, złośliwych oczek, które na Michalczyku, nawet gdyby w nie patrzył, nie zrobiłyby najmniejszego wrażenia. Funkcjonariusz wyszedł bez słowa.

– Siadaj, chłopie – powiedział Michalczyk. – Przyszedł do ciebie ktoś, kto chce ci pomóc. Bądź grzeczny.

– Nikogo nie prosiłem o pomoc – wyszczekał Gruszewski, unosząc rękę i szeroko rozkładając łokcie. – Nie będę gadał z psami. Mam, kurwa, swój honor i szacun pod celą.

– Nie machamy rączkami, dobra? Niech leżą na stole.

– Będę machał, kiedy będę chciał.

– Nie będziesz. – Michalczyk, wciąż spokojny, wskazał Krugłego. – Ten człowiek nie jest policjantem. Jest prywatnym detektywem wynajętym przez twojego wujka.

– Będę, kurwa, machał, kiedy będę chciał. Bo co, przywalisz mi?

– To nie Guantanamo. Nieważne, i tak nie wiesz, co to takiego...

– Dobra, Grucha... – wtrącił się Krugły. – Tak cię nazywają, tak? Grucha? Świetnie... Mylę się, czy ty pozujesz na latynoskiego gangstera? Wiesz, te kocie ruchy, ten chód, to skandowanie...?

– Co ty w ogóle wiesz, dziadek? – Grucha spojrział pogardliwie w bok. – Nie żadnego latynoskiego. Jestem hiphopowcem. Mam swoje wzorce i nie są to Meksy czy tam inne brudasy, tylko ziomy z Manhattanu, z Nowego Jorku, z samego serca hip-hopu. Jasne?

– Jasne – odpowiedział Krugły, a widząc, że Michalczyk też dobrze się bawi, przekazał mu teatralnym szeptem wiadomość: – Szukam teraz wspólnej płaszczyzny porozumienia.

Potem znów zwrócił się do Gruchy:

– Co ty powiesz, Grucha? Hiphopowcem jesteś? Słuchasz hip-hopu?

– Owszem, dziadek. Słucham. I sam też kleję bity, jak już chcesz wiedzieć.

Krugły wyciągnął swój telefon. Popukał w ekran, wszedł w folder z pobranymi obrazami, wybrał jedno ze zdjęć, przedstawiające czarnoskórego mężczyznę w workowatym nakryciu głowy, i podstawił chłopakowi smartfon pod nos.

– Wiesz, kto to jest?

– Twoja stara.

Krugły przesunął palcem po ekranie. Następne zdjęcie przedstawiało kolejnego Murzyna. Grucha parsknął śmiechem.

– To też twoja stara.

– Crunk, bounce, raggamuffin... Mówi ci to coś?

– Spadówa, pimpek.

– Tak myślałem. Zero szacunku dla starszych – sapnął Krugły, Michalczyk tylko wzruszył ramionami. – Próbowałem, Grucha, przełamać lody...

– Pokazując mi jakieś czarne cioty? Jebnięty jesteś?

– Co prawda kolega obiecał, że nie będzie bicia, ale zaczynam się poważnie zastanawiać, czy nie przekonać go do zmiany zdania. Taaa, szkoda że tu są kamery, bo naprawdę przyszła mi ochota na walenie Gruchy...

– Myślisz, że jesteś, kurwa, zabawny, dziadek? Chcesz, żeby mój wujas zawiózł cię na wycieczkę do lasu? W jednym kierunku? Załatwię ci to, nie ma sprawy...

– Chłopiec się obraził – poinformował Krugłego Michalczyk.

– Mam was w dupie, pedały.

– Okej, to ja mam dość. – Krugły spojrział na Michalczyka, szukając



pomocy, ale prokurator akurat był zajęty oglądaniem paznokci, więc spasował:  
– W dupie, mówisz? A to ciekawe, że o tym wspomniałeś... Dobra, Grucha, skup się teraz. Będzie film. Obrazki będą lecieć...

Grucha obrócił głowę w stronę drzwi, odchylając się razem z krzesłem do tyłu, i krzyknął w ich kierunku:

– Czy ktoś, kurwa, może mnie stąd zabrać? Żądam powrotu do celi! Nie będę rozmawiał z debilami...

Krugły wstał, podszedł do chłopaka i kopnął w tylną nogę jego krzesła, przywracając je do pionu. Metalowe nogi zaszurały po posadzce, te przednie stuknęły w nią zaskakująco głośno. Grucha, zaskoczony, zamilkł i spojrzał Krugłemu w twarz.

– Teraz będę mówił wyłącznie ja, Grucha. – Głos Krugłego stwardniał. – Zanim pokażę ci film, w którym specjalnie dla ciebie w roli głównej wystąpił twój wuj, wyjaśnię ci coś. Zdjęcia, które ci pokazałem, nie przedstawiały ani mojej starej, ani czarnych ciot, tylko DJ Kool Herca i Grandmaster Flasha, takich ojców hip-hopu. Hip-hop powstał w Bronksie, a nie na Manhattanie. Dziesięć minut studiów w internecie wczorajszego wieczoru sprawiło, że mam o hip-hopie większą wiedzę, niż ty zdobyłeś przez całe swoje jałowe życie. Jesteś takim hiphopowcem, jak ja spadochroniarzem. Hip-hop to kultura, to prawie czterdzieści lat historii, to solidna podbudowa. A nie: ćpanie, czapka z daszkiem, kaptur, latanie z bejsbolem za obcymi po osiedlu i stek bluzgów zamiast rapowania, bo rapowanie to też sztuka, rozumiesz? Jesteś pieprzonym przebierańcem, wypchanym ptakiem, w dodatku nielotem. A teraz morda w kubel i oglądaj, leszczu.

Krugły znów podetkał mu pod nos swój telefon.

– Łapy przy sobie! – warknął, kiedy Grucha wyciągnął skute rękę po komórkę.

– *Cześć, Rafał...* – głos Sokołowskiego rozległ się w ciszy, jaka zapadła po tyradzie Krugłego.

Usta Gruchy odruchowo ułożyły się do odpowiedzi.

– To jest film, Grucha – rzucił Krugły zmęczonym głosem. – On cię nie słyszy...

Chłopak spojrzał na niego nienawistnie. Krugły wskazał podbródkiem telefon, więc Grucha w końcu opuścił wzrok i skupił go na wyświetlaczu.

– ...skoro oglądasz ten film, to oznacza, że zgodnie z moimi przewidywaniami pan komisarz nie zdołał osiągnąć celu i dogadać się z tobą. Zapewne zachowywałeś się tak, jak zwykle. Zwyzywałeś go

i próbowałeś mu uświadomić, kim jesteś i co możesz mu zrobić. Otóż informuję cię, przygłupie, że jesteś nikim i niczego nie możesz zrobić ani jemu, ani nikomu innemu. Może to odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć, że mam tego dość. Nie wiem, czy to wreszcie do ciebie dotrze, że powoływanie się na mnie nic ci nie da i, szczerze mówiąc, chyba przestało mnie to interesować. A jeszcze raz usłyszę, co o mnie wygadujesz, żeby urosnąć w oczach swoich koleśki, to inaczej pogadamy. Jeśli teraz nie dasz sobie pomóc, przeproszę gorąco twoją matkę, która zapewne już nie może na ciebie patrzeć stamtąd, z góry, i zapomnę o danej jej obietnicy, że się tobą zaopiekuję. Załatwię ci za to miłe wakacje pod celą, skoro to sprawia ci taką przyjemność, ale zapewniam cię, że długo nie usiądziesz na dupie, jak twoi koleśki z tobą skończą. Będziesz miał taki szacun, na jaki zasłużyłeś. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno, choć wątpliwości pozostają. W końcu znamy się nie od dziś. Ostatnia szansa, Rafał. Ostatnia. Przemyśl to.

Ekran ściemniał. Krugły zabrał telefon i popatrzył z góry na wyraźnie wstrząśniętego chłopaka.

– Co, runął świat, Grucha? – Krugły, mówiąc to, pokiwał smętnie głową. – Runął, runął... Widzę to w twoich oczach. Teraz i wcześniej, kiedy tu wchodziłeś, takim krokiem, jakby coś cię oblało. Strach. Strach młodego chłopaka, który, jak każdy w jego sytuacji, jest przerażony pobytem w więzieniu... Choć twierdzi, że jest wprost przeciwnie i przyjechał tu sobie na wakacje. Ale tak nie jest, Grucha. Kiedy zapominasz o wyglądaniu na twardziela, masz wzrok chomika wyciąganego z klatki przez złośliwego dzieciaka na kolejną porcję pieszczot. Założę się, że ci koleśki z twojej celi nieźle cię tyrają, co? Szykują już berło? Zrobili z ciebie pomiotło. Nikt nie wierzy w wuję gangstera, tak? – Grucha zagryzł zęby, mrużąc oczy i Krugły wiedział, że trafił. – A ty, zamiast sobie pomóc, odstawiasz chojraka, co to lubi sobie kleić bity pod celą... Myślisz, że czeka cię tu świetlana przyszłość, a tymczasem to tylko świat żrących się kundli i smutny ból dupy, rozumiesz? Nic więcej. Pośmialiśmy się trochę, ale czas do domu. Mam nadzieję, że teraz to do ciebie dotarło. – Pokazał mu telefon i wrócił na swoje miejsce za stołem. – Więc jak? Wydukasz wreszcie coś sensownego czy dalej będziesz bredził od rzeczy?

Grucha, siedząc bez ruchu, przetrawiał w myślach ostatnie rewelacje. Krugły dał mu trochę czasu. Założył ręce, oparł się wygodnie, o ile w ogóle można było mówić o wygodzie w przypadku krzesła, na którym siedział,

i w milczeniu wpatrywał się w chłopaka. Michalczyk robił to samo. Grucha w końcu poprawił się na swoim krześle i pociągnął nosem.

– Powiedzieliście, że on nie jest psem. – Wskazał Krugłego podbródkiem, ręce grzecznie leżały na blacie.

– Bo już nie jest – powiedział Michalczyk. – Znają się z twoim wujem ze starych czasów, tytułuje go tak grzecznościowo, o ile wiesz w ogóle, co to znaczy. Dawaj, bo nie mamy czasu. Głodny jestem.

– On nie ma prawa mnie przesłuchiwać – warknął Grucha ponuro, znów wskazując Krugłego podbródkiem. – Tylko prokurator. Znam swoje prawa.

– Znasz swoje prawa? Coś takiego, no... Tylko że ja już cię przesłuchiwałem i nie wspominam tego miło, więc nie zamierzam robić tego ponownie, przynajmniej na razie. A on cię nie będzie przesłuchiwał – powiedział Michalczyk, kładąc nacisk na słowo „on” – tylko ratował twoją dupę i ciesz się, że mu na to pozwalam. Dawaj, Grucha, już.

– Nikogo nie zabiłem – powiedział chłopak powoli. – Tego drugiego nawet nie znałem, przysięgam. Skąd miałbym znać klawisza, nie zadaję się z takimi sk...

– Znowu zaczynasz? Przemyślenia i komentarze zostaw dla siebie, nas one nie interesują, okej? Tylko fakty.

Grucha wbijał wzrok w ścianę naprzeciwko, jego spojrzenie starannie omijało twarze Krugłego i Michalczyka, siedzących po drugiej stronie stolika.

– Z Wojtkiem Wichłaczem znałem się od roku. Poznałem go na jakiejś imprezie, przyniósł fajny stuff... Pracował w pogotowiu, miał dostęp do różnych rzeczy, robił z tego niezłe koktajle. Bujaliśmy się razem od czasu do czasu po imprezach, ale nie lubiłem go za bardzo. To nie był mi brat.

– To po co się z nim bujałeś?

Grucha wzruszył ramionami.

– Bo miał fajny stuff. Mówiłem, nie? No i... jego żona mnie nie lubiła. Mówiła, że go wciągają, kurwa, w złe towarzystwo. Ja jego... – Pokręcił głową ze szczerym zdziwieniem. – Ja pierdolę... Ten babofon z ABCD nawet nie wiedział, jaki z mężusia kurwiarz. Cała ekipa z niej darła, jak Wojciu na każdym baletach dilował na prawo i lewo, a jak skończył z interesami, to wyhaczał jakąś szpulę...

– Grucha, co ty do mnie rozmawiasz?

– Nie jarasz frazy, co? – Mina Gruchy była chytra i przebiegła.

Wyglądał jak bachor, który zdaje sobie sprawę, że właśnie przekroczył punkt, za którym dorosłym skończyły się możliwości racjonalnej reakcji,

w związku z czym jedynym możliwym rozwiązaniem jest kapitulacja. Zastygł w radosnym oczekiwaniu na ripostę, której w jego przekonaniu miało nie być.

– CHWDP, dziadek – wyszczał jeszcze, wydymając usta i bezczelnie wpatrując się w Krugłego zmrużonymi oczami. – To chyba rozumiesz?

– Owszem, rozumiem, jak najbardziej. To teraz ja: GSOSR, Grucha. To znaczy: gruby, sztywny, owłosiony szacun recydywisty. W twojej dupie. Załatwić ci to, głupi gnoju? – zapytał Krugły, zdumiony bezmiarem tępoty Gruszewskiego. – Mów normalnie i nie wkurwiał mnie więcej.

– Dla niego to właśnie jest normalnie – rzucił Michalczyk, zresztą mało odkrywczo.

Grucha oklapł na swoim krześle i wyraźnie posmutniał.

– Kiedy ostatni raz widziałeś się z Wichłaczem? – zapytał go Krugły.

Grucha zrobił się wreszcie grzeczny, nawet lekceważący grymas na twarzy zastąpiło coś na kształt skupienia.

– Na tej imprezie, po której dostał kosę – bąknął. – W piątek wieczorem...

– Dwunastego czerwca?

– Chyba tak. Nie pamiętam, którego to było.

– Dobra, dalej. Kto był na tej imprezie? Tu masz karteczkę, ołówek. Imię i nazwisko, jeśli znasz adres, to też. Pisz.

– Jak mam pisać? W tym? – Zdziwiony Grucha lekko uniół skute rękę.

– Owszem. Da się. Nie ty pierwszy to robisz.

Krugły z Michalczykiem cieszyli się ciszą, jaka zapadła, kiedy Gruszewski zabrał się za pisanie. Trwało to dobrych pięć cudownie odprężających minut, a efektem była lista czterech nazwisk, w tym Wichłacza. Przy dwóch nazwiskach były adresy oraz głupawe pseudonimy.

– Tylko tyle? – zdziwił się Krugły. – W protokole z przesłuchania było napisane, że tam było ze trzydzieści osób.

– Tak?

– Co się głupio pytasz?! Kpisz sobie ze mnie? To było twoje przesłuchanie; ty tak powiedziałeś, Grucha.

– Wyluzuj, koleś, co? Może i było, ale ja znałem tylko tych. – Wskazał oczami kartkę. – To było towarzyszo Wojcia, on mnie wkręcił na tę imprezę.

– Impreza była w domu przy Konopnickiej. To tam się pobiłeś z Wichłaczem? Czy już w parku?

Grucha lekceważąco wydał wargi.

– Zaraz tam: pobiłem... Poszarпалиśmy się trochę w parku. Wypalił sobie, złapał fazę i zaczął mi wmawiać, że chodzi po mnie niebieska tarantula.

Próbował ją ze mnie zdjąć. Nie lubię, kurwa, jak mnie facet obmacuje, więc powiedziałem mu, żeby dał sobie luzu i go odepchnąłem, ale był upierdliwy. To mu strzeliłem z liścia. Wtedy zaczął schizować i się na mnie rzucił... Upadliśmy na ziemię, ta hołota zaczęła się drzeć...

– Ile było tej hołoty?

– Razem z nami?

– Nno. – Krugły uśmiechnął się lekko.

– Z nami to było... – Grucha użył palców. – ...siedem osób, w sumie. Darli się tak, że byłem pewien, że zaraz przyjadą psy. Trochę przyćpałem, a że kończyła mi się kasa, to nie chciałem mieć problemów... – urwał.

– Problemów? Masz na myśli swojego wuja, tak? Twój problem to równocześnie jego problem? No tak, pewnie nie ma powodów do zadowolenia, kiedy policja interesuje się kimś z jego rodziny... Takie coś może przeszkadzać w interesach, co?

Grucha milczał. Krugły westchnął.

– Co było potem?

– Jak już skończyliśmy się tarzać, to wstałem, otrzepałem się... Wojciu leżał na glebie, ciemno było, ale widziałem, że ma twarz zalaną krwią. Chyba przypadkiem strzeliłem mu z bałki w kinol, jak żeśmy się tak tarzali... I poszedłem w chuj.

Krugły spojrzał na Michalczyka. Na zdjęciu z oględzin twarz Wichłacza była czysta, jeśli nie liczyć tłustej plamy na jego czole.

– Do domu, znaczy, poszedłeś? – Krugły wolał się upewnić.

– Nno... Do domu, tak. Znudzilo mi się. Tak jak mówiłem, coś tam wcześniej wciągałem, ale byłem niedopity, a w chacie miałem zgrzewkę browarów. To poszedłem.

– Która to była godzina? Pamiętasz?

– To akurat tak. Jak wchodziłem do kuchni, to na elektronicznym zegarku było akurat dwieście. Zwróciłem uwagę, bo tak śmiesznie równo było. Znaczy druga rano.

– Reszta została tam w parku?

– No, skąd mam wiedzieć?

– Wśród nich był ktoś z tych, których nazwiska napisałeś na kartce?

– Eee... Wszyscy – stwierdził Grucha po chwili z wyraźnym zaskoczeniem.

– Ta, oni wszyscy tam byli. „Dydol” poszedł trochę wcześniej, ale też był z nami.

– Dotarłeś do domu i...?

– Nno... Wypiłem ze trzy browce...

– I...?

– Puściłem sobie coś na sprzęcie, bo nie chciało mi się spać.

– I...?

– I ta głupia pizda zza ściany wezwała psy – poinformował Gruszewski obojętnym tonem.

Krugły z Michalczykiem spojrzeli na siebie.

– Grucha – powiedział powoli Krugły – widzę, że wizyta policji to dla ciebie nic niezwykłego, ale chciałbym poznać szczegóły. A tak na marginesie: masz w zanadru jeszcze jakieś rewelacje?

– Psy jak psy, co w tym niezwykłego, dziadek?

– Śmiem twierdzić, że wizyta policji w środku nocy w czyimś domu jest raczej niezwykła.

– Nie dla mnie. – Twarz Gruchy pokraśniała z zadowolenia.

Krugły tym razem powstrzymał się od komentarza, stwierdzając, że nie warto.

– Dobra – powiedział. – Przyjechały psy. Dlaczego przyjechały?

– Mówiłem już...

– Rozumiem, że to słowo na „p” to taki pseudonim twojej sąsiadki?

– Sronim...

– Grucha, błagam i ostrzegam po raz ostatni; nie wkurwiał mnie, bo w końcu przegniesz pałę.

Grucha spuścił wzrok i zaczął skubać łańcuszek od kajdanek.

– Wezwała psy, bo niby za głośno słuchałem muzy – mruknął. – Przyjechali, kazali ściszyć i pojechali. Wszystko.

– Godzina?

– Co?

– Która to była godzina?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – zapytał Grucha z autentycznym zdumieniem w głosie. – Najebany byłem, nie?

Krugły znów zerknął na Michalczyka. Spotkali się wzrokiem, prokurator lekko skinął głową. Godzina interwencji była do sprawdzenia, to był najmniejszy problem. Krugły westchnął i zmusił się do spojrzenia na Gruchę.

– Mówiłeś, że nie znałeś Krystiana Zawadzkiego? – zapytał i usłyszał w swoim głosie zmęczenie.

– Chodzi o tego klawisza, tak? – Grucha zmarszczył brwi i pokręcił łusą głową. – To nie znałem. Tyle w temacie.

– A co robiłeś w drugi dzień świąt wielkanocnych? Wieczorem i później? Spojrzenie, jakim Grucha poczęstował Krugłego, było wymowne.

– Człowieku, kurwa, skąd mam pamiętać, co robiłem dwa czy trzy miechy temu? – wycedził.

– Nie pytam o jakąś środę albo jakiś czwartek nie wiadomo kiedy, tylko o jeden z wyjątkowych dni w roku, który zwykle pamięta się dość długo. Wielkanocny poniedziałek, Grucha. Pomyśl, taka zabawa w skojarzenia: rodzinne śniadanie, czekoladowy zajac, śmigus-dyngus... Może msza święta? – zażartował.

Gruchę jakby trafił piorun. Poczerwieniał na twarzy i zgarbił się, usiłując równocześnie zapanować nad odruchami i nie dać poznać po sobie, że Krugły dotknął jakiegoś czulego punktu. Nie udało mu się. Znow wyglądał, jakby coś go oblażyło.

– No? – popędził go Krugły.

– Nie pamiętam – wystękał chłopak przez zaciśnięte zęby.

– Grucha, nie pomagasz sobie. Robisz ze mnie wałka? Przecież widzę, że pamiętasz. – Krugły wyprostował się i spojrzał na niego uważniej, jak entomolog na nowy, nieznany nauce gatunek owada, który właśnie zrobił coś, czego badacz się po nim nie spodziewał. – Może nie chcesz pamiętać, ale pamiętasz.

– Mówię, kurwa, że nie pamiętam!

– Jak sobie chcesz. Ciekawe, co na to twój wuj?

– Gównu mnie to obchodzi. Jak mówię, że nie pamiętam, to nie pamiętam, tak? I nie wnikaj, gościu, bo ile nie będziesz pytał, ja dalej nie będę pamiętał!

– Cóż – Krugły dał sobie spokój – nie powiem ci, że jakby coś, to masz mój numer. Bo nie masz i nie zamierzam ci go dać. Więcej szans nie będzie.

Grucha z zaciętą miną wpatrywał się w sraczkowatą zieleń ściany sali przesłuchań. Krugły powoli wyprostował się na krześle. Rozmowa dobiegała końca.

– To co, będziemy się żegnać, Grucha? Dodam, że bez żalu z mojej strony. Masz coś do dodania na koniec? – zapytał jeszcze chłopaka. – W związku z Wichłaczem? Zastanów się. Może coś nietypowego?

Grucha autentycznie się skupił, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie wywołane swoją reakcją na pytanie o drugi dzień świąt wielkanocnych. Albo dać nagrodę za to, że nie będą go więcej o to pytać. W każdym razie starał się. I nagle na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.

– Ta! – krzyknął i oklapł w tej samej chwili, jakby sam zdziwiony swoim

wybuchem entuzjazmu. – Nie wiem, kurwa, czy to takie ważne, ale na pewno nietypowe. Wojciu miał przez jakiś czas na boku pannę. Taką na stałe. Wojciu, na stałe, czaisz? To właśnie jest nietypowe! Na imprezach dalej obracał każdą fokę, która się dała, ale z tamtą się bujał przez parę tygodni. Miała na imię Agnieszka, widziałem ją nawet raz. Ale w końcu kopnęła go w dupę. Mówił, że to on ją, ale ja widziałem, że było na odwrót. Trochę żałował, chodził przez parę dni jak oczadziały. Babofon oczywiście też nic o niej nie wiedział...

– Babofon, czyli żona?

– No, mówię.

– Jak wyglądała?

– Kto?

– No kto...? Ta Agnieszka.

– Normalnie. Nawet ładna, tylko stara dupa. Trzydziecha albo i lepiej. – Michalczyk i Krugły zdołali zachować kamienne twarze. – Czarne włosy i taka grzywka na oczach... I miała niezłe bimbały.

– Skąd wiesz, że były niezłe?

Gruha spojrzał na Krugłego z kpina.

– Mam oczy, nie? A ona lubiła nosić obcisłe szmatki.

– Dobra, koneserze, coś jeszcze?

Gruha pokręcił głową.

– Nie można było tak od razu? – zapytał go Michalczyk. – Zamiast kręcić i pieprzyć głupoty podczas przesłuchania? Być może oszczędziłbyś sobie niemiłych przeżyć w celi... – Ruchem głowy wskazał drzwi na korytarz.

– Kto powiedział, dziadek, że były niemiłe? – zapytał Gruha, a Michalczykowi zabrakło słów.

Spojrzał tylko na Krugłego, a ten lekko wzruszył ramionami. Widać jednak Gruha po prostu lubił ten sport.

Prokurator machnął ręką, wstał, podszedł do interkomu przy drzwiach i wezwał strażnika. Czekał na niego, siedzieli w milczeniu, rozglądając się po kątach. Krugły nie miał już sił zagać Gruchy o cokolwiek. Kiedy strażnik wreszcie wszedł, Gruha wstał niechętnie. Odwrócił głowę i rzucił tęsknym spojrzeniem za okno, jakby widoczne przez siatkę niebo przysłoniło mu na moment wizję szacunu pod celą, czyniąc ją nagle o wiele mniej atrakcyjną, niż mu się jeszcze niecałe pół godziny temu wydawała. Jego oblicze wyraźnie złagodniało, wyglądał wreszcie normalnie, a nie jak oprych z częściowym paraliżem twarzy. Funkcjonariusz chwycił go pod łokieć i poprowadził w kierunku drzwi.



– Trzymaj fason, Grucha! – rzucił na odchodnym Krugły z lekką ulgą w głosie.

Chwilowy stan łagodności minął Gruszewskiemu natychmiast po tym, jak chłopak stracił niebo z oczu. Wystarczyło, że zamiast jego błękitu zaczęła się w nich odbijać ta nieszczęsna sraczkowata zieleń. Grucha odwrócił się w drzwiach, robiąc minę, jakby miał zaraz zwymiotować, i z mściwą satysfakcją w oczach pokazał Krugłemu środkowe palce.

Twarz Krugłego rozjaśnił szeroki uśmiech.

– PDW – rzucił za Gruszewskim.

– Diss, śmieciu – dobiegło go już zza drzwi.

– Pogadaliście sobie, chłopcy? – Głos Michalczyka brzmiał cierpko. – Widzę, że się dobrze do rozmowy przygotowałeś. No i ten „wzrok chomika”...

Krugły spojrział na prokuratora. Uśmiech zszedł mu z twarzy, niczym aktorowi po zejściu ze sceny po długim, wyczerpującym przedstawieniu.

– Jestem autentycznie zmęczony – powiedział cicho, garbiąc się lekko. –

Pokonany umysłowo. Myślałem, że Sokołowski przesadza. Teraz wiem, że było wręcz przeciwnie: nie powiedział mi całej prawdy. A może to ja nie chciałem w nią uwierzyć? – Pokręcił głową. – Rany boskie, jak można być takim kretyńcem? Skąd to się bierze? Obciążenie genetyczne czy środowiskowe?

– Nie zastanawiam się nad tym – rzucił Michalczyk. – Po co? Szkoda czasu, przecież i tak nie poznam odpowiedzi...

Krugły spojrział na niego ciężko.

– Kiedy ten pajac przychodził na świat – powiedział z namysłem – jego matka była pewna, że będzie cudownym dzieckiem. Że osiągnie w życiu sukces, może, kurwa, wynajdzie lek na raka albo na alzheimera, a może po prostu będzie pracował w piekarni, miał miłą żonę i trójkę fajnych dzieciaków. I że ona, ta jego matka, będzie miała z niego i z nich pociechę na starość. Dokładnie to samo myślę sobie teraz ja, Mateusz, kiedy patrzę na Ewę. Powoli przyzwyczajam się do myśli, że ja, stary koń, będę tatusiem. Że będę się babrał w pieluchach i nie wysypiał w nocy. I że to nieważne, bo kiedyś moje dziecko wynajdzie lek na raka albo alzheimera... Taką mam nadzieję. A jak widzę takiego Gruchę, to ta nadzieja gaśnie, rozumiesz? Znika jak pył na wietrze. Grucha sam o tym nie wie, ale wzbudza we mnie strach. Strach przed przyszłością. Że moje dziecko też takie będzie, a ja nie będę miał pojęcia, jak to się stało i czy mogłem coś zrobić, żeby tak się NIE stało.

Michalczyk tylko smutno kiwał głową. Krugły pochylił się nad biurkiem i sięgnął po kartkę z notatkami Gruchy.

– Był tu ktoś u niego? – zapytał Michalczyka, czytając pobieżnie bazgroły i z trudem odcyfrowując koślawe kulfony.

– Nie wydawałem zgody na widzenie nikomu poza adwokatem. Zresztą nikt inny o nią nie wystąpił. Z tego, co wiem, tylko Sokołowski pofatygował się raz osobiście do dyrektora, żeby lobbować w sprawie Rafałka, ale nie w sprawie odwiedzin. Policja zgarnęła Gruchę z mieszkania jakiegoś jego znajomka, w samych gaciach i zarzyganej podkoszulce. Grucha nie chciał chodzić w przydziałowym ubranku, pewnie ze względu na ten swój szacun. Z powodu karygodnego zachowania wychowawca nie zgodził się na wydanie gnojkwowi talonu na paczkę z domu, więc wuj udał się do Canossy w imieniu siostrzeńca.

– Chciałbym to zobaczyć – mruknął Krugły. – Przesłuchiwałeś to towarzystwo z imprezy?

– No jak? Czytałeś przecież protokół z przesłuchania. Widziałeś, żeby Grucha podawał jakieś nazwiska? Nawet numeru domu, w którym były te balety, nie potrafił podać. Dopiero teraz coś mu się przypomniało...

– Fakt. Dobra, będę leciał. Jeszcze raz dzięki, Mateusz.

– Nie ma sprawy. Sprawdź te rewelacje Gruchy, jeśli faktycznie w tym czasie była u niego policja, będzie miał jakieś alibi. Sprawdź i zarób te swoje kokosy, lekko, łatwo i... nieprzyjemnie. – Skrzywił się.

– Wciąż zostaje Zawadzki. Tu nie mam nic. Skoro Grucha jest podejrzany o popełnienie obu morderstw, alibi na jedno nie jest w pełni skutecznie, no nie? W dodatku nie jest żelazne; w końcu, jak patrol odjechał, mógł polecieć do tego parku i zadźgać Wichłacza. Czas zgonu to zawsze jakieś widełki...

– Zgadza się – przyznał Michalczyk. – Czyli jednak nie „lekko” i nie „łatwo”, choć wciąż nieprzyjemnie.

– Jakby co najwyżej wpadnę jeszcze i przycisnę Gruchę z tym wielkanocnym poniedziałkiem. Coś gnojek ukrywa. Dasz radę załatwić następne, ekhm... widzenie?

– Och...

– Po co ja pytam?

– Właśnie. Cóż, życzę ci powodzenia, w końcu, jakby nie było, będziesz robił moją robotę. Trochę się cieszę, bo ze względu na osobę Gruchy zaczynam nabierać do tej sprawy osobistego stosunku. Oczywiście negatywnego. Boję się, że zasady prokuratorskiej bezstronności i obiektywizmu wezmą w końcu w łeb. Choćby z czystej troski o dobro

społeczeństwa fajnie byłoby Gruchę na jakiś czas od niego odizolować, nie sądzisz? Nawet jeśli jest czysty jak łąza... – Michalczyk puścił do Krugłego oko, a potem, niewinnie spoglądając w kąt sali, zapytał: – O dyskrecji chyba nie muszę ci wspominać?

– O jakiej dyskrecji? – zdziwił się Krugły.

Prokurator pokręcił głową z dezaprobatą.

– Coś ty taki mało domyślny? Mówię o tym, że nie chciałbym, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszym małym układziku...

– Nie obrażaj mnie – sapnął Krugły. – Mam na dzisiaj dość.

– Wiem, co czujesz. Ale ja tu muszę zostać. W pracy, znaczy. A ty... Ty możesz sobie wracać do domu.

– Nooo... Chociaż... – Krugły wpadł na coś nagle. – Słuchaj, skoro już tu jestem, w pudle, to może popytam o Zawadzkiego? Klawisz, naczelnika Mieczysława?

Michalczyk spojrzał na niego krzywo.

– Jako kto z nimi porozmawiasz? Jako prywatny łaps? Myślisz, że będą chcieli z tobą gadać? Z jakiego tytułu? Zresztą mówiłem ci, że Zawadzki z nikim bliżej się nie trzymał. Czytałem protokoły z przesłuchań, czy w zasadzie rozmów, bo wyobraź sobie, prokurator Peszka zadał sobie trud porozmawiania z dwunastoma funkcjonariuszami SW mającymi styczność z Zawadzkim. Od każdego z nich usłyszał o nim to samo. Nic.

– A naczelnik? Musiał wiedzieć coś o swoim podwładnym. Cokolwiek. Nie załatwisz mi rozmowy z nim? I tak teraz do niego idziesz...

Michalczyk łypnął na Krugłego.

– Masz szczęście, bo już chciałem ci dać do zrozumienia, że przeginasz. Ale właśnie sobie uświadomiłem, że Peszka nie rozmawiał z dyrektorem. Może nie śmiał? Więc faktycznie zapytajmy Mietka o Zawadzkiego. Chodź.

Kiedy chwilę później weszli do sekretariatu dyrektora Zakładu Karnego w Goleniowie, podpułkownika SW Tomasza Łabudy, twarz sekretarki, ładnej i nieco puszystej kobiety po pięćdziesiątce, pokraśniała od uśmiechu.

– Dzień dobry, panie Mateuszu. – Aż wstała zza biurka.

Michalczyk wyszczerzył się do niej.

– Dzień dobry, pani Beatko. Szef wolny?

– Za chwileczkę, dobrze? Jest u niego oficer prasowy.

– Jasne, poczekamy.

Wskazał Krugłemu krzesło pod ścianą. Usiedli. Krugły zerknął znacząco na prokuratora.

– Bywam tu czasem. A czasem nawet częściej niż czasem – wyszeptał Michalczyk i z tajemniczym uśmiechem spoglądając w okno, rzucił jeszcze: – Sitwa, co?

– Mówiłeś, że naczelnik, czy tam dyrektor, ma na imię Mieczysław. Na tabliczce na drzwiach było: Tomasz.

– Nic podobnego, niczego takiego nie mówiłem. Ja tylko się tak do niego zwróciłem i tak go nazwałem w rozmowie z tobą – wyjaśnił Michalczyk. – A to nie oznacza, że ma tak na imię. Pozory mylą i wiodą na manowce, panie inspektorze.

– Były inspektorze... To dlaczego nazywasz go Mieczysławem?

– Zobaczysz, jak go zobaczysz.

Z dyrektorskiego gabinetu wyszedł nagle mężczyzna w niebieskim mundurze z dystynkcjami porucznika. Pod pachą trzymał segregator w czerwonej oprawie. Przywitał się krótko z Michalczykiem, podał dłoń Krugłemu i zniknął bez słowa za drzwiami sekretariatu. Pani Beatka przerwała swoje zajęcie, znów z werwą wstała zza biurka i podeszła do drzwi gabinetu szefa, otwierając je na oścież.

– Szefie, prokurator Michalczyk do pana.

– Prosić, prosić! – Z gabinetu razem z donośnym głosem powiało autentyczną radością.

– Dzięki, pani Beatko. – Uśmiech Michalczyka był promienny, zupełnie jak wzrok pani Beatki.

Krugły gapił się w podłogę, zagryzając usta. Kiedy zobaczył, jak Michalczyk znika w drzwiach gabinetu Łabudy, ruszył za nim. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Poczł delikatną woń nalewki wiśniowej. Michalczyk witał się z dyrektorem, jakby nie widzieli się rok. Potem prokurator odwrócił się do Krugłego, wskazując go Łabudzie szerokim gestem, tak jakby dyrektor mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości, gdzie jest drugi gość. Poza nimi trzema nikogo więcej w gabinecie nie było. Krugły rozumiał, że chodzi o jakieś ich rytuały, i nie wnikał.

– To jest mój dobry przyjaciel, Robert Krugły, wspominałem ci o nim... – powiedział Michalczyk.

Łabuda, mężczyzna średniego wzrostu, o wesołych oczach, gładko ogolonych policzkach i podbródku oraz gęstych, kędzierzawych włosach, kiwając głową, niemal rzucił się w kierunku Krugłego z wyciągniętą dłonią. Krugły czekał tylko na tekst o przyjaciołach swoich przyjaciół.

– Korzystając z okazji, chcielibyśmy ci zadać kilka pytań dotyczących

Zawadzkiego – kontynuował prokurator. – Nie masz nic przeciwko?

Tekst o przyjaciółach nie padł, ale mimo to Krugły nie miał wątpliwości, że dyrektor nie będzie miał nic przeciwko. Entuzjastyczne z początku przywitanie i prezentacja były na szczęście krótkie; silny uścisk dłoni, bez zbędnych ozdobników wokalnych i przymilnych uśmiechów. Zasiedli w fotelach, przy niskim stoliku kawowym.

– Co chcielibyście wiedzieć? – zapytał Łabuda.

W jego głosie brzmiała denerwująca nutka pewności siebie człowieka świadomego swej wartości. Takiego, który nie dopuszcza myśli, że może nie mieć racji lub mijać się z prawdą. Krugły poczuł jeszcze silniejszy zapach nalewki i przejął pałeczkę:

– Pańscy podwładni wiedzą o Zawadzkim bardzo niewiele. Albo może po prostu nie bardzo chcą się dzielić wiedzą o nim z innymi, na przykład z prokuratorem... – Zerknął na Michalczyka. – Chcielibyśmy poznać trochę szczegółów z jego życia. Wszystko, co pan wie, jeśli można.

Łabuda zrobił minę studenta, który chce dobrze wypaść na egzaminie, choć nie za bardzo orientuje się nawet, jaki przedmiot zdaje.

– Wszystko? – zapytał. – No, nie będzie tego dużo, lojalnie uprzedzam. Nie był zbyt wylewny ani kontaktowy. Mieszkał w domu po matce, w Budnie, kilka kilometrów za Goleniowem. Samotny, nieco zdziwaczały, jak niektórzy go określali, choć moim zdaniem wyjątkowo stabilny emocjonalnie. To był przecież młody chłopak, ledwie po trzydziestce. Był strażnikiem w Dziale Ochrony. Miał skończone studia, resocjalizację, więc planowałem wysłać go na specjalistyczny kurs dla oddziałowych. Swoje obowiązki wykonywał sumiennie. Nie pił, nie palił, nie pożyczał pieniędzy, ani innym, ani od nikogo. Był człowiekiem religijnym. Jeśli służba wypadła mu w niedzielę, zachodził na chwilę do kaplicy, do naszego kapelana. Ksiądz Sobieraj to chyba jedyna osoba, z którą Zawadzki utrzymywał tu kontakt. Był rzetelnym i oddanym pracy funkcjonariuszem. Nie miał żadnej wpadki. Jak maszyna.

– Człowiek bez skazy? – mruknął Krugły.

Łabuda spojrzał na niego uważnie.

– Zdaję sobie sprawę, że właśnie wygłosiłem laurkę – powiedział powoli – ale taki był. Czy bez skazy? Tego nie wiem. Myślę, że coś w nim jednak siedziało. Ale zaznaczam, że to tylko moje subiektywne wrażenie – zastrzegł, podnosząc do góry palec wskazujący. – Nie uzewnętrzniał się. Ta dziwaczność, o której wspominałem, wynikała z jego trybu życia. Uporządkowanego do granic rozsądku. Zegarek można było według niego

regulować. Śmierć matki wstrząsnęła nim bez wątpienia, ale kiedy brał urlop okolicznościowy, żeby ją pochować, miałem wrażenie, że nieobecność w pracy jest dla niego krępująca. Z urlopu wypoczynkowego wracał z ulgą. Spędzał go w całości w domu. Cichy, zamknięty w sobie facet. Rozmawiałem z nim zaledwie paręnaście razy...

– Miał kogoś bliskiego?

Łabuda skrzywił się.

– Z tego, co wiem, wyłącznie matkę. Wie pan, wydaje mi się, że była bardzo zaborcza. W ogóle mam... miałem wrażenie, że on chyba nawet nie umiałby się zachować w sytuacji sam na sam z kobietą. Rozumie pan, co mam na myśli? Chociaż...

– Chociaż? – podchwycił Krugły.

Już dawno zauważył, że kiedy ludzie tak nagle urywają w chwili, w której mieli coś powiedzieć, oznacza to jedno: rewelację. Więc pomagał im: uprzejmym pytaniem, spojrzeniem pełnym ciekawości... Pomagał, jak mógł, choć nie musiał. I tak by to z siebie wyrzucili.

– Raz przyszedł do mnie. Zgłosił, że z przyczyn losowych nie może stawić się do służby następnego dnia. To było zeszłej zimy. Coś niespotykanego w jego przypadku. Słyszałem od jednego z oddziałowych, że podobno chodziło o dziewczynę, chciał gdzieś z nią wyjechać na przedłużony weekend. Ale ten oddziałowy też niczego więcej nie wiedział. I to był jedyny raz, kiedy na twarzy Zawadzkiego widziałem uśmiech. A przynajmniej grymas, który go trochę przypominał. Potem był już taki jak zwykle... Obiło mi się o uszy, że ktoś mu tę dziewczynę odbił, ale nie przypomnę sobie, od kogo to słyszałem.

– Czyli jednak człowiek? Dawno mu matka umarła?

– Ze dwa lata temu. Musiałbym sprawdzić w papierach.

– A ta dziewczyna?

Łabuda wzruszył ramionami, zerkając na Michalczyka.

– Mówiłem już, nie wiem nic na jej temat. Nawet nie mam pewności, czy faktycznie jakaś była... To tylko plotki.

– W porządku. Wspomniał pan, że Zawadzki utrzymywał jakiś bliższy kontakt z więziennym kapłanem.

– Tak. Z księdzem Sobierajem.

– Gdzie go znajdziemy? Tutaj?

– Tutaj tylko czasami. Najprościej znaleźć go w kościele pod wezwaniem Świętego Krzyża. Tu, w Goleniowie. – Łabuda wstał, podszedł do swojego biurka i zapytał: – Chcecie czekoladkę z wiśniami?

Wyszli z gabinetu otoczeni aromatem wiśniowej nalewki, z zębami usmarowanymi czekoladą, wiedząc o Zawadzkiemu niewiele więcej niż wtedy, kiedy mieli je jeszcze czyste.

– Dalej nie wiem, dlaczego Mieczysław – rzucił Krugły, kiedy wyszli na korytarz. – Twoje koleżeństwo od brydża też mówi do niego „Mietek”?

– Owszem. Sami to wymyślili... śmy – dokończył.

– To może mnie w końcu oświecić?

– Ten facet nie przypomina ci kogoś? – zapytał Michalczyk.

Krugły zastanowił się przez chwilę.

– Bo ja wiem... Marka Kondrata?

– No, właśnie – ucieszył się prokurator. – Toczka w toczkę, co?

– Powiedzmy. Ale dalej nie rozumiem...

Michalczyk westchnął.

– Nieważne. Jedźmy już do tego kościoła. Do roboty jeszcze dziś muszę wrócić...

# V

## Wcześniej

Jeszcze piętnaście lat temu mogłaby się w takim chłopaku zakochać. Wtedy, kiedy była młoda i głupia, a swoim zachowaniem usiłowała zaprzeczyć temu, co stało się, kiedy była nastolatką. Kiedy chciała zapomnieć...

Leżała na łóżku, paliła papierosa i wspominała go. Te wspomnienia, a przynajmniej większość z nich, były miłe. Był elementem jej zemsty, ale polubiła go. Był skurwysynem, ale z gatunku tych, którym kobiety skłonne wybaczyć są niemal wszystko. Kiedy robił tę swoją minę niesłusznie skarconego urwisa, miękły jej nogi, a on o tym wiedział. Był jurny jak zajac i tak samo głupiutki. Był żonaty.

Wróciła pamięcią do tej chwili, kiedy wreszcie mogła przejść do rzeczy. Kiedy był już jej, kiedy wiedziała, że robi dla niej prawie wszystko, tak jak ona robiła niemal wszystko dla niego. To było po jednej z imprez, na które z upodobaniem chadzał. Towarzystwo, w którym się obracał, dorównywało mu intelektem, ale nie urokiem osobistym. Bydło. Chlejące na umór i toksyczne do szpiku kości, tak jak substancje w przeróżnych stanach skupienia, które aplikowało sobie do nozdrzy, w żyły i płuca. Namówiła go na wyjście po kwadransie. Poszli do jej mieszkania, gdzie dała z siebie tyle, że aż wył z rozkoszy. Potem leżeli na łóżku, a ona robiła wszystko, żeby jak zwykle nie zasnął za szybko.

– Gdybym poprosiła cię o coś niezwykłego, dałbyś mi to, misiu?

– A co to miałyby być?

– Pamiętasz, wspominałeś, że macie w pogotowiu takiego gumowego manekina...

– Ej, ty chcesz z nim ten, tego?

Zrobił taką minę, że parsknęła śmiechem. Nie dlatego, że to, co powiedział, było zabawne. Bo nie było. Ale ta jego mina...

– A jeśli nawet?

– Jego jest tylko pół, wiesz? Górne pół. On nie ma dołu. Czyli fujary też nie...

– Nie szkodzi. Potrzebuję góry.

– Co będziesz z nim robić?

– Ćwiczyć.

– Co ćwiczyć?

– Oj, misiu... Do artykułu potrzebuję, no.



- Do artykułu?
- Tak, do artykułu. Nie wnikaj. Pożyczysz? Mówiłeś, że macie nowego.
- Dobrze, pożyczę.
- Tylko tak, żeby nikt nie widział.
- Dobrze, ukradnę. Dla ciebie ukradnę. Za takie bzykanie jak przed chwilą, zrobię dla ciebie wszystko, maleńka.
- Naprawdę wszystko?
- Naprawdę.
- Trzymam cię za słowo, misiu. Wrócimy jeszcze do tego.
- A może potrzy masz mnie za coś innego? O, kurwa!!!
- Co się stało?
- Gdzie mój telefon? Muszę zadzwonić do pogotowia!
- Po co?
- Zapomniałem powiedzieć chłopakom, żeby mnie kryli, jak Magda zadzwoni. Na dyżurze jestem, nie? – Puścił do niej oko.

Przyniósł ten manekin tydzień później. Fantom do ćwiczeń z resuscytacji, który leżał bezużytecznie w magazynie stacji pogotowia. Nowy, naszpikowany elektroniką, do złudzenia przypominający żywego człowieka też zresztą leżał nieużywany. Nieważne, ważne, że miała ten stary i mogła zacząć ćwiczyć. Musiała być pewna, że kiedy będzie zadawać cios, zrobi to skutecznie. Że osiągnie celu. Nie było miejsca na fuszerkę. Wiedziała, że drugiej szansy nie dostanie...

Zamrugła oczami, wracając do rzeczywistości. Zgasła papierosa, uśmiechając się, pogłaskała brzuch i spojrzała na telefon. Naszła ją ochota, żeby zadzwonić do Marka. Zdecydowała jednak, że nie będzie mu przeszkadzać.

Marek.

Boże, gdyby wiedział, co ona musi zrobić...

## VI

Kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża w Goleniowie jest typowym przykładem obiektu sakralnego na miarę swoich czasów. Wybudowany niedługo po przemianie ustrojowej w osiemdziesiątym dziewiątym roku, był przełożonym na język architektury zachłystnięciem się wolnością. Dość śmiała, strzelista forma naznaczona była jednak piętnem panującej w tamtym okresie w budownictwie siermiężności. Materiały, z których go wykonano, nie oparły się próbie czasu i kościół stanowczo wymagał poważnego remontu. Podobnie było z plebanią, wybudowaną kilka lat przed nim. Typowa betonowa, dwukondygnacyjna kostka z płaskim dachem, była domem dla kilku posługujących w parafii księży i paru sióstr felicjanek.

Michalczyk i Krugły stanęli przed drzwiami plebanii i zaczęli studiować tablicę z przyciskami i przypisanymi im imionami księży i sióstr. Nie zdążyli zadzwonić. Drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich ksiądz. Ubrany w strój służbowy, targał niebieski worek ze śmieciami. Był lekko zgarbiony, miał opuszczoną głowę, skupiony na tym, żeby worek nie obijał się o ścianę i nogi. Nie zauważył ich. Dopiero kiedy odsunęli się, robiąc mu miejsce, z zaskoczeniem w oczach zatrzymał się, wyprostował i niemal wypuścił worek z rąk.

– Przepraszam, czy zastaliśmy księdza Sobieraja? – zapytał uprzejmie Michalczyk.

Z otwartych ust wydobył się głuchy jęk, a zaraz potem opary przetrawionego alkoholu.

– Eee... To ja.

Był wysoki, barczysty i dość przystojny. Miał lekko szpakowate, gęste włosy, zaczesane na bok w zachowawczej, niemodnej fryzurze, i gdyby nie to, wyglądałby niemal jak model prezentujący nieprzyzwoicie drogie produkty dla mężczyzn, którzy mają już wszystko. Tylko że wymagałby makijażu; jego twarz była biała jak kreda i to nie z powodu jasnej karnacji.

– Prokurator Mateusz Michalczyk, a to... mój współpracownik, pan Robert Krugły.

– Ma pan coś wspólnego z...?

– Owszem. – Michalczyk pokiwał głową i z nieznanym Krugłemu powodów uciął temat. – Ale nie o tym chciałem porozmawiać. Możemy zająć księdzu chwilę czasu?

– Cóż... Oczywiście.

Krugły nie mógł się opanować i lekko skrzywił usta, kiedy owionął go oddech Sobieraja. Ksiądz musiał zauważyć grymas na jego twarzy, bo z godnością wysunął do przodu kanciasty podbródek.

– Nie piję – rzucił, mimo to na jego twarz wypłynął rumieniec. – Nie piję nałogowo. Po prostu wczoraj odwiedził mnie znajomy. Dawno się nie widzieliśmy. A zresztą robiłem to w prywatnym czasie i nie muszę się panom z niczego tłumaczyć. Prawda? – Podparł się pod boki.

– Zgadza się, my przecież nie w tej sprawie – zażartował Michalczyk, po swojemu szczerząc zęby. – Chcieliśmy porozmawiać z księdzem o Krystianie Zawadzkiem.

– Chwileczkę – mruknął ksiądz.

Podniósł worek, wyminął ich i poszedł do furtki, przy której stał pojemnik na śmieci. Wrzucił worek do pojemnika, otrzepał dłonie i wrócił do nich. Wchodząc po schodkach, wyciągnął rękę w stronę otwartych drzwi i rzucił krótko:

– Zapraszam do środka. Schodami do góry.

Weszli do przedsionka i otoczył ich charakterystyczny zapach, będący mieszanką woni starzejącego się budynku i podstawowych środków czystości. Wąskimi i stromymi schodami wyłożonymi czerwoną wykładziną dotarli na górę, do wąskiego korytarzyka równoległego do biegu schodów. Tam Sobieraj wyprzedził ich i otworzył jedno z kilkorga drzwi. Na ścianie obok nich wisiała mała tabliczka: „Ks. Marek”. Krugły z Michalczykiem weszli do pokoju Sobieraja i stanęli na jego środku, czekając, aż gospodarz wskaże im miejsce, gdzie mogliby usiąść. Krugły rozejrzał się po pomieszczeniu.

Miało jakieś piętnaście metrów kwadratowych, ale niski i splekany w narożnikach strop zmniejszał optycznie jego przestrzeń. Meble były jednolite, ale też miały już swoje lata. Na półkach było trochę książek i naczyń, głównie szklanek, na małej komódce stał niewielki telewizor z płaskim ekranem. Małe biurko w rogu, obok łóżko, stolik z krzeselkami pod oknem zasłoniętym firanką. Na ścianie wisiał portret Jana Pawła II, kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i skromny wizerunek świętego Maksymiliana Kolbe. Całości obrazu dopełniał żyrandol o czterech ramionach, niepokojąco nisko zwieszający się nad głową Krugłego. Wąskie drzwi z matową szybką i plastikowymi tulejami nawietrzającymi prowadziły zapewne do łazienki. W pokoju czuć było lekki zapach przetrawionego alkoholu.

Sobieraj wskazał im krzeselka przy stoliku, a sam usiadł na swoim łóżku.

Sutanna niczym suknia rozpostarła się na szeroko rozłożonych kolanach, na których ksiądz oparł łokcie. Złożył dłonie i popatrzył na gości.

– Słucham – powiedział. – Co panowie chcą wiedzieć? Ostrzegam tylko, że obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi świętej.

– Bardzo asekurancka postawa i to tak od razu na wstępie – zauważył Michalczyk.

– Zgadza się. To na wszelki wypadek, żeby uniknąć nieporozumień w tej kwestii.

– Ksiądz go spowiadał?

– Owszem. Regularnie.

– Jak bardzo regularnie?

– A jakie to ma znaczenie?

– To powie nam, jakim był człowiekiem. Jeśli spowiadał się codziennie, to szczerze mówiąc, będę miał wrażenie, że miał problem. Jeśli co miesiąc, nie ma sprawy... Szczerze mówiąc – podkreślił jeszcze raz.

– A jeśli co tydzień? Albo co rok? – Sobieraj spojrział na niego kpiąco, a Michalczyk poczuł się trochę jak ktoś pokonany własną bronią. – Jakie to ma znaczenie? To tylko liczby.

– Wie ksiądz dobrze, o co mi chodzi. Spowiadanie się codziennie nie świadczy o tej osobie najlepiej.

– W jaki sposób nie najlepiej?

– Skoro ktoś tyle nagrzeszył w jeden dzień, to jakim musi być człowiekiem?

Sobieraj westchnął i spojrział w bok, gdzieś w okolice papieża Polaka, jakby szukał u niego pomocy, a Krugły zorientował się, że Michalczyk zaczął znów, po swojemu, palić głupa. A może wstyd było mu przyznać przed księdzem, że uważa taką osobę za rąbniętego dewota?

– To nie tak, proszę pana. Nikomu nie będę zabraniał spowiadać się codziennie, jeśli czuje taką potrzebę. Każdy podchodzi do tej sprawy po swojemu, indywidualnie... Chce pan toczyć ze mną dysputę teologiczną? Jest pan katolikiem? Mniemam, że tak, skoro...

– Tak, zgadza się, jestem, ale pozwoli ksiądz, że będziemy rozmawiać o Zawadzkim, a nie o mnie. – Krugły przysięgłby, że prokurator zmieszał się lekko. – Więc jak?

– Jak często się spowiadał?

– Dokładnie. O to pytałem.

– Często. Za każdym razem, kiedy się widzieliśmy. Co kilka dni, co tydzień, co dwa. Czasem przyjmowało to formę rozmowy gdzieś na korytarzu, czasem

przychodził tu, do kościoła. Nie wiem, czy chodził jeszcze gdzie indziej.

– W formułce nie wspomina się, kiedy ostatni raz się spowiadało? Mam na myśli te słowa: „Ostatni raz byłem u spowiedzi...”.

– Mówiłem już, to sprawa indywidualna. To nie egzamin, na który trzeba wykuć formułki. Wystarczy wyrazić wolę aktu skruchy i dokonać go. Nie będę o to wypytywał osoby, która przychodzi do mnie tak często, jak Krystian.

– Dobrze. Czyli spowiadał się... bardzo często. Nie pytam, co mówił w czasie spowiedzi, oczywiście...

– Słusznie.

– ...ale może ksiądz chociaż spróbuje naświetlić...

Sobieraj spojrzął na Michalczyka z jakąś troską w oczach.

– Ależ pan się miota!

Michalczyk przytaknął ruchem głowy.

– Zgadza się. To jest miotanie się. Po prostu chodzi mi o to, że podczas spowiedzi człowiek mówi o tym, co go trapi, boli. Mówi wszystko. Teoretycznie wszystko. A my chcielibyśmy wiedzieć, co trapiło Krystiana Zawadzkiego, rozumie ksiądz? Co trapiło go tak bardzo, że został zamordowany.

– Myślicie, panowie, że podczas spowiedzi powiedział mi coś, co mogłoby was naprowadzić na trop jego mordercy? – Spojrzął na nich z zaskoczeniem.

– Tak, tak właśnie myślimy. Jest bardzo prawdopodobne, że ta śmierć nie była przypadkiem, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Że nie zrobił tego zaskoczony, złapany na gorącym uczynku włamywacz. Może ksiądz nie jest świadomy faktu, że Zawadzki przekazał mu, może nawet również nieświadomie, jakąś istotną informację o problemie. Problemie, który był przyczyną jego śmierci. Sam nie wiem, jak mogłoby to brzmieć, więc próbuję dać księdzu podpowiedź. – Michalczyk rozejrzał się po ścianach w poszukiwaniu natchnienia. – Bał się czegoś? Albo kogoś?

– Myślałem, że to było zwykłe włamanie...

Michalczyk miał minę pokerzysty.

– Przykro mi, nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa. Więc jak, bał się kogoś?

Zobaczyli, jak Sobieraj lekko się garbi i zerka na swoje ręce, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

– Przed chwilą zdradził mi pan szczegóły śledztwa – mruknął. – Powiedział pan, że to mogło być planowane zabójstwo...

– Owszem – przyznał Michalczyk. – Chciałem księdzem trochę wstrząsnąć,

przyznaję, poza tym liczę na dyskrecję. Czyli na coś, co ksiądz ma, że tak powiem, w pakiecie.

– Jeśli nawet Krystian kogoś się bał, to od jakiegoś czasu nie musiał. – Sobieraj uśmiechnął się smutno. – Mówię o jego matce. To była bardzo surowa kobieta. Trzymała syna krótko, jak to się mówi. Uważam, że go głęboko skrzywdziła, ale to moja prywatna opinia, którą dzielę się z panami tylko ze względu na okoliczności. Osądzi ją Bóg, nie ja czy wy. – Zamilkł na chwilę, po czym wyjaśnił: – Pani Aniela zmarła półtora roku temu.

– Co było przyczyną śmierci? – zapytał natychmiast Michalczyk.

Krugły uznał, że zrobił to za szybko i zbyt natarczywie, jakby sugerował, że Zawadzki mógł w jakiś sposób przyczynić się do śmierci matki. Sobieraj albo tego nie zauważył, albo zauważył, ale nie dał po sobie niczego poznać. A może to Krugły dał się ponieść fantazji?

– Przyczyny naturalne – powiedział ksiądz i dodał, jakby w odpowiedzi na niewyartykułowane podejrzenia Michalczyka: – Ale zmarła w szpitalu. Była w podeszłym wieku, Bóg dość późno obdarował ją synem.

– A ojciec Zawadzkiego? – zapytał Krugły, bo już zaczynało mu zasychać w gardle od milczenia.

Sobieraj spojrzał na niego, jakby właśnie w tej sekundzie pojawił się w pokoju.

– Sporo pił. Zginął w czasie żniw, wiele lat temu. Wpadł pod kombajn. Krystian był wtedy jeszcze mały i odtąd matka wychowywała go sama. Może właśnie dlatego musiała być twarda dla syna? To była silna kobieta.

– To ma jakiś związek? Surowe, wręcz krzywdzące, jak sam ksiądz wspomniał, wychowanie, tylko dlatego, że chłopcu zabrakło ojca? – dociekał Michalczyk.

Krugły nie wiedział, czy księdzu wypada spoglądać na kogoś spode łba, ale Sobieraj tak właśnie spojrzał na prokuratora.

– Mówiłem, że stary Zawadzki sporo pił. Zasnął w polu po popijawie z kolegami i to dlatego przejechał go kombajn. To zapewne przed tym matka chciała uchronić syna. Między innymi.

– Rrrany – westchnął Michalczyk. – Słyszałem, że wypadki w rolnictwie się zdarzają, ale coś takiego... – Wzdrygnął się.

– Praca na roli jest bardzo ciężka – powiedział filozoficznie ksiądz. – Nie ma o tym pojęcia ten, kto nigdy jej nie popróbował.

Spojrzał na nich znacząco, jakby bycie miastowym było ich winą, a nie losowym przypadkiem.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – zgodził się Krugły. – W dzieciństwie każde wakacje spędzałem u wuja na wsi. I to nie była laba, tylko pomoc w gospodarstwie, ciężka harówka...

Sobieraj spojrzął na niego życzliwiej, ale Krugłemu przypomniało się nagle, że zbliża się dziesiąty.

– Tylko że rolnicy nie muszą płacić ZUS-u.

Michalczyk wykorzystał swoją zdolność wyłączenia mięśni twarzy na żądanie, więc wesołość było widać tylko w jego oczach. Sobieraj zachował się jak rasowy dyplomata.

– Każdy zawód ma swoje przywileje – powiedział enigmatycznie i w zasadzie zgodnie z prawdą, a Krugły w tej samej chwili zaczął zastanawiać się, jakie przywileje ma jego obecny zawód prywatnego detektywa.

– Pan Krugły ma złe doświadczenia z ZUS-em, więc zamiast kontynuować ten temat, może wrócimy do Zawadzkiego – zaproponował Michalczyk. –

Niech ksiądz nam powie, jakim on był człowiekiem. Poza tymi rzeczami, o których już wiemy, oczywiście... Miał jakieś zainteresowania, znajomości? Kobiety?

– O ostatnim wiem tylko to, co Krystian zdradził mi podczas spowiedzi. Więc sam pan rozumie...

– Rozumiem. Ale była jakaś, prawda? Pojawiła się i zniknęła. To wiemy.

– Owszem. Była i zniknęła. Tym samym zniknął powód grzechu.

– Czyli utrzymywali kontakty seksualne? – zapytał nagle Krugły, przejmując pałeczkę od Michalczyka.

– Czy ja coś takiego powiedziałem?

– Spotykanie się z kobietą nie jest grzechem, według nauk Kościoła. Ale sypianie z nią bez ślubu już tak. Więc skoro ksiądz określił to w ten sposób, że zniknął powód do grzechu, to nie miał ksiądz na myśli chodzenia na lody i do kina. Prawda? On musiał to księdzu wyznać. Że sypia z nią...

Sobieraj stropił się wyraźnie.

– Pańskie postępowanie jest... nieetyczne.

– Niech ksiądz nie bierze tego tak do siebie. To tylko czysta dedukcja. Widział ją ksiądz?

– Nie.

– Ani razu?

– Ani razu.

– On jej nie opisywał?

– Nie.

– Nie wspominał, jak się nazywa?

Sobieraj przecząco pokręcił głową.

– Imię chociaż podał?

– Też nie... Mówił o niej „ona”.

– Szkoda... A nie dziwiło to księdza?

– Nie.

– W porządku. Czyli miał dziewczynę...

– Po śmierci matki nie mógł się przez jakiś czas odnaleźć. Bał się związku z kobietą, a ona wkroczyła w jego życie swoją bezpośredniością i... bezpruderyjnością. Nie był na to przygotowany.

– Pocieszę księdza. Jeśli ksiądz ma na myśli to, co myślę, to żaden facet nie jest na to gotowy. To nie do opanowania. One robią z nami, co chcą... – Krugły urwał, kiedy zobaczył wzrok Sobieraja.

Nie wiedział, czy ma mu zazdrościć, czy go żałować. Na wszelki wypadek znów przekazał pałeczkę Michalczykowi.

– Zawadzki poczuł zew natury, tak? – zapytał prokurator. – To ksiądz ma na myśli?

Sobieraj spojrzał na niego z wyrzutem.

– Jest pan wulgarny.

– Nie – stwierdził Michalczyk. – Pozwolę sobie wyrazić opinię, że to ksiądz zbyt starannie dobiera słowa. Nie mogę opierać się na niedopowiedzeniach. Ja rozumiem, że ksiądz może czuć się skrępowany rozmową o tych sprawach, ale to przecież ludzkie sprawy! Założę się, że nie takie rzeczy słyszał ksiądz w konfesjonale.

Sobieraj zgarbił się lekko i niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Wyglądało na to, że stracił ochotę na rozmowę.

– Czyli nic więcej nie przychodzi księdzu do głowy?

– Nie – odparł Sobieraj z ulgą, wpatrując się w podłogę.

Krugły, obserwujący go w milczeniu ze swego miejsca, nie uznał tego gestu ani za lekceważenie, ani za próbę ukrycia czegoś. Ksiądz był zmęczony, a właściwie przepity. Widać było, że jest niewyspany. Błada skóra twarzy i cienie pod oczami świadczyły o tym dobitnie. Kiedy Michalczyk spojrzał na niego, zrobił nieokreśloną minę, co prokurator odczytał jednoznacznie: żegnamy się powoli.

– Cóż – powiedział do Sobieraja – nie będziemy księdza dłużej męczyć. Gdyby coś się przypomniało, bardzo proszę o kontakt z prokuraturą rejonową,



tu jest wizytówka z numerem telefonu ogólnego. Prokurator Michalczyk, śmiało prosić o połączenie. Albo wie ksiądz, co? Zapiszę swój numer komórkowy, proszę się nie krępować, jakby co. I proszę potraktować moją prośbę poważnie. Jest ksiądz jedyną osobą, która może powiedzieć o Zawadzki coś więcej niż to, że istniał. Przynajmniej jedyną, o której nam wiadomo – dodał, spoglądając na Krugłego.

Michalczyk nie musiał wstawać. Po prostu uniósł się nad swoim krzeselkiem i pochylając się, podał Sobierajowi wizytówkę.

– Dobrze, oczywiście – bąknął ksiądz, a na jego twarzy pojawiło się zadowolenie.

W dodatku okazał się dobrym gospodarzem, mimo że nie zaproponował wcześniej nic do picia, bo poczekał, aż goście wstaną pierwsi. Gdy Krugły z Michalczykiem powoli posuwali się w kierunku wyjścia, wstał z kanapy z lekkim, ale widocznym wysiłkiem, wyprzedził ich i otworzył przed nimi drzwi. Kiedy wychodzili, spojrzął na trzymaną w ręku wizytówkę.

– Będę pamiętał o panach – obiecał. – Zastanowię się jeszcze nad tym, o czym pan mówił, kiedy się lepiej poczuję... Może faktycznie było coś takiego...

Michalczyk uśmiechnął się uprzejmie, więc Krugły uznał, że on już nie musi.

– I jeszcze jedno... – Zatrzymali się, kiedy usłyszeli cichy głos Sobieraja.

– Taaak?

– Ja naprawdę nie piję... To było wyjątkowo...

– Ustaliliśmy już, że nie musi się nam ksiądz tłumaczyć. Wierzę księdzu. Gdyby ksiądz był, że się tak nieładnie wyrażę: praktykującym alkoholikiem, to po takim czymś wyglądałby ksiądz o wiele lepiej niż teraz. Widać, że spotykacie się z alkoholem nieczęsto.

– Skąd pan to może wiedzieć? – Lekki uśmiech powątpiewania wykwitł na twarzy Sobieraja.

– Wie ksiądz, co to jest DDA?

Uśmiech zniknął jak zdmuchnięty wiatrem.

– Stąd moja uwaga o wychowaniu Zawadzkiego – powiedział Michalczyk.

– Znam to z autopsji. I podtrzymuję swoje zdanie na ten temat. Szczęść Boże.

– Z Bogiem...

Zeszli razem na dół, gdzie ksiądz wypuścił ich na zewnątrz. Kiedy wsiedli do samochodu, Krugły zapytał Michalczyka:

– Jak wrażenia?

– Mieszane. Zaczynam zastanawiać się, czy Zawadzki był człowiekiem, czy

bezdusznym robotem?

– Roboty nie uprawiają seksu.

– Wiesz, w sumie Sobieraj nie powiedział wprost, że oni ze sobą...

Krugły zerknął na niego.

– Musiał to mówić? Życia nie znasz?

– Człowiek metronom, z trybem życia uregulowanym jak w zegarze atomowym. W sidłach wyuzdanej kobiety...

– I tu już wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

– Bo?

– Dla kleru każdy rodzaj seksu, który nie jest pozycją misjonarską przy wyłączonym świetle i nie ma na celu prokreacji, jest wyuzdany. Nie możemy w tej kwestii opierać się na opinii Sobieraja, tak uważam. Zwłaszcza że był to związek nieformalny.

– Aaa... – Michalczyk uśmiechnął się lekko złośliwie. – Uderz w stół, a nożyce się odezwą, co?

Krugły z godnością wysunął do przodu podbródek.

– Zamierzam w najbliższej przyszłości uregulować tę kwestię.

– Weźmiecie kościelny?

– Jeśli Ewie będzie zależęć, to czemu nie? Nie mam nic przeciwko.

– To musicie się spieszyć.

– Czemu?

– Słabo to wygląda, kiedy panna młoda idzie do ołtarza z brzuchem.

– Wie pan, który mamy wiek, panie prokuratorze? Poza tym tak się składa, że mam w dupie, co sobie pomyślą o tym inni.

– Słusznie. – Michalczyk odpiął pas, bo dojeżdżali już do prokuratury. – Wdepniesz do mnie?

Krugły zerknął na zegarek na desce rozdzielczej.

– Nie. Jadę do domu. Głodny jestem.

– To może weźmiemy coś na telefon? Chińczyka albo kebaba?

Krugły spojrzął na brzuch Michalczyka, a potem na swój.

– Młody człowieku – powiedział z namysłem – czy ty wiesz, co jest w tym żarcu, którym z takim upodobaniem się zażerasz?

– Znowu nożyce się odezwały. No, co w nim jest, hipokryto?

– Podobno lepiej nie wiedzieć. A ja mam obiad w domu. Prawdziwy, tylko trzeba odgrzać.

– Dobrze ci... – westchnął Michalczyk.

– A czy ja mówię, że źle?

## Wtorek, 7 lipca

Po śniadaniu Krugły pojechał do Goleniowa, porozmawiać z ludźmi, którzy bawili się z Gruchą podczas imprezy na Konopnickiej i kontynuowali ją w parku, w którym zginął później Wichłacz.

Miał trzy nazwiska, ale tylko dwa adresy. Uznał, że jeśli dwie wizyty będą bezowocne, ustali jakoś adres tej trzeciej osoby. Wizyta u czwartej, której nazwisko podał Grucha, nie była już możliwa, lecz mimo wszystko Krugły postanowił się tam wybrać. Adres miał od Michalczyka, z akt śledztwa, a żona Wichłacza zawsze mogła coś wnieść do sprawy. Wizytę w komendzie powiatowej zostawił na koniec.

\* \* \*

Tomasz Kleciak mieszkał przy ulicy Ornej w Goleniowie, w tej części miasta, która kiedyś była wsią Zarosty. Ulica Orna była jak dwa światy oddzielone wyraźną, choć dającą się przekroczyć bez trudu granicą, którą stanowił koniec asfaltu. W tym miejscu nawierzchnia ulicy zmieniała się w gruntową, a okolica z przyjaznej i sielskiej w postapokaliptyczne uniwersum. Małe domki z zadbanymi przedogródkami ustępowały miejsca walącym się ruderom i odgradzonym zardzewiałymi siatkami nieużytkom. Brakowało tylko stalkera, który przeprowadziłby przypadkowego wędrowca przez Zonę.

Pierwszym mieszkańcem Zony, którego Krugły zobaczył po przyjeździe na miejsce, był Kleciak. Stał samotnie na podwórku posesji pod podanym przez Gruchę numerem i gapił się gdzieś przed siebie. Miał na sobie dres, którego kieszenie wypchane były piściami, więc chyba nie mógł to być nikt inny. Krugły zdawał sobie sprawę, że operuje stereotypami, ale był prawie pewien, że się nie myli. To musiał być on. W dodatku wyglądał, jakby zawiesił mu się system.

Krugły wysiadł z samochodu, podszedł do płotu i zapytał chłopaka:

– Tomek Kleciak?

Po krótkiej chwili leniwie zareagował.

– Bo, kurwa, co?

Tak, to bez wątpienia był on.

– Ale Tomek?

– Ale, kurwa, co?

Chłopak powoli podszedł do płotu i obrzucił Krugłego spojrzeniem bez wyrazu. Miał niesamowite oczy. Niemal dziewczęce, okolone gęstymi rzęsami,

w kolorze płowej zieleni z rdzawymi plamkami, w których światło odbijało się migotliwymi błyskami. Piękne. Tylko że mimo wszystko były bez jakiegokolwiek wyrazu, choć czaiła się w nich jakaś nieokreślona groźba. Okrucieństwo. Kontrast z wąskimi ustami, pospolitą, płaską twarzą i okrągłą jak piłka głową z włosami ostrzyżonymi przy samej skórze wzmagał uczucie niepokoju, które budziły pewnie nie tylko w Krugłym. Typek mógłby z powodzeniem grać w horrorach, i to tych klasy B. Już po pierwszych kilkunastu sekundach Krugły wiedział, z kim ma do czynienia. Kleciak wysławiał się jak Grucha. Niedbale, bełkotliwie i oczywiście z użyciem przerywników. Nawet wyglądał jak Grucha. Krugły nie był zdziwiony, był na to wręcz przygotowany. Choć, jak się miało okazać, nie na wszystko.

– Można? – zapytał, wskazując podwórko.

Kleciak wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł w głąb podwórza. Krugły uznał to za zaproszenie. Wszedł na teren posesji przez rozpadającą się furtkę, mając wrażenie, że ta zaraz wyleci z zawiasów i zostanie mu w rękach. Zerkał na boki, spodziewając się niespodziewanego. Nic się nie stało, Kleciak był tu sam. Stał z założonymi rękoma, patrząc na Krugłego tymi swoimi oczami, i nie odzywał się. Koło jego nóg kręcił się mały, szpetny kundel. Pojawił się znikąd, a gdy zobaczył przybysza, spłoszył się lekko i oddalił na bezpieczną odległość. Krążył teraz wokół nich jak satelita, w bezustannym ruchu, z nosem przy ziemi, w poszukiwaniu nie wiadomo czego, tylko co jakiś czas zerkał na nich tym samym spojrzeniem, jakie miał Krugły, kiedy tu wchodził.

– Przyszedłem w sprawie Gruchy.

– Nie znam żadnej Gruchy. Oczy chłopaka były nieruchome, white w Krugłego, gapił się na niego jak sroka w gnat, ani razu nie mrugając powiekami. Od samego patrzenia na to Krugłemu łzawiły oczy.

– Pracuję dla jego wuja. Ratuję Rafałowi dupę, fajnie by było, gdybyś też mu pomógł. Skoro jesteście kumplami...

– Nie jesteśmy, kurwa, żadnymi kumplami. Nie znam chuja. Tam jest furka.

– Kleciak wskazał płot, wyciągając jedną rękę spod pachy.

Rękaw dresu mienił się w słońcu.

– Ale on cię zna. Podał mi twój adres, imię i nazwisko. Kilka pytań i zjeżdżam. Chodzi o imprezę, po której zginął Wichłacz. To jak? Pogadamy?

Chłopak milczał. Krugły rozejrzał się wokół. Zrujnowany gołębnik, zniszczony budynek mieszkalny z rozpadającym się kominem, zardzewiałe narzędzie rolnicze, którego przeznaczenia nie był w stanie odgadnąć. Rozpacz

i beznadzieja wyzierały z każdego kąta tej działki. Krugły przypomniał sobie, że Sokołowski pokrywa wydatki. I wiedział, że forsa potrafi działać cuda. A już na pewno zdziałała w tym przypadku.

– Będę mówił wprost – powiedział cicho – bo widzę, że jesteś trochę nieśmiały. Więc cię trochę ośmielę: dam dwie stówy za informację. Co ty na to?

Kiedy Kleciak się skrzywił, rzucił szybko, żeby nie dać mu czasu do namysłu:

– Trzy stówy.

Dla takich jak on to była kupa forsy. Dla Krugłego zresztą też. Ale Sokołowski nie powinien się obrazić, to tylko obiad dla dwóch osób plus napiwek. W końcu cel uświęca środki.

Zobaczył, jak Kleciak podchodzi do niego. Powoli, jakby z namysłem, choć oczy pozostały wciąż bez wyrazu. Nie było w nich chciwości, błysku radości z niespodziewanej okazji. Nic. Nawet kiedy uderzał głową w twarz Krugłego w typowym bandyckim zagranium, nawet wtedy były puste jak oczy martwego człowieka. Krugły zdążył lekko się odchylić i skrócić głowę. To dlatego uratował swój nos i być może coś więcej. Dostał w skroń, nie na tyle mocno, na ile mógłby, gdyby się w porę nie uchylił, ale mimo wszystko solidnie. Nie czuł, że upada. Nie tak to widział; to nie on leciał na ziemię, tylko ona pędziła ku niemu, aż uderzyła w jego ciało całą swoją masą, niczym rozpędzony pociąg. Krugłemu pociemniało w oczach. Chciał się bronić, zasłonić chociaż twarz i genitalia, ale nie dał rady. Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Leżał jak manekin, a w głowie tłukła mu się tylko jedna myśl – nie docenił gnoja...

Przez chwilę otaczała go ciemność. Kiedy nieco doszedł do siebie, zmieniła się w czarne płaty, które latały mu przed oczami jak negatyw ogromnych płatków śniegu w świetle reflektorów pędzącego samochodu. Ból pulsował tęnym dudnieniem w prawej skroni. Uchylił lekko jedną powiekę i zobaczył, jak Kleciak pochyła się nad nim w milczeniu. Krugły nie poruszył się, nie dał żadnego znaku, że jest przytomny i świadomy tego, co się z nim dzieje. Czuł na twarzy coś mokrego i domyślił się, że ma rozcięty łuk brwiowy. Zaklął w myślach. Mała ranka, dużo krwi.

Gnój tymczasem przeszukiwał mu kieszenie spodni. Po chwili przerzucił się na lekką kurtkę typu softshell, którą Krugły miał na sobie i w której nosił portfel z dokumentami. Stał nad nim okrakiem, zgięty w pasie, na lekko ugiętych nogach, i grzebał w podszewce, usiłując wyciągnąć portfel

z wewnętrznej kieszeni. I to miało go drogo kosztować. Krugły nie zamierzał się wysilać, a przynajmniej nie w pierwszej fazie walki. Po prostu zgiął lewe kolano, które wystrzeliło w górę, moszcząc się z impetem w pachwinach tamtego. Gnój jęknął, otworzył usta w niemym krzyku, a oczy wreszcie nabrały jakiegoś wyrazu. Łapał oddech, jak tonący; gwałtownie, ale w nieskoordynowany sposób. Chwycił się za genitalia, złożył się wpół i zanim upadł, zaczął wymiotować. „Nigdy nie bij leżącego” – mówił Krugłemu w dzieciństwie jego ojciec, ale tym razem nie zamierzał go słuchać. Pozbierał się jakoś z ziemi, wciąż nie wierząc, że drugi raz w ciągu niecałego miesiąca zebrał cięgi. Stał nad Kleciakiem, poczekał, aż przestanie wymiotować, a jego oddech uspokoi się trochę. Kiedy spazmy wymiotów zmieniły się w ciche jęki, pochylił się nad leżącym na boku w pozycji embrionalnej.

– Może to cię czegoś nauczy, pętaku – powiedział spokojnie. – Mam, co prawda, poważne wątpliwości, ale zawsze warto próbować...

Wziął zamach i zadał jedno precyzyjne uderzenie mniej więcej tam, gdzie sam przed chwilą dostał. Emocje wzięły górę, bo włożył w nie za dużo siły, a za mało techniki. Poczul, jak drętwieją mu nadgarstek i przedramię, kiedy cios dosięgnął celu. Pięść uderzyła w bok głowy, głowa w piasek, i Kleciak stracił przytomność.

Krugły nie miał zamiaru lkać nad jego losem; po pierwsze sam mu go zafundował, po drugie, gnój pierwszy ustalił takie zasady. Kilka kropel krwi z brwi Krugłego skapnęło na jego twarz, znacząc ją czerwonymi kropkami. Krugły stał nad Kleciakiem i chwiał się na nogach, rozcierając palce i przegub. Trochę dwoiło mu się w oczach, ale wiedział, że da radę. Tak się czuł kilkanaście lat temu, kiedy boksował z kolegami na siłowni. Nic specjalnego, taka koleżeńska szarpanina, ale parę razy oberwał. Dlatego teraz nie potrzasał głową, żeby się otrzeźwić, bo zdawał sobie sprawę, że to mogłoby tylko pogorszyć sytuację.

Obejrzał się. Nikogo. Tylko kundel wychylał zza krzaków swój łeb, bojąc się podejść. Krugły wystawił twarz do słońca i przez chwilę grzał się w jego promieniach, delikatnie czyszcząc chusteczką i masując obolałe miejsce. Było cicho. Gnój nie odzyskiwał przytomności. Krugły trącił go butem. Schylił się, podniósł leżący obok ciała telefon, który wypadł Kleciakowi z kieszeni dresu, i wybrał 112.

– Wojewódzkie Centrum Powiadomiania i Ratownictwa, słucham?

– Goleniów, ulica Orna... – urwał, zastanawiając się przez chwilę, który to był numer, ale nie mógł sobie przypomnieć. – Koło płotu, na drodze leży

nieprzytomny człowiek. Orna, Goleniów. Pobity jest chyba – dokończył i rozłączył się.

Zawsze istniało ryzyko, że Kleciakowi coś się stanie, kiedy tak będzie leżał, a nie o to Krugłemu chodziło. Gnojek dostał już za swoje. Chwycił bezwładne ciało za ręce i przeciągnął je do furtki, odganiając butem psa, który upodobał sobie nogawkę jego spodni. Puścił Kleciaka przy płocie, zostawiając go w wypłowiej trawie porastającej pobocze, ale tak, żeby był widoczny z drogi. Na wszelki wypadek wytarł jego telefon rękawem bluzy, rzucił go na ziemię i smarkając głośno, oddalił się z miejsca zdarzenia. Rozejrzał się. Nikogo nie zauważył, więc miał nadzieję, że zniknął stamtąd niepostrzeżenie. Nadzieja prysła, kiedy od strony domu Kleciaka usłyszał krzyk starej kobiety. Pewnie matka była w domu. Nie przejął się tym ani nie zatrzymał. Spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, wsiadł do samochodu. Zerkając w lusterko wsteczne, otarł starannie wciąż krwawiącą ranę. Nie dał rady całkiem się wytrzeć, bo zabrakło mu śliny, żeby zwilżyć chusteczkę. Skóra na czole i policzku była ciemniejsza od wtartej w nią krwi.

Nagle przez przednią szybę zobaczył, że w jego stronę biegnie nieporadnie jakaś kobieta. Być może była to ta, która krzyczała, kiedy zostawiał Kleciaka pod płotem. Machała pięściami, wygrażając mu. Była dość daleko, ale Krugły wolał już nie czekać. Odpalił silnik, zawrócił szybko na wąskiej drodze i ruszył w stronę centrum Goleniowa, zostawiając kobietę stojącą bez ruchu na środku drogi. Widział w lusterku, jak wraca i pochyła się nad ciałem Kleciaka. Znów pomyślał o Ewie i swoim dziecku i złapał jeszcze większego doła niż po rozmowie z Gruchą. Kleciak i Grucha – to nie była kwestia „dzisiejszej młodzieży”. On kiedyś też był „dzisiejszą młodzieżą”. To kwestia wychowania. Czy da radę? Wiedział jedno: obaj, i Grucha, i Kleciak, wystarczająco zmotywowali go do tego, żeby dał.

Wjeżdżając na asfalt i opuszczając tamten świat, schylił się i wyciągnął ze schowka ciemne okulary. Założył je, zerknął w lusterko wsteczne na swoją twarz i odetchnął głęboko. Nie było tak źle. Przynajmniej przestał przypominać zombie. Miał nadzieję, że u żony Wichłacza pójdzie mu lepiej.

Musiał trochę odpocząć.

\* \* \*

Magdalena Wichłacz mieszkała przy ulicy Piaskowej, w jednym z pięciokondygnacyjnych bloków z wielkiej płyty, poustawianych byle jak, choć wyraźnie na kształt czegoś, co miało udawać osiedle. Ocieplenie ścian

z wyjątkiem poprawy parametrów izolacyjności niewiele dało; bloki wciąż były szkaradne i nijakie. Nastrój poprawiał jedynie sąsiadujący z osiedlem sosnowy lasek, otaczający je od południa i zachodu.

Dzwoniąc do drzwi, Krugły wciąż miał w pamięci wulgarny opis żony Wichłacza, podany przez Gruchę. Babofon z ABCD. Absolutny Brak Cyców i Dupy. Kiedy ujrzał osobę, która mu otworzyła, pomyślał, że pomylił drzwi.

– Pani Magda Wichłacz? – zapytał.

Całkiem ładna i zgrabna dziewczyna o nieco spłoszonym spojrzeniu pokiwała głową.

– Nazywam się Robert Krugły, jestem prywatnym detektywem. Mogę zająć pani chwilę?

Znów pokiwała głową. Stała przez chwilę, masując lewy łokieć i przyglądając się mu, a potem jakby nagle przypomniała sobie, że miała go wpuścić. Cofnęła się do wnętrza mieszkania, robiąc mu miejsce. Krugły wszedł do środka i zdjął ciemne okulary. Kiedy zobaczyła jego twarz, jeszcze szerzej otworzyła oczy i nabrała powietrza z głośnym westchnieniem.

– Nic panu nie jest? – zapytała, patrząc na jego brew i jeszcze mocniej masując łokieć.

– Nie. Ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym skorzystać z łazienki.

– Oczywiście, proszę. – Wskazała drogę, a kiedy ruszył w tamtym kierunku, poszła za nim.

– Ktoś pana uderzył? – zapytała ciekawie.

– Nie, skąd. Po prostu potknąłem się i upadłem. Na prostej drodze, proszę sobie wyobrazić. Taka niezdara ze mnie, wie pani? Aż sam się sobie dziwię.

Przejęta, przepchnęła się między nim a ścianą i otworzyła drzwi do łazienki.

– Proszę – szepnęła, wpuszczając go do środka.

Kiedy ją mijał, patrzyła na jego twarz z autentyczną troską w oczach. Krugły poczuł się trochę jak ranny bohater. Minęło mu, kiedy przypomniał sobie, jak frajersko dał się podejść Kleciakowi.

Podniósł rączkę mieszacza, nastawiając go na zimną wodę, i pochylił się, dotykając skronią lodowatego strumienia. Poczł ukłucie bólu, potem ulgę. Stał tak kilkanaście sekund, potem wyprostował się i patrząc w lustro, przetarł palcami bok twarzy, zmywając z niej ostatnie ślady krwi. Osuszył ranę papierem toaletowym, ostrożnie i powoli. Było lepiej. Trochę. Brew nabrzmiała twardą bulwą, razem z niknącym powoli sińcem pod okiem i czerwoną plamką na twarłowce tworzyła całkiem malowniczą kompozycję. Ale przynajmniej przestała krwawić. Tylko odrętwiały nadgarstek pobołował



jeszcze lekko, przypominając o wydarzeniach sprzed parunastu minut.

Krugły odwrócił się do Wichłacz, stojącej w drzwiach łazienki i opartej o framugę, posyłając jej promienny uśmiech. Też się uśmiechnęła, odwracając twarz i garbiąc się lekko, jak zawstydzona pensjonarka.

Była ładna. Miała kształtną twarz, pełne usta, ciemnobrązowe, błyszczące oczy i trochę zbyt gęste brwi. Ciemna grzywka zakrywała czoło, z tyłu włosy sięgały ramion. Założyła je za ucho, kiedy zobaczyła, że się jej przygląda, a potem znów zaczęła masować łokieć.

– Zespół post-polio – powiedziała, widząc, jak zerka na jej rękę. – W moim przypadku objawia się zanikiem mięśni lewego ramienia. Nie byłam szczepiona na polio, bo urodziłam się i wychowałam w Kaliningradzie.

Krugły zrobił nieokreśloną minę.

– Jest pani Rosjanką? – zapytał, otrzepując ręce z ostatnich kropel wody.

Pokręciła głową, nie wypuszczając łokcia z uchwytu prawej dłoni, i ruszyła w głąb mieszkania.

– Nie, Polką. Po prostu tam mieszkaliśmy. Pan z policji? – zapytała, oglądając się za nim, kiedy wchodziła do pokoju. Widać nie zarejestrowała tego, co powiedział przy drzwiach.

– Nie – odpowiedział, idąc za nią. – Jestem właścicielem agencji detektywistycznej.

To brzmiało zdecydowanie lepiej niż zwykły prywatny detektyw.

– Proszę, to moja licencja. – Pokazał jej dokument.

Spojrzała z lekkim zainteresowaniem, porównała twarz na zdjęciu z rzeczywistością i oddała mu go. Usiadła na kanapie i wskazała Krugłemu miejsce na jej drugim końcu. Nie zapytała, czy chce coś do picia. Siedzieli twarzami do siebie, oparci o podłokietniki, ona wciągnęła nogi na siedzisko i podkuliła je pod siebie.

– Pan w sprawie Wojtka... – Oczy pociemniały jej jeszcze bardziej.

– Tak. Mój kolega, prokurator Mateusz Michalczyk, rozmawiał już z panią, prawda?

– Tak – szepnęła.

– Ja chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. Jeśli się pani zgodzi, oczywiście. – Miał nadzieję, że wzmianką o Michalczyku przygotował sobie grunt.

Przygotował.

– Proszę, nie mam nic przeciwko... Jeśli to ma panom pomóc.

Krugły zastanawiał się, jak zacząć. Uznał, że lepiej nie wspominać, że

pracuje dla wujka Gruchy, bo każe mu się wynosić. Grucha mówił, że żona Wichłacza go nie lubi, więc w rzeczywistości było pewnie dużo gorzej, zwłaszcza że powszechnie uważało się, że to on zabił Wichłacza. A ona była o tym zapewne święcie przekonana.

– Pan pracuje dla prokuratora? – padło nagle z jej strony pytanie, niczym naturalna konsekwencja wypisanych na twarzy Krugłego rozterek.

– I tak, i nie – odpowiedział szybko. – Interesy prokuratury i mojego zleceniodawcy są zbieżne. Moje działania mają prowadzić do wykrycia sprawcy morderstwa pani męża i drugiej osoby.

– Przecież ten mały skurwiel siedzi w więzieniu – zdziwiła się. – To on zabił Wojtkę?

– Podejrzenia i udowodnienie winy to dwie różne sprawy, pani Magdo.

– Zbiera pan dowody na Gruszewskiego?

Jakby się dobrze zastanowić, to teoretycznie próba udowodnienia niewinności Gruchy mogła skończyć się dla niego źle i Krugły nawet ostrzegał przed tym Sokołowskiego. Ryzyko, że Grucha jest zabójcą, było nikłe, ale wciąż istniało.

– Tak – powiedział więc, kiwając z przekonaniem głową. – Zbieram dowody w jego sprawie.

– Dobrze. – Odetchnęła z ulgą. – Niech pan pyta.

– Gruszewski i pani mąż lubili się.

– Wojtek wszystkich lubił. I to go zgubiło. Święty, niestety, nie był, lubił też czasem wypić i poszaleć. Ale uważałam, że należy mu się, często miał dyżury w pogotowiu, nawet dwadzieścia w miesiącu. Musiał odreagować...

„Zwłaszcza że połowa z tych dyżurów to ściema i imprezy” – pomyślał Krugły, ale nic nie powiedział. To nie on miał mówić.

– Gruszewski wciągnął go w złe towarzystwo. Słyszałam, że na tych imprezach były nawet jakieś narkotyki, ale Wojtek przysięgał, że nie bierze. Wierzyłam mu, zresztą nie wyglądał, jakby brał...

„Aha”.

– ...tylko pił. – Wzruszyła ramionami. – Co zrobić? Był bardzo wesołym człowiekiem. Widział w życiu tylko jego jasne strony. Za to go kochałam... Szkoda tylko, że miał takich kolegów.

Nie płakała. Siedziała zgarbiona na kanapie, z rękami wciśniętymi między kolana, i patrzyła w kąt pokoju tymi ciemnymi, smutnymi oczami. Na małej komodzie, nad którą wisiało lustro, stało oprawione w ramkę zdjęcie Wichłacza. Róg zdjęcia przecięty był czarnym żałobnym paskiem. Na tym

zdjęciu młody chłopak o sympatycznej twarzy łobuziaka uśmiechał się szeroko, patrząc gdzieś poza kadr. Pewnie na jakiś zgrabny tyłeczek. Kobieta wstała i podeszła do komody, biorąc zdjęcie do ręki. Do drugiej wzięła inne, stojące z boku, oprawione w metalową ramkę z poskręcanych artystycznie prętów i drutów.

– Mąż nie zabierał pani na te imprezy? – zapytał.

Pokręciła głową, patrząc na zdjęcia, a potem odwróciła głowę w stronę Krugłego.

– Nie. Ja nawet nie chciałam. Nie lubię alkoholu, głośnej muzyki. Taka ze mnie szara myszka... – Uśmiechnęła się. – Ale nie miałam nic przeciwko temu, żeby Wojtek chodził. Mówiłam: musiał jakoś odreagować, ratownik medyczny to stresujący i wyczerpujący zawód. Lepsze to niż jakiś ekstremalny, ryzykowny sport.

– To prawda – przyznał Krugły.

W zasadzie całe życie Wichłacza, czy raczej ta jego część, o której żona nie miała pojęcia, była ekstremalna i ryzykowna, choć ze sportem niewiele miała wspólnego. No i zakończyła się podobnie jak w przypadku niektórych sportowców ekstremalnych – nagłym zgonem. Różnica polegała na tym, że kobiety sportowców ekstremalnych zwykle im kibicują, a kobiety takich ludzi jak Wichłacz, zdradzane i zwodzone, dowiadują się o tym ostatnie. A czasem nawet wcale, jak widać...

– To Wojtek. – Magda podała Krugłemu oba zdjęcia. – A na tym drugim jest nasz ślub. Boże, gdybym wiedziała, że dwa lata po nim zostanę wdową... zabroniłabym mu chodzić na te cholerne imprezy... znalazłabym mu inny sposób na odreagowanie.

„Lepszy niż zaliczanie pańienek i handlowanie prochami?” – pomyślał Krugły, oglądając ślubną fotografię.

Wojciech Wichłacz miał twarz szczęśliwego dziecka, wpatrywał się w żonę, w skupieniu podpisującą ślubne dokumenty, z miną, której nie sposób zagrać. Był autentycznie szczęśliwy. Stojący przed nimi kapłan nie patrzył na nich jak na obcych. Ksiądz Sobieraj miał to specyficzne spojrzenie, jakim obdarza się ludzi, których się lubi. Pełne sympatii i ciepła.

– To ksiądz... – Krugły wskazał go, zaskoczony, urywając w pół zdania.

Wichłacz uśmiechnęła się lekko.

– To w końcu ślub, tak? Kogo pan się spodziewał? Sędziego piłkarskiego? – Popatrzyła na jego minę i uznała, że należą mu się dodatkowe wyjaśnienia. – Ksiądz Marek udzielał nam ślubu. Braliśmy kościelny, konkordatowy.

Krugły oddał jej zdjęcie. Znów poczuł, jak brew pulsuje bólem i ledwo powstrzymał się, żeby jej nie dotknąć, pomasować i ulżyć cierpieniu. Wiedział, że byłoby jeszcze gorzej.

– Znaliście się z nim państwo wcześniej? Z księdzem Sobierajem?

– Święty Krzyż to była nasza parafia, zanim przeprowadziliśmy się na Piaskową. Marek przyszedł tam od razu po wyświęceniu. To był dwa tysiące piąty, chyba... Czyli osiem lat przed naszym ślubem. Wojtek co prawda do kościoła chodził rzadko albo wcale, ale jego rodzice przyjmowali kolędę. Więc można powiedzieć, że Marka znał. Oczywiście nie tak jak ja... Miałam z nim religię w szkole średniej. Wszystkie się w nim trochę bujałyśmy... – Czerwień wypęzła jej na policzki, a potem na całą twarz, sięgając linii brwi i grzywki.

Krugły patrzył na jej łokieć, zastanawiając się, czy tak drobna dziewczyna byłaby w stanie wbić nóż w ciało człowieka tak, jak zrobił to morderca. Mając tylko jedną zdrową rękę. Wbrew pozorom wymagałoby to sporej siły, zwłaszcza takim nożem i w taki sposób, bez zamachnięcia się. I jakoś nie mógł sobie tego wyobrazić. Uznał, że wystarczy. Pytać o Wichłacza już mu się nie chciało, wszystkie ważne pytania zadał jej wcześniej Michalczyk, odpowiedzi Krugły znał z protokołów. A o Sobieraja więcej pytać nie zamierzał. Jeszcze nie.

Patrząc na tę miłą, ładną kobietę, siedzącą na kanapie w skurczonej, pełnej pokory pozie, Krugły był pewien, że jej związek z Wichłaczem był swego rodzaju zależnością. Ona, niepełnosprawna i zakompleksiona dziewczyna, znalazła amatora; on, niezaspokojony seksualnie prymityw, znalazł kogoś, kto nigdy nie zrobi mu żadnego wyrzutu z żadnego powodu. Może to i dobrze, że nie dotrwali do momentu, do którego dociera wiele małżeństw: momentu, w którym łączą ich wyłącznie kredyt, dziecko albo pies. Smutne. Prawdziwe. Tylko że ta dziewczyna na to nie zasługiwała.

Krugły wstał z kanapy, uśmiechnął się do niej, jak najcieplej i najszczerzej potrafił. Tylko tyle mógł dla niej zrobić. Miał ochotę ją przytulić albo pogłaskać po włosach i nagle zdał sobie sprawę, że ona budzi w nim jakieś ojcowskie uczucia. Pomyślał, że gdyby była jego córką, zajebałby Wichłacza od razu, kiedy tylko dowiedziałby się, kim naprawdę jest. Zrobiłby to szybciej niż tajemniczy zabójca. Na usta cisnęły mu się słowa pociechy, choć na pewno nie takie, jakie ona chciałaby usłyszeć. „Trudno w to uwierzyć, ale myślę, że paradoksalnie morderca wyświadczył pani przysługę, oszczędzając wielu przykrości w życiu”. Przypomniawszy sobie neutralizer pamięci z *Men in black*.

Gdyby można było błysnąć jej czymś takim przed oczami i wdrukować: „Zapomnij o tym wieprzku, znajdź sobie fajnego faceta, przestań gładzić ciągle rękę i żyj swoim życiem, bo fajna z ciebie dziewczyna”...

Zamiast mówić, co myśli, Krugły włożył ciemne okulary, podał jej rękę i pożegnał się.

\* \* \*

Wizytę w Budnie, małej wsi niedaleko Goleniowa, Krugły również traktował jako formalność. Nie spodziewał się żadnych fajerwerków: odkryć mogących pchnąć śledztwo na nowe tory albo chociaż dodać nowy klocek do tej układanki. Po cichu liczył co prawda na monitoring parapetowy, który sprawdzał się zawsze; czy to na wsi, czy to w mieście, czy gdziekolwiek indziej. Bywał czasem zdecydowanie lepszy od elektronicznego.

Budno było zwykłą ulicówką, w większości zabudowaną nowymi domkami, porozrzucanymi wśród pól. Dom Krystiana Zawadzkiego nie był nowy. Stał na końcu wsi, przy głównej drodze, wojewódzkiej sto trzynastce, prowadzącej w stronę Mostów, a dalej Maszewa. Niski, jasnobrązowy ponemiecki budynek ze stromym, omszałym dachem wyglądał, jakby wyrósł spod ziemi sto lat temu, lecz jeszcze do tej pory nie zdążył się otrząsnąć z kurzu i brudu. Małe nadokienne frontoniki o nieładnych proporcjach wyglądały groteskowo na tle elewacji. Część z nich wyglądała jeszcze bardziej nedorzecznie, bo okna, które wieńczyły, zostały zamurowane, a nowe otwory okienne wybito w sposób najwyraźniej przypadkowy. Obok budynku rosło ogromne, rozłożyste drzewo, on sam stał blisko drogi, oddzielony od niej niskim płotem z pogiętej siatki. Nie było chodnika ani pobocza, asfalt zjazdu na posesję urywał się, przechodząc w trawiastą, wyjeżdżoną kołami samochodu ścieżkę. Za domem rozciągała się pusta przestrzeń nieużytków i pól, gdzieś na horyzoncie majaczył zarys wielkich silosów na zboże, spiętych linią rurociągu.

Krugły wjechał w ścieżkę po przeciwnej stronie drogi, prowadzącą do kilku domów rozrzuconych na niewielkim skrawku terenu jakieś sto metrów dalej. Nie wjeżdżał daleko; zostawił samochód jakieś pięć metrów od drogi i poszedł obejrzeć opustoszały dom. Robił przygnębiające wrażenie. Policyjnej plomby na drzwiach już dawno nie było. Z tego, co Krugły wiedział, Zawadzki nie miał nikogo, więc o dom nikt nie dbał. Stał porzucony i czekał na śmierć albo decyzję gminy; nie wiadomo było, co nastąpi pierwsze. Krugły obszedł dom dookoła, a potem skierował się ku sąsiedniemu, zadbanemu domowi. Zobaczył człowieka, który dłubał przy zielonym traktorze

marki New Holland. Podeszedł do płotu i zawołał:

– Dzień dobry!

Facet nie usłyszał, więc Krugły powtórzył. Tym razem zareagował; odwrócił się, odłożył na ziemię ogromny klucz nastawny i podeszedł do płotu. Minę miał podejrzliwą, zwolnił wyraźnie, ostatnie trzy kroki zrobił w tempie ślimaka i zatrzymał się dwa metry przed siatką.

– Słucham? – burknął.

– Znał pan Zawadzkiego? – Krugły od razu przeszedł do rzeczy.

Podejrzewał, że grzecznościowe formułki tylko by faceta spłoszyły; był zarobiony po pachy, pod którymi miał plamy potu, a wzrok taki, jakby żałował, że nie wziął „francuza” ze sobą.

– Policja? – zapytał, marszcząc brwi.

– Nie. Jestem...

– Zresztą gównu mnie to obchodzi. Zabieraj pan stąd dupę. Nie mamy o czym gadać – rzucił facet, odwrócił się i wrócił do traktora.

Krugły liczył się z niechętnym przyjęciem, ale to, co się stało, przerosło jego oczekiwania. Gość nie przebił co prawda Kleciaka, ale załatwił sprawę jeszcze szybciej niż tamten. Najgorsze było to, że Krugły nie miał już wielu możliwości, by spróbować gdzie indziej. Nie było „gdzie indziej”. Traktorzysta o aparycji ponurego zniwiarza był jedynym bliskim sąsiadem Zawadzkiego. Nie było sensu iść w stronę osiedla domków jednorodzinnych, zlokalizowanego zbyt daleko, by ktokolwiek stamtąd mógł zobaczyć, co dzieje się koło domu zabitego strażnika.

Zniechęcony wsiadł do samochodu i zawrócił w stronę Goleniowa. Po przejechaniu niecałych pięćdziesięciu metrów zobaczył mały sklepik o rozmiarach kiosku. Nie widział go poprzednio, ale nie dlatego, że go tu wcześniej nie było, tylko dlatego, że się trochę spieszył. Teraz już nie musiał nigdzie się spieszyć, za to nabrał ochoty na coś słodkiego. Zjechał więc na niewielki parking.

Dźwięk małego dzwoneczka, o który uderzyły otwierane drzwi, brzmiał miło. Wnętrze sklepiku dało się ogarnąć jednym spojrzeniem, nie poruszając głową, a jego powierzchnia pod względem ergonomicznym wykorzystana była niemal perfekcyjnie. Stojaki z gazetami, słodyczami i kolorowymi pierdoletami, które ludzie kupują nie wiadomo po co i których kupna żałują od razu po przyjściu do domu, kiedy jest już za późno, stały pod przeszklonymi ścianami w idealnym porządku. Zasłaniały wprawdzie światło dzienne, ale tego było i tak jak na lekarstwo, bo szyby pozalepiane były od zewnątrz

reklamami chwilówek, totolotka i jego przeróżnych mutacji. Za kontuarem, tuż obok lodówki z napojami, siedziała ładna brunetka w średnim wieku i czytała książkę. Za jej plecami, na małym blacie, cicho szumiał elektryczny czajnik.

– Dzień dobry – zagadnął uprzejmie Krugły i obejrzał się za siebie. – Ktoś w ogóle zatrzymuje się tu u pani?

Kobieta za ladą spojrzała na niego znad okularów. Oprócz oczu żadna z części jej ciała nawet nie drgnęła, a w tej samej chwili Krugły uświadomił sobie, że się nie popisał. Przypomniał sobie, jak w młodości głupiał przy ładnych kobietach i albo kończyła mu się gadka, albo walił jakiś niezbyt mądry tekst, w rodzaju tego przed chwilą. Potem mu na szczęście przeszło. Choć, jak się okazało, nie do końca.

– Pan się zatrzymał – wycedziła kobieta, patrząc zimnym, nieruchomym wzrokiem w punkt gdzieś na czole Krugłego.

– Miałem na myśli, że to takie odludzie...

– Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji, panie miastowy. Budno ma ponad dwustu mieszkańców.

– Dobra, nie powiem już nic, z wyjątkiem: „Poproszę snickersa” i „Nie mam drobnych”.

– A ja panu odpowiem: „Nie mam snickersów” i „Ale ja mam drobne”. Może być mars? – zapytała.

Zmrużyła oczy, usta rozciągnęły się w uśmiechu, twarz z nieprzeniknionej maski zmieniła się w miłą i pełną życia. Krugły roześmiał się głośno. Jakże miła odmiana po ponurym żniwiarzu. Jego obraz, ze szczególnym uwzględnieniem płam pod pachami, wciąż tłukł się gdzieś w głowie Krugłego.

– Może być mars – powiedział. – Skąd pani wie, że jestem miastowy?

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Słusznie, nigdy mnie tu pani nie widziała, więc wnioski są oczywiste. Nie jestem stąd. Ale skąd pani wie, że jestem z miasta?

– Bo ma pan litery ZS na tablicy rejestracyjnej. I abonament na szczecińską strefę płatnego parkowania. Jakies osiemdziesiąt pięć procent prawdopodobieństwa, że jest pan ze Szczecina.

Krugły obejrzał się. Przez wąską szparę między stojakiem na gazety i książki a zamrażarką z lodami zobaczył fragment swojego samochodu. Tablica rejestracyjna była oddalona tylko jakieś dwadzieścia centymetrów od przeszklonej ściany sklepika, winietka SPP za przednią szybą też była doskonale widoczna. Spojrzał na kobietę z uznaniem. Ta w odpowiedzi uniosła trzymaną w ręku książkę. *Ziarno prawdy* Miłoszewskiego.

– Ruch mam dwa razy na dzień – powiedziała. – Rano, jak wszyscy jadą do Goleniowa do pracy, i po południu, jak wracają i zapomnieli kupić papierosów albo gazety. Przez resztę czasu trzeba coś robić, no nie? Kryminały schodzą najlepiej, dlatego je prowadzę. A jak już je prowadzę, to szkoda byłoby z nich nie skorzystać.

– Gratuluję, pani Szacka. – Krugły wyszczerzył zęby. – Gratuluję...

– Spychaj, a nie Szacka. Iwona Spychaj. – Wyciągnęła rękę zza lady.

Krugły, odrobinę zdziwiony, że nie wstaje, pochylił się lekko i zobaczył, że ma na lewej nodze gips. Uścisnął dłoń sprzedawczyni.

– Robert Krugły – przedstawił się i wskazał gips: – Coś jak *Okno na podwórze*, co?

– Mniej więcej – przytaknęła. – Tylko że on spadł z konia, a ja z drabiny.

– *À propos Okna...* – powiedział z namysłem. – Co prawda domu Zawadzkiego stąd nie widać...

– Ano nie widać. – Patrzyła mu w oczy.

– Pani wie, że przyjechałem do Budna w jego sprawie?

– To stwierdzenie czy pytanie?

– Sam już nie wiem.

– No, dobrze. Ja wiem. Wiem, po co pan tu przyjechał. Na... – Zastanowiła się przez chwilę. – ...jakieś siedemdziesiąt procent.

– Jak pani się domyśliła?

– Widziałam, jak pan wtedy przejeżdżał dziesięć minut wcześniej. Dziesięć minut. Po co można przyjechać do takiej zabitej dechami wsi na dziesięć minut? Obejrzeć aleję jaworów? Za długo. Załatwić sprawę w którejś z firm? Przez dziesięć minut? To za krótko. Ale tyle mniej więcej zajmuje obejrzenie pustego domu z zewnątrz i rozmowa, a właściwie brak rozmowy z Krzyśkiem Cuchem. Zgadłam?

Krugły pokręcił w milczeniu głową.

– Nie zgadłam? – zapytała z lekkim zaskoczeniem, a może rozczarowaniem.

– Zgadła pani. To nie przeczenie, to niedowierzenie. – Zobaczył na jej twarzy zadowolenie. – A ja? Kim jestem? – zapytał.

– Policjantem?

– Poszła pani na łatwiznę.

– Najoczywistsze rozwiązania są wbrew pozorom najbardziej prawdopodobne. To jak, zgadłam?

– Trochę.

– Jak to: trochę?



– Byłem policjantem. Jestem na emeryturze.

– A teraz kim pan jest?

– Prywatnym detektywem.

– Ale mnie pan bajeruje...

Krugły sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął licencję. Położył ją na ladzie. Obejrzała ją uważnie.

– Jeezu, nie bajeruje pan... Prywatny detektyw w Budnie. To jakby Jack Nicholson przyjechał na Ińskie Lato Filmowe – powiedziała, oddając Krugłemu licencję.

– Nooo, pani Iwono, bez przesady – mruknął Krugły, skromnie spuszczać wzrok.

Przez chwilę faktycznie poczuł się jak Jack Nicholson.

– Racja, trochę przesadziłam... – uznała, przyglądając mu się nieco krzywo, i Krugłemu minęło.

– Krzysiek rzucał mięsem? – zapytała.

– W granicach przyzwoitości. Po prostu odwrócił się i odszedł naprawiać traktor.

– Czyli to nie on przemodelował panu twarz?

– Nie, chociaż przez chwilę miał taką możliwość, trzymał ją w ręku, ważyła jakieś trzy kilo i używał jej przy naprawie traktora. Ale odłożył i nie skorzystał. A co, lubi tę robotę?

Spychaj uśmiechnęła się.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale ostatnio jest cięty na stróżów prawa. Trochę go maglowali po zabójstwie Zawadzkiego, w końcu był jego najbliższym, a w zasadzie jedynym sąsiadem. Pół dnia u niego siedzieli, szukali czegoś w obejściu, a jemu jałówka się cielila. Nie pozwolili mu wezwać weterynarza, sam też nie mógł jej doglądać. A potem było za późno. Jałówka zdechła, a cielak anemiczny. Od miesięcy śle biedny Krzysiek pisma o odszkodowanie za krowę, wszędzie, gdzie się da, ale tylko odsyłają, że niewłaściwy organ...

– Smutne. Zawsze tak jest. To jak kręgi na wodzie po wrzuceniu do niej kamienia. Ktoś zabija jedną osobę, a ta śmierć dotyka pośrednio wielu. Jak tego Krzyśka, jak chłopaka, którego mam wyciągnąć z więzienia...

– Tego, którego wsadzili za to zabójstwo? – zapytała.

– Nie za zabójstwo, jest tylko podejrzany. Ale to nie on zabił Zawadzkiego. – Krugły zdał sobie sprawę, że papie o tej niewinności Gruchy każdemu, kogo spotka. Robił mu dobry PR w Goleniowie i okolicach czy co?

- Jest pan pewny?
- Jeszcze nie. Nie na sto procent. – Uśmiechnął się. – Ale mam podstawy sądzić, że nie zabił. Solidne podstawy. Przyjechałem tu pogadać z sąsiadami. Wie pani... czy nie widzieli czegoś podejrzanego i tak dalej.
- Standard – powiedziała, pokazując półkę z kryminałami.
- Standard – powtórzył Krugły, kiwając głową.
- Ale pan sobie nie pogadał?
- Nie pogadałem – przyznał. – To prawda. Przynajmniej nie z Krzyśkiem Cuchem.
- To może ze mną sobie pan pogada?
- A nie to właśnie robimy?
- Ale o Zawadzkim.
- Jest pani chętna do rozmowy na jego temat?
- Wie pan, jakie są trzy najlepsze miejsca, w których można się dowiedzieć najwięcej?
- No?
- Fryzjer, magiel i kiosk. Jest pan w jednym z tych miejsc.
- Myślałem, że kiosk to taka budka, w której mieści się wyłącznie kioskarka, trochę gazet i parę sztang fajek?
- Źle pan myślał. Jest pan w kiosku.
- To dobrze się składa. W takim razie słucham.
- Co pan o nim wie?
- O Zawadzkim? Pracował jako strażnik więzienny. Samotny, jakiś czas temu zmarła mu matka, z którą mieszkał. Podobno skończył studia.
- Pedagogikę resocjalizacyjną. Zaocznie. Był ambitny, to prawda. Ale całkowicie zdominowany przez matkę. Trochę wycofany i uzależniony. Od jej humorów, poglądów. A humory i poglądy to ona miała, ho, ho...
- O tym też słyszałem.
- To w zasadzie słyszał pan już wszystko.
- To sobie o nim nie pogadaliśmy...
- Niewiele osób znało go bliżej. Nie udzielał się towarzysko we wsi, nie pomagał nikomu i sam takiej pomocy nie chciał. Ani on, ani jego matka. Ale jest coś, o czym pan mógł nie słyszeć.
- O dziewczynie?
- Spychaj uniosła wysoko brwi.
- Zaimponował mi pan teraz, panie miastowy detektywie.
- Wiem tylko, że jakaś była. Krótka. I to wszystko.

– Zgadza się, krótko. Widziałam ją tylko raz.

– Widziała ją pani?!

„A w Budnie zbierzecie owoce swej pracy – pomyślał Krugły. – Dochodzeniowej...”

– To było chyba pod koniec zeszłego roku... Tak, grudzień, ale sporo przed świętami.

– Gdzie ją pani widziała? Tutaj?

– Tutaj był on, kupował nalewkę wiśniową. Chyba nie wypił w życiu nic mocniejszego. Ona została w taksówce. Jechali do niego.

– I widziała ją pani ze swojego miejsca?

– Przez tę szparę. – Wskazała szczelinę, przez którą wcześniej dojrzała tablicę rejestracyjną.

– Potrafi ją pani opisać? – zapytał szybko Krugły.

Pani Iwona prawie się roześmiała. Takie oczy miał ósmioletni Radek, któremu raz na tydzień, w sobotę, rodzice pozwalali kupić w jej sklepiku batonik albo jajko niespodziankę.

– Raczej młoda, chyba że miała kilka warstw tapety na twarzy. Pan wie, że kobiety potrafią takie rzeczy. Ciemne włosy, z grzywką na czole. Dłuższe niż moje, proste, podwinięte na końcu. To w zasadzie wszystko...

– Hm... – Oczy Krugłego zgasły, jak u T-800, który się właśnie wyłączył.

Pani Iwona wzruszyła ramionami.

– W szybie samochodu odbijało się niebo. Nie widziałam jej dokładnie. Co, szалу nie ma?

„Jaka praca, taka płaca. Choć nie do końca” – pomyślał Krugły, przypominając sobie rewelacje Gruchy. Także te o niezłym biuście, co w wypadku typu jego pokroju mogło oznaczać wyłącznie to, że był po prostu duży.

– Szalu może nie – powiedział ostrożnie – ale to już coś. Brunetka z grzywką już raz dała się nam poznać.

– Kto to taki?

– Nie wiemy. Na razie po prostu brunetka. – Zastanowił się przez chwilę. – Nie poznaliśmy jej osobiście, tylko ze słyszenia. Pani Iwono, mam nieco... eee... krępujące pytanie. Czy... czy ona miała duży biust?

Pytanie, wbrew obawom Krugłego, absolutnie nie skrępowało pani Iwony. Zapewne obawy te wynikły z faktu, że faceci są z Wenus. Czy tam z Marsa.

– Nie mam pojęcia, jaki miała biust. Nie widziałam nic prócz głowy, szyi i ramion, i to raczej w zarysie. A to takie ważne? – zainteresowała się.

– Odpowiedź twierdząca na to pytanie do jakichś dziewięćdziesięciu procent zwiększyłaby nam prawdopodobieństwo, że to ta sama dziewczyna, o której myślimy.

– My, nam... Nie pracuje pan sam, jak to zwykle prywatny detektyw?

– Kolejny punkt dla pani. – Krugły uniósł ze zdziwienia brwi. – Wyłapie pani wszystko. A kwestia mojej pracy jest dość skomplikowana. Teoretycznie pracuję sam, ale mam... nieformalnych współpracowników.

– Rozumiem.

– Powie mi pani coś jeszcze o Zawadzkiem?

Pokręciła głową.

– Nie. Może tylko tyle, że był mocno pokrzywdzony przez los. I przez matkę. Wie pan, że jeździła z nim w weekendy na studia? Pilnowała go. – Pani Iwona westchnęła. – Zgroza, co?

– Zgroza – potwierdził Krugły. – Aż dziw, że pozwoliła mu na pracę w takim miejscu jak więzienie.

– Robił tam tylko to, co w domu robiła z nim jego matka. Uczył się tego przez całe życie...

Krugły pokiwał głową, wziął z lady baton i wyciągnął z portfela stówę. Położył ją na kontuarze i patrzył, jak pani Iwona „Szacka” Spychaj wydaje mu resztę.

– Serdecznie pani dziękuję, pani Iwono. – Uśmiechnął się do niej. – Gdyby mi się nie zachciało snickersa...

– Toby pan się nie dowiedział o tajemniczej brunetce, prawda?

– Dokładnie. A to stało się właśnie dzięki jednemu z moich nieformalnych współpracowników.

– Poznam również jego nazwisko, panie detektywie Krugły? – Uśmiechnęła się, trochę kokieteryjnie.

– Owszem. Pomaga mi od zawsze. Nazywa się: przypadek.

Krugły schował pieniądze do portfela, podziękował i wyszedł ze sklepiku, żegnany dźwiękiem dzwonka. Kiedy z batonem w zębach zapinał pas, przez szybę i szparę między stojakami zobaczył, jak sklepikarka macha mu znad *Ziarna prawdy*. Odmachał jej i wycofał z miejsca postojowego, mijając się z innym samochodem. Zbliżała się pora popołudniowego ruchu. Zerknął ostatni raz na szybę sklepiku i pojechał do Michalczyka.

\* \* \*

Wizyta w prokuraturze powoli zaczynała stawać się codziennym rytuałem.

Zbliżał się koniec dnia pracy, co uwidaczniało się tym, że Michalczyk miał na biurku coś, co miało przypominać porządek.

– Przyszedłem zdać ci raport z postępów śledztwa – powiedział Krugły.

Tym razem darował sobie siadanie w foteliku „dziadek do orzechów”, bo nie miał za dużo czasu. Michalczyk wskazał na jego twarz.

– Nie musisz nic mówić. – Zmarszczył brwi. – Widzę ten raport na twojej twarzy. Prosisz się o te bęcki czy to czysty przypadek?

– Prawo serii. Nieważne. Ważne jest to, że są pierwsze efekty. Pojawiło się wreszcie coś, co łączy Wichłacza i Zawadzkiego.

– Co?

– Właściwie nie co, tylko kto. I to razy dwa. Jedno to więzienny kapelan. Ksiądz Marek Sobieraj.

– Żartujesz? Więc jednak. A drugie?

– Pamiętasz, Grucha mówił o dziewczynie, z którą przez jakiś czas bujał się Wichłacz?

– Pamiętam.

– Naczelnik Mieczysław wspominał z kolei o dziewczynie Zawadzkiego.

– Zgadza się.

– Zauważ pewne podobieństwa. Obaj przez krótki czas mieli dziewczynę...

– Jak miliony innych facetów.

– Owszem, tylko że w ich przypadku to może być ta sama osoba.

– Skąd wiesz?

– Ze źródła operacyjnego o kryptonimie „Iwona”, znajdującego się w sklepiku w Budnie, gdzie mieszkał Zawadzki. Mamy dwie osoby, które widziały tajemniczą brunetkę z grzywką u boku Wichłacza i Zawadzkiego.

– Sporo kobiet ma ciemne włosy z grzywką.

– Owszem, na przykład żona Wichłacza – przyznał Krugły.

– Właśnie.

– Grucha nie pomyliłby chyba laski, którą Wichłacz przyprowadził na imprezę, z jego żoną, która go w dodatku serdecznie nienawidziła?

– Niby racja... Dobra, a Sobieraj?

– Udzielał Wichłaczowi ślubu. Co prawda znał się bliżej z jego żoną niż z nim, ale zawsze. I jeszcze jedna podejrzana rzecz. Dlaczego podczas rozmowy o Zawadzkim nie wspomniał nam o tym, że znał również drugą ofiarę?

– Tja... Ta twoja skrajnie ubecka podejrzliwość... A dlaczego my go nie zapytaliśmy o Wichłacza?

– Otóż to. Nieważne już, wiemy, że go znał. Szukałeś elementów łączących obie ofiary. To masz. Nawet dwa.

– Coś takiego. – Michalczyk pokręcił głową – Chociaż... Wiesz, Goleniów to małe miasto. To może być zupełny przypadek.

– Sobieraj być może tak. Choć w świetle faktu znajomości z Wichłaczem też coraz bardziej wątpię w przypadek. Ale ta dziewczyna?

– Nie mamy pewności, że to ta sama.

– Owszem, nie mamy – zgodził się Krugły. – Ale sam przyznasz, że istnieje duże prawdopodobieństwo. Bardzo podobne okoliczności. Babka, przyjmując, że to ta sama, pojawia się u boku facetów znikąd, znika po krótkim czasie, a potem oni giną w identyczny sposób. Wygląda to na działanie modliszki. Myślę, że trzeba ciągnąć obydwie wątki: i tej brunetki, i Sobieraja, bo księżulo przestaje mi się podobać. Jeśli to on, odpada nam motyw seryjnego, jeżeli w ogóle możemy go tak nazywać, bo mamy tylko dwie ofiary. I Sobieraj znał je obie. One nie są przypadkowe. Tu jest motywacja czymś innym niż samym zabójstwem. Śmierć ofiary nie jest celem samym w sobie, nie służy zaspokojeniu chorego popędu. Seryjni zwykle nie znają wcześniej swych ofiar. Poznają je w dopiero w momencie wyboru bądź obserwacji na niedługo przed morderstwem. I tu też tak naprawdę nie możemy mówić o poznaniu w pełnym sensie, tak? Jak dla mnie, Mateusz, to są zaplanowane zabójstwa, choć sposób ich dokonania świadczy ewidentnie o nieźrównoważeniu sprawcy. Więc może jednak opcja seryjnego nie do końca upada... Ale ta kobieta... Musimy przede wszystkim dowiedzieć się, kim ona jest.

– Słusznie. To ja też mam coś zaskakującego. Zadałem sobie trud i podzwoniłem do prokuratur w województwie. Pytałem o wszystkie niewyjaśnione przypadki zabójstw z użyciem noża lub innego ostrego narzędzia. I co? I bingo! Wiesz, że niecały rok temu w lesie pod Świdwinem znaleziono zwłoki niejakiego Norberta Domińczyka? Denat zginął od ciosu nożem podczas grzybobrania, tożsamości sprawcy nie ustalono do dziś, nie odnaleziono również narzędzia zbrodni. Poprosiłem o kopie dokumentów śledztwa i raportu z sekcji zwłok. W protokole patolog nie określił typu noża, podał tylko parametry głowni, na podstawie idealnie prostego kanału rany. Prosta, około osiemnastu centymetrów długości, obosieczna. Jak nóż wzór dziewięćdziesiąt dwa. Na zdjęciu z sekcji rana wygląda identycznie jak ta u naszych sztywniaków. Identycznie!

– Numer trzy? Czyli jednak możemy zacząć mówić o seryjnym?

– Nie trzy. Był w końcu pierwszy w kolejności, więc raczej jeden.

A w zasadzie zero, jeśli trzymać się naszej nomenklatury, gdzie numer jeden to Zawadzki, a dwa to Wichłacz.

– *Prequel?*

– Coś w tym rodzaju.

– A eter?

Michalczyk wzruszył ramionami.

– Nigdzie nie ma mowy o eterze. Może nie zauważyli, a może Domińczyk nie został usypiony. Może morderca dopiero się rozkręcał, zrobił to trochę przypadkowo, przeraził się reakcji ofiary i doszedł do wniosku, że następne będzie usypiał, żeby tego uniknąć? Nie wiem... O tłustych śladach na czole i dłoniach też nie ma w raporcie ani słowa.

– A powiązania tego Domińczyka z Zawadzkim i Wichłaczem? Tudzież z Gruchą?

Michalczyk zrobił minę ryby wyrzuconej na brzeg podbierakiem.

– Też zero. Jak na razie! – zastrzegł. – Domińczyk był bezkonfliktowym człowiekiem. Co prawda rozwiedzionym, ale uzyskał unieważnienie małżeństwa przed sądem biskupim. Jego żona okazała się osobą chorą psychicznie i zataiła ten fakt przed ślubem. Facet udzielał się w swojej parafii, był nawet nadzwyczajnym szafarzem komunii świętej. A takich uprawnień nie nadaje się byle komu... – Urwał na chwilę, a potem zapytał: – Jak myślisz, Sobieraj znał tego Domińczyka?

– Nie wiem, czy go znał, ale zauważyłem pewną zaskakującą zbieżność – powiedział Krugły powoli. – Wszyscy denaci w jakiś sposób związani są z Kościołem. Religijni ludzie o nieposzlakowanej opinii...

– A Wichłacz? Myślisz, że też zasiada przy jednym stole z Bogiem? Pewnie siedzi koło tego nawróconego złoczyńcy, który wisiał na krzyżu obok Chrystusa, i diluje pod stołem. „Hej, Dobry Łotrze, chcesz trochę amfy? – mówi do niego. – Nie? To bądź tak dobry, łaskawco, i zapytaj dalej”.

– No, może oprócz Wichłacza. Ale przyznasz, że coś w tym jest?

Michalczyk westchnął.

– Owszem, jest: czysta statystyka. Jakies dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa tego kraju deklaruje wiarę w Boga i przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego...

– Z czego w kościele regularnie pojawia się piętnaście procent – przerwał mu Krugły. – Zawadzki i Domińczyk byli wśród nich. Plus twój olej chorych. Pachnie mi czarną owcą pośród baranków na pastwisku Pana. I naprawdę zaczynam sądzić, że jest w to zamieszany jeden z Jego pomocników... Czyżby

jednak Sobieraj?

Michalczyk spojrział na niego znacząco.

– A jak ktoś z nami pogrywa?

– Co masz na myśli?

– Być może ktoś usiłuje nas przekonać, że te morderstwa popełnia ksiądz.

– Mało prawdopodobne.

– Bo?

– Bo wracamy do naszych rozważań z pierwszego spotkania w tej sprawie.

Czy nie zostawiałby wtedy jaśniejszych wskazówek? Wybacz, ale założenie mordercy, że ktoś zorientuje się, że mazidło na skórze ofiar ma coś wspólnego z ostatnim namaszczeniem, nawet zakładając twoją wyjątkowość, byłoby absurdalne.

– Tak sądzisz?

– Tak sądzę.

– Czyli jednak ksiądz?

– Tak sądzę, panie prokuratorze. Tak sądzę...



## VII

Czasem, kiedy kończył się dzień, a ona kładła się spać, przychodziły obrazy. Wspomnienia. Oglądała je z zamkniętymi oczami, aż nadchodził sen.

Z tamtego miejsca nie miała wielu wspomnień, zadbali o to lekarze. To nie było miejsce jak z filmów grozy. Co prawda nie oglądała nigdy wcześniej takich filmów, słyszała tylko opowieści koleżanek, ale to miejsce nie było takie, jak w tych opowieściach. Co nie znaczy, że nie było przynębiające. Było. Wysysało chęć życia, której wtedy i tak prawie wcale w niej nie było.

Niemal całe dni leżała na łóżku, gapiąc się bezmyślnie w okno. Nie chciała o niczym myśleć. Kiedy zaczynała to robić, natychmiast myślała o tym, z jakiego powodu tam trafiła. Była mądrą dziewczynką. Wiedziała, że leki, które bierze, zmieniają jej postrzeganie świata. Ale wierzyła lekarzom. Wierzyła, że ktoś chce dla niej dobrze. Ktoś tu, na ziemi, ktoś realny, ktoś z krwi i kości, a nie z chleba i wina. Tamten Ktoś odwrócił się od niej. Wnioski nasuwały się same, więc teraz będzie musiała radzić sobie sama.

Kiedy nie leżała, snuła się po korytarzu. Mijała dzieciaki takie jak ona. Niektóre się cięły, niektóre połykały ostre przedmioty, inne brały narkotyki, piły albo bez powodu rzucały się na kolegów. On wyróżniał się spośród nich wszystkich. Był wysoki, miał fajnie nastroszone ciemne włosy, jasne oczy i koszulkę z napisem WELL DONE.

– Hej – powiedział do niej pewnego dnia, kiedy mijali się na szpitalnym korytarzu.

– Hej – odpowiedziała mu obojętnie.

Zatrzymali się przy oknie. Na zewnątrz było biało i zimno.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Agnieszka, a ty?

– Jerzyk. Jurek, ale wszyscy mówią na mnie Jerzyk. Czemu tu jesteś?

Spuściła głowę.

– Nie chcę o tym mówić. Nie mogę, po prostu nie mogę, jeszcze nie, rozumiesz?

Skinął poważnie głową.

– Rozumiem.

Była mu za to wdzięczna.

– A ty? – zapytała. – Czemu ty tu jesteś?

– Bo się ciąłem. – Pokazał jej przedramiona, pokryte dziesiątkami małych, ciemnych blizn.

Potem podwinął rękaw koszulki i zobaczyła następne, na ramionach. Spojrzała na niego z autentycznym zaciekawieniem.

– Dlaczego to robisz? – Była zszokowana tym, że ktoś może kaleczyć sam siebie.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Po to tu jestem, żeby starzy się dowiedzieli... Po to mnie tu wsadzili.

– Czy to boli?

– Pierwszy raz strasznie. Ale potem już wiesz, czego się spodziewać i jest trochę lepiej. Da się wytrzymać.

– Nie zastanawiałaś się nad tym nigdy?

– Nad czym?

– Dlaczego to robisz.

– No, dobra. Trochę o tym myślałem, przyznaję...

– I co wymyśliłeś, Jerzyku? – Uśmiechnęła się do niego.

On się nie uśmiechnął.

– Wymyśliłem, że to z zemsty.

– Z zemsty? – Otworzyła szeroko oczy.

– Tak, z zemsty.

– Na kim?

– Na starych.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie do końca. Ale myślę, że chodzi o to, żeby ich ukarać za to, że mają mnie w dupie. Że ich nie interesuję.

– Jak to możliwe?

– Normalnie. Po prostu mają mnie gdzieś, i już. Co w tym dziwnego?

– Ale... ale przecież ukarałeś sam siebie!!! – Dotknęła jednej z blizn na przedramieniu.

Nie odsunął ręki.

– Nie, nie siebie. Ich.

– W jaki sposób ich ukarałeś?

– Zraniłem i uszkodziłem coś cennego.

– Ejże, przecież sam powiedziałeś, że ich nie interesujesz?

– No, tak...

– Więc po co to robiłeś dalej? – Dotknęła go wyżej, w ramię.

– Może po to, żeby dowiedzieć się, czy w ogóle jestem dla nich cenny?

– I tak do skutku?

- Do skutku.
- A wiesz, jaki skutek miało to twoje cięcie?
- No?
- Tu jest ten skutek. – Potoczyła dłonią po korytarzu. – Jedyne, co osiągnąłeś, to że cię wsadzili do psychiatryka.
- To tylko obserwacja, nie przesadzaj...
- To nieistotne, Jerzyku. Skutek twojej zemsty jest zupełnie inny, niż zakładałeś. Przyznasz to chyba?
- Nno, może. To co mi doradzisz, jak taka cwana jesteś?
- Zemsta powinna być przemyślana, rozumiesz? Za i przeciw, wady i zalety, zyski i straty, skutki, ale wszystkie możliwe, a nie tylko te, które sobie życzysz. Trzeba ją zaplanować w najdrobniejszych szczegółach!
- Spojrzał na nią z uznaniem.
- Chyba ktoś się pomylił, wsadzając cię tu, Agnes...
- Czemu? – zapytała.
- Spodobało się jej to, jak ją nazwał.
- Za mądra jesteś, żeby tu być, wiesz? Skąd tyle wiesz o zemście, mała?
- „Mała” spodobała się jej zdecydowanie mniej niż „Agnes”.
- Nie wiem nic o zemście – powiedziała cicho. – Jestem po prostu...
- Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.
- ...jestem po prostu mądra.

## VIII

### Środa, 8 lipca

Następnego dnia, tuż po dziewiątej rano Krugły zadzwonił do Sokołowskiego i poprosił go o spotkanie w pilnej sprawie. Sokołowski pomarudził trochę, ale koniec końców zgodził się, mimo że Krugły nie chciał powiedzieć, o co konkretnie chodzi.

Spotkali się na mieście, przed jedenastą. Tym razem nie w Radeckim i na lodach, tylko w Kaskadzie, przy stoliku koło barierki antresoli, z widokiem na wejście od strony Kaszubskiej i instalację klimatyzacyjną. Chmura zapachów śmieciowego żarcia z różnych rejonów świata, które wydobywały się z lokali gastronomicznych, otaczała ich jak smog mieszkańców Krakowa. Sokołowski musiał mieć mało czasu, bo tym razem nie silił się na erudycję, widać było, że się spieszy. Krugły również chciał już mieć to za sobą.

– Ma pan coś konkretnego? – zapytał biznesmen.

Zerknął na swój wypasiony zegarek, inny niż ostatnim razem. Krugły zauważył skrzydełka i kotwiczkę Breitlinga. Zerknięcie nie było ostentacyjne, raczej dyskretne, jak odruch u bardzo zajętego człowieka z napiętym planem dnia. Ale to wystarczyło, żeby Krugłemu od razu przestało się spieszyć.

– Mało konkretów – przyznał, powoli cedząc słowa. – Ale jest niezłe. Rafał trochę współpracuje, zdobyłem przekonujące dowody, że nie jest zamieszany w przynajmniej jedno z morderstw. A to już coś... Pracuję nad tym drugim. Ale ja w zasadzie w innej sprawie...

– Tak? – zdziwił się Sokołowski.

– Tak. – Krugły sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej coś, po czym położył przed nim na stoliku.

Znalazł to dziś rano, kiedy Ewa, wrzeszcząc nieludzko, kazała mu zabrać dorodnego kątnika z okolic telewizora. A ponieważ od dziecka wierzyła, że zabicie pająka przynosi deszcz, tudzież inne nieszczęścia, poprosiła Krugłego, żeby złapał go do szklanki i wyrzucił za okno. Gdy spełniał jej prośbę, korzystając z ciężkiej szklanki do latte, to coś, co teraz leżało na stoliku, wysunęło się zza telewizora i spadło razem z pajakiem na podłogę. Nie uciekło razem z nim, mimo że systematycznie, przynajmniej w teorii, należą do tej samej domeny eukariontów, królestwa zwierząt, a nawet tego samego typu: stawonogów...

Pluskwa, jaką znalazł Krugły, nie mogła uciec, bo nie miała nóg. Była elektroniczna. Wyglądała, jak maleńka, płaska bateryjka ze sterczącym z niej

drucikiem. Ukrył ją w dłoni, nie pokazując Ewie. Nie chciał jej martwić. Pająk pozostał nieuchwytny, kryjąc się gdzieś w szparze za listwą przypodłogową.

Sokołowski nie był zszokowany. Nie był nawet zdziwiony.

– Po co mi pan to daje? – zapytał spokojnie.

– Żeby pan to oddał temu swojemu specjalście, który mnie prześwietlał, zanim zdecydował się pan mnie wynająć. Tak przy okazji, mogę wiedzieć, kto to jest?

Zamiast powiedzieć po prostu: „nie”, Sokołowski wybuchnął gromkim śmiechem.

– Panie komisarzu, doprawdy. – Kręcił głową, ze spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – I takie pytanie zadaje profesjonalista? Zadziwia mnie pan...

– Zawsze warto próbować. – Krugły wzruszył ramionami i wskazał pluskwę. – To tłumaczy przynajmniej, skąd pan wiedział o ciąży mojej partnerki. I nie podoba mi się to. Naruszył pan moją prywatność, pomijając fakt, że ten ktoś, kto to zamontował w moim mieszkaniu, popełnił przestępstwo. Włamał się do mnie. Ostrzegam pana, żeby to się więcej nie powtórzyło. Bo nie skończy się na ostrzeżeniach. Znajdę bydlaka. Nie mówię, że zmuszę go do tego, żeby przyznał, że zrobił to na pańskie zlecenie. Pana, jako swojego klienta, nie będę w to mieszał. Ale jego zaboli. Rozumiemy się?

– To wszystko? – zapytał Sokołowski, chowając pluskwę do kieszeni marynarki.

Niewiarygodne, ale marynarka nie była czarna. Była ciemnoszara, wpadająca w antracyt.

– Wszystko. – Krugły wstał. – Kiedy będę miał coś nowego, dam znać. W porządku?

– W porządku, panie komisarzu – westchnął Sokołowski. – Widzę, że zły dzień to u pana stan permanentny. Do usłyszenia.

Również wstał i skierował się w stronę wind. „Synek” jak na komendę opuścił swoje stanowisko przy sąsiednim stoliku i ruszył za pryncypałem. Krugły miał przed sobą ciężki dzień, więc udzielił sobie dyspensy i korzystając z okazji, zeżarł wrapa z grillowanym kurczakiem w sosie miodowo-musztardowym. Był kurewsko niezdrowy i smakował bosko. Frytki i cola też.

\* \* \*

Dzień był pochmurny i zimny, Krugły, wychodząc na zewnątrz, miał

wrażenie, jakby cofnął się w czasie, w okolice przełomu kwietnia i maja. Co jakiś czas popadywał deszczyk, zacinając w twarz, w którąkolwiek stronę by się nie szło. Droga była śliska, więc Krugły jechał ostrożnie, raty leasingowe skutecznie hamowały rajdowe zapędy. Jechał tam, gdzie zwykle ostatnimi czasy, czyli do Goleniowa, tym razem po to, by złożyć wizytę w tamtejszej komendzie. Tak naprawdę nie musiał tam jechać, wystarczyło, że to Michalczyk sprawdzi czas interwencji policji w mieszkaniu Gruchy krytycznej nocy, zwłaszcza że jego możliwości w tej materii były o niebo większe niż Krugłego. Tylko że droga urzędowa jest długa, zmundna i najeżona biurokratycznymi przeszkodami, a Krugły chciał potwierdzić to jak najszybciej, choćby nawet i nieoficjalnie. Na obecnym etapie życia jego możliwości załatwienia tej sprawy były co prawda nikłe, ale liczył na fart i koleżeńską solidarność. Poza tym nic go to nie kosztowało, z wyjątkiem kilku litrów benzyny i dwóch godzin, łącznie z drogą tam i z powrotem. Kilkadziesiąt minut później wjechał w ślepy zaułek sięgacza, który wypączkował z ulicy Maszewskiej.

Komenda powiatowa policji w Goleniowie zajmuje budynek stojący na jego końcu; kilkupiętrowy, wielki i biały jak lodowa góra klocek, zwieńczony dżgającą chmury anteną i niebieskim napisem POLICJA z ogromnych, blokowych liter ustawionych na krawędzi płaskiego dachu.

Krugły pokręcił się po uliczce, konstatuując z zawodem, że nie czeka na niego ani jedno wolne miejsce postojowe. Wcisnął się w końcu w połówkę, którą wypatrzył niedaleko wejścia do komendy; na kopertę przy znaku zakazu postojem najechał tylko prawymi kołami.

Kiedy dotarł do kontuaru zaraz za drzwiami wejściowymi, oparł się o niego i studiując swoje niewyraźnie majaczące w szybie odbicie, czekał, aż dyżurny go zauważy.

- Słucham pana – doczekał się już po chwili.
- Aspirant Szymborski – rzucił. – Pracuje tu jeszcze?

Dyżurny spojrzał na niego, lekko zdziwiony. Krugły widział namysł na jego twarzy. Zawodowa podejrzliwość, całkowicie zresztą zrozumiała. Policjant podniósł słuchawkę telefonu i nie spuszczając z Krugłego wzroku, wybrał numer wewnętrzny. Trzema palcami, w ułamku sekundy, w dodatku nie patrząc na aparat; oto co znaczy wprawa. Kiedy po drugiej stronie ktoś się odezwał, rzucił do słuchawki:

- Gościa masz. – Po chwili spojrzał na Krugłego i przekazał pytanie: – Kto?
- Robert Krugły.

Policjant znów przysunął słuchawkę do ucha.

– A szczegóły? – zapytał, odwracając ją w stronę Krugłego.

– Kurs w WSPol w Szczytnie, sześć lat temu – powiedział głośniejszym głosem, by jego głos dosięgnął słuchawki.

Dyżurny znów przyłożył słuchawkę do ucha, po chwili odłożył ją na aparat i oczami wskazał rząd krzesełek pod ścianą korytarza.

– Już idzie – rzucił krótko.

Krugły skinął głową i usiadł na jednym z krzesełek. Dziesięć minut później pojawił się aspirant Witold Szymborski. Tęższy niż wtedy, kiedy Krugły widział go po raz ostatni, obcięte na zapałkę włosy też były inne; jedynie te na czubku głowy pozostały jeszcze ciemne. Nie zmieniły się tylko czarne, zrosnięte nad nosem brwi. Na pagonach miał jedną gwiazdkę więcej.

Krugły nie lubił gościa. Poznali się na kursie doszkalającym w szkole policyjnej w Szczytnie. Kurs jak kurs, kwestia jego przydatności była dyskusyjna, jak wiele rzeczy w policji, ale chłanie po godzinach pozwalało na nawiązywanie kontaktów. To nie interesy łączą ludzi. To woda. Mieszkał z Szymborskim przez tydzień w jednym pokoju. Towarzystwa się nie wybiera, typ był mrukliwy i niezbyt rozgarnięty, ale alkohol zmieniał go jak eliksir doktora Jekylla. Diametralnie. Krugły też nie bywał wtedy sobą, ale potrafił się kontrolować. Szymborski nie. Wyjeżdżając do domu, niewiele pamiętał z tego, co działo się wieczorami, Krugły był przekonany, że z kursu też niewiele mu w głowie zostało. Liczył jednak na to, że Szymborski coś jednak zapamiętał. A mianowicie fakt, że Krugły był dla niego miły i że przynosił mu do pokoju śniadanie i herbatę, by mógł uzupełnić wszystko to, co z przerażającym charkotem tracił w nocy podczas rozmowy z wielkim, białym uchem.

Szymborski stanął przed nim i patrzył mu w twarz z błakającym się na ustach uśmiechem. Analizował. Uniósł nagle zrosnięte brwi, pokiwał głową i powiedział, wskazując kciukiem drzwi wejściowe:

– Chodź na fajkę.

Krugły wstał i podał mu rękę. Przywitali się uściskiem dłoni, wyszli na zewnątrz i stanęli koło zaparkowanych w szeregu samochodów. Szymborski wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, otworzył ją i podsunął Krugłemu niemal pod sam nos.

– Dzięki. – Krugły pokręcił głową. – Rzuciłem.

Witek zabrał papierosy i pokiwał głową z taką miną, jakby doskonale wiedział, o czym mowa, albo co najmniej łączył się z Krugłym w bólu.

Wyciągnął jednego, przypalił sobie, osłaniając płomień zapalniczki dłonią, i rzucił przez zaciśnięte usta:

– Też bym rzucił. Jak z chłopakami czasem piłkę kopimy, to zaczyna mi pary brakować, tylko że... co tu dużo mówić, palenie jest zajebiście przyjemne.

Teraz Krugły pokiwał głową, jakby doskonale wiedział, o czym mowa. Wiedział, zwłaszcza o tym drugim. Szymborski palił w ten swój charakterystyczny sposób. Zachłannie i łapczywie, jak gówniarz, który w każdej chwili spodziewa się, że zza rogu wyjdzie jego ojciec. Spalał papierosa w półtorej minuty.

– Jak leci? – zapytał.

Krugły nawet ucieszył się, że od razu przeszedł do rzeczy, a nie zaczął wspominać kurs. Tak naprawdę nie było czego wspominać i Witek też chyba zdawał sobie z tego sprawę.

– Powoli – odpowiedział leniwie.

– Jak kariera?

– Odszedłem z firmy.

– Ty? – zdziwił się Witek, spoglądając na niego zza chmury dymu. – Taki as?

– Ano.

– Gdzie teraz robisz?

– Prywatnie.

Szymborski spojrzał na niego, a zdziwienie w oczach mieszało się z lekką pogardą.

– Prywatny detektyw znaczy?

– Dokładnie – potwierdził Krugły, przezornie nie patrząc na niego. – A u ciebie?

Miał w dupie, co Witek sobie myśli o nim, tak jak miał w dupie to, jak mu się wiedzie. Ale chciał załatwić swoją sprawę.

– U mnie? – zapytał Szymborski. – Po staremu. Chuj mnie na to wszystko strzela...

Splunął i spojrzał w kierunku budynku komendy. Kiedy wrócił spojrzeniem, Krugły zauważył w nim jakąś nienawiść. Oczy pod zrośniętymi brwiami były zwierciadłem stanu duszy tego człowieka i można było z nich czytać jak z promptera. Ciekawe, czy Witek o tym wiedział?

– Trochę cię rozumiem. Dlatego między innymi odszedłem – polecił go.

Witek nic nie powiedział. Rzucił niedopałek, który upadł na linię



namalowanej na ulicy wielkiej koperty.

– Znaczy interes masz? – zapytał.

– Zgadza się.

– Chcesz, żeby ci coś sprawdzić.

– Tak jest. Jedną małą rzecz.

– Czyli?

– Dokładna godzina interwencji patrolu na ulicy Barnima jeden d mieszkania siedem w Goleniowie, w nocy z dwunastego na trzynastego czerwca. Czas rozpoczęcia i zakończenia.

– Po co ci to?

– Muszę wiedzieć, że gość, do którego pojechali, nie był w tym czasie gdzie indziej i nie robił czegoś innego. Że spotkali go tam, na miejscu, w jego mieszkaniu.

– Kto jest tym gościem?

– Niejaki Rafał Gruszewski.

Szyborski parsknął śmiechem.

– Grucha? Przecież go zapudłowali?

– Zgadza się.

– Dla kogo pracujesz?

– Znasz Gruchę? – odpowiedział pytaniem Krugły.

– Wszyscy go tu znają, kutafona. – Witek oblizał usta, potoczył wzrokiem po okolicy i splunął. – To dla kogo pracujesz?

– Nie mogę ci powiedzieć dla kogo. Sam wiesz, jak jest...

– Sprawdzenie zdarzenia w SWD nie jest takie proste. – Szyborski spojrział na Krugłego z kpina i wycedził: – Przecież sam wiesz, że nie jest.

– Zgadza się, wiem.

– Jeśli dupnie mnie administrator, jak się będę tłumaczył, po co mi to było?

– Rozumiem. – Krugły kiwnął głową. – Doskonale rozumiem. Dlatego tylko pytam, czy to dla mnie zrobisz. Jeśli to taki problem, to nie ma sprawy. Nie znam waszych układów; jeśli się nie da, to trudno, nie zapłacę się. Zwróci się o to do was prokurator, który prowadzi sprawę Gruchy. Oficjalnie i na piśmie. Ale w tym trybie wszystko trwa w cholerę i dłużej, sam wiesz, jak to wygląda. A chodzi o to, że ja chciałbym wiedzieć jak najszybciej.

– Bo?

– Bo im szybciej się tego dowiem, tym szybciej mi zapłacą. Proste?

– Proste.

Krugły wiedział, że ten argument do niego przemówi. Szyborski wyciągnął

następnego papierosa.

– A o co chodzi z tym prokuratorem? – zapytał, zapalając go. – To wygląda, jakby on też w tym siedział. Więc nie wiem, czy chcę się w to mieszać. Kredyt mam, jak wylecę, to kto go będzie spłacał? Ty?

Krugły uśmiechnął się lekko.

– Cała ta sprawa dziwnie wygląda, taka jest prawda. Ale ja działałam czysto. Nie mieszałbym się w gównno, za dużo widziałem i za stary jestem, żeby myśleć, że potrafię w nim pływać. Ja po prostu dobrze wiem, że w gównie każdy w końcu tonie, choćby wcześniej nie wiem jak łatwo się po nim ślizgał. Każdy. Prędzej czy później przyjdzie ta chwila, w której powinie mu się noga i wpadnie w nie po szyję. Więc możesz być spokojny. To nie moja bajka.

– Każdy tak mówi.

– Masz rację. Nawet gdybym tkwił w gównie po uszy, przecież bym ci o tym nie powiedział. Mówiłbym dokładnie to, co przed chwilą. Dlatego powtarzam: jeśli to naprawdę problem i masz z tego powodu mieć nieprzyjemności, to nie ma sprawy. Nie będę cię naciskał, Witek. – Specjalnie dodał na końcu jego imię. Stara sztuczka.

Szyborski zaciągnął się tak, że policzki zapadły się między zębami. Koniec papierosa rozpalili się żarem, który przesunął się w kierunku filtra o dobry centymetr. Popiół odpadł i sfrunął na ziemię, o włos mijając spodnie Krugłego. Krugły zobaczył wzrok Witka, dwa niebieskoszare promptery, w których wyczytał, że ten ma mu za złe przyjscie tutaj i proszenie o taką przysługę. Fakt, za mało się znali na przysługi tego kalibru, a poznawać się z nim lepiej Krugły nie miał zamiaru. Przez pięć dni kursu poznał go na tyle, by wiedzieć, że Szyborskiego stać na powiedzenie: „Spieprzaj, koleś, nie jesteśmy kumplami i nie muszę niczego dla ciebie robić”. Ale mimo to Witek tego nie powiedział. „Może to przez te śniadania?” – zastanawiał się Krugły.

Milczeli. Szyborski palił papierosa, a Krugły, przyglądając mu się w tym czasie, był pewien, że minęło nie więcej niż te jego przepisowe półtorej minuty. Nie liczył, ale był pewien. Po ostatnim machu Witek cisnął niedopałek o ścianę budynku. Pet odbił się rykoszetem i wrócił, upadając i tocząc się koło ich stóp. Szyborski wydmuchnął resztkę dymu przed siebie i zrobił to w taki sam sposób, w jaki wciągnął go chwilę wcześniej do płuc; mocno i gwałtownie.

– Daj mi swój numer – powiedział, nie patrząc na Krugłego. – Niczego ci nie obiecuję. Od razu mówię, że jeśli ktoś zacznie się przypierdalać, po co mi to – odpuszczę. Godziny, tak?

– Tak. Z dwunastego na trzynasty czerwca. Barnima.

Kiedy Szymborski wyciągnął telefon, Krugły podyktował mu swój numer. Wittek poklikał w przyciski nie najnowszego samsunga, a kiedy Krugły usłyszał swój telefon, mruknął:

– To ja. Zapisz sobie.

– Zapiszę. – Wyjął komórkę z kieszeni kurtki.

Postali tak chwilę, wpatrzeni w wyświetlacze swoich telefonów, z zajętych palcami, a potem jak na komendę schowali komórki i podali sobie dłonie. Już bez uśmiechów, jak obcy sobie ludzie po załatwieniu interesu. Mruknęli coś do siebie, kiedy się rozchodzili. Krugły obejrzał się jeszcze za Witkiem, który zniknął właśnie za drzwiami komendy. Wiedział, że być może przyjdzie kiedyś taka chwila, w której będzie zobowiązany mu się odwdziżyć, może po to właśnie Wittek puścił mu strzałkę. Żeby miał go w pamięci, jeśli nie tej w głowie, to chociaż tej w telefonie. Ale Krugły miał nadzieję, że to nie nastąpi. Po prostu gościa nie lubił i nic nie mógł na to poradzić.

Wieczorem dostał krótkiego esemesa. Był od Szymborskiego i zawierał same cyfry: „2.55–3.20”. Sporo czasu jak na zwrócenie komuś uwagi, że zakłóca ciszę nocną, a ze słów Gruchy nie wynikało, że dostał mandat. Być może policjanci dłużej rozmawiali z sąsiadką, a może pili kawę albo jarali. Michalczyk mówił, że patolog określił czas zgonu Wichłacza między trzecią a wpół do czwartej rano. To był oczywiście przybliżony czas i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Gwałt na ciszy nocnej, jakiego dokonał Grucha za pomocą aparatury grającej, teoretycznie mógł być próbą zapewnienia sobie alibi, jednak w praktyce było to mało prawdopodobne. Po pierwsze, Grucha był za głupi, a po drugie, musiałby mieć nieziemski fart, żeby tak zgrać to w czasie. Nie mógł przewidzieć, o której sąsiadka pęknie i zawiadomi policję czy straż miejską. Zawsze mógł zabić Wichłacza później, po odjeździe patrolu, ale z tego, czego Krugły dowiedział się od Michalczyka, wynikało, że na monitoringu goleniowskiej straży miejskiej nie zarejestrowano w tym czasie i w tamtym rejonie nikogo. Stuprocentowej pewności nie miał, ale liczył na zdrowy rozsądek Michalczyka. Grucha nie mógł tego zrobić, *quod erat demonstrandum*. Została jeszcze sprawa Zawadzkiego.

Krugły skasował esemesa od Witka i usunął jego numer z kontaktów. Szymborski mógł być cennym kontaktem, ale Krugły wątpił, żeby to miało się powtórzyć.

Nie lubił gościa.

**Czwartek, 9 lipca**

Sprawy zawodowe Krugłego zeszły tego dnia na dalszy plan. Musiały. Ewa wzięła wolne i zażyczyła sobie jego towarzystwa. Chciała omówić kilka spraw dotyczących ciąży, dziecka i ich przyszłości, a według niej wolny zawód polegał na tym, że można sobie wziąć wolne w każdej chwili. Proste. Argument, że nie do końca tak to wygląda, nie trafiał do niej w ogóle. Krugły dla świętego spokoju zgodził się. Jeden dzień nie robił różnicy, a ten święty spokój był jak najbardziej pożądany.

Wypali się, wzięli wspólny prysznic, urozmaicając go sobie różnymi atrakcjami, i usiedli do śniadania.

– Będziemy chcieli wiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka? – zapytała Ewa.

– Mam odpowiedzieć za ciebie?

– Tylko za siebie. Ja się waham, więc ta część pytania cię nie dotyczy. Pytałam samą siebie.

– Aha. Czyli pytasz, czy ja chciałbym wiedzieć?

– Dokładnie.

– Hm... Sam nie wiem...

A ty?

– Mówiłam ci, że ja się waham.

– Ja też.

– Czemu?

– Też nie wiem. Może dlatego, że fajna by była taka niespodzianka. Do końca nie wiesz, co... No, powiem ci, ten moment narodzin musi być wtedy szczególnie emocjonujący... Może to faktycznie dobry pomysł?

– Tylko że przy tej opcji będzie problem z ubrankami.

– Jaki problem?

– Będziemy musieli kupić i różowe, i błękitne.

– Eee... Mogę wiedzieć po co?

– Bo dziewczynki noszą różowe, a chłopcy błękitne.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz, Ewa. Przez kilka pierwszych lat życia nie wiadomo nawet, czy dziecko jest chłopcem, czy dziewczynką, bo wyglądają tak samo. Jak dziecko, małe dziecko. Więc co to za różnica, jaki kolor ubranka mają na sobie? Gdzie tu sens?

– Nie wyglądają tak samo.

– Jak są ubrane, to wyglądają.

– Co ty wiesz o dzieciach, Robert?

– A co ty o nich wiesz?

Cisza. Oczy Ewy zwęziły się, a Krugły wiedział, co to oznacza. Nic dobrego. Zwłaszcza u Ewy. Zwłaszcza w stanie tak zwanym błogosławionym. Pora zażegnać niebezpieczeństwo.

– Dobra, zaczynamy od początku – powiedział łagodnie. – Pytamy ginekologa czy nie? I czy decyzja, którą podejmiemy, skutkować będzie kupnem dwóch kompletów ubranek i co zrobimy z tym drugim kompletem po urodzeniu dziecka?

Ewa patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Taktyka zarzucenia przeciwnika pytaniami zdała egzamin, bo jej oczy znów były wielkie jak u sarny. Nieruchome, ale wielkie.

– Ja nie chcę wiedzieć – powiedziała twardo. – Kupimy i różowe, i błękitne, a po urodzeniu sprzedamy w necie. A ty?

– Ja? Ja też nie chcę wiedzieć. I szczerze mówiąc, nie chcę kupować dwóch kompletów. Dalej nie widzę w tym sensu. Nie można kupić zielonych ubranek? Albo żółtych?

– No więc, panie detektywie – powiedziała z satysfakcją – informuję pana, że kolor ubranka świadczy właśnie o tym, jakiej płci jest dzieciaczek, kiedy jeszcze nie da się poznać, czy to chłopak, czy dziewczynka.

– Przecież my będziemy wiedzieć, czy mamy córkę, czy synka, tak? To już w ogóle nie rozumiem!

– Krugły, nie rób ze mnie debilki, dobra? Ludzie mają wiedzieć, czy to chłopak, czy dziewczyna leży w wózeczku, kiedy będziemy na spacerze...

– Po kij obcy ludzie mają to wiedzieć? I dalej nie rozumiem: przed chwilą twierdziłaś, że to się da poznać, bo nie wyglądają tak samo...

– Czy ty naprawdę musisz mi to robić?! – To nie był płacz, to było rozpaczliwe łkanie, któremu towarzyszył strumień łez. – Nie pozwalasz mi się cieszyć macierzyństwem, podcinasz mi skrzydła!! Zachowujesz się potwornie, rozumiesz? Potwornie!!!

Jajecznicą stanęła Krugłemu w gardle. Przełknął ją z trudem, położył ręce na blacie stołu, przebierając palcami jak rozgrzewający się przed koncertem pianista. Spojrzał za okno w poszukiwaniu natchnienia. Teraz musiał być ostrożny. I spokojny. Tylko spokój mógł uratować dzisiejszy dzień.

– Kochanie – powiedział cicho – to nie tak. Pamiętaj o jednej, za to bardzo istotnej rzeczy. Ubranka nie są jedyną rzeczą, którą musimy kupić. A wózeczek? A łóżeczko? Pieluchy? Zabaweczki? To wszystko kosztuje, ktoś musi o tym myśleć...

Coś spieprzył. Nie wiedział co, ale efekt był taki, że zamiast Ewy po

drugiej stronie stołu miał tylko ciepłe powietrze, które po niej zostało, i ciszę. Trzasnęły drzwi. Dobrze, że od łazienki, a nie od mieszkania. Wykorzystał okazję i dokończył jajecznicę. Siedział spokojnie z dziesięć minut, do czasu, aż po drugiej stronie blatu znów miał Ewę. Miała nieco rozmazane oczy, ale widać było, że zanim wyszła z łazienki, zrobiła z nimi porządek. Mogło to świadczyć o dwóch rzeczach: po pierwsze, że kobieta zawsze będzie kobietą, bez względu na okoliczności, a po drugie, że rozmowa będzie miała ciąg dalszy. Zastanawiał się, co by było, gdyby to on się rozplakał i uciekł do łazienki.

– Dobra – powiedziała Ewa. – Mam nadzieję, że przez ten czas, kiedy byłam siusiu, przemyślałeś swoje zachowanie.

Pokiwał niezobowiązująco głową.

– To teraz konkrety. Łóżeczko dostaniemy od mojej kuzynki Agaty. Wózek będziemy mieli od Renaty, mojej koleżanki z pracy. Używany, ale w dobrym stanie, sprzeda nam za pół ceny, a nawet taniej...

– O, nie, nie – przerwał jej. – Moje dziecko nie będzie jeździć jakimś używanym rżęchem.

Chlipnęła i spojrzała na niego oczami wielkimi jak księżyc w pełni.

– Zwariowałeś? Chcesz kupować wózek za półtora czy dwa tysiące, jak możesz mieć całkiem dobry za pięć stów? Dla twojej informacji: są takie i za pięć tysięcy! Jeszcze przed chwilą chciałeś oszczędzać!

– Ale nie na wózku!

– A na czym? Na ubrankach? O, nie, moje dziecko nie będzie chodzić w używanych szmatach! Co ty na to... – Pochyliła się ku niemu. – ...tato?

Krugły zamilkł. Przegrał bitwę, ale nie wojnę.

– Wózek dziecięcy kosztuje dwa koła? – bąknął. – Albo pięć? I kto tu zwariował? Stać nas w ogóle na dziecko?

– Mało kogo na nie stać – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – A jednak wszyscy sobie jakoś radzą. Wiesz co, mam pomysł. Skoro i tak nic nie robisz, i masz wolne, pojedźmy do miasta i obejrzymy to wszystko. Wózki, łóżeczka i tak dalej. Co myślisz?

Właśnie. Nic nie robisz i masz wolne. Te słowa dobitnie świadczyły o dość lekceważącym stosunku, jaki Ewa miała do jego roboty.

– Skoro i tak mam wolne... – mruknął.

Pojechali.

\* \* \*

Wrócili do domu pięć godzin później, w kompletnie różnych nastrojach, choć tak samo zmęczeni. Ewa była pełna entuzjazmu, Krugły przerażony.

– Spokojnie – powiedziała Ewa. – Teraz to wszystko, co oglądaliśmy w sklepach, trzeba obejrzeć w necie. To, czego nie dostaniemy od znajomych, kupimy przez internet. Dużo taniej i z dostawą do domu. Tak się robi interesy, Robert. Ucz się ode mnie.

– Super...

Marzył o obiedzie i piwie, niekoniecznie w tej kolejności. I zastanawiał się, skąd weźmie taką kasę. Postanowił, że od jutra przestanie się opierdalać. Dotknął delikatnie brwi, trochę ćmiła bólem. Pozostałe rany powoli się goiły. Był gotowy na nowe wyzwania. Jakby w odpowiedzi na te przemyślenia rozległ się dźwięk jego komórki. Michalczyk.

– Cześć, Robert.

– Cześć – odpowiedział bez entuzjazmu.

– Coś taki zgęziały?

– Okoliczności życia mnie dobijają.

– Aha. – Michalczyk nie wnikał, widać nie przejął się tym specjalnie. – Robótkę mam dla ciebie. Jutro odwiedzisz Wyższe Arcybiskupie Seminarium Duchowne w Szczecinie. A w zasadzie kurię metropolitalną. Załatwiłem ci spotkanie z biskupem pomocniczym Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej. Co ty na to?

– Robótkę, mówisz? Czy po prostu usiłujesz mnie nawrócić?

– Nie. Znam twoje zdanie na temat Boga. Biskup kojarzy Sobieraja, był jego wykładowcą podczas studiów w seminarium. Obiecał mi, że opowie ci o nim coś niecoś. Przyznaję, sam to powinienem załatwić, ale nie mam czasu. On zresztą też nie za bardzo i pamiętaj o tym, proszę cię. Wbrew pozorom to bardzo zajęty człowiek. Nie mogę przecież wezwać biskupa na przesłuchanie do prokuratury, zwłaszcza że nie ma nawet powodu. Zatem nieformalnie i w głębokiej tajemnicy załatwię to twoimi rękami. Jeśli się nie obrazisz.

– A mogę wiedzieć, jak załatwiłeś tę wizytę? Masz wtyki w kurii?

– Nie pytaj. Sam się zorientujesz.

– Ty, jak się mówi do biskupa? Eminencjo?

– Ekscelencjo. Ale wystarczy „księżę biskupie”.

– Muszę całować go w rękę czy będzie mi to darowane?

– Nie całuje się w rękę, tylko w pierścień albo sygnet. – Michalczyk westchnął. – Mam propozycję: po prostu zachowuj się naturalnie. Spotkasz się z nim prywatnie, a nie na kościelnej uroczystości, tak? Więc się nie spinaj, bo

tylko się zbłąznisz. Już, spokojny?

– Jak nigdy wcześniej.

– Wjedź główną bramą i zaparkuj gdzieś na terenie seminarium. A potem zdasz mi relację ze spotkania.

– Widzę, że zabierasz się za Sobieraja na poważnie?

– Wiesz, trzeba zawsze sprawdzić wszystkie tropy. Skoro znał obie ofiary... A że trafiła się okazja podpytać kogoś, kto znał jego, a ty masz trochę wolnego czasu...

– Kurwa, następny...

– Co?

– Nic, nieważne. Dobra, podejmę to wyzwanie. Ale coś za coś.

– No...?

– Musisz mi w najbliższym czasie załatwić wizytę u Gruchy. Będę musiał go przycisnąć.

– Bo?

– Bo Zawadzki. Wtedy, podczas pamiętnej rozmowy, Grucha wyraźnie unikał tematu. Nie chciał powiedzieć, co robił w czasie zabójstwa Zawadzkiego. Nie twierdzą, że dlatego, ponieważ go zabijał. Być może robił coś innego niezgodnego z prawem i teraz pęka, że to coś odkryjemy. Ale ja mam w dupie, czego boi się Grucha, bo muszę wiedzieć, co to było, rozumiesz?

– Fufu od wujka Sokołowskiego? O to chodzi?

– Właśnie. Jak najszybciej się da. Stoi?

– Stoi. Kuria, jutro, dziewiąta trzydzieści. Nie spóźnij się. Ksiądz biskup ceni sobie punktualność. W zasadzie ma na tym punkcie hopla.

– Zupełnie jak ty? – zdziwił się Krugły.

– No... Można tak to ująć – zgodził się Michalczyk.

\* \* \*

Czwartkowy wieczór upływał leniwie i spokojnie. Krugły z Ewą siedzieli na kanapie i razem z kotami oglądali na DVD *Lejdis*. Krugły męczył się okrutnie, ale nie dawał po sobie niczego poznać. Jedni nazywają taką postawę pantoflarstwem, inni poświęceniem, a on nazywał to po prostu miłością. Przecież nie obejrzą *Dziewczyny z tatuażem*, bo Ewa się wystraszy i dziecko będzie się jękać... A najzabawniejsze było to, że Ewa równocześnie czytała książkę. Krugły tę niezwykłą podzielność uwagi składał na karb ciąży.

Nagle rozległo się brzęczenie jego telefonu. Zerknął na wyświetlacz.



Sokołowski. Odebrał.

– Dzień dobry, panie komisarzu. – Głos Sokołowskiego był wesoły. – Mam dla pana wiadomość od... hm... mojego specjalisty.

– Tego od włamań? – zapytał Krugły uprzejmie.

– Jeżeli pan się uparł, żeby go określać w taki sposób, to powiedzmy, że tak – zgodził się Sokołowski. – Chodzi właśnie o niego. Ale to właściwie nie jest wiadomość. To raczej dobra rada.

– Dobre rady zawsze w cenie. Słucham.

– Rada brzmi: niech się pan dobrze ogląda za siebie.

– Uuu... Zabrzmiało groźnie. Tak się przejął, że jak go znaję, to będzie bolało?

– Nie powiedziałem mu, co pan mu zrobi, jak pan go znajdzie. Oddałem mu tylko to, co pan mi wtedy przyniósł.

– Więc o co chodzi? – Krugły poczuł nagle, że swędzą go uda.

– Ta pluskwa nie należy do niego. Prosił mnie, żebym panu przekazał, że jego powinna być za tym obrazem ze wzburzonym morzem, który wisi obok kaflowego pieca. Zresztą już nie działa, bo wyczerpała się bateria. Ktoś pana nie lubi, panie komisarzu. Miłego dnia.

Krugły odłożył telefon na stolik i podszedł do obrazu. Sięgnął na górę ramy, ciężkiej, bogato rzeźbionej, wartej o wiele więcej niż wywołujący u niektórych chorobę morską oleodruk, tkwiący w niej od przed wojny. Pod palcami poczuł warstwę kurzu. Przebierał nimi wzdłuż rowka, aż znalazł to, czego szukał. Była tam.

– Myślisz, że tam się ukrył twój ośmionożny eskapista? – zapytała rozbawiona Ewa, spoglądając na niego znad książki.

Krugły obliznął wyschnięte nagle usta. Ewie uśmiech zamarł na twarzy, kiedy zobaczyła wyraz jego oczu. Zmusił się do wypowiedzenia tych paru słów:

– Nie wiem, co się dzieje, Ewa, ale będzie lepiej, jeśli pomieszkasz trochę u swojej mamy.

– Dlaczego? W coś ty się wplątał? – Odłożyła książkę na kanapę, obok siebie, wzięła pilot i nacisnęła pauzę.

– Nie zdarzyło się ostatnio coś dziwnego, kiedy mnie nie było w domu? Jakaś wizyta, kontrola z administracji czy coś podobnego?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Bo ja wiem? – zapytała samą siebie. – Był facet od gazu ze dwa czy trzy tygodnie temu. Miał takie coś i badał szczelność instalacji. Chodził po całym mieszkaniu, ale ja chodziłam z nim, krok w krok.

– Przez cały czas?

– Nno, nie... – przyznała. – Kazał mi iść do łazienki i odkręcić kran, tak żeby zapalił się junkers, potem zakręcić, odczekać chwilę i znowu odkręcić... Został w korytarzu i machał tym wężykiem, no wiesz, tym czujnikiem. Był też w kuchni...

Krugły rozumiał, że nie wszyscy muszą mieć zmysł techniczny i nie widzieć nic dziwnego w badaniu, które przeprowadził jego kolega po fachu. Może nawet to, co miał w rękach, faktycznie było detektorem gazu. W myślach przyznał mu punkt, bo musiał uznać, że facet zrobił swoją robotę bardzo kulturalnie, a zarzucanie mu włamania było pójściem na łatwiznę i niedocenieniem przeciwnika. Nie pytał Ewy, jak wyglądał, bo to nie miało znaczenia. To był ten ekspert od Sokołowskiego.

– Coś jeszcze? Przypomnij sobie, proszę.

– Ostatnio zostawiłam klucze w zamku. – Spuściła głowę. – Sama nie wiem, jak to się mogło stać. Byłam pewna, że zamknęłam drzwi i schowałam klucze do torby, jak zwykle. Kiedy w pracy, parę godzin później, zobaczyłam, że ich nie mam, wróciłam do domu. Kaśka mnie podrzuciła. Gosia Bogacka... – Miała na myśli sąsiadkę z góry. – ...zobaczyła mnie przez okno i zawołała, że ma klucze u siebie. Zobaczyła rano, że tkwią w zamku, więc je zabrała. To pewnie przez ciężę – mruknęła. – Nie chciałam cię martwić, więc ci nie mówiłam...

– Kiedy dokładnie to było?

– We wtorek.

Wtorek. W poniedziałek był u Gruchy i u Sobieraja. We wtorek dostał wpierdol od Kleciaka i wpierdolił jemu, potem był u żony Wichłacza i w sklepie pani Iwonki „Szackiej”. Taaak, wtorek był pracowitym dniem.

– Spakuj się, dobrze? – poprosił Ewę. – A ja pójde na chwilę do Gosi.

Poszedł piętro wyżej i zadzwonił do drzwi sąsiadki. Otworzył jej syn, Marcin.

– Cześć, młody. Mader w domu? – zapytał Krugły.

Wiedział, że chłopak tak się zwraca do matki.

– W domu. Chodź.

Małgosia Bogacka wyszła z kuchni, wycierając ręce o fartuch.

– Cześć, Robert. Co tam?

– Ja w sprawie kluczy.

– To jednak wiesz? – Uśmiechnęła się.

– Taaak, już wiem. I muszę wiedzieć więcej. Jak to było?

– Normalnie. To był...

– Wtorek.

– Tak jest, wtorek. Koło jedenastej schodziłam ze śmieciami i zobaczyłam klucze w waszych drzwiach. To zabrałam i oddałam Ewie, kiedy przyjechała. Zdenerwowała się, że je zgubiła. Chyba nie będziesz na nią krzyczał, co? Ostatnio i tak jest jakaś przybita.

Gosia nie wiedziała o ciąży Ewy.

– A wcześniej tego ranka przechodziłaś obok nas? – zapytał Krugły.

– Wracalam rano z dyżuru.

– I nie widziałaś tych kluczy?

– Nie. Na pewno ich tam nie było. Uwierz mi, od razu zauważyłabym tego kota z jednym oczkiem bardziej.

Zestaw kluczy Ewy ozdabiał mały, pluszowy, pręgowany i nieco zezowaty kotek.

– Pewnie Ewa nie wyszła jeszcze do pracy – dodała Gosia.

– A o której wracasz z dyżuru?

– Kończę o ósmej rano, jak nie przedłuża się raport, to w domu jestem zwykle koło wpół do dziewiątej, no... za kwadrans dziewiąta.

Krugły milczał. Ewa chodziła do pracy na wpół do ósmą. Czyli klucze pojawiły się między ósmą trzydzieści a jedenastą. Ktoś ukradł je, kiedy jechała do pracy, wszedł bez przeszkód do ich mieszkania i zostawił pluskwę. Ale wkładając klucze z powrotem do zamka, popełnił błąd. Gdyby zniknęły i się nie znalazły, mogliby sądzić, że Ewa je zgubiła. Zdarza się. Zostawienie ich w zamku też się zdarza, i pewnie o to mu chodziło, tyle że w tym przypadku gość nie przewidział, że ktoś zobaczy je przed właścicielką i okaże się, że w całej sprawie są jakieś nieścisłości. Może uznał, że zostawienie ich w zamku będzie jednak mniej podejrzane? A może ktoś go przestraszył, kiedy wychodził?

– Był ktoś u ciebie skontrolować instalację gazową? – zapytał.

– Nie – zdziwiła się Gosia. – A miał być? Mogłam być na dyżurze, a Marcina pewnie nie było w domu... – Spojrzała na syna. – Ale nic nie wisało na tablicy na dole.

– Faktycznie, chyba nie wisało. Coś mi się widać pomerdało.

– Może trzeba zadzwonić do zarządcy?

– Nie, nie, spokojnie, jakby co, wywieszają informację. Dobra, Gosia, dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy. Ale nie będziesz na Ewę krzyczał?

Pokręcił przecząco głową.

– Będziemy mieli małego Krugłego – poinformował ją i Marcina, stwierdzając, że przyszło mu to łatwiej, niż myślał. Może w jego głosie nie było eksplozji radości, ale nie wyszło źle.

– Aaa – zapiszczała Gosia. – Nie mogę! Kiedy?

– Eee... – Nie był przygotowany na tak szczegółowe pytania. – Dziewięć miesięcy od TAMTEJ chwili – wybrnął kulawym dowcipem.

Gosia rzuciła mu się na szyję i uściskała.

– Fajnie, że chłopak.

– Nno... W sumie to jeszcze nie wiemy... Tak tylko mi się powiedziało, że Krugły.

– Nieważne co, byle zdrowe – padł standardowy tekst, równie wyeksploatowany, co prawdziwy.

– Dobra – bąknął Krugły, lekko speszony. – Będę leciał. Ewa czeka. Pa. Cześć, Marcin.

– Cześć... – Chłopak pomachał mu i dodał: – A, Robert!

– Tak?

– Chcę zdawać do szkoły policyjnej. – Zmieszał się trochę.

Krugły zatrzymał się w pół kroku. Na usta cisnęły mu się słowa, których chłopak na pewno nie chciałby usłyszeć. Zamiast „Zwariowałeś?!”, zapytał tylko:

– Przemyślałeś to?

Marcin energicznie pokiwał głową. Tego, co miała w oczach jego matka, nie można było nazwać entuzjazmem. Ale nic nie powiedziała, założyła tylko ręce i oparła się o framugę.

– Dobra. – Krugły puścił do Marcina oko. – Pogadamy niedługo. Trzymajcie się.

Zbiegł na dół, do siebie. Kiedy wszedł do sypialni, zobaczył Ewę, siedzącą na łóżku i płaczącą nad otwartą walizką, leżącą u jej stóp. W środku, na starannie poukładanych spodniach, leżał jeden z kotów.

– Ty nie chcesz tego dziecka – wychlipała, kiedy zobaczyła Krugłego.

– Co to ma...? – zaczął i zreflektował się w porę.

Nie to, że nie chciał. On się go po prostu bał. Podeszedł do Ewy i usiadł obok niej. Objął ją i powiedział cicho, prosto do ucha:

– Przed chwilą Gosia zapytała mnie, kiedy urodzi się nasz mały... Nasze małe. Nie potrafiłem odpowiedzieć. To prawda, że to o czymś świadczy. To prawda, że masz podstawy sądzić, że skoro nie interesuję się nim tak

bardzo, jak ty, to mi na nim nie zależy. Ale to nie do końca prawda. Chodzi o to, Ewa, że wciąż jestem w szoku. To po pierwsze. A po drugie, mam teraz sprawę, która zaczyna się dziwnie komplikować i dotyczyć w jakiś sposób nas. Chcę cię przed tym uchronić, dlatego proszę cię, żebyś spędziła trochę czasu u mamy. To... – Wskazał podbródkiem walizkę u ich stóp. – ...nie jest żadna próba wystawienia cię za drzwi, zostawienia cię w ogóle, początek końca ani nic takiego, rozumiesz? Rozumiesz?

Pokręciła schowaną w ramionach głową.

– I wpuścisz mnie z powrotem? – zapytała, pochlipując.

Krugły parsknął śmiechem.

– Jeszcze się nie zorientowałaś, że to już jest też twoje? – Potoczył wolną ręką wokół siebie. – Że pasujemy do siebie tak bardzo, że nie wyobrażam sobie życia z nikim innym? Że zamierzam zestarzeć się tu z tobą?

– Że zamierzasz poprosić mnie o rękę?

– Jeśli ci tak na tym zależy, to zamierzam.

– Bez łaski.

– O, Jezu, nie to miałem na myśli, no. To była poważna deklaracja! Mogłabyś to docenić.

– Jeszcze lepiej.

– Kurwa... Ewa, znajdę lepszy moment i zrobię to naprawdę romantycznie, obiecuję. Ale odłóżmy to na razie. Zobacz. – Otworzył dłoń i pokazał jej, co w niej ma.

Jej twarz rozjaśniła się, w oczach zamigotała radość i Krugły zorientował się, że przez łzy pomyliła przedmioty.

– Mówiłem ci, że jeszcze nie teraz – powiedział szybko, zanim z jej oczu trysnęła nowa porcja łez. – Ale niedługo, tak? Umawiamy się? Patrzył na nią badawczo. Pokiwała głową.

– Co to jest? – zapytała, pociągając nosem i pokazując palcem rękę Krugłego.

– Powód tymczasowej zmiany miejsca twojego pobytu. Pluskwa. Urządzenie podsłuchowe.

– Ktoś nas teraz podsłuchuje?

– Teraz nie, już nie działa.

– Skąd to się u nas wzięło? Ten od gazu zostawił?

Krugły nie bawił się w wyjaśnianie jej szczegółów. Tak się składało, że zgadła, ale nie o to chodziło. Sam nie wiedział, o co chodzi.

– Będę cię codziennie odwiedzał, obiecuję. – Pocałował ją w czubek nosa.

– Naprawdę lepiej, żeby was tu nie było.  
– A ty?  
– Ja sobie poradzę. Zawsze sobie radzę. – Mrugnął do niej wesoło.  
– Nie chcę, żeby coś ci się stało. Nie teraz, no nie?  
– Nic mi się nie stanie. Nie zrobię ci tego, obiecuję.  
– Jeśli jednak mi to zrobisz, sama cię zabiję. Potem zreanimuję i znów zabiję. – Uśmiechnęła się słabo.  
– Jak sobie życzysz. To co?  
– Pojadę pod jednym warunkiem – powiedziała nagle stanowczo.  
– Taaak?  
– Że mi się tu teraz oświadczysz!  
– Że... co?  
– Słyszałeś, Krugły. Teraz. Bez pierścionka zaręczynowego, bez kwiatów, może być bez klęczenia. To później. A teraz mają paść słowa. Wiesz jakie. Na filmach widziałeś.

Krugły zamknął oczy. Znał ją na tyle, żeby wiedzieć, że dyskusja nie ma sensu. Pomyślał nagle, że to i tak nie ma znaczenia, że dalsze zwodzenie jej, to tylko odwlekanie nieuniknionego. I że to przestało być dla niego problemem.

– Kobieto mojego życia, czy zostaniesz moją żoną? – zapytał najzupełniej poważnie.

Rzuciła mu się w ramiona i oboje spadli z łóżka na dywan. Krugły jęknął, jego żebra również. Przestraszony kot czmychnął z walizki, zanim jeszcze ich ciała dotknęły podłogi.

– Tak – szepnęła i znów się rozplakała.

Krugły pomyślał, że kobiety na zawsze pozostaną dla niego zagadką. Zwłaszcza te, które są w ciąży.

Wieczorem znów długo nie mógł zasnąć. Oświadczyły to jedno. Ale o co chodziło z tą drugą pluskwą? Kto i po co? Czy to konkurencja? Może ma to związek ze sprawą, którą zlecił mu Sokołowski? Tylko jaki? Setki pytań, żadnej odpowiedzi. Zaczął zastanawiać się, czy już ma powody do zdenerwowania, czy dopiero będzie je miał...

## **Piątek, 10 lipca**

Następnego dnia Krugły wyprawił Ewę do jej mamy. Etapami. Najpierw zawiózł ją do pracy, a potem podrzucił walizkę do Podjuch, gdzie na skraju Puszczy Bukowej ojciec Ewy kilkanaście lat temu wybudował dom. Od śmierci męża pani Kowalska mieszkała w nim sama.

Kiedy otworzyła Krugłemu drzwi i zobaczyła go stojącego z walizką u nogi,

jej serce ścisnęło się z żalu. Bardzo lubiła tego człowieka, choć nie była szczęśliwa, że nie ożenił się z jej córką, tylko żył z nią na kocią łapę. A teraz była pewna, że to już koniec. Przywiózł walizkę z rzeczami córki i za chwilę oznajmił jej, że właśnie się rozstali. Nie wiedziała nic o odwiedzinach, bo Ewa chciała jej zrobić niespodziankę. Teraz te wszystkie obawy miała wypisane na twarzy, więc Krugły uniósł brwi i roześmiał się.

– Nie, nie, nie, to nie tak, jak pani myśli, pani Mario – uspokoił ją, ale kompletnie nie miał pojęcia, co powiedzieć dalej.

Że Ewa zostanie u niej na trochę, bo ich mieszkanie jest inwigilowane przez nie wiadomo kogo, i że boi się o nią? Że są w ciąży i wczoraj oświadczył się jej córce? To drugie ucieszyłoby ją na pewno, ale Krugły stwierdził, że jeszcze poczeka. Niech Ewa jej powie. On się spieszył i tak dalej... Obiecał, że po południu postara się przywieźć Ewę, ale ma spotkanie, więc może nie zdążyć, i to dlatego przywiózł teraz walizkę. I tak, wszystko jest w absolutnie najlepszym porządku.

Wrócił do miasta Autostradą Poznańską, przebił się przez Gumieńce i Pogodno, docierając w końcu na Łękno. Kiedy mijał bramę seminarium, poczuł to samo, co zwykle czuł, przejeżdżając tylko ulicą papieża Pawła VI: budynki kompleksu kojarzyły mu się z amerykańskim więzieniem, i to dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Brakowało tylko siatkowych płotów zwieńczonych zwojami drutu żyletkowego. Wiedział, że całe założenie, a przynajmniej ta zrealizowana część, przypomina raczej układ klasztoru niż więzienia, ale mimo to za cholerę nie mógł oprzeć się temu wrażeniu. Nie miał pojęcia, czy wywołuje je monumentalność obiektów, czy może raczej ten monotony rytm okien, poukładanych na elewacji ze starannością pedanta z nerwicą natręctw. Łukowe elementy widoczne z ulicy nie łagodziły kaleczących wzrok kantów; przeciwnie, swym ogromem podkreślały je jeszcze bardziej. Półokrągła apsyda kaplicy wyglądała jak dziób lodołamacza albo kolosalnej łodzi podwodnej, która wynurzyła się z odmętów zieleni i zacumowała przy ulicy w oczekiwaniu na alumnów. A tych z roku na rok było coraz mniej. Nawet strzelający w niebo krzyż, niczym gigantyczna, osadzona w ścianie *ferula* – papieski pastorał, nie był w stanie tego zmienić.

Krugły zaparkował pod ścianą z jasnej cegły, przeciętą żelbetowym, wypełnionym oknami rusztem. Był pomalowany na czerwono i przypominał postawionego na sztorc gofra – wielkiego, jak wszystko inne w tym przybytku.

Następne dziesięć minut upłynęło mu na przekazywaniu go sobie przez pewną panią i dwóch młodych księży. Najdziwniejsze, że każde z nich

wiedziało, kim jest i do kogo się udaje. Mimo to droga do biskupa przypominała drogę ku zbawieniu; była długa, mozolna i towarzyszył jej narastający brak nadziei na osiągnięcie celu.

Była równo dziewiąta trzydzieści, kiedy Krugły, zaanonsowany przez jednego z księży, wkraczał do gabinetu biskupa pomocniczego Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej. Biskup siedział za eleganckim starym biurkiem stojącym na środku pomieszczenia, schowany częściowo za mosiężną lampką z zielonkawym kloszem, jaką obowiązkowo posiadają wszystkie amerykańskie biblioteki na amerykańskich filmach. Miał sympatyczną, pomarszczoną twarz, gęste, siwe brwi i przykrytą purpurową piuska łysinę. Kiedy zobaczył Krugłego, wstał zza biurka, na którym nie było monitora ani nawet laptopa, i wyciągając obie ręce przed siebie, lekko przekrzywił głowę i uśmiechnął się. Ten ruch i ten uśmiech przypominały Krugłemu kogoś. Biskup szedł w jego kierunku dziarsko, wyrzucając nogi przed siebie, a fioletowa sutanna furczała wokół nich, niemal jak u derwisza rozpoczynającego właśnie swój taniec. Ramiona miał szeroko rozłożone w ojcowskim geście powitania marnotrawnego syna.

– Witam pana, panie Robercie. – Ładnie ustawiony, głęboki, lecz starannie modulowany głos potwierdził najgorsze obawy Krugłego, że będzie się czuł jak na mszy. – Jak tam Mateuszek? Wspominał, że ma mnóstwo pracy...

Krugłemu na to pytanie przez głowę przemknął jakiś zajaczek z dobranocki. Nie pamiętał jego imienia.

– Ma ksiądz biskup na myśli... Mateusza Michalczyka? – upewnił się.

Brwi księdza biskupa uniosły się ku piusce, zęby odsłoniły w szerokim, szelmowskim uśmiechu i Krugły poczuł się nagle, jakby ktoś zrobił mu kawał. Z gatunku takich, które są śmieszne dla wszystkich, z wyjątkiem wkręconego. Czyli jego. Za takie coś lat temu trzydzieści na podwórku Michalczykowi należałoby się w zęby. Niemal identyczne jak te księdza biskupa.

– Nie powiedział panu? – zapytał biskup.

Krugły pokręcił głową. To było niezbyt grzeczne, ale wciąż jeszcze nie było go stać na powiedzenie czegokolwiek. Bał się, że albo jęknie, albo parsknie śmiechem.

– Cały on. – Kolejna kwestia wypowiedziana została specyficznym tonem, który nadał jej wrażenie wyjątku z niedzielnego kazania. – Zbieżność nazwisk jest nieprzypadkowa. Jestem jego stryjem.

Krugły pokiwał głową. Gest ów w zasadzie nie miał żadnego znaczenia, bo jeszcze pięć sekund wcześniej nie wiedział, jak biskup ma na nazwisko. Nie



przyszło mu do głowy spytać o to Michalczyka, i tylko ten fakt ewentualnie mógłby uratować Mateusza przed „w zęby”. Nie zrobił nawet tego, co zrobiłby każdy normalny człowiek – nie sprawdził nazwiska biskupa pomocniczego archidiecezji w necie. Brak staranności czy nadchodząca starość? Oto co dzieje się, gdy człowiek ma coś podane na talerzu: robi się zbyt wygodny, a co za tym idzie, mniej ostrożny.

– Nie powiedział – bąknął. – I czuje się dobrze...

– Nie widujemy się często. – Biskup pokiwał smutno głową. – Praktycznie tylko w Wielkanoc i Boże Narodzenie, na rodzinnym obiedzie, choć i tak nas niewielu Michalczyków już pozostało... Dobrze chociaż, że są telefony. Mam dla pana niewiele czasu, panie Robercie, przykro mi...

– Wiem. Mateusz uczulał mnie na to, tym bardziej dziękuję za możliwość spotkania. Więc jeśli ksiądz biskup pozwoli, przejdę od razu do rzeczy. Mateusz wspominał mi, że ksiądz biskup wie coś na temat księdza Marka Sobieraja i podzieli się tą wiedzą ze mną. To prawda?

– Prawda. Znam trochę księdza Marka, no, może znałem, parę, paręnaście lat temu. Byłem wykładowcą w seminarium w czasie, gdy tu studiował. Pamiętam, że miał bardzo dobrą pracę proseminaryjną. Z etyki. A pracę magisterską pisał z teologii moralnej. Nie wyróżniał się jakoś wybitnie, ale był pracowity. Na pierwszym albo drugim roku przeszedł drobny kryzys, ale poradził sobie z nim. Wrócił do nas...

Ksiądz biskup powędrował w stronę swojego biurka i usiadł na drewnianym krześle z wysokim, zdobionym detałem oparciem z zagłówkiem wykończonym czerwonym pluszem.

– To był chłopiec naznaczony tragedią, panie Robercie – kontynuował zza biurka. – Wielką tragedią. Niech pan sobie kwyobrazi, że pod koniec szkoły średniej w pożarze domu zginęła cała jego rodzina. Wszyscy. To musiało w nim tkwić. Wie pan, przed wstąpieniem do seminarium kandydat na alumna przechodzi coś w rodzaju testów psychologicznych. Tak naprawdę są one dla jego dobra, przede wszystkim dla jego... – podkreślił biskup, wciskając palec wskazujący w blat biurka – ...a nie dla dobra seminarium. Okres formacji jest ciężkim okresem w życiu tych młodych ludzi, pewne stany mogą się w trakcie tego procesu pogłębiać, bo charakter i styl życia w takim miejscu jak to bywa dla osób z trudnościami psychicznymi silnie zaburzający. Tak więc w ten sposób staramy się tego uniknąć. W tamtych czasach wyglądało to nieco inaczej niż dziś. Osoba, która uczestniczyła w badaniu księdza Sobieraja z naszego ramienia, wspominała mi kiedyś, że jego postawa wobec tych

tragicznych wydarzeń była niemal stoicka. Nie wypierał ich, ale też nie epatował nimi wobec nikogo. Pogodził się z tym, rozumie pan? Uznał, że Bóg, powołując jego rodzinę do siebie, miał swój plan i on, jako nic nieznaczący człowiek, nie powinien z tym polemizować ani tym bardziej się sprzeciwiać. Jakby ta tragedia przypieczętowała jego decyzję o wstąpieniu do seminarium duchownego. Imponowało mi to. Taka dojrzała postawa u tak młodego człowieka to rzadkość, wie pan?

Krugły nie wiedział, bo i skąd?

– Cóż... – Michalczyk rozłożył ręce. – ...przykro mi, że teraz w coś się wplątał. W Bogu nadzieja, że nie zrobił niczego złego. Mateuszek nie chciał zdradzić mi szczegółów... – Zawiesił głos i spojrzał na Krugłego, jakby oczekując, że ten mu ich dostarczy.

Krugły ani myślał.

– Jeżeli Mateusz uznał, że tak będzie lepiej – powiedział – to muszę uszanować jego wolę. Widocznie nie mógł. Ale proszę się nie martwić na zapas, śledztwo nie jest prowadzone przeciw księdzu Sobierajowi. Po prostu sprawdzamy pewien trop, który prowadzi... może nawet nie tyle bezpośrednio do niego, co raczej w jego kierunku.

– A to jest jakaś różnica? Chyba dość subtelna?

– Owszem. – Krugły zastanowił się przez chwilę. – Czy pamięta ksiądz biskup coś jeszcze w związku z księdzem Sobierajem? Coś nietypowego, co zdarzyło się podczas jego studiów?

– Nietypowego? – Spojrzał w sufit i po krótkiej chwili odpowiedział: –

Nie. Nic więcej nietypowego sobie nie przypominam. Przykro mi, panie Robercie.

– Na czym polegał kryzys, o którym ksiądz biskup wspomniał? To w związku z tym pożarem?

– Tak podejrzewam.

– W sumie trudno mu się dziwić. Straszny wypadek...

– To nie był wypadek, panie Robercie. W zasadzie powinienem był wspomnieć o tym od razu. To nie był wypadek. To było podpalenie. Dzieło szaleńca.

Krugły na tę wiadomość niemal zastrzygł uszami i w tym samym momencie przypomniał sobie imię zajączka. Parauszek, a nie Mateuszek...

– Jest ksiądz biskup pewien?

– Absolutnie. – Michalczyk potwierdził powolnym i dostojnym skinieniem głowy. – Tym bardziej jego postawa wydała mi się wtedy dojrzała. Bo on

wybaczył temu człowiekowi. Wybaczył mu. Postawa prawdziwego chrześcijanina. Nie na pokaz, tylko wypływająca z głębi duszy. Coś pięknego. Bezprzykładny gest, godny naśladowania. Tak, tak... Słyszałem, że posługuje w zakładzie karnym?

– Pracuje w parafii Świętego Krzyża w Goleniowie. I posługuje w więzieniu, to prawda. Ksiądz biskup wie coś więcej na temat tego podpalenia?

– Przykro mi, tylko tyle, ile powiedziałem.

– Jak objawił się ten kryzys? W jakiś dramatyczny sposób?

– Taki kryzys to nic niezwykłego – rzekł biskup Michalczyk. – Zdarza się, wbrew pozorom, dość często. To nie był kryzys wiary. Nie zaczął zaprzeczać istnieniu Boga ani nic z tych rzeczy. Po prostu zamknął się w sobie i opuścił seminarium na parę tygodni. Nie mam pojęcia, gdzie w tym czasie był. Wrócił, przeprosił za swoje zachowanie. Nikt nie robił mu problemów, zapewne rozumiejąc jego sytuację. Być może było to związane z faktem, że kończył się proces tego człowieka, który podpalił jego dom. A Marek przeżywał to na nowo. Ale, jak już wspominałem, coś takiego więcej się nie powtórzyło. O ile wiem, skończył studia bez problemów.

– Jest w Goleniowie praktycznie od początku swojej pracy duszpasterskiej, czyli około dziesięciu lat. To nie za długo? Słyszałem, że księża... no... migrują między parafiami co parę lat...

– Tu nie ma reguły. Ma pan oczywiście rację, diecezjalne translokaty to normalna rzecz, nawet często współuczestniczę w podejmowaniu decyzji dotyczących przeniesienia księży do nowych parafii. Ale każda sprawa jest indywidualna. Nie odpowiem panu na pytanie, czy dziesięć lat to długo w jego przypadku, bo nie znam sytuacji. – Ksiądz biskup założył ręce do tyłu i poczęstował Krugłego miłym uśmiechem. – Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Robercie?

Krugły zorientował się, że lepiej byłoby, gdyby ich więcej nie miał. I rozumiał to. Korciło go co prawda, żeby zapytać jeszcze, jak piuska trzyma mu się na pozbawionym włosów czubku głowy, ale dał sobie spokój. To pytanie nurtowało go od dziecka, za każdym razem, kiedy widział zdjęcie papieża albo jakiegoś kościelnego hierarchy. Może Michalczyk będzie wiedział?

– To wszystko. – Postanowił nie rozplątać się w podziękowaniach, tylko załatwić te kwestię po żołniersku, czyli krótko. – Serdecznie księdzu biskupowi dziękuję.

– Nie ma sprawy, panie Robercie. – Biskup Michalczyk stanowczo nadużywał zwrotu „panie Robercie”. – Proszę pozdrowić Mateuszka. I... mam również prośbę do was obydwu. Gdyby okazało się, że ksiądz Marek jest jednak w coś zamieszany, proszę, dajcie mi znać trochę wcześniej. Sam pan rozumie...

To też Krugły rozumiał. Żeby coś zamieść pod dywan, trzeba wcześniej się przygotować i go podnieść. A może nawet sprawdzić, czy jest tam w ogóle jeszcze trochę miejsca.

– Oczywiście – bąknął. – Myślę, że Mateusz powiadomi księdza biskupa z odpowiednim wyprzedzeniem. Jakby co.

– Jakby co. – Ksiądz biskup przytaknął skwapliwie, skinąwszy dobrotliwie głową. – Z Panem Bogiem, panie Robercie.

– Do widzenia, księżo biskupie.

Krugły uściśnął podaną mu dłoń, czując pod palcami sygnet, którego jednak nie kwapił się całować. Biskup odprowadził go do drzwi gabinetu, za którymi Krugły przeżył małe rozczarowanie. Nikt za nimi nie czekał, żeby sprowadzić go na dół. Z ledwością przypominając sobie drogę, gubiąc się dwa razy, dotarł jakoś do wyjścia, wszedł do samochodu i zadzwonił do Michalczyka.

– I jak było? – zapytał Michalczyk.

– Teraz już wiem, skąd ci przyszła do głowy ta maść... Mateuszk.

– Olej chorych.

– Właśnie. Czemu mi wcześniej nie powiedziałeś? Czemu w ogóle nie powiedziałeś? Biskup Michalczyk...

– Co, miałem się chwalić? Czy to moja zasługa?

– Niby nie, ale... To rzecz raczej niezwykła.

– Niezwykła... Gdzie pracowała, dajmy na to, twoja babcia?

– W Społem. Była jakimś kontrolerem.

– Czemu mi tego nigdy nie powiedziałeś?

Krugły przewrócił oczami.

– Nie porównuj kontrolera do biskupa. Zastanawiam się, czym jeszcze mnie zadziwisz?

– Powoli kończą mi się takie niespodzianki, za długo się znamy. Jak stryj Błażek?

– Stryj Błażek... – Krugły pokręcił głową. – Stryj Błażek... Sorry, ale jakoś nie mogę się przyzwyczaić, że wysoki rangą duchowny może być czyimś wujkiem czy stryjkiem...

– Lepiej stryjkiem niż ojcem, nie?

– I tu, kolego, macie niewątpliwie rację. Stryj Błażek, wybacz, trochę smęcił, ale rozumiem, że to lata pracy duszpasterskiej. Z konkretów: Sobieraj w młodości przeżył rodzinną tragedię. W pożarze domu zginęła cała jego rodzina. To było ponoć podpalenie. Coś mi mówi, że trzeba trochę pogrzebać w przeszłości.

– No, patrz, też chciałem to właśnie powiedzieć.

– Sprawdź to w poniedziałek. Jak Grucha? Załatwiłeś?

– Eee... Szczerze mówiąc, zapomniałem.

– Zapisz sobie może?

– Zapisałem.

– To czemu zapomniałeś?

– Gdzieś się ta kartka zapodziała. Mała, żółta, samoprzylepna. Klej słaby, wszystko teraz chińskie, czego się nie dotkniesz, to się ryż wysypuje...

– To ja ci powiem, gdzie jest ta karteczka.

– Gdzie?

– W tym twoim bajzlu na biurku. Przeszukaj go.

– Mylisz pojęcia. To nie jest bajzel, tylko system, dzięki któremu nie gubię się w swoich sprawach.

– Nie łudź się, Mateusz. Bajzel nazwany systemem i tak wciąż pozostanie bajzlem. Przeszukaj.

– Nie marudź. Napiszę sobie nową.

– Tak, a ona pójdzie do bajzlu szukać tamtej starej. Na monitorze sobie ją przyczep. Tak na wszelki wypadek.

– Już, no... Już piszę... Za-łat-wić... Gru-chę...

– Jak to ładnie zabrzmiało.

– Prawda? Dobra, po weekendzie przyjedziesz do więzienia, dam ci znać w poniedziałek, kiedy i o której. Zadowolony?

– Kartkę przyczepiłeś do monitora?

– Nie denerwuj mnie.

– Przyczepiłeś?

– Tak!

– To teraz jestem zadowolony. Na razie.

– Na razie.

\* \* \*

Po południu Krugły wybrał numer Piotrka Hurynia, specja z Wydziału Techniki Operacyjnej KWP, który obiecał mu kiedyś pomoc na nowej drodze

życia.

– Coś takiego! – usłyszał w telefonie jego tubalny głos. – Krugły P.I.? Do mnie?

– Cześć, Pidu. Słuchaj, prośbę mam. Wyślę ci zaraz ememesa. Spojrzałyś na to swoim fachowym okiem i powiedział co to? Bez technicznego żargonu, oczywiście. Wystarczą ogólne parametry.

Rozłączył się i wysłał zdjęcie pluskwy; tej, która wypadła zza telewizora. Zanim oddał ją Sokołowskiemu, cyknął fotkę telefonem. Minutę później Piotrek oddzwonił.

– Skąd to masz?

– Pająk mi do domu przytargał.

– To jest pluskwa.

– To wiem. Teraz potrzebuję wiedzieć jaka.

– Masz na myśli zasięg, czas pracy i tak dalej?

– Otóż to. Ale tak, jak dla laika, OK?

– Dobra. Zdalny podsłuch kwarcowy. To oczywiście tylko część zestawu. Żeby to sensownie działało, musisz jeszcze mieć skaner częstotliwości, który odbiera transmitowany sygnał. Zasięg jest różny, nawet kilka kilometrów, ale to zależy oczywiście od skanera. I pluskwy. Ta twoja ma zasięg około półtora do dwóch kilosów.

– Gość siedzi gdzieś niedaleko i słucha?

– Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że podłączy dyktafon. Dwa giga pamięci i ma materiału w cholere, zwłaszcza jeśli będzie miał funkcję aktywacji nagrania dźwiękiem. To oszczędza miejsce na karcie.

– Ile czasu działa taka pluskwa?

– Ta? Około miesiąca. Ale odbiornik tylko kilkanaście godzin, może dobę. Dyktafon z tą funkcją uruchamiania dźwiękiem pociągnie... Ja wiem, że dwa dni.

– Czyli nawet jeśli zachomikował odbiornik gdzieś niedaleko miejsca, w którym zainstalował pluskwę, to musi codziennie przyjeżdżać i wymieniać baterie?

– To zależy od rodzaju zasilania sprzętu, ale tak czy siak musi to jakoś ładować. Może mieć zdublowany i zamieniać codziennie na naładowany.

– Gdzie to może trzymać?

– Och, gdziekolwiek. W zaparkowanym samochodzie na przykład. W lokalu, który wynajął niedaleko miejsca inwigilacji. Wszędzie. Ogranicza go tylko wyobraźnia i kasa.

- Czyli niekoniecznie musi przyjeżdżać?
- No, nie musi... Może siedzieć na dupie *in his place* i słuchać. Ale raczej nagrywa, bo nie ma sensu tkwić przy tym jak kołek, przez cały czas. Technika idzie do przodu.
- Da się wykryć to miejsce?
- Piotrek roześmiał się.
- Zadzwoń do NSA, niech skorzystają z Echelonu i go znajdą.
- To był dowcip branżowy, mam rozumieć?
- Zgadza się.
- Czyli nie da się?
- Nie w naszych realiach.
- A mówiłeś, że technika idzie do przodu?
- Nie łap mnie za słówka. Poza tym jeśli znalazłeś tę pluskwę, to gość najprawdopodobniej i tak już się zwinął.
- Chyba że podłożył nową...
- Hm... Mam wpaść ze sprzętem?
- Jeśli mógłbym cię prosić.
- Mógłbyś.
- Płacę w szkockiej walucie. Mam wolną chatę, jak chcesz, to możesz się nawet napruć.
- To kusząca propozycja. Będę koło ósmej. Rozumiem, że postawisz mi taryfę?
- Nie krępuj się, wrzucę to sobie w koszty. – Krugły podał mu adres i rozłączył się.

Odłożył telefon i podszedł do okna. Otworzył je, wyjrzał na ulicę i spojrzał na nocny krajobraz. Dworzec tętnił życiem, gdzieś na czarnym tle wieczornego nieba migały światełka masztu telewizyjnego w Kołowie i kominów Wiskordu. Zachciało mu się palić. Raz na kilka miesięcy ogarniała go taka chęć. Przypomniawszy sobie stare czasy, kiedy niedopałek ostatniego papierosa przed snem lądował w kratce ściekowej sześć metrów niżej. Krugły uwzględniał czynniki pogodowe i wszystkie możliwe parametry, dzięki czemu miał ponad dziewięćdziesiąt procent trafień. Uśmiechnął się do siebie i zamknął okno.

Kiedy przyjechał Piotrek, wielki facet o rumianej twarzy dziecka, na której nie było śladu zarostu, nalał mu whisky, sobie piwa, a potem oprowadził go po mieszkaniu. Obejście wszystkich pomieszczeń z szerokopasmowym skanerem podsłuchów nie dało efektów, mieszkanie było czyste. Dla pewności Piotrek

przeleciał się jeszcze po nim z laserowym wykrywaczem kamer, też bez efektu.

– Ile kosztują te cacka? – zapytał Krugły, wskazując pokalem urządzenia.

Piotrek, pakując je do wyściełanej gąbką walizeczki, uśmiechnął się.

– Próbujesz mnie wysondować, czy ci coś takiego pożyczę?

– Powiedzmy.

– Nie pożyczę. I tak nie potrafisz większości z tego obsługiwać. Na robotę możesz je wynająć, ale ze mną. Są dla mnie jak dzieci, tylko więcej kosztują...

Poza tym są firmowe. – Puścił oko i zerknął w stronę stojącej na stole butelki piętnastoletniej Chivas Regal.

Skończyli po pierwszej w nocy. Potem poszli do komendy miejskiej przy Kaszubskiej, skąd dyżurny zamówił niezłe skutemu Piotrkowi podwózkę do domu. Kiedy Piotrek wciskał się do radiowozu, Krugły podziwiał go w duchu. Mimo że facet był nawalony jak szpak, ani na chwilę nie wypuścił z rąk przytulonej do szerokiej klaty walizeczki.



# IX

## Sobota, 11 lipca

Rankiem następnego dnia Krugłego obudził telefon. Krugły miał lekkiego kaca, nie na tyle dolegliwego jednak, by stłumił wrodzone lub wyuczone poczucie obowiązku. Wygrzebał rękę spod poszewki na kołdrę i wymacał najpierw kota, śpiącego na poduszce tuż obok jego głowy, a potem leżącą na nocnym stoliku komórkę.

Zerknął na wyświetlacz. Numer zastrzeżony.

– Halo? – wyszeptał przez zaschnięte gardło.

– Szczęść Boże. – Usłyszał w telefonie głos pełen życia i radości, a więc tego, czego mu w tej chwili najbardziej brakowało. – Z tej strony ksiądz kanonik Remigiusz Lachert, wicekanclerz kurii metropolitalnej. Czy pan Robert Krugły?

Krugły zdębiał. Stał mu przed oczami jego imiennik z Kabaretu Moralnego Niepokoju. „Ja pierdzielę, ksiądz!”. Ksiądz. Kolejny. Rano. Dość wcześnie rano, jak zdążył się zorientować po pozycji słońca za oknem. I to jakiś waśniak. Nie znał, oczywiście, stopni kościelnej hierarchii, ale tytuły, którymi przedstawił się rozmówca, brzmiały skomplikowanie i poważnie.

– Tak... – wyjąkał, jeszcze lekko dezorientowany. – Tak... Krugły z tej strony. Słucham księdza...

– Nie obudziłem, mam nadzieję? – zaszczebiotał Lachert.

Mimo że Krugły nie czuł żadnego związku z Kościołem katolickim, uznał, że kłamanie księdzu byłoby nie w porządku. Nawet jeśli to miałyby być niewinne kłamstewko z czystej uprzejmości.

– Prawdę mówiąc, jeszcze spałem – stęknął. – Ale nic się nie stało... Wie ksiądz, mam obecnie wolny zawód i mogę pozwolić sobie na lenistwo. Czasami, oczywiście... Zwłaszcza kiedy pracuję do nocy.

Kuźwa, czyżby mu się tłumaczył? Czy to typowy dla znacznej części ludzkości niemal nabożny stosunek do ludzi, którzy poświęcili się Bogu?

Przetarł powieki i skupił się na rozmowie.

– I bardzo dobrze – zakwilił radośnie ksiądz kanonik. – Po ciężkiej pracy należy się odpoczynek. Nawet Bóg musiał odpocząć po stworzeniu świata, nieprawdaż? Zwłaszcza że dzisiaj sobota!

„Prawdaż?” – pomyślał Krugły, rozgrzeszając się w myślach.

– Już jestem do księdza dyspozycji – powiedział, siadając na łóżku. – Słucham.

– Dostałem pański numer od księdza arcybiskupa... – Lachert spoważniał. – Chciałbym się z panem spotkać.

– Ze mną? – zdziwił się Krugły.

– Tak. W sprawie księdza Sobieraja. To dość ważne.

– O... – Krugły nie był w stanie wymyślić nic mądrzejszego. Miał czarno przed oczami.

Lachert chrząknął:

– Tak, rozumiem, że może być pan trochę zaskoczony...

„Trochę?”

– ...ale naprawdę zależy mi na spotkaniu.

– To arcybiskup już wie? – zdziwił się Krugły.

W głosie Lacherta też przez chwilę słychać było zaskoczenie.

– Nno, wie... – powiedział, ale już po chwili jego głos znów stał się wesoły. – Ksiądz też człowiek. Myśli pan, że my między sobą nie plotkujemy? Zwłaszcza jeśli sprawa dotyczy kogoś z nas? – Spoważniał nagle. – Niech się pan nie martwi, rzecz została w ścisłym kierownictwie kurii. Jesteśmy świadomi powagi sprawy.

– To dobrze. – Krugły odetchnął, gratulując sobie w duchu ostrożności, kiedy wczoraj, podczas rozmowy z biskupem, postanowił trzymać język za zębami. – Nikt jeszcze nie dowiedział, że ksiądz Sobieraj jest w cokolwiek zamieszany, proszę księdza. Łatwo zniszczyć komuś życie, naprawić je dużo trudniej.

– Zgadzam się z panem. To święta prawda. Czasem nawet nie da się już niczego naprawić. Po prostu się nie da... To co? Da się pan wyciągnąć z domu?

– Mam przyjechać do kurii?

– Może nie do kurii, ale niedaleko. Teren neutralny. Różanka, co pan na to? Koło fontanny.

Krugły zastanawiał się. Miał dziś jechać po Ewę do Podjuch, mieli załatwić zakupy, może jakieś kino po południu...

– Dobrze – odpowiedział po chwili. – Ale nie mam zbyt dużo czasu.

– Nie ma sprawy, to zajmie nam dziesięć, piętnaście minut.

– Niech ksiądz mi da z pół godzinki, plus kwadrans na dojazd.

– Nie ma sprawy, panie Robercie. Za czterdzieści minut wychodzę od siebie. Daleko nie mam. Do zobaczenia.

Krugły zwlekł się z łóżka i spojrział na wyświetlacz komórki. Po dziewiątej. Poszedł pod prysznic, zjadł szybkie śniadanie i pojechał na Łękno. W drodze

zadzwoił do Ewy. Była trochę naburmuszona, kiedy powiedział jej, że przyjedzie dopiero za godzinę albo półtorej, ale dała się przekonać, że nie ma innego wyjścia. Był już lekko spóźniony, kiedy parkował koło Różanki, od strony ulicy Jasienicy, niedaleko budynku nieczynnej stacji kolejowej.

Ogród Różany, odtworzony po latach zapomnienia, robił wrażenie. Może nie tak wielkie, jak wiosną, ale jednak. Zapachy i kolory, posegregowane ręką człowieka na małe pola, obsadzone różnymi odmianami kwiatów i krzewów róż, przywodziły na myśl atmosferę amsterdamskich targów kwiatowych. Jediną różnicą był kontrast między ich ciasnotą i chaosem a przestrzenią i porządkiem Różanki, objętej w całości rygiem kąta prostego.

Krugły widział z daleka czarną postać księdza. Lachert siedział na ławce, niedaleko Ptasiej Fontanny. Oparty dołem pleców o nieznacznie wystający ponad siedzisko ceglany murek, trzymał jedną nogę założoną na drugą i coś czytał. Pozycja, jaką przyjął, była karkołomna, ale on widać się tym nie przejmował. Zatopiony w lekturze, uniósł głowę znad książki dopiero wtedy, kiedy usłyszał chrzęst żwiru pod butami Krugłego.

– Żona księdza – powiedział, wskazując książkę, na którą patrzył Krugły. – Czyli brewiarz.

Wstał, odłożył oprawioną w czarną skórę książkę na ławkę i wyciągnął rękę.

– Remigiusz Lachert.

– Robert Krugły – powiedział Krugły, ściskając podaną dłoń i patrząc księdzu w oczy.

Lachert nie uciekał spojrzeniem. Miał wesołe, inteligentne oczy i twarz zdradzającą pierwsze oznaki zamiłowania do alkoholu. Był trochę młodszy od Krugłego, na oko jakieś pięć lat. Czarna sutanna optycznie go wysmukłała, ale widać było, że albo lubi zjeść, albo nie lubi ruchu, albo obie te rzeczy naraz.

– Usiądźmy. – Wskazał Krugłemu ławkę, pochylił się i zabrał brewiarz.

Usiedli, patrząc przed siebie, nie wiedząc, jak zacząć. Krugły nie miał tak naprawdę pojęcia, czego chce od niego Lachert, ksiądz zaś nie kwapił się do szybkiego przejścia do rzeczy.

– Piękno, które tworzy człowiek – powiedział w końcu Lachert, wskazując na rzeźbę nad fontanną – jest przejawem mocy Boga. To On dał artyście talent, by mógł stworzyć je na Jego chwałę. Szkoda tylko, że nie wszyscy ludzie potrafią to uszanować...

Szyję jednej z czterech dzikich gęsi już szpeciła blizna z kleju. Krugły lekko się skrzywił. Nie chciało mu się słuchać wzniosłych fraz, wygłaszanych

natchnionym tonem, ale tego, co usłyszał chwilę później, na pewno się nie spodziewał.

– Pewnie komuś się nudziło albo może chciał zaimponować dziewczynie swoim męstwem. Tylko gdzie tu, psiakrew, męstwo, kiedy gość z półobrotu kopie w głowę ptaka, który w dodatku nie może się bronić, bo jest z betonu.

W pierwszej chwili Krugły był pewien, że się przesłyszał. Spojrzał na Lacherta.

– Co, nie mam racji? – zdziwił się ksiądz, widząc jego wzrok.

– Ma ksiądz, jak najbardziej... Sam bym lepiej tego nie ujął. – Krugły w lekkim zakłopotaniu podrapał się w czubek nosa.

Zaczął się obawiać, że księżulo wyciągnie zaraz z rękawa blanta albo flachę i poczęstuje go, nie zważając na kręcących się po ogrodzie spacerowiczów.

– Ale pan ma minę – zauważył Lachert.

– Nooo... Nie spodziewałem się takich słów po wysokiej rangi księdzu. W ogóle po księdzu...

– A ilu pan księży zna?

– W zasadzie... Wczoraj poznałem biskupa...

– Czyli sztuk: jeden.

– Tak można to ująć.

– Nie: tak to można ująć, tylko: taka jest prawda. Musi pan to przyznać.

– Przyznaję.

– Ach te stereotypy, co? Bolać...

– Zabolało księdza?

– Mnie nie. Ja mam tarczę. – Wzniósł oczy ku niebu. – Ale innych? Kto wie?

– Ale zdaje sobie ksiądz sprawę, że te słowa na początku, a szczerze mówiąc, następne również, nie pasują do księdza? Nie księdza personalnie, tylko ogólnie... do przedstawiciela kleru.

– Możliwe. Ale ksiądz też człowiek, a ludzie są różni. No i te stereotypy...

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy, bo zaczynam się gubić – zaproponował Krugły.

– Jasne – zgodził się Lachert.

– Ksiądz chciał się ze mną widzieć. W sprawie księdza Sobieraja.

– To prawda.

– A o co chodzi konkretnie? – Krugły z ledwością powstrzymał się przed zerknięciem na zegarek. – Aha, i mam do księdza prośbę: jestem osobą niewierzącą i proszę o uszanowanie tego.

– To znaczy, że mam przy panu nie wymawiać słów takich jak: Bóg, Jezus, wiara, krzyż i tak dalej?

Krugły uświadomił sobie, że trochę się pośpieszył, ale nie lubił, jak ktoś próbował przekonywać go do czegoś na siłę. I w zasadzie nie miało znaczenia, czy był to ksiądz, czy telemarketer od cudownych naczyń.

– Nie, skąd, tak to raczej byśmy sobie pewnie nie porozmawiali. Chodzi mi o to, żeby ksiądz nie starał się za wszelką cenę nawrócić mnie na drogę wiary.

– Pół życia to robię, nie wiem, czy się powstrzymam... Żartuję. – Roześmiał się. – Ale jakby co, jestem otwarty na propozycje negocjacji w sprawie przyjęcia na łono Kościoła. Akces może pan zgłosić u mnie, ja nadam sprawie dalszy bieg. A może jest pan chociaż ochrzczony? – Mrugnął okiem.

Krugłemu nie chciało się śmiać.

– Prosiłem księdza przecież. Poza tym mam mało czasu. Mówił ksiądz o piętnastu minutach, a minęło już dobre pięć.

– Widzę, że jest pan nieco uczulony.

Tu Krugły musiał mu przyznać trochę racji.

– W porządku. – Lachert sapnął. – Zaczynamy od początku. W jakiej sprawie się spotkaliśmy...

Wziął głęboki oddech, przyciągając podbródek do piersi i spojrzał przed siebie, jakby przygotowywał się do jakiejś dłuższej przemowy albo po prostu nie wiedział, jak zacząć.

– Ksiądz Marek i ja... studiowaliśmy razem. Tu, za tym murem... – Wskazał przed siebie. – ...ładnych parę lat temu.

– Biskup Michalczyk nie wspominał, że w kurii jest ktoś, kto przyjaźni się z Sobierajem – przerwał mu Krugły, lekko zdziwiony.

– Może nie skojarzył.

– Byliście razem na roku, a on miał z wami zajęcia...

– Wiele lat temu. Było nas prawie czterdziestu. Zajęcia z nim, na drugim roku, trwały semestr, jeden wykład w tygodniu. Co pan taki podejrzliwy? Biskupa pan podejrzewa? – Lachert roześmiał się. – Zresztą prawie nie mam z biskupem kontaktu. Jestem tylko urzędnikiem, widzujemy się czasem na korytarzach, ale wątpię, żeby pamiętał, że miał ze mną zajęcia...

– Sobieraja pamiętał.

– Ja, szczerze mówiąc, nie byłem wybitnie zdolnym studentem. – Poufale ściszył głos. – Miałem czasem kłopoty z niektórymi przedmiotami. Ale, jak widać, nie zawsze liczy się wiedza teologiczna.

– Racja. Może pamiętał Sobieraja przez ten kryzys? Wie ksiądz coś o tym? Lachert zagryzł wargę i strzelał oczami na bok, jakby bił się z myślami.

– Wiem. Byłem przy tym, że tak powiem. I dlatego właśnie chciałem się z panem spotkać. Po to, żeby wyjaśnić.

– Wyjaśnić? Ale co?

– Pewne sprawy.

– Jakie sprawy?

Krugły zaczął zastanawiać się, czy jest gotowy na to, co ma za chwilę usłyszeć. Lachert zamilkł na kilkanaście sekund. Nie uśmiechał się już, widać było, że zbiera myśli.

– To było pod koniec pierwszego roku seminarium – powiedział w końcu, wysilając pamięć. – W czerwcu dziewięćdziesiątego dziewiątego. Ale zanim opowiem panu o tym, muszę cofnąć się do dziewięćdziesiątego siódmego...

– Do pożaru?

– Tak. – Lachert spojrzał na niego, zdziwiony. – Do pożaru. Do podpalenia. Wie pan o tym?

– Biskup Michalczyk wspominał. Ale wiedział tylko to, że pożar był. Mam nadzieję, że więcej szczegółów poznam od księdza.

– Pozna pan. Nie wiem, czy więcej, ale powiem panu to, co wiem. Chodziłem z Markiem do liceum...

„Czyli między nami jest nie pięć, a z dziesięć lat różnicy” – pomyślał Krugły.

– ...jeszcze się nie przyjaźniliśmy, to była tylko klasowa znajomość. Byłem u niego raz, w tym domu, który się spalił. Sobierajowie mieszkali na górze, to był taki poniemiecki dwurodzinny budynek z piwnicą i strychem. I z fajnym ogrodem, chociaż strasznie zapuszczonym. Na Konopnickiej. Na dole mieszkał pewien samotny mężczyzna, nie mam pojęcia, jak się nazywał. Marek nazywał go „ubowcem”, nie lubił go, ale kiedy raz zapytałem dlaczego, zbył mnie, mówiąc tylko, że jest złym człowiekiem. Widziałem go nawet wtedy, kiedy u nich byłem, wyglądał normalnie, chociaż jak się mijaliśmy przy furtce, to tak na mnie spojrzał, że mnie ciarki przeszły. I to właśnie on podpalił ten dom. Byliśmy na początku czwartej klasy liceum. Pani Edyta i pan Grzegorz, i Marka siostra, Danka... zginęli. Tylko Marek zdążył uciec, trochę podtruł się dymem. Danka zmarła kilka dni później, w szpitalu... Tak to wyglądało.

Milczeli przez chwilę.

– Czemu ksiądz chciał rozmawiać ze mną o Sobieraju? – zapytał Krugły.

Lachert spojrzał na niego.

– Dla jego dobra.  
– Nie rozumiem?  
– Jest o coś podejrzany, tak? O coś poważnego? Słyszałem wręcz o jakichś morderstwach...

– Nie.  
– Nie?  
– Tak, chodzi o morderstwa i niczego więcej nie mogę powiedzieć. Ale nie, nie jest obecnie podejrzany o ich popełnienie. I też już niczego więcej w tej sprawie ksiądz ode mnie nie usłyszy.

Lachert uniósł brwi, a Krugły spojrział na niego, myśląc, że wyrażenie „nie jest obecnie podejrzany” nie było zbyt fortunne. Wypsnęło mu się. Coś w rodzaju „głodnemu chleb na myśli”? Czy to może wina tej jego „ubeckiej” podejrzliwości, którą wypominał mu niedawno Michalczyk?

– Co to znaczy „dla jego dobra”? – zapytał Lacherta.

Ksiądz kanonik zgarbił się lekko, minę miał trochę zagubioną. Chyba nie chwycił tego „obecnie”. I bardzo dobrze.

– Uznałem, że skoro posiadam istotne informacje, których nie ma praktycznie nikt inny, powinienem się nimi z panem podzielić.

– To już bardziej z prokuratorem Michalczykiem.

– A w waszym przypadku to nie to samo? – Mina Lacherta z zagubionej zmieniła się w szelmowską. – Podobno działacie wspólnie?

– No... – przyznał z ociąganiem Krugły.

– Ale skoro mówi pan, że Marek nie jest o nic podejrzany... – Ksiądz kanonik spojrział na swoje ręce. – ...to nie mamy się czym martwić. Być może faktycznie trochę się pośpieszyłem i wyszedłem przed szereg... Nie wiem, czego pan się spodziewał, kiedy usłyszał, że mam do przekazania ważne informacje o Marku.

Krugłemu przebiegła przez myśl grupa kleryków parających się czarną magią albo jeszcze czymś gorszym, ale oczywiście nie wspominał o tym ani słowem.

– Zgadza się – przytaknął zamiast tego. – Nie mamy się czym martwić. Na razie nikt z... – Krugłemu przez chwilę zabrakło słowa, deklinacja rzeczownika „ksiądz”, w dodatku w liczbie mnogiej, nie jest sprawą prostą. – ...na razie nikt w kurii nie ma absolutnie żadnych powodów do zmartwienia.

– To dobrze. – Lachert pokiwał głową. – To bardzo dobrze. Pocieszył mnie pan i rozwiązał wątpliwości. Czyli w zasadzie nie musimy wracać już do tego, od czego zaczęliśmy?

- Do pierwszego roku studiów Sobieraja?
- Chce pan o tym usłyszeć?
- O jego kryzysie? Jak najbardziej wracamy do tego. Był konsekwencją pożaru, tak?

Lachert skrzywił się lekko.

- Bez wątpienia.
- Słyszałem, że Sobieraj zniknął na jakiś czas?
- Tak. Samowolnie. Nie miał zgody na opuszczenie seminarium, po prostu którejś niedzieli nie wrócił ze spaceru. Wie pan, w niedzielę mieliśmy czas wolny, na spotkania z rodzinami i znajomymi albo spaceru po parku. Różanka była jeszcze wtedy ruiną. Marek zadzwonił wieczorem, że potrzebuje trochę czasu, że musi pobyć przez jakiś czas sam, żeby załatwić zaległe sprawy.

– Jakie sprawy? Przecież nie miał już nikogo. Może chodziło o dalszą rodzinę?

- Nie wiem.
- Miewał myśli samobójcze? Albo inne?
- Co pan ma na myśli, mówiąc „inne”?
- Myśli o zemście, na przykład.

Lachert milczał. Skubał róg leżącego obok niego brewiarza i wpatrywał się w złożony krzyż, wytłoczony na jego okładce.

– Wie pan, w jego sytuacji takie myśli są zrozumiałe. Co jeszcze niczego nie musi oznaczać – dodał szybko. – To po prostu takie... ludzkie. Nikt na jego miejscu nie byłby wolny od takich pokus. Ale nie liczą się myśli, lecz czyny. A on się nie zemścił. Wrócił do nas. Wybaczył temu człowiekowi.

- Prawdziwy chrześcijanin...
- Tak jest – podchwycił Lachert.
- Ale o zemście jednak myślał?

Lachert milczał przez chwilę.

– Krótko. I uznał, że nie ma ona sensu. Zrobił tak, jak powinien zrobić prawdziwy chrześcijanin. Nie mówię o nadstawianiu drugiego policzka. Mówię o wybaczeniu. Widzi pan, jedni tylko mówią, że są dobrymi katolikami, a inni po prostu nimi są. I on jest jednym z tych drugich. JEST dobrym katolikiem.

- Myślałem, że księża są dobrymi katolikami niejako z automatu, że się tak wyrażę?
- Rozczaruję pana może, ale nie zawsze tak jest.
- Nie kała ksiądz teraz własnego gniazda?



– Mam udawać, że pada deszcz, kiedy ktoś na mnie pluje? Taka jest prawda i niech pan nie udaje, że tego nie wie. Tak, tak! Śmiało, proszę, niech pan wyrazi swoją opinię o księżach. Słucham! – Zachęcał Krugłego uśmiechem.

– Na pewno chce ksiądz usłyszeć prawdę?

– Całą prawdę i tylko prawdę. Szczerze, jak na spowiedzi.

– Nie może się ksiądz powstrzymać przed tą indoktrynacją, widzę.

Lachert roześmiał się, szczerym, głośnym, perlistym śmiechem, nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami spacerowiczów. Odchylił się do tyłu, wył do nieba i klepał się z uciechy w udo.

– No, nie mogę – powiedział, kiedy się już uspokoił. – To prawda, nie mogę. Ale to takie, powiedzmy, zboczenie zawodowe. Dobra, słucham. Już nie będę.

– Tu nie chodzi o pijaństwo, pedofilię, księzowskie dzieci i tak dalej. Zostawmy te tematy. Tak jak ksiądz wspomniał: ksiądz też człowiek, choć, oczywiście, to nie może wszystkiego tłumaczyć, zwłaszcza pedofilii. Chodzi o wasze oderwanie od rzeczywistości. Uzurpujecie sobie prawo do dyktowania ludziom, jak mają żyć, nie mając o tym zielonego pojęcia. I sami popełnacie identyczne błędy, co my. Krzty samokrytyki. To mnie boli najbardziej.

– A wie pan, że mnie też – powiedział Lachert, patrząc na drzewa za płotem. – Widzimy drzazgę w oku bliźnich, a nie widzimy belki w swoim. To prawda. Ale nie możemy generalizować...

– Absolutnie nie – zgodził się Krugły.

– Bo tak jak na przykład wśród lekarzy są obiboki, lenie i brudasy oraz świetni, pełni empatii, talentu i zapału ludzie, tak i wśród księży spotka pan gorliwych kapłanów, kochających Boga i ludzi ponad życie, oraz zwykłe mendy... Tak, tak, nie zawaham się użyć tego określenia. Mendy. Pociesza mnie to, że po śmierci każdy odbierze swoją nagrodę. *Mane, tekel, fares*, panie Robercie. Dotyczy to wszystkich. Mnie, pana... Wszystkich.

– Z tym się akurat zgadzam. Wierzę w coś w rodzaju sprawiedliwości dziejowej. Karmy.

– No widzi pan... Z Kościołem, nie tylko w Polsce, jest jeden, poważny problem. To strasznie skostniała instytucja. Hierarchowie w dość podeszłym wieku...

– Ksiądz nie jest w podeszłym wieku – zauważył Krugły.

– Ale ja nie jestem hierarchą, ja jestem noszącym koloratkę urzędnikiem kurii. – Lachert uśmiechnął się, jakoś tak dobrotliwie. – O wysokiej pozycji,

ale jednak urzędnikiem. A hierarchowie w zdecydowanej większości są w podeszłym wieku. No i ten wspomniany przez pana brak wiedzy o prawdziwym życiu. To wszystko przypomina trochę akademizm w sztuce. Nie jestem pewien, czy wie pan, o czym...

– Wiem doskonale. Tak się składa, że interesuję się malarstwem.

– Coś takiego! – Lachert spojrzał na niego z ciekawością. – Czyli wie pan, o czym mówię. Tu jest tak samo. Konwencjonalna poprawność i odrzucenie jakiegokolwiek spontanicznej ekspresji. I jak oni chcą przyciągnąć młodzież? Smutasy bez krzty radości z Boga. Jak Jorge z Burgos, klasztorny bibliotekarz z *Imienia róży*. – Zrobił minę, jaką ulicznicy clowni rozbawiają płaczące dzieci.

Krugły był ubawiony i przyjemnie zdziwiony równocześnie.

– Ksiądz jest raczej niezwykłym księdzem, jeśli mogę zauważyć.

– Pod jakim względem niezwykłym?

– Dość śmiałych, jak na kapłana, poglądów. A właściwie braku skrepowania w ich głoszeniu.

– Och, nie głoszę ich przecież publicznie. Rozmawiamy sobie tylko, prawda? – Lachert spojrzał chytrze na Krugłego.

– Owszem. – Krugły wzruszył ramionami. – Ale mam wrażenie, że ksiądz nie należy do osób kryjących swe poglądy ze względów konformistycznych. I że jeśli ktoś zapyta księdza o opinię w jakiejś sprawie, i tak się akurat złoży, że ta opinia będzie dość kontrowersyjna, to ksiądz mimo wszystko, nie przejmując się nikim i niczym, walnie z grubej rury. Mylę się?

– Nie, nie myli się pan. Aż tak łatwo mnie przejrzeć? – Lachert, patrząc na Krugłego, przekrzywił zabawnie głowę; wyglądał jak papuga, kpiąco zerkająca na kota zza prętów swojej klatki, świadoma swej bezpiecznej i niezagrożonej pozycji.

– Prawie dwadzieścia lat byłem policjantem. Myślę, że trochę znam się na ludziach.

– No, dobra, przyznaję. – Ksiądz kanonik podniósł obie ręce do góry. – Ma pan stuprocentową rację. Nie zawaham się wyrazić swojej opinii, nawet jeśli jest to komuś nie na rękę. To prawda. I to jest moje szczęście i moje przekleństwo równocześnie. Szczęście dlatego, że dzięki temu, paradoksalnie, zrobiłem karierę nie tylko z powodu swych talentów organizacyjnych. Po prostu arcybiskup woli mnie trzymać przy sobie, zamiast dać mi parafię i pozwolić spokojnie paść własne owieczki. A przekleństwo? Bo przez to nie mogę być blisko ludzi. Siedzę w kurii, bawię się w sprawy administracyjne na szczeblu archidiecezjalnym, chodzę na krótkiej smyczy i nie wiem, jak żyją

zwykli ludzie. Można powiedzieć, że ktoś musi robić to, co robię, ale... Cóż, widać tak chciał Bóg. Człowiek jest tylko narzędziem w Jego rękach. Ja również.

Krugły zerknął na zegarek i lekko się zdziwił.

– A ten, kto zabija? – zapytał nagle, nie bacząc, że naraża się na straszliwy gniew matki swojego dziecka. – Też jest tylko narzędziem?

– Ma pan na myśli Marka?

– Tego nie powiedziałem. Czemu ksiądz wciąż zakłada, że to on? Mimo tego, o czym mówiłem przed chwilą? Że nie ma się czym przejmować?

Lachert przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

– A pan tego nie zakłada? W sumie jak do tej pory niczego konkretnego mi pan nie powiedział. Tylko to, że Marek nie jest o nic podejrzany. Ale powiem panu, tak między nami, że to mnie nie do końca przekonuje. To po co ta wizyta w kurii pytam? Mydli mi pan oczy?

Oczy Lacherta zwięziły się chytrze, a Krugły pomyślał, że sprytny klecha chce jednak coś ugrać.

– Nie umawialiśmy się na to spotkanie po to, żebym to ja księdzu coś powiedział – odparł spokojnie. – To ksiądz miał powiedzieć coś mnie, a nie na odwrót.

– No, i powiedziałem.

– To prawda. Ale z jaką intencją? Teraz zaczynam myśleć, że ksiądz chciał mnie po prostu wybać.

Lachert wznosił ku niebu twarz i ręce. Wyglądał przez chwilę jak prorok szukający tam, w górze, objawienia.

– Tu mnie pan ma. To prawda. Niech pan tylko nie myśli, że to na prośbę księdza biskupa czy coś takiego.

– A na czyją?

– Na niczyją. To wyłącznie moja inicjatywa. Wyłącznie moja! Rozumie pan? Ja po prostu straszliwie się boję o Marka. I proszę postarać się to zrozumieć, dobrze?

– Dobrze. – Krugły westchnął. – Zamieszanie księdza Sobieraja w te morderstwa to tylko jedna z hipotez. Rzecz do sprawdzenia, co niniejszym czynię, ja i prokurator Michalczyk. To, że Sobieraj tak często pojawia się w tej sprawie, to może być najczystszy w świecie przypadek.

– No dobrze. – Lachert uspokoił się i nagle wyraźnie poweselał. – Czy morderca jest narzędziem, pyta pan? Hm... Bóg dał człowiekowi rozum i wolną wolę, żeby żył swoim życiem. Dał mu też prosty wybór: albo będzie

żył w zgodzie z Nim i Jego przykazaniami, albo nie. Po to właśnie ma i rozum, i wolną wolę. Żeby wybrać. Zabicie drugiego człowieka w świetle nauk Jezusa jest grzechem, bez wątpienia. Zaprzeczeniem istoty człowieczeństwa. Ale czy Bóg nie zabija?

– Myślałem, że Bóg Ojciec i Jezus to jedno? Ojciec zabija, a Syn nie? Nie ma tu sprzeczności?

– To nie takie proste.

– Wiem.

– A wie pan, że według jednej z apokryficznych ewangelii, tak zwanej Ewangelii Dzieciństwa Tomasza, Jezus zabił w młodości swojego kolegę?

– Naprawdę?

– Zrobił to ze złości. Był tylko małym chłopcem. Zresztą zaraz potem go wskrzesił. Co prawda potem zabił innego kolegę, nauczyciela w szkole, i tak dalej...

– Ksiądz wierzy w apokryfy? Co na to arcybiskup?

– Tak się składa, że dyskutowaliśmy na ten temat, i to wiele razy. Jak było naprawdę... – Lachert z szelmowskim uśmiechem na ustach wznosił ręce do góry. – ...tylko Bóg jedyny to wie. Oczywiście były to dyskusje czysto teoretyczne, w dodatku przy kolacji i winie, więc sam pan rozumie... Ale niech pan zwróci uwagę na jeszcze jedną rzecz. Jesteśmy zwierzętami. Mimo wszystko. Różni nas od reszty zwierząt to, że my zostaliśmy wybrani przez Boga. Stworzył nas najpierw zwierzętami, a dopiero potem nadał nam cechy człowieczeństwa, a zrobił to, jak mówi Pismo, na swoje podobieństwo. I gdyby nie to, byłibyśmy takimi samymi ssakami jak psy, delfiny czy małpy. Nie znalibyśmy pojęcia dobra i zła. Bo zło to pierwiastek, który tkwi w każdym stworzeniu. Od zarania dziejów. Pozwala przeżyć, bo w sytuacji zagrożenia nie trzeba wybierać, jak postąpić. Gdy lew dopada stado antylop, żadna z nich nie dba o los tej, która biegnie obok niej. Chce tylko przeżyć, nawet jeśli dzieje się to kosztem innego osobnika ze stada. Zachowywalibyśmy się tak samo, gdyby nie normy społeczne, które wyewoluowały wraz z człowiekiem w ciągu ostatnich kilku setek czy tysięcy lat. To one pozwoliły nam stłumić ten pierwiastek w sobie. Dobro to właśnie te normy. Także te, które dał nam Bóg, a które na kamiennych tablicach objawił na górze Synaj Mojżesz. Dekalog. Poświęcamy się dla innych, jesteśmy gotowi oddać życie za drugiego człowieka, nawet jeśli jest nam zupełnie obcy, ale robimy to tak naprawdę wbrew naturze. Bo jesteśmy dobrzy. Bo tego dobra nas uczono. Ile zna pan przykładów wśród świętych i błogosławionych, którzy

oddali życie nie tylko za wiarę, ale za innego człowieka? Na pewno przynajmniej kilka. Ilu takich ludzi jest poza Kościołem? Ile takich przypadków, o których nie mamy nawet pojęcia, że miały miejsce?

– Ciekawy punkt widzenia, ale trochę się z księdzem nie zgodzę. Dobro jest przymiotem człowieka, owszem, ale zło też dotyczy wyłącznie jego. I nie można mylić go z instynktem przeżycia. Zło ma wymiar osobowy. Zwierzę krzywdzi inne zwierzę tylko wtedy, kiedy jest to niezbędne do jego przeżycia. Poluje dla mięsa, nie dla zabawy. Przywódca stada poświęca słabego osobnika dla dobra całego stada. A człowiek często krzywdzi drugiego człowieka bez przyczyny, bez jakiegokolwiek powodu. Bo jest zły.

– A kto ocenia, co jest dobre, a co złe? Człowiek? Oceny zwykle są subiektywne.

– Zgadza się. Dlatego właśnie, mimo wszystko, wciąż wierzę w człowieka.

– A ja nie wierzę w człowieka. – Lachert łypnął na Krugłego, a wyraz jego twarzy był nieco zaczepny. – Ja wierzę w Boga. Bo Bóg jest doskonały, a człowiek, cała ludzkość, podąża w złą stronę. Słyszał pan o eksperymencie Calhouna? Tym z myszami?

Krugły przecząco pokręcił głową.

– Otóż pewien naukowiec zapewnił stadu myszy komfortowe warunki życia. Jedzenie i woda do syta, brak drapieżników, wygodne klatki. Wykształciły się typowe dla stad warunki bytowania. Stado mnożyło się bez przeszkód. Ale w pewnym momencie coś się stało. Po okresie wzrostu populacji, a potem stagnacji myszy przestały się rozmnażać, populacja zaczęła się zmniejszać, aż wreszcie wszystkie zwierzęta zdechły. Wyginęły...

– Dobrobyt zabija? To ksiądz ma na myśli?

– Mniej więcej. Ale chodzi o to, co działo się w schyłkowej fazie egzystencji całej populacji. Zaczęły się ataki agresji. Matki odrzucały swe potomstwo, które rozpoczynało samodzielne życie jako osobniki niedojrzałe. Zaczęły się ataki jednych osobników na drugie, mimo że warunki bytowania nie uległy zmianie. One wciąż miały wszystkiego w bród. Znikły zwyczaje godowe, pojawił się mysi homoseksualizm, samice przestały troszczyć się o cokolwiek, z wyjątkiem siebie... Nastąpił kres populacji. Wymarcie.

– Jak to przekłada się na nas, ludzi?

– Bardzo prosto. Warunki, w których ma się wszystko, prowadzą w konsekwencji do samozagłady. Zanika w nas instynkt samozachowawczy, w dodatku przestajemy troszczyć się o innych. Poszczególne osobniki stają naprzeciw siebie, mimo że teoretycznie nic nie powinno ich do tego skłaniać.

Nic!

– Można temu przeciwstawić eksperyment Zimbardo. Tam ludzie nie mieli niczego, tylko siebie. I też nie byli wobec siebie mili. Eksperyment przerwano, bo wymknął się spod kontroli.

– Zgadza się. To nie dobrobyt zabija. To człowiek. Pozostaje pytanie, gdzie jest wtedy Bóg.

– To bardzo dobre pytanie. A już szczególnie, gdy zadaje je ksiądz.

– To teraz panu na nie odpowiem. On jest przez cały czas. Zawsze i wszędzie. Przygląda się i kręci głową ze zdumieniem. Mimo że w swej nieskończonej mądrości przewidział zapewne i taki scenariusz, to jednak jest zdumiony bezdenną ludzką głupotą.

– Wspomniał ksiądz o wolnej woli. Z tym też jest w przypadku człowieka ciężko. Tak uważam. Jest to nierealne w warunkach ziemskich, tak bym to określił.

– Pan wyznaje determinizm?

– Nie. Koncepcja determinizmu, o ile pojmuję ją właściwie, moim zdaniem nie uwzględnia pewnej ważnej rzeczy.

– Mianowicie?

– Ludzkiej spontaniczności. Momentów, w których jego doświadczenia i wiedza tracą znaczenie w chwili podejmowania jakiejś decyzji. Kiedy to wszystko staje się nieważne. Kiedy losem człowieka kieruje tak naprawdę przypadek.

– A może przypadek to też Bóg? A raczej narzędzie w Jego ręku? Czasem wydaje mi się, że można ująć to w taki sposób, że wszyscy jesteśmy marionetkami w rękach Boga. Wszyscy. Specyficzne ujęcie tematu, wiem, ale nie mówię tu o powszechnym, negatywnym znaczeniu marionetki jako bezwolnej lalki w rękach animatora. Chodzi o to, że każdy z nas ma nad sobą kogoś, kto nie steruje nim, ale nadaje kierunek w życiu, rozumie pan? Siła sprawcza. Napęd. Subtelna forma kopa.

Krugły uśmiechnął się pod nosem.

– Ksiądz wybaczy, ale nie czuję tego u siebie. Nie widzę nad sobą nikogo, kto by mi tego kopa dawał. Decyzje, które podejmuję w życiu, są, że tak powiem, integralne. Moje.

– A może to kwestia długości sznurków? W pana przypadku są baaardzo długie i to dlatego nie widzi pan nikogo na ich końcu?

– To taka zgrabna metafora?

– Zgadza się. – Lachert uśmiechnął się skromnie.

– Pozostanę przy swoim zdaniu. Jak dla mnie marionetka jest tylko narzędziem, niczym więcej. A właśnie, wracając do bycia narzędziem w Jego rękach... Morderca jest nim czy nie?

Lachert spojrział na Krugłego. Wesołe błyski w oczach zniknęły.

– A jeśli zależy od czegoś jeszcze? – zapytał.

– Od czego?

– Nie wiem. Tego pan właśnie musi się dowiedzieć. Może to rodzaj... Nie wiem, kary?

– Traktuje ksiądz śmierć w kategoriach kary? Nie uważam, by ktokolwiek zasługiwał na śmierć. Ani ofiary, ani ich mordercy. Śmierć jest karą zbyt surową.

Przez chwilę błysnęła mu myśl, jak mocno wierzy w to, co powiedział.

– Zgadzam się, śmierć jest wyjątkowo surową karą. Ale staram się panu jakoś pomóc. Wcielam się w rolę adwokata diabła. – Lachert przeżegnał się nagle z nieco zabobonną miną. – A właśnie kara to częsty powód zadawania śmierci, nieprawdaz? W dodatku nierzadko usankcjonowany przyjętym przez ogół społeczeństwa prawem. Śmierć... Wie pan, kiedy byłem mały, na jednej z mszy usłyszałem po raz pierwszy modlitwę o dobrą śmierć. Zdaje pan sobie sprawę, ile jest takich modlitw i nowenn? Do Maryi Panny, świętego Józefa, Michała Archanioła... Byłem wstrząśnięty, pamiętam to jak dziś. Jak można modlić się o śmierć? Nie rozumiałem tego wtedy. A to chodziło o DOBRĄ śmierć. Bo to łaska. Odejdźcie do Boga bez cierpienia, w zgodzie z Nim, to największa łaska, jakiej może doświadczyć chrześcijanin, rozumie pan?

– Trochę – przyznał Krugły. – Ale to skomplikowane. I wydaje mi się, że niewielu ludzi doznaje tej łaski. Większość tych, których widziałem w swojej policyjnej karierze, zdecydowanie jej nie doznała...

– Dlatego trzeba się o to modlić. Gorąco i szczerze. Także o to, by nie zostać odrzuconym, jak te mysie dzieci albo najśłabsze osobniki w stadzie. Poza wspólnotę wiary, poza nawias społeczeństwa. Poza stado. Dlatego tak cenię pracę duszpasterską księdza Marka w więzieniu. Wśród ludzi złych, ale czasem po prostu takich, którzy zbłądzili. A teraz cierpiących z powodu odrzucenia. Odrzucenie też czasem prowadzi do śmierci. Myszy i ludzie, panie Robercie, myszy i ludzie. Wcale tak bardzo się nie różnimy... Więc módlmy się, bo my umiemy i możemy się modlić, a one, biedactwa, niestety, nie!

– Znowu ksiądz zaczyna mnie nawracać?

– Racja. Obiecałem, że już nie będę.

– Tak. – Krugły wstał z ławki, dyskretnie zerkając na zegarek. – Ksiądz jest

wyjątkowy, podtrzymuję swoją opinię... Naprawdę miło było księdza poznać i porozmawiać. Przepraszam, ale muszę już lecieć. Dziękuję za rozmowę.

– Tak, oczywiście, mnie też czas już się powoli kończy, zaraz będą dzwonić, gdzie tak długo jestem... Ale porozmawiam sobie jeszcze chwilę z żoną. – Poklepał brewiarz i nagle podniósł do góry rękę. – Aha... Chwileczkę, panie Robercie.

– Tak?

– Chciałbym panu coś dać. Na pamiątkę.

Lachert sięgnął pod sutannę i wyciągnął małe, drewniane pudełko z wyrzeźbionym na wieczku krzyżem i literami IHS. Krzyż był jak powielony, na każdym z jego ramion znajdowała się jeszcze jedna poprzeczna belka, a do każdego z czterech kątów przytulony był mały grecki krzyżyk.

– Co to takiego? – zapytał Krugły.

– Różaniec.

– Przecież...

– To prawda, obiecałem. Ale niech pan nie traktuje tego podarku jako próby nawrócenia. Niech pan przyjmie to bez podtekstu. Prezent od nietypowego księdza dla zacnego, choć niewierzącego człowieka. Niech pan go nie wyrzuca ani nie chowa nie wiadomo gdzie. Niech będzie w pobliżu, bo być może przyjdzie taka chwila, w której uzna pan jego obecność za konieczną. Zrobił pan na mnie ogromne wrażenie, panie Robercie...

– Przesadza ksiądz. – Krugły czuł, że zaczyna się rumienić.

– Nie, nie – zaprzeczył gorączkowo Lachert. – Chciałbym mieć jednego takiego niewierzącego, jak pan, za stu spośród wierzących, jakich znam. Niech pan nie rezygnuje z poszukiwania. Bóg jest gdzieś obok pana, czuwa nad panem. Niech ten różaniec panu o tym przypomina.

– Tak się składa, że mam jeden w domu. Moja partnerka jest osobą wierzącą.

Krugły nie wiedział, po co o tym wspomniał. Chciał się pochwalić? Czy znów usprawiedliwić? Czy po prostu zrobić przyjemność miłemu facetowi, z którym świetnie mu się gadało?

– To bosko! – ucieszył się Lachert, a rumiane policzki uniosły mu się w szerokim uśmiechu. – Niech pan da go jej. Niech będzie wasz wspólny. Pudełko zrobione jest z drzewa oliwnego rosnącego kiedyś w gaju na wzgórzach Jerozolimy. Przywiozłem je stamtąd. Taka dziwna forma krzyża to tak zwany krzyż jerozolimski. – Wskazał wieczko pudełka i otworzył je. – A różaniec jest za to najzwyczajniejszy w świecie. Bez blichtru, bez bizantyjskich



detali. Prosty i ubogi, jak Jezus. I często ma taką samą moc jak On. Proszę. – Zamknął wieczko i podał pudełko Krugłemu.

Krugły po chwili wahania przyjął prezent. Pomyślał, że spodoba się Ewie. Podali sobie na pożegnanie ręce. Uścisk Lacherta był silny. Nie „mokra ryba”, tylko pewny, męski gest, choć wewnątrz dłoni było lekko wilgotne od potu.

– Mam prośbę – powiedział jeszcze ksiądz – niech pan nie wspomina o naszej rozmowie Markowi, dobrze? Pod żadnym pozorem. Rozumie pan, przyjaźnimy się, choć nie widzimy się zbyt często. I nie chciałbym tego stracić. Boję się, że mógłby opacznie zrozumieć moją wolę spotkania się z panem. A przecież zrobiłem to dla niego, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Wciąż mam nadzieję, że wszystko okaże się totalnym nieporozumieniem. To naprawdę fajny facet. I sporo w życiu przeszedł.

Puścił rękę Krugłego.

– Jasne, proszę księdza. O niczym się nie dowie. Obiecuję.

– Dzięki. – Lachert uniósł dłoń w geście pożegnania. – Z Bogiem...

Skręcając do wyjścia z Różanki, Krugły obejrzał się jeszcze. Lachert znów siedział na ławce, w tej samej niewygodnej pozycji, w której Krugły zastał go wcześniej, i czytał oprawiony w czarną skórę brewiarz.

Jadąc do Podjuch po Ewę, wspominał rozmowę. Doszedł do wniosku, że o ile księża, których do tej pory spotykał, raczej odrzucali go od wiary, o tyle ksiądz Lachert był zdecydowanie tym człowiekiem, który mógłby go do niej przekonać. Jedna tylko rzecz nie dawała mu spokoju. Jaki NAPRAWDĘ był cel tego spotkania? Owszem, Lachert opowiedział mu o Sobieraju trochę interesujących rzeczy. Bardzo interesujących z punktu widzenia jego śledztwa. Takich, które mogły mieć ogromny wpływ na postępowanie Sobieraja w życiu. Ponad sześćdziesiąt procent jednostek psychopatycznych straciło jednego rodzica lub oboje. Wśród nich byli również seryjni mordercy. Krugłego dziwiła tylko ta tajemniczość Lacherta. W jednej chwili kanonik mówił o Sobieraju jako człowieku czystym jak łza, w następnej dawał wyraźny sygnał, że coś może być z nim nie tak, a jeszcze później wycofywał się z tego, w dodatku negując taką intencję. Takie przynajmniej Krugły odniósł wrażenie. Czyżby było coś, o czym Lachert nie mógł mu z jakichś względów powiedzieć i Krugły musiał odkryć to sam? Coś w rodzaju tajemnicy spowiedzi, którą niedawno zasłaniał się Sobieraj? Czy Lachert wskazał mu trop, za którym miał iść?

Jadąc, zadzwonił do Michalczyka i opowiedział mu o spotkaniu z kanonikiem, dzieląc się przy okazji swoimi wątpliwościami. Michalczyk

podzielał entuzjazm Krugłego w związku z chęcią dalszego pogrzebania w sprawie pożaru. Wyglądało na to, że ta sprawa mogła mieć duże znaczenie dla ich śledztwa, brzmiąc jak echo przeszłości. Głośne i natarczywe.

# X

## Niedziela, 12 lipca

Lubiła biegać wieczorami, kiedy było ciemno albo chociaż szaro. Włosy spinała w kitkę, zakładała czapkę z daszkiem i antyrefleksyjne okulary, w uszy wciskała słuchawki i odcinała się od świata i ludzi. Była tylko ona, jej równy oddech i Dave Gahan. Skupiona na utrzymaniu tempa, oddechu i równego kroku, nie rozpoznawała znajomych, nie odpowiadała na zaczepki i nie przejmowała się niczym przez co najmniej dziesięć kilometrów. Potem prysznic, długi i gorący.

W niedzielę miało być jak zwykle. Było już ciemno, kiedy zbiegała po schodach, wyciągając spięte gumką włosy przez otwór w czapce. Poprawiła słuchawki i ruszyła przed siebie, w stronę parku. Mijała kolejne latarnie, z rzadka przejeżdżające samochody na zmianę przez chwilę oświetlały jej drogę albo oślepiały.

Chłopaka w dresie zobaczyła na długo przed tym, zanim zaszedł jej drogę. Coś w sposobie, w jaki ruszył w jej kierunku od strony parku, kazało jej przygotować się na spotkanie. Chłopak miał ręce w kieszeniach, poruszał się na szeroko rozstawionych nogach, a okryta kapturem głowa wciśnięta była w ramiona. Był sam. Kiedy dzieliło ich kilka metrów, zatrzymał się i odsunął na skraj chodnika, robiąc jej miejsce. Nie zwolniła, ale i nie przyśpieszyła. Chciała zachowywać się naturalnie, żeby w razie czego nie sprowokować go. Wiedziała, że w obcisłym stroju do biegania wygląda ponętnie, ale nie zamierzała z tego powodu ubierać się w niewygodne, powiewające dresy. Obcisły strój i widok, jaki w nim przedstawiała, nie były jej problemem, tylko tego, kto próbował jej to wytknąć. Chłopak chyba też chciał spróbować, bo wyciągnął ręce z kieszeni spodni i ruszył za nią. Zrównali się i kątem oka zobaczyła, że coś do niej mówi.

– Nie słyszę cię – powiedziała przed siebie. – Mam w uszach słuchawki.

Biegła dalej swoim tempem. Chłopak też biegł, szeroko się uśmiechał i dawał jej jakieś znaki rękoma.

– Nie przeszkadzaj mi – rzuciła, ledwo słysząc samą siebie. – Muszę trzymać tempo, a ty mnie rozpraszasz...

Poczuła nagle ból w uchu. Wyrwana słuchawka lekko pacnęła w jej ramię i zawisała na klipsie przyczepionym do bluzy. Zacisnęła zęby i stanęła nagle w miejscu. Poczuła, jak rośnie jej ciśnienie. To nie był strach. To była wściekłość.

– Czego ode mnie chcesz?

Patrzyła mu w oczy. W większości przypadków to peszyło napastnika. Wiedział wtedy, że trafił na kogoś lepszego. Ale tamten chłopak albo sam uważał się za lepszego, albo nie miał pojęcia, że powinien się spieszyć.

– Chciałem się z tobą umówić. – Uśmiechał się i ruszał brwiami, usiłując być zabawnym albo czarującym.

– Nie jestem zainteresowana – odpowiedziała.

– Nie? Może to jeszcze przemyślisz?

– Daj spokój, dobra? Nie umówię się z tobą. Mam chłopaka.

– Założę się, że jestem lepszy niż on. Dasz mi szansę?

– Dobra, koniec rozmowy. Na razie.

Ruszyła naprzód, zła na siebie, że wdała się z nim w dyskusję. Poczowała szarpnięcie, kiedy chwycił ją za rękaw bluzy. Znów się zatrzymała. Patrzył na nią niemal nienawistnie. Dopiero teraz zauważyła, że jest pod wpływem alkoholu, w dodatku był wyraźnie niedopity.

– Nie zlewaj mnie, bo tego nie lubię – warknął. – Ja jeszcze nie skończyłem rozmawiać...

Puścił rękaw. Rozejrzała się dookoła. Nikogo. Kiedy dzieje się coś złego, w pobliżu nie ma nikogo. A nawet jeśli, to nikogo to nie interesuje. Tak jest zawsze. I dobrze, poradzi sobie jakoś. Zawsze sobie radziła.

– Ale ja skończyłam – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Mam się wyrazić dosadniej?

– Nie podskakuj, pizdo jedna, bo się doigrasz.

Zastanawiała się, czy powinna zaatakować, czy jednak stulić uszy po sobie i potulnie się wycofać, starając się załagodzić sytuację. I ta chwila niepewności sprawiła, że chłopak przekroczył granicę, zza której już nie było powrotu. Widziała to w jego oczach. Od początku dążył do konfrontacji, a jej postawa, trochę wyzywająca, a trochę niepewna, wyłączyła mu hamulce. Pochylił się ku niej z zaciętą twarzą i poczuła smród piwskiego.

– Taka z ciebie niedotykalska? To po chuj zakładasz takie ciuchy i prowokujesz facetów?

– Gównu ci do tego! Daj mi spokój i odczep się.

– Bo?

Każda odpowiedź na to pytanie i każdy argument, jakie przychodziły jej do głowy, mogły go tylko bardziej rozjuszyć. Ale i tak było za późno. Na szczęście miała przy sobie różne środki ochrony osobistej.

– Ostatni raz ci powtarzam. Daj mi spokój – powiedziała, sięgając za

siebie, do małej torebki na pasku, w której nosiła wszystkie przydatne podczas biegania rzeczy.

Przez chwilę przebierała w niej palcami, nie mogąc zdecydować się, czego użyć. Kiedy chłopak zadał pięścią cios w jej twarz, rękę miała już zaciśniętą na małym, okrągłym pojemniczku. Skurwiel uderzył ją niezbyt mocno, ale jednak zabolowało. Wiedziała, że to preludium do tego, co miało nastąpić później. Zanim ból rozlał się w głowie, zdążyła wyciągnąć pojemniczek i skierować w stronę chłopaka, prosto w rozszerzone gniewem oczy.

Jej oczy też pały gniewem. Straszny i niepohamowany.

# XI

## Poniedziałek, 13 lipca

Tydzień rozpoczął się jak u Hitchcocka. To nie on co prawda zadzwonił z samego rana do Krugłego, tylko Michalczyk, ale efekt był podobny. Coś na kształt trzęsienia ziemi. O wpół do ósmej.

– Gdybyś dziś przed południem chciał mnie szukać w prokuraturze, to oszczędź sobie trudu. Jestem w terenie z ekipą z komendy i doktorkiem od sztywnych.

– Kto tym razem? – zapytał Krugły, przecierając zaspane oczy.

– Nie mam pojęcia, ale też ma kształtny otwór w nadbrzuszu i leży w kałuży krwi. I też wcześniej został uśpiony eterem.

– Pięknie.

– Muszę kończyć. Wpadnij najwyżej po południu, jeśli będziesz w Goleniowie. Rozumiem, że realizujesz plan?

– Konsekwentnie, panie prokuratorze.

– Tylko tym razem wyjdź z tego z twarzą. – W telefonie zbulgotał śmiech Michalczyka i prokurator rozłączył się.

Krugły wstał i poszedł pod prysznic. Potem wyciągnął z zamrażarki bułki, rozmroził je w piekarniku i przygotował sobie śniadanie. Dni powszednie stawały się rutyną, dniem świstaka. Nie przepracowywał się co prawda, ale monotonia była nużąca. Jediną niewiadomą najbliższych dni było to, czy pierwsze będzie śniadanie, czy telefon od Michalczyka. Śledztwo jakoś się „kulało” i tylko te cholerne pluskwy psuły mu nastrój. Zaczynało mu brakować Ewy. Widywał się z nią prawie codziennie, czasem nocował razem z nią u jej mamy, miniony weekend praktycznie cały spędzili razem, ale brakowało mu jej właśnie w ten codzienny sposób. Brakowało mu jej tu, na miejscu.

Zjadł śniadanie i pojechał do Książnicy Pomorskiej, żeby przejrzeć stare roczniki gazet. Zdawał sobie sprawę, że w internecie nie znajdzie zbyt wielu informacji dotyczących lokalnych wydarzeń, które miały miejsce jeszcze w dwudziestym wieku. To była już inna epoka, inna era. Pozostały źródła analogowe.

W czytelni czasopism na drugim piętrze budynku Książnicy nie było prawie nikogo, a panująca tam cisza przynosiła ukojenie nieco skołatanym ostatnio nerwom Krugłego. Kiedy powiedział już, czego sobie życzy, pracownica biblioteki, miła okularnica z uśmiechem poszerzonym aparatem ortodontycznym, usadziła go przed czytnikiem mikrofilmów, który stał z tyłu

sali, w ciemnym kącie obstawionym regałami.

– Jest za dwadzieścia dziesiąta – powiedziała szeptem. – Rewersy idą do magazynu kwadrans przed i kwadrans po pełnej godzinie. W ciągu dwudziestu minut powinien pan mieć wszystko gotowe.

Krugły uśmiechnął się i pokiwał głową. Kiedy dziewczyna zniknęła, zamknął oczy i siedział bez ruchu, oddychając spokojnie powietrzem przesyconym zapachem starego, lekko wilgotnego papieru. Ten zapach przypominał mu dzieciństwo, strych w domu dziadków, pełen starych książek i gazet, których dziadkowi żal było wyrzucić.

Kiedy okularnica wróciła, Krugły już prawie spał. Potarł powieki i powoli wracając do rzeczywistości, patrzył, jak dziewczyna ładuje mikrofilm do czytnika. Kiedy objaśniła mu wszystko i poszła do siebie, za kontuarek, przy którym się spotkali, Krugły zaczął przeglądanie gazet.

Zamówił trzy tytuły: „Kurier Szczeciński”, „Głos Szczeciński” i „Gazetę Wyborczą”. Zaczął od „Kuriera”. Lachert wspominał, że pożar miał miejsce w dziewięćdziesiątym siódmym i że byli wtedy na początku czwartej klasy liceum. Czyli jesień. Krugły przewinął mikrofilm do pierwszego września i zaczął czytać nagłówki artykułów pierwszych stron kolejnych wydań. Dziewiętnastego, w piątek, jego uwagę zwróciła relacja z Egiptu, gdzie poprzedniego dnia przed Muzeum Egipskim terroryści ostrzelali autokar z zagranicznymi turystami. Pamiętał ten dzień, rodzice jego ówczesnej dziewczyny byli wtedy w Egipcie na wakacjach. Pamiętał jej płacz, kiedy nie mogła się dodzwonić do konsulatu, pamiętał łzy ulgi, kiedy okazało się, że byli wtedy w hotelu i nic im nie jest. Nagle jeden z nagłówek krzyknął wytłuszczonym drukiem: „Tragedia na Pogodnie”. Krugły skupił się. Gdzieś w tekście mignęła mu nazwa ulicy. To było to. Zaczął czytać krótki artykuł, właściwie notkę.

W późnych godzinach wieczornych w domu jednorodzinnym przy ulicy Konopnickiej, na szczecińskim Pogodnie, miał miejsce tragiczny w skutkach pożar. Spaleniu uległo górne piętro oraz strych budynku. Po wejściu do domu w jednym z pomieszczeń strażacy odkryli spalone zwłoki dwóch osób, najprawdopodobniej małżeństwa właścicieli: Edyty i Grzegorza S. Ich małe dzieci uratowały się, odwieziono je do szpitala, lecz lekarze nie podają żadnych informacji o stanie ich zdrowia. Lokator mieszkania na parterze nie odniósł obrażeń. Mężczyzna twierdzi, że przyczyną pożaru mógł być katastrofalny stan instalacji elektrycznej w domu. Według jego słów właściciele, odkąd wprowadzili się do domu

ponad rok temu, nie zrobili nic w sprawie naprawy wieloletnich zaniedbań w tej kwestii. Przyczyny pożaru wyjaśnią rzeczoznawcy ds. pożarnictwa. W chwili zamykania numeru trwały prace porządkowe, dogaszanie ognia oraz przeszukiwanie pogorzelniska. (mkwi).

Krugły zrobił zdjęcie strony komórką, swoisty „printscreen” na własne potrzeby, i przewinął dalej. W numerze ze środy następnego tygodnia znalazł informację o śmierci kolejnej osoby poszkodowanej w pożarze. Szesnastoletnia Danuta, córka małżeństwa S., pierwszych ofiar pożaru, zmarła w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Natomiast stan zdrowia jej osiemnastoletniego brata poprawiał się, chłopak pozostawał jednak wciąż pod opieką lekarzy i psychologa.

Naturalne myśli przebiegły Krugłemu przez głowę. Takie rzeczy nie powinny się dziać. A przynajmniej chociaż nie dzieciom. Machinalnie przewijał pokrętko, szykując się na dalszy ciąg historii. Wiedział, czego się spodziewać, nie wiedział tylko, jak szczegółowo będzie to opisane w prasie. Pamiętał, jak przez mgłę tamtą sprawę z mediów, opowieść Lacherta uchyliła klapkę w szufladce wspomnień. Nie pamiętał szczegółów, był wtedy młodym oficerem w kryminalnym, miał za dużo swoich zmartwień, żeby przejmować się czyimiś. Ale słyszał o aresztowaniu lokatora tego spalonego domu, pamiętał szok, jaki ta informacja wywołała w świadomości opinii publicznej miasta i kraju.

Drugi października.

Piotr B., lokator domu przy ulicy Konopnickiej, spalonego w tragicznym pożarze w zeszłym miesiącu, został zatrzymany na wniosek szczebińskiej prokuratury. Postawiono mu zarzut podpalenia i nieumyślnego spowodowania śmierci trzech osób. Nieoficjalnie mówi się, że mężczyzna pozostawał w konflikcie z właścicielami domu, którzy odziedziczyli go w spadku dwa lata wcześniej, jednak oficjalnie motywy działania nie są znane. Piotr B. zamieszkiwał pod tym adresem od wielu lat, zajmując lokal na parterze budynku. Według wstępnych ocen biegłych pożar był skutkiem umyślnego działania. Podejrzany o podpalenie mężczyzna nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów. Prokurator wystąpił z wnioskiem o jego tymczasowe aresztowanie na trzy miesiące. (tr).

Nie napisano, jakie konkretnie ślady świadczyły o podpaleniu, ani tego, skąd śledczy mieli podejrzenia, że to właśnie B. był sprawcą.



Kolejne informacje podano już w następnym roku. W lutym przed Sądem Okręgowym w Szczecinie rozpoczął się proces oskarżonego. Lakoniczna notatka w numerze z jedenastego lutego przypominała okoliczności zbrodni. Następne notki Krugły odnajdywał przez cały rok, informowały przede wszystkim o próbach storpedowania procesu, których dokonywał oskarżony: a to mdlał podczas posiedzenia, a to wszczywał burdę i ubliżał sędziemu, a to składał wyjaśnienia w sposób wyczerpujący wysoki sąd psychicznie do cna. W sierpniu, w wydaniu weekendowym, ukazał się artykuł podsumowujący dotychczasowe wydarzenia w tej sprawie. Wyrok miał zapaść za kilkanaście dni. Badania biegłych potwierdziły początkowe tezy o podpaleniu, wykazano niezbicie, że zrobił to oskarżony, używając środków łatwopalnych, które rozlał na strychu, a następnie zwierając kable instalacji elektrycznej. Badania psychiatryczne wykazały brak u oskarżonego empatii, zaburzenia uczuć wyższych i przekonanie o własnej wartości niewspółmierne do rzeczywistości, połączone z poczuciem krzywdy doznanej od ofiar. Wyeliminowano także możliwość działania w stanie wykluczającym brak świadomości popełnianego czynu. Stwierdzono, że to właśnie konflikt z właścicielami domu popchnął go do dokonania tej okrutnej zbrodni. Linia obrony, opierająca się początkowo na wykazaniu, że wszystkie zebrane przez prokuratora dowody to wyłącznie poszlaki, padła pod naporem nieubłaganych faktów. Sąd uznał, że oskarżony nawet nie tyle liczył się z możliwością śmierci pokrzywdzonych, co zrobił to w taki sposób, by ta na pewno nastąpiła. Piotr B. był winny jak cholera. Z wyrokiem Krugły zapoznał się w jednym z numerów wrześniowych. Dożywocie z możliwością ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie po upływie trzydziestu lat. Areszt tymczasowy zaliczono B. w poczet kary. Surowej, ale sprawiedliwej. obrońca zapowiedział, że złoży w imieniu klienta wniosek apelacyjny. Oskarżonemu sąd dosolił przy okazji grzywnę za znieważenie sędziego podczas odczytywania wyroku.

Sąd apelacyjny uwinął się w miarę szybko. Wyrok zapadł już w styczniu dziewięćdziesiątego dziewiątego, sąd utrzymał wyrok sądu pierwszej instancji w mocy i był tak miły, że podał do publicznej wiadomości nazwisko skazanego, zaoszczędzając tym samym Krugłemu trochę roboty. Piotr B. przestał być Piotrem B., a stał się Piotrem Bednarowskim. Krugły doszedł do wniosku, że przeglądanie pozostałych tytułów z tego okresu żadnych nowych, istotnych szczegółów już nie wniesie. Miał wszystkie potrzebne dane.

Wstał, przeciągnął się dyskretnie w zaciszu swojego kąta i pomrukał

oczami, zmęczonymi nieco wyteżaniem wzroku. Pożegnał się z okularnicą i już wkrótce po raz kolejny w ostatnim czasie pokonywał znajomą trasę, zadowolony z siebie i z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Śmigał między tirami, pędzącymi „trójką” do Świnoujścia na prom, potem zjechał w stronę Goleniowa na węźle przy charakterystycznym sklepieniu magazynu soli bazy materiałowej zarządcy drogi, niedługo potem docierając na ulicę Grunwaldzką.

Sprawę alibi Gruchy na czas zabójstwa Wichłacza Krugły miał praktycznie załatwioną dzięki wizycie w komendzie powiatowej. Ale chciał się zobaczyć z kolesiem Gruchy, choćby i z ostrożności procesowej. Miał nadzieję na uzyskanie innych informacji, najlepiej takich, które dotyczyły drugiej kluczowej dla niego sprawy: zabójstwa Zawadzkiego.

Zostawił samochód wśród setek innych, zastanawiając się, jak go potem odszuka pośród labiryntu bloków. Obrął więc punkt orientacyjny w postaci ogromnej wieży gotyckiego kościoła świętej Katarzyny, dawnej fary, wystającej spośród zabudowy osiedla. Bloki otaczały kościół ze wszystkich stron, niczym stado wilków, osaczających dumnego, wyniosłego jelenia. Krugły rozejrzał się, pobłądził chwilę, aż wreszcie odnalazł właściwy blok, właściwą klatkę i właściwe piętro. Oraz właściwe drzwi.

– Piotr Dydłuch? – zapytał, kiedy owe drzwi uchylły się.

Kolejny uczestnik imprezy w parku nie wyglądał jak tamci: Grucha i Kleciak. Wyglądał normalnie, jeśli w dzisiejszych czasach może to cokolwiek oznaczać. Miał włosy, a wśród pierwszych dziesięciu słów, które miał wypowiedzieć, nie znalazło się ani jedno powszechnie uznawane za obelżywe. Nosił nawet okulary. Mimo to Krugły postanowił być ostrożny.

– Nie Dydłuch, tylko Didłuch. O co chodzi?

– A, to przepraszam. – Krugły wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów wytartą już nieco kartkę z nazwiskami. – Tak miałem napisane: Dydłuch. A napisał mi to niejaki Rafał Gruszewski.

– Taaa, to wszystko wyjaśnia – mruknął chłopak i przygarbił się nagle, spuszczać wzrok. – O co chodzi? Pan z policji?

Właśnie. I co teraz? Krugły spodziewał się takiego pytania, co nie znaczyło, że wie, jak na nie odpowiedzieć. Tu trzeba było swego rodzaju elastyczności.

– Nie z policji. Chciałem zadać ci kilka pytań dotyczących imprezy w parku, po której zginął Wichłacz.

Chłopak zamknął oczy i przełknął ślinę.

– Nie chcę kłopotów... – powiedział cicho.

– Czemu myślisz, że jestem kłopotem?

– Pan z prokuratury, tak?

– Nie. – Krugły wyczuł swoją szansę. – Ale jeśli nie porozmawiamy teraz, to jutro, pojutrze dostaniesz wezwanie na Dworcową. Tak się składa, że mogę to bez problemu załatwić. Więc jak?

– To kim pan jest?

– Pracuję dla Sokołowskiego. – Krugły, decydując się sprzedać tę informację, miał nadzieję, że to nazwisko wreszcie otworzy drzwi. Tu też musiał być elastyczny i wiedzieć, komu można powiedzieć, dla kogo się pracuje, a komu lepiej nie.

Didłuch otworzył w końcu oczy. Szeroko. Ale tylko oczy, drzwi pozostały wciąż tylko lekko uchylone.

– Cco? – wyjąkał. – Ooo, nie. Nie, nie. Proszę stąd iść. Nie chcę kłopotów. Nic nie wiem. – Podniósł rękę do góry i kręcił głową, patrząc w bok. – Kompletnie nic.

Druga ręka przytrzymała drzwi. Krugły, widząc, że Didłuch już się napina, żeby cofnąć się do wnętrza mieszkania i zamknąć je, wyciągnął telefon.

– Masz tu wifi? – zapytał i widząc minę chłopaka, mruknął: – Nieważne...

Skorzystał z zasobów abonamentowych i połączył się z internetem. Wszedł na stronę prokuratury okręgowej w Szczecinie i wybrał zakładkę z linkami do prokuratur rejonowych. Puknął opuszką w Goleniów.

– Widzisz, co to za strona? – zapytał, pokazując telefon Didłuchowi, a kiedy ten pokiwał głową, wszedł w zakładkę z kontaktami. – Sekretariat prokuratury.

Znów stuknął palcem, włączył opcję głośnika i podał telefon chłopakowi.

– Pytaj o prokuratora Michalczyka.

Kiedy odezwał się sekretariat, Didłuch przystawił telefon bliżej ust i powiedział:

– Poproszę z prokuratorem Michał...

– Michalczykiem... – podpowiedział Krugły.

– Michalczykiem...

– Chwileczkę. – Rozległo się głośne buczenie, kiedy sekretarka przełączała rozmowę.

– Michalczyk, słucham?

Didłuch zrobił wielkie oczy i zdziwioną minę. Krugły wyjął mu telefon z ręki i patrząc chłopakowi w dwa znaki zapytania tkwiące w źrenicach, powiedział jak najbardziej poważnym tonem:

– Dzień dobry, panie prokuratorze, Robert Krugły z tej strony. Czy można panu zająć chwilkę?

– Dzień dobry, panie Robercie. Słucham pana?

Krugły nie miał żadnych wątpliwości, że Michalczyk zorientuje się, o co mniej więcej chodzi i zagra swoją rolę bezbłędnie.

– Dzwonię w sprawie Rafała Gruszewskiego. Mam tu kogoś, kto mógłby mi udzielić pewnych informacji na jego temat, ale nie wiedzieć czemu, jakoś się do tego nie kwapi.

– Proszę go zapytać, czy propozycja wezwania do prokuratury pomoże mu zmienić zdanie.

Odpowiedź w formie pełnego rezygnacji skinięcia głową padła, zanim Krugły zdążył zadać pytanie.

– Sprawa załatwiona, panie prokuratorze, dziękuję bardzo. Do widzenia.

– Do widzenia – odparł Michalczyk uprzejmie i teatrzyk skończył się.

– O co tu chodzi? Co to za szopka? – zapytał chłopak, wciąż stojąc w drzwiach. – To dla kogo pan w końcu pracuje?

– Dla Sokołowskiego. Ale tak się składa, że w tej sprawie interesy jego i prokuratury są zbieżne. Taki nieformalny układ, w który lepiej nie wnikać. Koniec pytań, teraz moja kolej. Wpuścisz mnie?

– Wolałbym nie.

– To chodźmy na spacer.

– Wystarczy na podwórko.

– Miejsce publiczne, o to chodzi?

Didłuch lekko poczerwieniał, ale nic nie powiedział. Cofnął się do mieszkania, wziął z wiszącej na wieszaku kurtki klucze i wyszedł na klatkę. Krugły poczekał, aż zamknie drzwi, a potem zeszli na dół. Kiedy okrążyli blok, znaleźli się na placu zabaw. Urządzenia okupowało kilkoro dzieciaków, ich matki, opiekunki czy ciotki siedziały na ławkach, plotkowały ze sobą i co jakiś czas strofowały podopiecznych. Krugły zwrócił uwagę, że wśród nich nie było żadnego faceta.

Usiedli na jedynej wolnej ławce, obrośniętej kępami trawy, których nie sięgnęła kosiarka.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał Didłuch.

– Byłeś w tym parku z Gruchą?

– Byłem. – Skrzywił się. – Nie wiem, po co tam poszedłem. I tak miałem dość, trochę za dużo wypilem i już mnie mdliło, a i tak tam polazłem. Coś tam jeszcze wypiliśmy, ale potem zaczęły się jakieś kwasy.

– Jakie?

– Grucha pobił się z Wojciem Wichłaczem. Niby na żarty, ale rozwalił mu nos. Niczego więcej nie widziałem, poszedłem do domu. Wie pan, Grucha to genetyczny zjeb... – Zamilkł nagle, zmarszczył brwi i z zakłopotaniem spojrział na Krugłego. – Ale wtopa... Niezręczna sytuacja, co?

– Bo?

– Bo pan pracuje dla Sokołowskiego.

– A, o to ci chodzi... „Zjeb” to w przypadku Gruszewskiego określenie zbyt łagodne i nieoddające istoty rzeczy. Nie jestem w żaden sposób związany z Sokołowskim, jeśli tego się obawiasz. Nic z tego, o czym tu rozmawiamy, nie wyjdzie poza nas dwóch. A przynajmniej nikt nie dowie się, że mam te informacje od ciebie. Nie na tym etapie. Co będzie później, nie wiem, ale wtedy sam zadecydujesz, co komu mówić, a czego nie. Jasne?

– Jasne. Wie pan... Mam pewne powody, żeby się denerwować tą całą sytuacją. Morderstwo to morderstwo. Oczywiście nie mam z tym nic wspólnego... – zastrzegł szybko – ...poza tym, że widziałem ofiarę krótko przed zabójstwem. Myślałem, że skoro tyle czasu nikt do mnie w tej sprawie nie przyszedł, to się rozejdzie po kościach.

– Co to za powody?

– Ja... ja studiuje. Prawo. – Pociągnął nosem, jakby miał się zaraz rozpłakać. – W Szczecinie.

Krugły spojrział na Didłucha, zaskoczony. Chłopak spuścił głowę.

– Zdziwiony, co? – Pokiwał nią smutno. – Wiem, co pan sobie myśli. Że jak szlajam się z gównianym towarzystwem, to muszę być taki sam...

– Będę szczerzy: nic sobie nie myślę. Może trochę jestem zdziwiony, że nie zareagowałeś na moją wizytę jak student prawa i po prostu nie zatrzasnąłeś mi drzwi przed nosem, każąc mi łaskawie zjeżdżać. A co do twojego gównianego towarzystwa... Za stary jestem i za dużo widziałem, żeby się tym przejmować. Twoje życie, twoja sprawa. Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć. Nie znamy się, więc, szczerze mówiąc, niewiele mnie to nawet obchodzi.

– A może chcę się tłumaczyć? – Chłopak spojrział na bawiące się w piaskownicy dzieci.

– Przede mną?

– Nie – rzucił z goryczą. – Przed sobą. Jestem pieprzonym alkoholikiem. Jak mój stary i jak mój brachol. Nie widać tego po mnie. Po nich też nie. Prowadzą zakład stolarski, jeżdżą mercami i udają, że są zawsze trzeźwi. Mam dwadzieścia dwa lata i upijam się kilka razy w tygodniu. Mam też na tyle

roзумu, żeby wiedzieć, że tylko własną pracą mogę coś osiągnąć w życiu. I to robię. Walczę. Chcę się wyprowadzić do Szczecina, wie pan? – Spojrzał na Krugłego. – A nie tylko dojeżdżać na zajęcia. Olać Goleniów, zerwać z tym miastem, i z tymi ludźmi. Wynajmę pokój i nie będę musiał tu codziennie wracać. Ja pierdolę.

Nagle schował głowę w dłoniach i zaczął masować skronie, wpatrując się w betonowe płyty między swoimi kolanami.

– Wrosłem w to wszystko, jestem częścią tego, jedyny sposób, żeby się z tego wyrwać, to zostawić to za sobą. Przeciąć nic. Nie mówię o pępowninie. Jestem niezależny. Niezależny od rodziny, ale zależny od alkoholu i od nich. –

Machnął ręką. – Jedno trzeba im przyznać: potrafią się bawić. Też się dobrze bawię. Mierzi mnie każdy z nich, ale jak wypiję, to są najlepszymi kumplami na świecie... – Zdjął okulary i dla odmiany zaczął masować nasadę nosa.

– Kleciak też?

– Kleciak to w ogóle inna historia. Odjebało mu zupełnie. Zawsze lubił eksperymentować i zapłacił za to własnym mózgiem. Klej, rozpuszczalnik, koktajle z leków, dopalacze, grzybki, miękkie, twarde, czego on sobie na ruszt nie wrzucił... Iggy Pop i Ozzy Osbourne to przy nim harcerze. – Zobaczył minę Krugłego i wyjaśnił: – To gwiazdy rocka. Tyle brali różnego świństwa przez dziesiątki lat, że powinni już z pięć razy nie żyć. Tomek też raz prawie zaliczył zgon na jednej imprezie. Widziałem to. Znaleźliśmy go za kanapą, z pianą na ustach i szklistymi oczami. A wie pan, kto przyjechał, kiedy wezwaliśmy pogotowie? Wojciu Wichłacz! Ironia losu, co? Pewnie sam mu to gównu wcześniej sprzedał... Powinno mnie to wtedy otrzeźwić, kurwa, ale nie otrzeźwiło... – Zamilkł i zaczął grzebać czubkiem buta w piasku wysypanym na płytach chodnika.

– A Grucha?

– Grucha? To tak naprawdę kumpel mojego starszego brata. Znamy się wszyscy od dzieciaka, ale ja byłem dużo młodszy. Trzymałem się z nimi, bo z kim? No, i Grucha prawie zawsze miał hajs. Wiadomo, kasiasty wujas...

– Wichłacza znałeś dobrze?

– Też przez brachola.

– Kojarzysz laskę, którą przyprowadził kiedyś na jedną z imprez? Brunetka z grzywką i dużym biustem?

– Tę... Agatę?

– Czy Agnieszkę?

– Racja, Agnieszkę. Taaak, sprzęt miała nieprzeciętny... Zmyła się wtedy

szybko. Nie rozmawiałem z nią.

Czyli Krugły miał rację – „ładny” znaczy „duży”, jak widać określenia te używane są przez dzisiejszą młodzież zamiennie. Dzisiejsza młodzież nie jest zbyt skomplikowana...

– Rozpoznałbyś ją?

– Czy ja wiem? Widziałem ją przez kwadrans, to było dawno temu...  
Może...

– Dobra... Czyli nie wiesz, co dalej tej feralnej nocy robił Grucha?

– Nie wiem. Martwiłem się wtedy tylko tym, żeby dojść do domu z żołądkiem wciąż w środku. Grucha naprawdę zabił Wojcia? – zapytał nagle, prostując się. – Jakoś nie chce mi się w to wierzyć...

Krugły zobaczył w piaskownicy coś, czego nie powinno tam być. Ślady obecności kota, zadowolonego z darmowej kuwety. Wcześniej nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz, jako ojciec, musiał myśleć o takich rzeczach.

– Nie sądzę, żeby Grucha zabił Wichłacza – powiedział powoli. – Ani jego, ani tego drugiego.

– Tego klawisza, tak? – zapytał chłopak, przesiadając się na oparcie ławki.

– Tak.

– Zaraz... W gazecie pisali, że ten klawisz zginął w Wielkanoc, dobrze pamiętam?

– W nocy z wielkanocnego poniedziałku na wtorek. Fajnie się złożyło, że o to zahaczyliśmy, bo o ten dzień też chciałem cię zapytać. Skoro spędzacie ze sobą tyle czasu...

– Gruchę aresztowali też za klawisza?

– Zgadza się.

– I nikt go nie pytał o alibi?

– Oczywiście, że pytał. Mówi, że nie pamięta, co robił tamtego dnia. A co?

Didłuch zaczął się trząść. Splótł dłonie, łokcie oparł na kolanach, schował głowę w ramionach i siedział tak pochylony, cały się trzęsąc, a Krugły nie wiedział, co mu jest. Kiedy nabrał kolejny oddech, zorientował się, że tamten się śmieje. Po chwili chichot zamienił się w rzenie.

– Co ci tak wesoło? – zapytał chłopaka.

Minął dłuższy czas, zanim Didłuch się uspokoił. Otarł łzy i zwracając czerwoną od śmiechu twarz w stronę Krugłego, wysapał:

– Przepraszam. – Zamrugnął powiekami, strząsając resztki łez. – Trochę mu się nie dziwię, że nie podał alibi. Co za jemiół...

Krugły znów przypomniał sobie, jak Grucha usiłował przekonać go, że nie

pamięta, co robił tamtej nocy. Czuł teraz, że dostanie od Didłucha prezent. A jeśli tak, to Sokołowski może już sięgać do kieszeni po czarny, zapewne, portfel. Nie, nie portfel – rulonik setek, spięty gumką. Czarną.

– To Grucha ma jednak jakieś alibi? – zapytał.

Chłopak wyciągnął z kieszeni bluzy telefon i wrócił tyłkiem z oparcia na siedzisko.

– Ma – potwierdził, a Krugły niemal usłyszał szelest tych setek. – Alibi jak chuj, że się tak nieładnie wyrażę...

– Zdradzisz mi szczegóły?

– Owszem. Ale szkoda słów, to trzeba zobaczyć. Proszę, niech pan ogląda.

Błyskawicznie poprzesuwał palcami po ekranie smartfona. Krugły z zaskoczeniem zauważył, że używa do tego obu kciuków i obu palców wskazujących, podczas gdy jemu zwykle wystarcza jeden. Przypomniał sobie, jak nieporadnie jego ojciec próbował używać joysticka w jakiejś strzelance na amidze i nagle ze zgrozą uświadomił sobie, że oto niepostrzeżenie nadchodzi starość.

Didłuch podał mu telefon, na którym już leciał jakiś filmik.

– Jedna z naszych imprez, w mieszkaniu takiego Cinka. Koleś pracuje w Irlandii, przyjechał tylko na święta. W zasadzie było już po imprezie, dochodziliśmy do siebie. To był już wtorek, po śmigusie-dyngusie. Święto trzeba uczcić, no nie? Strasznie się wtedy najebaliśmy. Gruszewskiemu urwał się film. To chłopaki wpadli na taki zabawny pomysł...

Krugły oglądał filmik. W dawnych czasach Berdak podrzucał mu czasem na pocztę takie dzieła. Głupawe zabawy, cynamonowe wyzwanie i inne, typu: „kurwa, złamałem piszczel”. Żalodne, zenujące i, niestety, czasem przezabawne. Jak powiedział Lem: „Gdyby nie internet, nie wiedziałbym, że na świecie jest tylu idiotów”. To było takie właśnie dzieło.

Grucha siedział w fotelu. Właściwie nie siedział, tylko leżał w nim rozwalony, jakby ktoś go tam rzucił – z nogą przerzuconą przez podłokietnik i ręką za oparciem. Spał. Miał głowę odchyloną do tyłu, otwarte usta, z kącika których ściekała strużka śliny. Kamera telefonu śledziła szczegóły anatomiczne, najpierw głowy Gruchy, potem jego szyi, prześlizgnęła się po poplamionej jedzeni i czymś jeszcze koszulce i zjechała w dół. W tle słychać było czyjeś stłumione śmiechy. Krugły zobaczył, że Grucha ma ściągnięte slipy, które wisiały na kostce jak żagiel w czasie flauty. Nagle cały ekran wypełniło jego przyrodzenie. Obraz trząsał się, tak jak trzęsała się ręka filmującego, parsającego śmiechem. Coś było nie tak z członkiem Gruchy.



Jego nasada ściśnięta była jakimś czarnym kółkiem.

– Zrób zbliżenie... – pisnął jakiś głos.

– Ciszej, bo się obudzi.

– Ale jazda, kurwa... – Właściciel głosu był wyraźnie uradowany.

– Trzeba zrobić coś, żeby mu teraz stanął! – kolejny, gorączkowy szept.

– Mam go dotknąć? Odjebało ci?

– Gruuuchaaa... – rozległ się cichy jęk, męski. – To ja, Samanta. Weź mnie teraz. Grucha, chcę go zobaczyć... O, jaki wielki! Gruuuchaaa...

Ryk śmiechu sprawił głośnik telefonu w wibracje. Znów w kadrze pojawiła się cała postać. Grucha drgnął i otworzył oczy. Potoczył zaspanym wzrokiem dookoła, mlasnął, popatrzył prosto w obiektyw kamery i podrapał się w krocze. Poczuł, że coś jest nie tak, opuścił wzrok i przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w swoje genitalia. Potem zasłonił się i zaczął wrzeszczeć. Krugły oddał telefon wyraźnie rozbawionemu Didłuchowi.

– Wystarczy – powiedział. – Mam dość. Ludzie, ile wy, kurwa, macie lat?

Chłopak wyłączył film. Schował telefon i popatrzył przed siebie.

– Wiem, niezbyt to było mądre. Ale w tamtej chwili wydawało mi się obłędnie zabawne. I nie tylko mnie. – Pokiwał głową. – W każdym razie alibi niezłe, co? Można przecież sprawdzić czas powstania pliku w urzędzeniu...

– Która to była godzina?

– Piąta? Wpół do szóstej?

Krugły cmoknął z niezadowoleniem.

– Za wcześnie. Co było potem?

– Potem? Grucha powrzeszczał, pogroził, że jak ten film zacznie hulać w necie, to wszyscy dostaną saperki i pojedą z jego wujasem na wycieczkę do lasu... – Zastanowił się nad czymś. – Może to jednak Grucha? Samantę udawał Wojciu Wichłacz. Też tam był... Może Grucha się zemścił? Może to ludzie jego wujasa? I teraz przyjdą po mnie, po Tomka i innych?

– A ten zabity klawisz? Był na tej imprezie?

– Nno, nie.

– To nie masz się czym przejmować, nikt po ciebie nie przyjdzie. Co dalej?

– Grucha próbował zdjąć to „na mydło”. Tylko że jak go tak miętolił, to faktycznie mu trochę stanął i wtedy już za cholerę nie chciało zejść. No, i już nie mógł mu zmięknąć, bo ta obrączka zacisnęła naczynia... jamiste? Tak to się nazywa? To było takie małe, metalowe kółko, na którym wiszą firanki na karniszu. Grucha powiedział, że to przestało być śmieszne, że zaczyna go

kurewsko boleć i ktoś ma go zawieźć do szpitala. No to poszliśmy tam wszyscy, na piechotę. Kupa śmiechu była. Najlepsze było, jak wyszła taka pielęgniarka, laska nie z tej ziemi, i pyta, co się stało. A Grucha czerwony...

– Dobra, starczy. Tu w Goleniowie byliście w szpitalu?

– Tak, w Centrum Medycznym, na chirurgii...

– Gdzie to jest?

– Na Nowogardzkiej.

– Dobra. – Krugły wstał z ławeczki. – Na razie. Nie dziel się z nikim szczegółami naszej rozmowy. Najlepiej zapomnij, że się w ogóle odbyła.

– Jasne. – Didłuch, nie wstając, znów patrzył w kurz między swoimi stopami.

Krugły obszedł blok, kierując się w stronę kościoła. Znalazł w końcu swój samochód, wsiadł do niego, sprawdził w nawigacji, gdzie jest szpital, i od razu tam pojechał.

Na izbę przyjęć niemal biegł. Za cholerę nie wiedział, jak znaleźć lekarza, który uwolnił gruchę Gruchy ze skutków dowcipu kolegów, ale liczył na łut szczęścia. Olsnienie przyszło, kiedy na korytarzu mijał pielęgniarkę. Była śliczną blondynką o kręconych włosach, nawet w plastikowych chodakach poruszała się z niewymuszoną gracją.

– Przepraszam! – zaczepił ją.

Odwróciła się.

– Tak?

– Metalowe kółko na... penisie – ściszył głos.

– Proszę?! – Oczy i usta pielęgniarki zrobiły się nagle niemal idealnie okrągłe.

– Metalowe kółko na penisie pewnego chłopaka. Okolice Wielkanocy. Kojarzy pani coś takiego?

Didłuch wspominał, że wyszła do nich niezła laska. Podobno pielęgniarki generalnie są z natury powabne, ale może to właśnie ta? Dziewczyna nagle zamknęła oczy, ale usta pozostały otwarte. Krugły zaczął się bać, że zaraz zacznie krzyżeć, tymczasem ona zasłoniła je, drugą ręką objęła się w pasie. Nogi, złączone w kolanach, ugięły się lekko, uwypuklając zgrabną, opiętą ciasną spódniczką pupę, a po szpitalnym korytarzu zaczął nieść się serdeczny śmiech. Śmiała się z tego, co powiedział, czy z tego, co sobie przypomniała? Kiwanie głową potwierdziło, że to drugie.

– Tak – wykrztusiła, kiedy się już trochę uspokoiła. – Pamiętam.

– Zdradzi mi pani nazwisko lekarza, który podjął się... ekhm... operacji?

Znów pokiwała głową. Blond sprężynki zakołysały się wraz z nią.

– Doktor Forczmański. Chirurg.

– Jest dziś w pracy?

– Zszedł rano z dyżuru. A o co chodzi?

– Była pani przy tym?

– Byłam. Widziałam już różne rzeczy, nawet żel pod prysznic w panu, który poślizgnął się na mokrej posadzce w łazience i usiadł na nim...

– Poślizgnął się, tak powiedział? – ucieszył się Krugły. – Też bym tak twierdził na jego miejscu. Co innego mógłbym powiedzieć?

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Charakter obrażeń świadczył dobitnie, że to był wypadek. Zdarza się. Ale ten chłopak... To był hit. Przestałam żałować, że mi wypadł dyżur w wielkanocny poniedziałek.

– Która to była godzina, pamięta pani?

– A co pan taki ciekawy, co? Po co chce pan to wiedzieć?

Jasne brwi zbiegły się nad nasadą nosa, a oczy zwęziły. Podejrzliwy grymas zmienił piękną twarz w maskę hiszpańskiego inkwizytora. Pokłady fartu nie są niewyczerpane. Ten przykry moment, kiedy się skończyły, właśnie nastąpił i Krugły stanął przed ścianą.

– Jestem bardzo zainteresowany szczegółami... – Kuł tę ścianę, ale czuł, że na nic się to zda.

– Proszę spróbować w dyrekcji szpitala.

– Nic więcej mi pani nie powie? – zamiauczał.

– Tajemnica lekarska – rzuciła krótko, odwróciła się i poszła przed siebie.

– Do widzenia – zawołał za nią, ale ona nie obejrzała się nawet, uniosła tylko dłoń i pomachała nią, lekko przebierając palcami.

Krugły nie miał tu czego więcej szukać. Wrócił na parking, na którym zostawił samochód, i postanowił podjechać do Michalczyka.

\* \* \*

– Nie musisz mnie już umawiać z Gruchą, mogę sobie oszczędzić tej wątpliwej przyjemności.

Michalczyk siedział przy biurku i tępo wpatrywał się w monitor.

– To dobrze, bo znowu zapomniałem. Ale tym razem, sam przyznasz, miałem powody. Co się stało? – Spojrzał na Krugłego.

– Mam stuprocentowo pewną informację, dotyczącą tego, co porabiał Grucha tamtego krytycznego powielkanocnego poranka.

– No?

– Usiłował ściągnąć metalowe kółko z własnego penisa.

– Że co, przepraszam? To jakiś slang? Za dużo chyba czasu spędziłeś z tym towarzystwem od Gruchy. Idź się odchamić, do teatru czy gdzieś...

– Mówiłem dosłownie. Miał na swojej własnej pycie metalowe kółko, które założyli mu koledzy, kiedy spał, jak zwykle nawalony. Dowcip taki, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem.

– Pierdząca poduszka, gumowe wymiociny, kółko na penisie – to mniej więcej ta liga. Tego dnia nad ranem, kiedy w swoim domu odchodził do Boga Zawadzki, Grucha walczył z kółkiem tkwiącym na jego przyrodzeniu. A ponieważ walkę przegrał, musiał zwrócić się do fachowców w szpitalu. Jak stwierdził pewien źle zapowiadający się student prawa: alibi jak chuj. Miał rację?

– Coś w tym jest...

– Tylko że ze względu na tajemnicę lekarską, nie mam pełnego potwierdzenia tej wizyty w szpitalu. To mógłbyś ustalić ty, za pomocą pisemka z mnóstwem paragrafów, czerwonymi pieczętkami i tak dalej... Mógłbyś?

– Mógłbym. Gratulacje. Dobra, teraz moja kolej na rewelacje.

– Proszę uprzejmie. Kim jest numer cztery?

– Trzy... Przypominam, że Domińczyk to numer zero.

– Racja. Kim jest numer trzy?

– Niejaki Dawid Lubiszewski.

– Powiązany jakoś z pozostałymi?

Michalczyk pokręcił głową.

– Nie, ale mam nadzieję, że to stan chwilowy i niedługo coś odkryję. Znalezione dziś nad ranem przez parę młodych ludzi, wracających do domu od znajomych. Leżał tam od wczorajszego wieczoru, tak jak ci poprzedni: w kałuży krwi, ze złożonymi rękami i z dziurą od noża w kłacie. Lekarz stwierdził tylko jedną nietypową rzecz. Podrażnione spojówki i otarcia naskórka wokół oczu, jakby ją tarł czy się drapał. Poza tym wszystko identycznie, nawet ten eter, którego zapasek sam wyczułem.

Spojrzał na Krugłego.

– Wytlumacz mi jedną rzecz. Jak to się dzieje, że nikt nie widział gościa zachlapanego krwią, przemykającego się ulicami? Przecież ta krew musiała z ofiar bluznąć! Nie ma możliwości, żeby morderca się nią nie pobrudził! I nikt go nie widział?

Krugły wzruszył ramionami.

– Znieczulica. Ludzie pilnują swojego interesu. Nie widzą zła. Wygodne to i bezpieczne. Takie są moje propozycje. – Zerknął na leżącą przed Michalczykiem teczkę. – Kim był ten gość?

Michalczyk skrzywił usta.

– Lokalny rzeźmieszek. Dwa wyroki: jeden za kradzież, drugi za napaść. Nikt. Śmieć.

– Słuchaj... Może ktoś tu zaczyna sprzątać? Pojawił się szeryf, eliminujący z ulic syf. Naoglądał się *Życzenia śmierci*, *Bрудnego Harry'ego* i innych takich, i teraz wymierza sprawiedliwość.

Michalczyk popatrzył na swoje podrygujące kolano.

– Nie pasuje. Co w tym towarzystwie robi Zawadzki? A przede wszystkim kryształowy Domińczyk? To nie były śmieci, tylko porządni, bogobojni ludzie.

Krugły smętnie pokiwał głową.

– Może tak, a może nie... Cóż, przed tobą mnóstwo roboty. Ale ja swoje zrobiłem. Musisz tylko załatwić sprawę z tym lekarzem. Nazywa się Forczmański. Możesz już chyba wypuścić Gruchę, co?

Michalczyk mruknął coś niewyraźnie pod nosem. Krugły rozejrzał się po zagraconym gabinecie.

– Skoczymy gdzieś na obiad? Wcześniej jeszcze, ale coś głodny jestem.

Prokurator pokręcił głową.

– Niestety. Mam za dużo roboty. Dziś idę jeszcze na wokandę, jutro jadę do Szczecina na sekcję tego Lubiszewskiego... Nie wyrobię się.

– Trudno. – Krugły wzruszył ramionami. – Daj znać, jak będziesz coś wiedział. Na razie.

Wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Była ładniejsza niż wczoraj, zapewne dlatego, że patrzył na nią przez inny pryzmat. Miał poczucie dobrze wykonanej roboty, w dodatku dobrze płatnej. Wsiadł do samochodu i pojechał do Szczecina, zahaczając po drodze o McDonalda przy autostradzie. Ze względu na wyjątkowy charakter dzisiejszego dnia znów udzielił sobie dyspensy.

\* \* \*

Krugły wrócił do domu koło drugiej. Zdążył zadzwonić do Sokołowskiego z dobrymi wiadomościami. Potem rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy i snuł rozkoszne wizje. Wypad do Barcelony, na kilka dni, we dwoje. Zamówi bilety lotnicze kilkanaście tygodni wcześniej, znajdzie tanią metę i hajda. Picasso, Gaudi i inne cuda. Wrócił do rzeczywistości, stwierdzając, że cała kasa od

Sokołowskiego i tak pewnie pójdzie na wyprawkę dla dziecka.

Było jednak coś, co wciąż nie dawało mu spokoju. Nie wiedział też, czy ma to jakiś związek z Sokołowskim, czy nie. Usiadł do laptopa, przypominając sobie przy okazji, ile trudu i czasu kilkanaście lat temu kosztowało go zdobycie błahych często informacji. Dziś śledztwo często prowadzi się przez internet, takie czasy.

W pasku wyszukiwarki wpisał „biura detektywistyczne szczecin”. Wynotował numery telefonów do każdej z firm, która wyświetliła się na monitorze, z wyjątkiem swojej. Plan nie był może wyrafinowany, ale Krugły miał nadzieję, że za to skuteczny. Musiał mieć pewność, że pluskwy za telewizorem nie podłożyły te same ręce, które umieściły drugą, na ramie obrazu. Słowa Sokołowskiego to tylko słowa Sokołowskiego, chciał to usłyszeć bezpośrednio od właściciela tych rąk. A ponieważ Sokołowski uparł się i nie chciał mu dać namiarów na detektywa, którego najął do tej roboty, Krugły postanowił ustalić to samodzielnie. Z witryn internetowych wiedział, że firmy detektywistyczne są małe. Drobnica, jak on, albo spółki: dwóch, trzech wspólników, przeważnie któryś z nich był kiedyś gliniarzem. Jak on. Telefon może odebrać albo ktoś w rodzaju sekretarki, albo sam „szef”. „Jakieś siedemdziesiąt procent szans na powodzenie planu” – pomyślał, przypominając sobie panią Iwonkę z Budna.

– Sebastian Sokołowski z tej strony, dzień dobry – powiedział, kiedy pierwsza osoba odebrała jego telefon.

Aktor z niego żaden, ale uznał, że naśladowanie głosu Sokołowskiego wyszło mu całkiem udanie.

– Słucham pana. – Męski głos z drugiej strony był uprzejmy, pogodny i zupełnie pozbawiony podejrzliwości. Czyli pudło.

Za drugim razem odebrała młoda, sądząc po głosie, dziewczyna. Powiedziała, że szefa nie ma, na usilną prośbę połączyła Krugłego z jego komórką, dzięki czemu Krugły zaliczył drugie pudło. Podobnie było z trzecim, czwartym i piątym telefonem. Pod szóstym numerem nikt się nie zgłosił, za to pod siódmym, po przedstawieniu się jako Sokołowski, w telefonie zaległa cisza. Można by rzec, znacząca cisza. Dokładnie taka, na jaką liczył Krugły.

– Kto mówi... – Słowa, które padły po chwili, nie były pytaniem.

Facet najwyraźniej był zły, że dał się podejść.

– Robert Krugły z tej strony – powiedział Krugły, już normalnym głosem. – Trafiłem?

Znów zapadła cisza. Przedłużała się.

– Owszem – odpowiedział wreszcie człowiek po drugiej stronie.

Krugły przyznał mu punkt za to, że nie rozłączył się ani nie próbował załośnie się wykręcać. Nie kojarzył tego głosu ze swojej dawnej pracy.

– Cieszę się – powiedział pogodnie. – Dzwonię w wiadomej sprawie. Kontroli instalacji gazowej.

– Jakies pretensje? – Ton nie był zaczepny, raczej chłodny i wykalkulowany.

– Nie. Mógłbym nawet pokusić się o złożenie gratulacji i wyrazów uznania za mało inwazyjne i profesjonalne podejście do zlecenia, ale nie mam nastroju. Nie chodzi o Sokołowskiego. Chodzi o tę drugą pluskwę...

– Nno?

– Muszę mieć pewność, że to nie twoja. Gadanie Sokołowskiego mnie nie przekonuje. Chcę to usłyszeć od ciebie, kolego po fachu.

– Dobrze. To nie moja. Wystarczy? – Ton był obojętny.

– Postaraj się bardziej, może rozwiń wątek? Proszę o trochę empatii. Jeśli to faktycznie nie ty, to ten, który ją podłożył, zrobił to bardzo nieładnie. Zapiardolił klucze mojej dziewczynie i włamał się do mojego mieszkania. Mówię „włamał”, bo fakt, że miał klucze, nie zmienia postaci rzeczy. Traktuję to w kategoriach osobistych, to po pierwsze, a po drugie... Po drugie mam wrażenie, że coś mi grozi. Zresztą pół biedy, jeśli chodzi o mnie. Wiesz, że będę miał dziecko?

– Wiem.

– Właśnie. Nie chcę, żeby coś stało się mojej rodzinie.

– W porządku. – Westchnienie rezygnacji świadczyło jednoznacznie, że facet pójdzie na współpracę. – Też mam rodzinę. A więc niniejszym zaręczam ci, że to nie ja podłożyłem tę drugą pluskwę. Daję słowo. Myślałem nawet przez chwilę o telewizorze, ale uznałem, że lepszy będzie ten obraz z morzem. Dużo lepszy.

– Sugerujesz, że ten, kto podłożył tamtą pluskwę, nie wykazał się profesjonalizmem?

– Nie jestem specem. Ale telewizory mają w sobie dużo elektroniki. I z tego, co pamiętam, pod telewizorem stał zestaw stereo. To może zakłócać odbiór dźwięku albo sygnał nadawczy. Nie ryzykowałbym. Ale to jeszcze niczego nie oznacza...

– Co masz na myśli?

– Bo tamten MOŻE BYĆ specem, rozumiesz? Mógł wiedzieć, że urządzenie będzie działać prawidłowo, mimo bliskości wszelkiej maści elektronicznego szmelcu.

Krugły zamilkł. Brzmiało logicznie. Ale wciąż nie wiedział, co ma o tym sądzić.

– Przyjmuję do wiadomości. Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Głos stał się odrobinę miłszy, ale tylko odrobinę. – Powodzenia życzę. I szczęścia. Może ci się przydać. Kolego po fachu...

Krugły mruknął coś i rozłączył się. Patrzył nieobecny wzrokiem w blat biurka i machinalnie stukał w niego palcami. Nagle usłyszał chrobot klucza w zamku. Spojrzał na zegarek. Ewa właśnie wracała z pracy, dziś nie jechała do mamy, bo mieli umówioną wizytę u ginekologa. Weszła do pokoju, pochyliła się nad Krugłym i pocałowała go w nos. Popatrzył na nią. Jej brzusek zaczynał już być widoczny, zaokrąglił się nieznacznie, Ewa również. Wyglądała apetycznie.

Zjedli razem obiad, a po osiemnastej pojechali na kontrolę.

\* \* \*

– Będzie dziewczynka – powiedział Krugły do Ewy, kiedy wyszli z gabinetu.

– Skąd wiesz? – zapytała, zaskoczona.

– Bo nie widziałem siusiaka.

– E, ty tam dużo widziałeś...

– Widziałem. Znacząco widziałem, że go nie ma.

– Robert, nawet specjaliści mają czasem kłopoty z odczytaniem USG. To jak tropienie szarego kota w szarym lesie. Moja koleżanka z pracy do końca ciąży była przekonana, że będzie chłopak, a Justynka po prostu włożyła sobie rączkę między kolanka, bo jej widać ciasno było, i jeden paluszek akurat tak wystawał.

– Bzdura. Mity szczęśliwych mam; legendy, które rodzą się i dojrzewają wraz z dzieckiem. Po prostu tamten ginekolog był do bani albo miał jakiś szwedzki aparat do USG. Mówię ci, nie było siusiaka...

Ewa przystanęła.

– To dopiero czwarty miesiąc. Co ty tam mogłeś zobaczyć, jak jeszcze niczego nie ma?

– Ja wiem swoje. W szesnastym tygodniu powinno już coś być. Czytałem w necie. A nie było. Uwierz mi, w końcu jestem detektywem. Będzie Ola, zobaczysz.

– Dlaczego po prostu nie zapytałeś lekarza?

– Przecież się umawialiśmy, że czekamy z tym do rozwiązania.



- To po co teraz te zgadywanki?
  - A tak sobie strzelam.
- Ewa zatrzymała się nagle.
- Czemu Ola? – zapytała.
  - Bo to ładne imię. Oleńka.
  - Niech ci będzie.
  - Jak to: niech ci będzie? A ty? Nie chce ci się w tym uczestniczyć?
  - Chce mi się uczestniczyć, ale jeszcze bardziej chce mi się wymiotować.
  - Myślałem, że mdłości są tylko na początku ciąży?
  - Ja też tak myślałam... Więc pogadamy o imieniu dla dziecka w domu, a nie tu, na środku korytarza. Może być? Chodźmy już, mama czeka z kolacją... Poczekaj... O, Jezu, gdzie toaleta...?

## XII

Sen nie zawsze przychodził. Czasem zamykała tylko oczy, trwając w półśnie, który męczył jeszcze bardziej niż bezsenność. To było najgorsze. Półsen albo półjawa, i nie wiadomo było, które z nich wykańczało ją bardziej. Splatały się ze sobą, często były nie do odróżnienia. Sen, brat śmierci. Półsen – koszmar na jawie.

Dziś też nie przyszedł. Nie dziwiła się temu w ogóle. Nadchodził koniec jej życia, jej starego życia, a jakie będzie to nowe, mogła tylko zgadywać. Zjadały ją nerwy i zdawała sobie z tego sprawę. Najważniejsze to nie zawieść w kluczowym momencie.

Pogłaskała brzuch, który zaczynał lekko wystawać. Nieznacznie, jak po obfitym obiedzie albo wypiciu butelki wody po kilkunastu kilometrach biegu. Z czułością pomyślała o maleństwie, które nieświadome niczego spokojnie rosło w jej ciele.

Potem usiadła przed lustrem w samej bieliźnie i zaczęła robić makijaż. Pęsetką usuwała zbędne włoski z brwi, malowała oczy i usta, czesała się, co jakiś czas zerkając na leżący obok i gotowy do nadania list. Robiła to wszystko w skupieniu, starannie i bez pośpiechu. Miała dużo czasu i niedaleko. Zdaży. Mogła napawać się tą chwilą, która niedługo nastąpi, choć nie była z tego powodu szczęśliwa.

Tu nie chodziło o szczęście. Chodziło o spokój.

Spokój na zawsze.

# XIII

## Poniedziałek, 13 lipca, wieczór

Kiedy Krugły odwiózł już Ewę do mamy i wrócił do swojego mieszkania, zadzwonił Michalczyk. Krugły zauważył z zaskoczeniem, że budzi się z nim i zasypia. Prawie jak z żoną.

– Robert, mam złą wiadomość – powiedział Mateusz grobowym głosem.

– No?

– Grucha nie wyjdzie. Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

– Bo?

– Bo nie.

– „Bo nie” to nie jest odpowiedź.

– Jak chcesz. Nie wyjdzie, bo... bo to niepolityczne.

– Jak, kurwa, niepolityczne, jak on nikogo nie zabił, co wykazałem prywatnym śledztwem oraz własną twarzą?!

– Decyzja została podjęta, a ja nie miałem na nią żadnego wpływu. Przykro mi.

– A jakie były podstawy tej decyzji?

– Widzisz... To nieważne, że Grucha tego nie zrobił. W obecnej sytuacji, gdzie po Goleniowie grasuje wampir, mieszkańcy organizują patrole obywatelskie i wydzwanają do władz i prokuratury, żeby wzięły się wreszcie do roboty, wypuszczenie jedyne go podejrzanego mogłoby tę sytuację jedynie zaognić. Prokurator rejonowy w zasadzie nie miał wyjścia.

– A zdrowy rozsądek? Jak Grucha mógł zabić tego Lubiszewskiego z więzienia? Zdalnie? Drona z miotaczem noży wypuścić ze spacerniaka? Ktokolwiek o tym pomyślał?

– Nie wiesz, że zdrowy rozsądek zawsze przegrywa w starciu z tłumem? Nawet pomimo tego, że iloraz inteligencji tłumu jest równy ilorazowi największego idioty z jego szeregów? Wiesz jak jest... To wszystko wynika oczywiście z niezrozumienia tematu. Nikt nie będzie zastanawiał się, czy ofiary są faktycznie przypadkowe i czy w związku z tym należy obawiać się seryjnego zabójcy, czy ktoś po prostu konsekwentnie realizuje plan, pozbywając się konkretnych ludzi. Tłum i tak będzie krzyczeć: „Seryjny!”.

– Kurwa, zadzwoniłem już do Sokołowskiego, że Grucha niedługo będzie wolny. – Krugły cmoknął z niezadowoleniem. – Co mam teraz zrobić? Nie będzie fufu... Przynajmniej nie w najbliższym czasie – dodał sarkastycznie.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie mam na to wpływu, Robert, przykro

mi. Wygląda na to, że nasza współpraca w tej sprawie powoli się kończy...

Krugłemu zrobiło się nieprzyjemnie.

– Co masz na myśli? – zapytał ostrożnie.

– Nie masz powodów do niepokoju. Ty swoją część zrobiłeś, Grucha w końcu wyjdzie... Kiedyś... Miejmy nadzieję, że to „w końcu” nastąpi bardzo niedługo...

– Konkretnie, Mateusz, co masz na myśli?

– Dziś dostałem cynk ze szczecińskiej okręgówki. Przejmują śledztwo. Nikt jeszcze o tym nie wie. Ty też nie, jasne?

– Nie ufają wieśniakom?

– Coś w tym rodzaju. Czekają tylko na wyniki sekcji Lubiszewskiego. Jeśli potwierdzi się, że zginął w ten sam sposób, co trzech pozostałych... Zwykle w komunikacie rzecznika wygląda to tak: „Ze względu na to, że prokuratorzy rejonowi prowadzą dużo spraw, powierzenie im śledztwa tego rodzaju wiązałoby się praktycznie z wyłączeniem ich z normalnej, codziennej pracy”. Decyzji formalnej jeszcze nie ma, ale wiem, że jutro na sekcji, w Szczecinie, będzie ktoś od nich. Ciekawe, czy ktoś, z kim się lubiłem, czy wręcz przeciwnie.

– Traktujesz to osobiście? Jako policzek dla ciebie?

– Chyba nie. Wiedzą, co prawda, że to ja prowadzę śledztwo tu, w Goleniowie. Mam w tego rodzaju sprawach pewne doświadczenie, o czym nie muszę ci przypominać, ale tak jest skonstruowany ten świątek. Takie cyrki to normalka, a ja nie zamierzam kopać się z koniem. Dyskusowanie z rzeczywistością mija się z celem, znasz moją opinię w tej sprawie. Nie wiem tylko, jak szybko przejmą śledztwo. Sekcja będzie dość skomplikowana, mówię o kwestiach porównawczych z tamtymi ofiarami, bo to bardzo istotne, więc teoretycznie powinni się wstrzymać do czasu otrzymania szczegółowych wyników. Ale sprawa jest rozwojowa. W dodatku rozwija się dynamicznie. Tylko że to już nie będzie moja sprawa... Mamy mało czasu, Robert. Ty masz mało czasu.

– Ja? Na co?

– Grucha wyjdzie na wolność w zasadzie tylko w jednym przypadku, tak? Więc pozostaje ci tylko sprawić, żeby ten przypadek miał miejsce.

– Czyli mam znaleźć mordercę...

– Otóż to, panie inspektorze, otóż to.

– A możesz mi zdradzić, jak mam to zrobić jako prywatny detektyw? Moje możliwości są mocno ograniczone, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Bo ja

sobie zdaję.

– To jest nas dwóch. Co nie zmienia faktu, że albo dasz sobie spokój i będziesz kwękał na niesprawiedliwy los, albo jednak zrobisz COŚ. Przynajmniej tyle, na ile cię stać jako prywatnego. Do tej pory sobie jakoś radziłeś, nie?

– Nie porównuj rozpytywania w sprawie ustalenia, co porabiał na imprezie jakiś imbecyl, ze śledztwem w sprawie morderstwa. Kilku morderstw. Zwłaszcza bez twojego wsparcia.

– Czyli rozumiałeś, że z wiadomych względów kończymy oficjalnie naszą nieoficjalną współpracę?

– Zostaję sam...

– Jak zwykle dramatyzujesz. Cóż, miło się z panem pracowało...

– Nawzajem. Słuchaj, w takim razie mam jeszcze jedną sprawę. Zrobiłem sobie rano prasówkę w Książnicy Pomorskiej. Mógłbyś sprawdzić, co dzieje się z Piotrem Bednarowskim, skazanym prawomocnie w dziewięćdziesiątym dziewiątym przez sąd w Szczecinie za spowodowanie pożaru i zabójstwo trzech osób? Facet mieszkał z rodziną Sobieraja w jednym domu, w Szczecinie, na Pogodnie. Nie wiem dokładnie, czy chodziło o kwestie ubezpieczeniowe, porachunki czy jakąś zemstę, bo gazety pisały o tym dość lakonicznie, w każdym razie podpalił ten dom z nimi w środku. Potwierdziły się relacje stryja Błażka i tego Lacherta, uratował się tylko Marek Sobieraj, jego siostra zmarła kilka dni później. Jeszcze nie wiem, jaki to mogłoby mieć związek z tymi morderstwami w Goleniowie, ale trzeba to sprawdzić, skoro mam to dalej ciągnąć. Poszperasz? Tylko nie tak, jak z Gruchą, dobra?

– Czyli jednak nie rozumiałeś...

– Ależ jak najbardziej zrozumiałem. Nie proszę cię o to jako prokuratora, tylko kumpla. A to chyba co innego?

– Czasem mam wrażenie, że masz mnie za debila.

– Masz rację.

– Mam rację?!

– Częściowo. Masz rację, że to tylko twoje wrażenie, nic ponad to. Mylne wrażenie. Poza tym sprawa tego podpalenia może być pomocna przede wszystkim w TWOIM śledztwie. Ja swoje oficjalnie skończyłem, pamiętasz? Ofiaruję ci właśnie pomoc, serce na dłoni, robotę za ciebie zrobiłem...

– Uhm... Tylko że od jutra to już nie moje śledztwo.

– Nie możesz im lekko pomagać?

– Kpisz sobie?

– Zobaczysz, jakoś się to ładnie ułoży. – Krugły usłyszał westchnienie Michalczyka. – Łączy nas obecnie swego rodzaju mutualizm, zauważyłeś to?

– Mutualizm, mówisz?

– Zgadza się, mutualizm.

– Skojarzenia mam...

– Wiem, homofobie.

Pożegnali się i Krugły też westchnął, kiedy pomyślał, co jeszcze go czeka. Wolał nie odkładać tego na później. Chcąc nie chcąc, znów zadzwonił do Sokołowskiego.

– Sytuacja pana siostrzeńca nieco się zmieniła – powiedział ostrożnie, kiedy po drugiej stronie usłyszał delikatne mlaskanie.

– Nicco? – Niewyraźnemu pytaniu towarzyszył odgłos przełknięcia i Krugły domyślił się, że zaraz zepsuje Sokołowskiemu kolację.

Sam był sobie winien, kto zje o takiej porze? To niezdrowe.

– Jak bardzo „nicco”? – Sokołowski robił się dociekliwy i niecierpliwy jednocześnie, choć głos wciąż był uprzejmy.

– Właściwie to diametralnie. O sto osiemdziesiąt stopni.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że Rafał na razie nie wyjdzie z aresztu.

– Nie bardzo rozumiem. – Teraz głos się zmienił. Brzmiał jak pierwsze oznaki nadciągającej burzy, niegroźne pomrukiwanie toczące się po szaroburzych chmurach zaciągających błękit nieba, które zwiastowało jednak coś bardzo groźnego.

Krugły i tak miał to gdzieś. Nawet jako małe dziecko nie bał się burzy.

– Nie dalej jak kilka godzin temu oznajmił mi pan coś zupełnie innego – wymruczał Sokołowski.

Gdzieś w tle Krugły usłyszał brzęk naczyń.

– I tak, i nie – stwierdził spokojnie. – Powiedziałem, że zebrałem dowody, które ewidentnie świadczą o tym, że pański siostrzeniec nie mógł dokonać tych zabójstw. Komplet dowodów; niezbitych. Ale to nie ja go zamknąłem i nie ja decyduję o jego uwolnieniu. Przekazałem je prokuraturze i na tym moja rola się kończy. Uznałem, że skoro wykazałem całkowity brak związku Rafała z zabójstwami, prokuratura zrobi co trzeba i uchyli areszt. Takie zresztą otrzymałem zapewnienie i dlatego do pana wcześniej zadzwoniłem.

– Więc co się stało, że się zesrało? – To już nie było mruczenie, to był warkot.

– Popołniono następne morderstwo, niemal identyczne z poprzednim,

i prokuratura uznała, że wypuszczenie z aresztu jedyne go podejrzanego nie będzie dobrze wyglądać w oczach opinii publicznej.

– Przecież pan się dobrze zna z tym Michalczykiem, tak? To nie może pan z nim tego jakoś załatwić? Ile może chcieć?

– To nie jest ani kwestia „chcenia”, ani tym bardziej pieniędzy. Powtarzam panu, panie Sokołowski, że to nie była decyzja Michalczyka, tylko prokuratora rejonowego. – Nie wspomniał o przejęciu sprawy przez okręgowkę, to wciąż była wiadomość nieoficjalna, w dodatku nie miała dla Sokołowskiego żadnego znaczenia.

Milczenie. Lekkie mlaskanie, ale niewywołane przeżuwaniami pokarmu, tylko gorączkowym myśleniem. Sokołowski najwyraźniej albo ciągnął się za wargę, albo ją żuł.

– I co teraz? – zapytał w końcu Krugłego.

– Co pan ma na myśli?

– Mam, kurwa, na myśli: co teraz? Ma pan jakieś propozycje?

– Może spokojniej, dobra? Rozmawiajmy konstruktywnie.

Uprzejmość i elokwencja Sokołowskiego zaczynały zanikać, najwyraźniej pod wpływem zdenerwowania albo rozmyte alkoholem, którym zakrapiał kolację. Być może nawet jadł ją w Radeckim.

– Dobra – powiedział biznesmen, już spokojniejszym tonem. – Co pan proponuje, panie komisarzu?

– Podczas pierwszego spotkania powiedział pan, że nie interesuje pana, czy znajdę mordercę. Że wystarczy tylko, jeśli udowodnię, że nie zrobił tego Rafał. Pamięta pan to?

– Pamiętam. I co w związku z tym?

– To jest właśnie sposób, żeby Rafał wyszedł. Znalezienie mordercy. Pan wie, jaka bywa skuteczność organów ścigania, prawda? Choćby po sobie pan to wie... Więc jeśli zależy panu na czasie...

Znów milczenie. Ale milczenie prawie zawsze oznacza zgodę, czyż nie?

– Koszty? – zapytał krótko Sokołowski.

– Takie same – powiedział Krugły beztróskim tonem i dodał, jeszcze bardziej beztrósko. – W końcu stać pana.

Chrupanie w telefonie mogło oznaczać szorowanie dłonią po zaroście policzka. Krugły nie wiedział tylko, czy Sokołowski się zastanawia, czy właśnie go wkurwił i może się pożegnać z dodatkową kasą.

– Zgadza się – usłyszał po chwili zdecydowany głos. – Stać mnie. Przegiął pan trochę przed chwilą, panie komisarzu, ale daruję to panu. Nie dlatego, że

jestem wspaniałomyślny, tylko dlatego, że jest pan skuteczny, w przeciwieństwie do tych pieprzonych urzędasów z prokuratury. Niech pan skurwiela znajdzie. I to jak najprędzej.

– Smaczne...

Sygnał rozłączenia świadczył o tym, że życzenia nie dotarły do Sokołowskiego.

Krugły odłożył komórkę. Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem przyznał przed sobą, że sygnały podprogowe mają ogromny wpływ na ludzki mózg. Jakiś czas temu uznał, że niejedzenie kolacji będzie miało zbawienny wpływ na jego sylwetkę, więc zarzucił ten zwyczaj. Teraz jednak, po rozmowie z Sokołowskim, zajrzał w głąb siebie i stwierdził, że nie jest w stanie oprzeć się chęci jej zjedzenia. Tym samym znalazł odpowiedź na pytanie sprzed chwili... Kto żre o takiej porze? Nie tylko Sokołowski. On też.

\* \* \*

## **Wtorek, 14 lipca**

– Dwie rzeczy – rzucił Michalczyk, kiedy Krugły odebrał telefon we wtorkowy rano. – Potwierdziło się przejęcie sprawy przez Szczecin, nawet nie czekali na rozpoczęcie sekcji Lubiszewskiego. Ale pojawiło się światelko w tunelu. Delegują mnie do prokuratury okręgowej, na czas śledztwa w sprawie nożownika.

– Mówiłem ci, że to się jakoś ułoży?! Lepiej nie mogliśmy trafić! Czyli zaufali wieśniakowi?

– Albo przypomnieli sobie, że to ja prowadziłem sprawę Koślina, w związku z czym posiadam sto procent więcej doświadczenia w podobnych przypadkach niż ktokolwiek u nich.

– A druga sprawa?

– Sprawdziłem tego Bednarowskiego.

– Zrehabilitowałeś się. Taki szybki jesteś?

– Widzę, że niektórzy bujają w obłokach, a inni niektórzy pracują już od dwóch godzin...

– Mam cię żałować? – Krugły ziewnął bezwstydnie.

– Chociaż skromne „dziękuję”?

– Dziękuję. Chociaż, zaraz... To przecież było w twoim interesie, nie moim.

– A rozmawiamy oficjalnie czy nieoficjalnie?

– Słusznie. W moim też. I co? Żyje?

– Żyje. Wciąż garuje.



- Gdzie?
- A jak myślisz?
- Nic nie myślę, po prostu mi powiedz.
- Tu. W Goleniowie.
- No, popatrz ty...
- Patrę. I zastanawiam się, czy spotkał się z Sobierajem. W każdym razie podpytałem o niego Mietka. Wyobraź sobie, że Bednarowski jakieś półtora roku temu został zaatakowany na spacerunku przez innego więźnia.
- Ktoś go pobił?
- Nie pobił. Wbił mu nóż w brzuch. Bednarowski ledwo przeżył. Ten nóż to była samoróbka z widelca i tylko dlatego facet wywinął się grabarzowi spod łopaty. Ostrze było za krótkie, ale i tak narobiło sporo szkód. Miał rozplątane powłoki brzuszne, podobno musiał przytrzymywać żołądek i jelita, żeby mu się nie... Jak to powiedzieć...? Wyłoniły? Miał też uszkodzoną aortę brzuszną.
- Ta... – Krugły spojrzał na leżące przed nim na talerzu parujące frankfurterki i nagle przeszła mu na nie ochota. – Widzisz w tym jakiś związek z naszymi morderstwami?
- Nie do końca. Niby podobne narzędzie i miejsce zadania ciosu, ale to przypadek. Myślę, że nie ma sensu celować takim czymś w klatkę piersiową. Nawet nie mówię o tym, że ostrze jest za krótkie. Widelec był aluminiowy, po zeszlifowaniu trzonka stał się jeszcze bardziej plastyczny, więc ryzyko zgięcia czy złamania go na zębrze jest zbyt duże. A ten typ, który rzucił się na Bednarowskiego, to kizior, recydywa, więcej czasu w pierdłu przesiedział, niż spędził na wolności. Zwłaszcza za ostatni wyczyn, za młodą dziewczynę. Więc pewnie zdawał sobie z tego sprawę. Ci starzy dość dobrze znają anatomię. Potrzebują tej wiedzy do samookaleczeń...
- Kto to był?
- Niejaki Józef Kiedrys. Odsiadywał dożywocie za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Kilkanaście lat temu zgwałcił i zabił młotkiem nastolatkę gdzieś pod Wałczem.
- Odsiadywał? Znaczący, już nie żyje?
- Żyje. Jeszcze żyje, bo dogorywa. Pełnoobjawowe AIDS, ma przerwę w odbywaniu kary, leży na „zakazach” na Arkońskiej. Pewnie zrobiłaby się z tego niezła afera, bo nikt nawet nie wiedział, że jest zakażony HIV, ale oficjalnie ma białaczkę.
- Powód ataku?
- Osobista uraza. To wersja urzędowa. Gość nie miał wiele do stracenia, po

pierwsze miał dożywocie, a o warunkowe mógł ubiegać się po trzydziestu latach odsiadki, czyli za niecałe dwadzieścia, a ma prawie sześćdziesiąt. A po drugie, być może już wtedy wiedział, że jest seropozytywny i długo nie pożyje, skoro nie chce się leczyć. Wszyscy mogą mu skoczyć.

– Rozumiem, że prosisz mnie, żebym z nim porozmawiał?

– Co prawda to wątek poboczny, mocno poboczny, ale sam przyznasz, że nie zaszkodzi?

– Przyznam. Tylko czy on porozmawia ze mną?

– Myślę, że możesz spróbować. Mietek wspominał, że facet jakiś czas temu się nawrócił... Co tak nic nie mówisz?

– Sam już nie wiem, czy się dziwić, czy śmiać. Zaczynam się bać, że jak otworzę lodówkę, to w środku też będzie ksiądz albo chociaż jakiś pogrążony w modlitwie poczciwina. To przypadek, złośliwość losu czy... trop?

– Nawrócenie się może być sposobem na oswojenie się z bliskością śmierci. To się całkiem często zdarza. Ale w tym przypadku nie wiem. Może sam Kiedrys ci to powie?

– Może. Podjadę tam dzisiaj. Kujmy Kiedrysa, póki gorący i jeszcze dycha.

– Słusznie. Tylko uważaj na siebie.

– Śmieszność twoich żartów dotyczących mojej twarzy wygasła w zeszłym tygodniu. To tak, jakbyś się nie zorientował...

– Nie o twojej twarzy mówię. Pamiętaj, że facet zabił kiedyś dziewczynę i rzucił się na człowieka z nożem. I ma HIV. To świr. Nawrócony, ale świr. Co jeśli rzuci się na ciebie? Ugryzie cię, podrapie albo zrani? Tylko dlatego, że mu się nie spodobaś?

– Racja.

– Dziecko masz w drodze...

– Nie dramatyzuj już. Będę uważał.

\* \* \*

Wolne miejsce Krugły znalazł gdzieś w połowie Serbskiej; udającej ulicę i usianej dołami drogi o nieidentyfikowalnym rodzaju nawierzchni, prowadzącej od Arkońskiej w kierunku Ogrodu Botanicznego, o którym mało kto miał pojęcie, że istnieje lub że chociaż tak się nazywa.

Kiedy Krugły dotarł w końcu do bramy szpitala, buty miał brudne jak, nie przymierzając, pielgrzym pod koniec swej wyprawy. Kiedyś machnąłby „blachą” przez szybę samochodu i podjechał pod sam oddział zakaźny, a dziś... Minął szlaban, sprawdził na tablicy informacyjnej, gdzie znajduje się

budynek oddziału chorób zakaźnych i poszedł w jego kierunku pnąc się pod górę asfaltową, wąską drogą.

Szpital przy Arkońskiej, wybudowany jeszcze przez Niemców, spełniał ówczesne szeroko pojęte standardy lecznictwa, a ze względu na warunki terenowe trafił mu się nawet własny mały skrawek zieleni. Dziś standardy zmieniły się, ale ów dobroczynny dla rekonwalescencji pacjentów zielony plac jest już parkiem, co się zowie. Nielegalne papieroski smakują tu dużo przyjemniej niż w toalecie. Człowiek nie musi sztachać się ukradkiem, skulony na kłopie przy uchylonym oknie ciasnej kabiny, jeśli w ogóle jest w niej okno, i narażać się na przyłapanie przez pielęgniarki. Może w spokoju oddychać pełną piersią parkowym powietrzem zmieszonym z tytoniowym dymem.

Krugły szedł między drzewami, mozolnie pnąc się po schodkach w stronę budynku J i zastanawiał się, o co właściwie pytać Kiedrysa, i czy w ogóle będzie miał szansę to zrobić. Gdy dotarł na miejsce, znów ogarnęło go uczucie, że cofnął się w czasie. Uczucie było bardzo nieokreślone. Nie był w stanie stwierdzić, co we wnętrzu pochodzi jeszcze „od Niemca”, a co z późnego PRL-u, ale takie właśnie wrażenie odniósł. Tak samo musiało to wyglądać i trzydzieści lat temu, i siedemdziesiąt, różnica była zapewne niezauważalna. Widać oddział zakaźny, łaknący remontu jak kania dżdżu, nie znajduje się na topliście ani zarządcy szpitala, ani NFZ-etu.

Krugły wszedł na pierwsze piętro, zaczepił napotkaną pielęgniarkę i zapytał o Kiedrysa. Podała mu numer sali, dodając: „pierwszy z lewej”, i szurając plastikowymi chodakami, poszła dalej. Krugły stanął przed właściwymi drzwiami.

Jak każdy miał obawę przed kontaktem z osobą chorą na AIDS. Irracjonalny lęk przed nieznanym i groźnym. Problem w tym, że w przypadku Kiedrysa nie było wiadomo, co jest groźniejsze: choroba czy on sam. Ponure ostrzeżenia Michalczyka, które zbywał wzruszeniem ramion, w okolicznościach bezpośredniego kontaktu z umierającym mordercą jawiły się nagle o wiele groźniejszymi niż wtedy, przez telefon.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Sala była taka sama jak korytarz. Ciasna i ciemna. Przypominała celę, z wyjątkiem okna, który było nieco większe i nie miało krat czy siatki.

– Pan Kiedrys? – zapytał Krugły człowieka leżącego na pierwszym z brzegu łóżku po jego lewej stronie.

Starszy mężczyzna pokiwał głową, taksując przybysza zdziwionym spojrzeniem. Krugły przysunął sobie stołek i usiadł na nim, kopiąc przy okazji

leżącą koło nogi łóżka kaczkę.

Kiedrys wyglądał strasznie. Włosy, siwe i skołtunione, sterczały w nieładzie na wszystkie strony. Zarośniętą rzadką szczecinę twarz pokrytą miał zmarszczkami i znamionami, obwisłe powieki ledwie odsłaniały oczy. Resztki zębów, pożółkłych i poczerniałych, sterczały spomiędzy wykrzywionych warg, z trudem łapiących powietrze. Był przykryty kocem obłożonym poszewką od kołdry, zwiniętym i wylazłym spod niej, zwieszającym się znad krawędzi łóżka. Pustą u góry poszewkę wciśniętą miał pod pachy. Cienkie jak patyki i pokryte rebusami, nieudolnymi tatuażami, ramiona leżały na niej, tak blade, że prawie zlewały się z pościelą. Do wenflonu w lewym nadgarstku podłączoną miał kroplówkę, przezroczysty płyn PWE ściekał powoli z wiszącego na stojaku plastikowego pojemnika, niczym w klepsydrze odmierzającej kroplami czas, jaki pozostał choremu. Drugi wężyk podłączony był do pompy infuzyjnej. Na włożonej w urządzenie grubej strzykawce ktoś niestarannie nabazgrał czarnym markerem: MORFINA. W drugiej ręce Kiedrys trzymał papierową nerkę.

– Do mnie? – zapytał szeptem.

Krugły skinął głową. Zerknął w bok, na sąsiednie łóżka, na których również leżeli pacjenci. Albo spali, albo leżeli w ciszy, nie zwracając na nic uwagi, czekając na diagnozę, wyleczenie, odwiedziny albo śmierć.

– Chciałem z panem porozmawiać o pewnym zdarzeniu – powiedział do Kiedrysa. – Ale nie wiem, czy pan będzie chciał rozmawiać ze mną?

Kiedrys wyszczerzył spróchniałe korzenie, które kiedyś były zębami.

– A co innego mam tu do roboty? – zapytał.

Krugły uśmiechnął się słabo.

– Bednarowski – rzucił, patrząc na twarz Kiedrysa. – I co, dalej chce pan ze mną rozmawiać?

Twarcz nie zmieniła wyrazu. Zero reakcji.

– Żaden problem. Dlaczego chce pan o nim rozmawiać? Zdechł w końcu?

Krugły pokręcił głową.

– Zabił kogoś w celi?

– Nie. Ale mówi pan to takim tonem, jakby żałował pan, że go wtedy skutecznie nie skasował.

Palce zaczęły skubać pościel.

– Wie pan, kim on jest?

Krugły przytaknął.

– No, właśnie. – Kiedrys wykrzywił twarz. – Ale to nie tak. Stało się to, co

się stało. To, że go nie zabiłem, nie ma już dla mnie znaczenia. Tak widać miało być.

Krugły milczał. Kiedrys nie zapytał go, kim jest. Ani po co tu przyszedł. Nie chciał? Nie pomyślał, żeby to zrobić? I dobrze, niech tak zostanie, przynajmniej dopóki nie zmieni zdania albo nie przyjdzie mu do głowy, żeby zacząć zadawać pytania. Patrzył przez chwilę na tatuaże na ramionach Kiedrysa. Róża wiatrów, kobieta przypominająca naskalne rysunki wykonane osmalonym patykiem przez ludzi pierwotnych, Arab w turbanie – symbol goleniowskiego zakładu karnego. Być może to któryś z tych tatuaży, wydrapanych nieudolnie „zadną” wielokrotnego użytku, kosztował Kiedrysa życie. A może coś innego?

Kiedrys zobaczył, na co patrzy Krugły. Wskazał wytatuowane na ramionach dystynkcje majora. Sprawilo mu to widoczny trud.

– Widzi pan to? – zapytał, wyplątując przedramię z gumowego wężyka kroplówki. – Byłem kiedyś z tego dumny. Zasłużyłem na nie. Jeszcze za czasów, kiedy było się gitem, a nie człowiekiem. Osobiście ciąłem takie żyłką gówniarzowi, co se sam wydziarał, bo myślał, że taki cwany jest. A potem wcierałem w te rany pastę do podłogi. Byłem kimś i nie bałem się nikogo. Mało razy pieściłem kogoś piórkiem?

– Bednarowskiego też...

Kiedrys westchnął cicho i podrapał się w ramię natrętym, nieświadomym ruchem.

– Też – przyznał po chwili, znów poprawiając wężyk od kroplówki.

– Dlaczego chciał pan go zabić?

– Byłem złym człowiekiem. Jeśli w ogóle mogę siebie tak nazwać: człowiekiem. Dlatego mogłem go zabić... A dlaczego chciałem? Bo poznałem Boga.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem. Dla mnie te dwie rzeczy wzajemnie się wykluczają.

– Co powoduje nami, że zabijamy? Zna pan odpowiedź na to pytanie?

– Nie znam. Ja nie zabijam. Ale pan powinien to wiedzieć.

– Jako człowiek, nie chciał pan nigdy zrozumieć, dlaczego ludzie to robią? Odbierają życie innym ludziom? – Ręce Kiedrysa wędrowały po pościeli, gładziły ją i skubały jej fałdy.

Krugły wzruszył ramionami.

– Tak się składa, że nigdy nikt z tych kilkorga zabójców, z którymi rozmawiałem, nie potrafił mi udzielić konkretnej i logicznej odpowiedzi na to

pytanie. Bełkotali coś tylko. O krzywdzie i zemście, o czerwonej płachcie na oczach, o tym, że nie chcieli i samo wyszło... I takie tam. – Chciał dodać jeszcze coś o Bogu, ale się rozmyślił, równocześnie orientując się poniewczasie, że się nieświadomie odsłonił.

Brawo. Który to już raz i czy ostatnio nie zdarza się to coraz częściej, panie Krugły?

– Jest pan policjantem? – zapytał Kiedrys, ale wyglądało na to, że mu to wcale nie przeszkadza.

Krugły pokiwał głową. Nie było sensu niczego tłumaczyć, w tej sytuacji spora różnica między policjantem a prywatnym detektywem była nic nieznaczącym niuanssem.

– A pan? – zapytał. – Wie pan, dlaczego ludzie zabijają?

– Nie mam pewności, z jakiego powodu robią to inni, ale wiem, dlaczego ja to zrobiłem.

– „To”?

– Racja. Święta racja. Nie: „to”. Nazwijmy rzecz po imieniu. Zabiłem. To właśnie zrobiłem. Zatlukłem tę biedną dziewczynę. Zgwałciłem ją. Zadałem jej ból i cierpienie, psychiczne i fizyczne, a potem zadałem jej śmierć. – Kiedrys zakaszał cicho, z trudem otarł usta i kontynuował, coraz szybciej, jakby bał się, że nie zdąży: – A dlaczego? Szatan mnie opętał, rozumie pan? Zły. Wstąpił we mnie. Widzę, jak pan na mnie patrzy, ale nie jestem wariatem. O, nie. Nie twierdzę, że on to zrobił moimi rękami. Nie zmywam z siebie winy. On mnie opętał, ale to ja mu na to pozwoliłem, jakbym zaprosił go do siebie. I tak było, całe życie robiłem wszystko, żeby go do siebie przywołać. Wie pan, że wielu z tych, którzy wierzą w Boga, nie wierzy w szatana? Niepojęte, co? I to jest jego największe zwycięstwo: że ludzie go nie spostrzegają. Nie doceniają go. Jego sprytu. Jego przebiegłości. A on jest, niedaleko, tylko czeka. I doczekuje się. Ja też w niego nie wierzyłem. Inna sprawa, że nie wierzyłem również w Boga. – Posmutniał nagle i przygasł. –

A wiara pozwala zobaczyć pewne rzeczy z zupełnie innej perspektywy. Sprawia, że można nagle przejrzeć na oczy... Dlatego żałuję, że zabiłem tę dziewczynę. Boże, jak bardzo tego żałuję...

– Ale dlaczego chciał pan zabić Bednarowskiego?

– Bo był jeszcze gorszy ode mnie. Kiedy dowiedziałem się, za co siedzi, nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. W końcu sam aniołem nie byłem. Ale kiedy poznałem bliżej Boga, zmieniło się moje postrzeganie świata. Szatan mnie tu wsadził, ale może Bóg postanowił przekuć moją porażkę w swoje

zwycięstwo? Uczynić trochę dobra moimi rękami? Może byłem Jego narzędziem? Kto to wie?

– Czyli pan też nie wie? Może się pan tylko domyślać?

Kiedrys pokiwał głową.

Krugły przypomniał sobie niedawną rozmowę z księdzem Lachertem. Sługa boży i wyrwany z rąk Szatana kryminalista prezentowali zaskakująco zbliżony pogląd na tę sprawę. Ale czy jego nie był równie podobny? Jego i wielu innych ludzi, których znał? Czy jak każdy nie życzył śmierci zwyrodnialcom i bestiom w ludzkiej skórze? Nie był zwolennikiem kary śmierci i wielokrotnie ten pogląd wyrażał publicznie. I to z całym przekonaniem. Mimo to nie sądził, by w wielu przypadkach jej zamiana na życie, w odosobnieniu, ale zawsze życie, pozwalała na żal i próbę zadośćuczynienia. Może chodziło o niedoskonałość wymiaru sprawiedliwości? O możliwość pomyłki sądowej? Lepiej nie odbierać życia nikomu, niż omyłkowo odebrać je niewinnemu... Przypomniał sobie, jaki był zadowolony, kiedy pięć lat temu w mieszkaniu Ewy Rudzki wybierał śmierć z własnej ręki.

Skupił się na twarzy Kiedrysa. Kryminalista leżał blady, spocony, skurczony w skotłowanej, poszarzałej pościeli. Logo szpitala, wyszyte maszynowo na pasku wzdłuż skraju poszewki kołdry, odwrócone było na lewą stronę. Nikt nie zadbał, żeby po praniu przełożyć ją na właściwą stronę. Dobrze chociaż, że w ogóle była w praniu.

Na pierwszy rzut oka widać było, że Kiedrysowi nie zostało dużo czasu. Leżał tu sam jak palec i czy miało znaczenie, co zrobił w życiu? Tysiące ludzi robiło gorsze rzeczy, a umierało pośród członków licznej rodziny, otoczonych opieką i troską. Czy to też miało jakiegokolwiek znaczenie? Śmierć jest samotna z założenia, nikt w chwili, w której będzie nadchodzić, nie poklepie cię przecież po ramieniu i nie powie: „Taaak, stary, wiem, co czujesz, wiem, jak to jest... nie martw się”. I co z tego wreszcie, że w końcu każdy dowie się, jak to jest?

Kiedrys otarł z czoła pot.

– Bóg jest niezmierny w swej mądrości. Kiedyś byłem dumny z tego. – Wskazał dystynkcje na ramionach, a potem na wiszący nad drzwiami krzyż. – A teraz z tego. Może to On zesłał na mnie chorobę, może to On ukarał mnie nią za moje grzeszne uczynki, ale to On również pomaga mi teraz w ciężkich chwilach, rozumie pan? – Kiedrys uśmiechnął się słabo, a w jego matowych oczach pojawiła się odrobina życia. – Jego obecność pomaga mi w ostatnich chwilach mojej wędrówki tutaj, na tym padole łez. I pomyśleć, że gdyby nie

pewien dobry człowiek, nie dostąpiłbym łaski Boga nigdy... A gdzie go spotkałem? W siedlisku zła, pośród ludzi, którzy czynili zło i czynią je nadal, mimo że mają szansę odkupić w tym ponurym miejscu swoje winy... Nie do wiary... W tym też można dostrzec Jego rękę.

– W zakładzie karnym pan spotkał dobrego człowieka? – zapytał Krugły, zdziwiony.

W oczach Kiedrysa pojawiło się bezgraniczne uwielbienie.

– Owszem, właśnie tam – powiedział. – To nasz kapelan. Ksiądz Marek. Odwiedził mnie nawet wczoraj...

Krugły usiłował zachować kamienną twarz. Czyżby Sobieraj posunął się do czegoś takiego? I czy on w głębi swej podejrzliwej do bólu duszy nie zakładał takiej możliwości? Przypomniawszy sobie, jak biskup Michalczyk wspominał o postawie Sobieraja wobec osobistej tragedii. Stoickiej. Boski plan. Tak miało być. A na początku rozmowy z Kiedrysem, kiedy Krugły zapytał go, czy żałuje, że nie zabił Bednarowskiego, ten powiedział coś podobnego. Użył niemal tych samych słów. „Widać tak miało być”.

– Niech pan mi powie, co zrobił Bednarowski, że chciał pan go ukarać – poprosił cicho.

Kiedrys zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem? – sapnął. – Przecież pan to wie?

– Ja wiem. A pan?

– Ja też. Wszyscy wiedzieliśmy. Spalił żywcem kilka osób. W dodatku zrobił to z chęci zysku. Z najgorszej z możliwych... pobudek. – Zająknął się, jakby wykuł kiedyś ten tekst na pamięć, a teraz miał kłopoty z przypomnieniem go sobie.

– A wie pan, kim byli ci, których zabił?

Kiedrys odwrócił głowę.

– Nie wiem – wyszeptał.

– Wie pan – stwierdził Krugły bezlitośnie. – To była cała rodzina księdza Sobieraja. Matka, ojciec i siostra. Wszyscy zginęli w tym pożarze, który wywołał Bednarowski.

– Nie wiedziałem o tym...

– Kłamie pan. A kłamstwo to grzech. Niech pan mi to powie. To ksiądz Sobieraj powiedział panu, co trzeba zrobić? Wbić Bednarowskiemu w bebech kosior własnoręcznie zrobiony z trzonka aluminiowego widelca zeszlifowanego o kamień? Ukarać go?

Oczy Kiedrysa pociemniały od gniewu. Błyszczały żarem, jaki może



wzbudzić w nich tylko fanatyzm. Jego głos stał się mocny, choć dalej drżał.

– Jak pan śmie? – Zebrał się w sobie i uniósł lekko na łokciach, poszewka zsunęła się, ukazując wątlą, zapadniętą i pokrytą tatuażami klatkę piersiową. –

Ksiądz Marek to prawy człowiek, który nigdy, przenigdy nie ulegnie diabelskim podszeptom. Nigdy, rozumie pan? Nigdy!!!

Opadł na posłanie i dyszał ciężko, zmęczony swoim wybuchem. Patrzył na Krugłego z wyrzutem i strachem jednocześnie.

– A przysięgnie mi pan, że to nie on kazał panu to zrobić? – drążył Krugły. – Przysięgnie pan na Boga?

Kiedrys kręcił głową. Wyrzut i strach zmieniły się w obrzydzenie.

– Przyszedłeś po mnie, co? – wyszczał. – W końcu po mnie przyszedłeś... Ale ja już nie jestem twój...

Krugły napiął się, gotowy do odskoczenia.

– Wypierdalaj stąd, Szatanie! – wrzasnął nagle Kiedrys, podciągając kołdrę pod brodę i kuląc się. – Won! *Apaga, Satanas!*

Zaczął wrzeszczeć i dziko miotać się po łóżku. Pozostali chorzy nie ruszali się; albo mieli to gdzieś, albo sparaliżował ich strach. Krugły wstał z krzeselka i odsunął się na bezpieczną odległość. Do sali wpadła nagle salowa. Zerknęła szybko na Krugłego, który zdążył się cofnąć pod przeciwległą ścianę i stał tam z rękami z tyłu, oparty o nią łopatkami. Salowa pochyliła się nad Kiedrysem.

– Co ty wyprawiasz, Ziutek? – zapytała go. – Co jest? Znów masz zwidy?

– Niech ktoś go stąd zabierze – wyszeptał, pokazując Krugłego trzęsącą się ręką wysuniętą spod kołdry. – Zabierzcie go, błagam. Niech on stąd idzie! Natychmiast!

– Co pan mu zrobił? – Salowa spojrzała na Krugłego podejrzliwie.

Krugły uniósł ręce i zrobił minę niewiniątka, wzruszając ramionami w geście pełnym zdziwienia i zaskoczenia.

– Niech pan już idzie – zdecydowała, podchodząc do niego i lekko dotykając jego łokcia. – No, już, już, zanim doktory albo oddziałowa zaczną krzyczeć. Ziutek jest zdenerwowany. Do widzenia.

Krugły, wychodząc na szpitalny korytarz, nie obejrzał się. Poddał się woli salowej, mimo że nie mogła mu niczego nakazać. Mogła co najwyżej zawołać pielęgniarkę albo lekarza. Ale miał dość. Salowa zamknęła drzwi, wychodząc zaraz za nim.

– Ziutkowi nie zostało dużo czasu, jak na moje oko – powiedziała konfidencyjnie, kiedy przemierzali ramię w ramię wąski korytarz. –

Różnych już tu widywałam, często w gorszym stanie, a jednak polepszało im się i wychodzili stąd, pożyć jeszcze trochę. Ale Ziutek... – Pokręciła głową, marszcząc brwi i krzywiąc usta. – Wczoraj widział ptaki, krążyły nad nim... Jak ktoś widzi ptaki, to już długo nie pociągnie, wiem, co mówię. A Ziutek jest na lekach, bierze całe garście pigułek, no i dostaje morfinę, a od tego często ma się halucynacje. Coś pewnie znowu zobaczył w tej swojej głowie. Wie pan, że to morderca?

Krugły potwierdził skinieniem głowy.

– Jeszcze kilkanaście dni temu przy drzwiach siedział policjant – paplała dalej. – Pilnował, dopóki Ziutek formalnie nie dostał odwieszenia kary czy czegoś takiego. A to całkiem sympatyczny chłop. Jak ma lepsze dni, to sobie gadamy. Ale, jak to się mówi, beret to ma już nieźle zryty... Jak zacznie o tym Szatanie, to nie można go wyłączyć... Gada od rzeczy.

Krugły pomyślał, że dziś Kiedrys musiał mieć dobry dzień. Wbrew pozorom wcale nie gadał od rzeczy, tylko prezentował całkiem zdrowy punkt widzenia, jak na kogoś w jego sytuacji. Z tym Szatanem miał zdecydowanie rację. Jest on wyjątkowo niedocenionym bytem, szczególnie wśród katolików. I nieważne, jakie ma imię i jaką liczbę. Po prostu jest. Wszędzie. W Goleniowie również. Lubi noc i zabawę nożem.

Pożegnał gadatliwą salową i wyszedł na zewnątrz. Zszedł w dół, przez szpitalny park, minął szlaban przy głównym wejściu i dotarł do samochodu. Czas spędzony na oddziale zakaźnym szpitala przy Arkońskiej był niestety czasem straconym. Krugły nie mógł mieć żadnej pewności, że to Sobieraj namówił Kiedrysa do ataku na Bednarowskiego. Nie mógł dopuścić, by chęć przyjęcia tego za pewnik zagłuszyła wątpliwości tylko dlatego, że tak wszystko byłoby prostsze. Bo miał te wątpliwości, więc musiały świadczyć na korzyść Sobieraja. Jasne, że to nie proces, tylko śledztwo, czyli bez przeszkód mógł snuć domysły i tworzyć hipotezy, tylko że takie myślenie mogło łatwo zwieść na manowce. Potrzebował konkretów, a nie domysłów.

Kiedrys konkretem nie był.

\* \* \*

## **Środa, 15 lipca**

– Kiedy będę mogła wrócić do domu? Dobijają mnie te dojazdy do pracy. Koszmar. A przecież jestem w ciąży!

– To może pójdziesz na zwolnienie?

– Żartujesz? Żebym się zanudziła na śmierć? – Czekwała kilka sekund na

odpowieź, ale się nie doczekała. – To co?

- Jeszcze nie, Ewa.
- Dlaczego? Zaczynam się poważnie martwić.
- O mnie? To miło.
- O ciebie też. Ale martwię się o nas.
- A co się dzieje z nami?
- Mieszkamy osobno, chciałam zauważyć.
- Tylko ze względów bezpieczeństwa. Tłumaczyłem ci przecież...
- Tak... Mówiłeś...
- Twoja mama?
- Co moja mama?
- Sączy jad?
- Przestań...
- W końcu moja przyszła teściowa, nie?
- Rozumiem, że w ten subtelny sposób podtrzymujesz oświadczyły?
- Owszem.
- Powiedziałeś to tak zadowolonym z siebie tonem, że aż...
- Że aż co?
- Nic, nieważne...
- Jak Oleńka?
- Znowu zaczynasz? Nie Oleńka, tylko dzidzius.
- Jak dzidziolenka?
- Chcesz mnie rozbawić czy wnerwić? Wszystko dobrze.
- Coś cię ugryzło, widzę.
- Nic mnie nie ugryzło. A propos, jak koty?
- Jak zwykle. Wychodzą ze swojego świata tylko na jedzenie.
- Czyli karmisz je, nie zapomniawsz...
- One mi nie dają o sobie zapomnieć.
- Nie wyganiaasz ich z łóżka?
- Szczerze? Wyganiam. Ale wracają, łobuzy, jak już zasnę.
- Dbaj o nie...
- Dbam, dbam.
- Przyjedziesz do mnie?
- Teraz?
- Teraz.
- Pfff... Dobrze, przyjadę.
- Jak nie chcesz, to nie musisz.

- Chcę. Będę niedługo.
- A kiedy będę mogła wrócić?
- Będę niedługo...

Tego dnia Krugły nie pracował. Wolny zawód ma jednak swoje przywileje...

## **Czwartek, 16 lipca**

Krugły siedział u Michalczyka w prokuraturze okręgowej. Fakt, że ani wczoraj, ani dziś nie musiał jechać do Goleniowa, odmienił nieco monotonię minionych dni.

Pokój, który przydzielono Michalczykowi, a który on sam nazywał „gościnnym”, był większy niż jego gabinet w Goleniowie. Michalczyk nie był szczęśliwy, że Krugły, jak by nie było cywil, w dodatku formalnie niezwiązany ze śledztwem w jakikolwiek sposób, kręci się po budynku prokuratury.

– Rozumiesz, patrzą mi na ręce – powiedział, nieco skrępowany. – Być może gdybym był tobą, miałbym to w dupsku, ale... Nie jestem tobą.

– No, nie.

– To może usystematyzujmy to, co mamy?

– Przydałoby się, bo mam wrażenie, że mimo mnóstwa wykonanej pracy nie jest tego dużo.

– Twoja część roboty jest zrobiona. Wykazałeś, że Grucha raczej nie mógł zabić Zawadzkiego ani Wichłacza, proceduralnie reszta jest w moich rękach.

– Miło mi to słyszeć.

– Dobrze, że chociaż tobie jest miło. Bo poza tym mamy niewiele, i to nie jest wrażenie. To jest fakt. W sprawie nożownika mamy dwójkę podejrzanych, z których jeden istnieje jedynie w opowieściach, i tu nie mamy się nawet o co zaczepić. Ani nazwiska, ani miejsca zamieszkania czy pracy. Nic, z wyjątkiem czarnej grzywki i cycków. Drugi to ksiądz po przejściach, który znał dwie z czterech ofiar, w dodatku kręci się w środowisku, w którym przebywa osoba winna jego osobistej tragedii, a my sądzymy, że to może mieć jakiś związek z tymi morderstwami. I tu może być jakiś punkt zaczepienia. Czy Sobieraj w jakikolwiek sposób starał się o przydział do parafii, która, że tak powiem, obsługuje więzienie w Goleniowie? Czy zrobił cokolwiek w tym kierunku? Trzeba by to sprawdzić, bo to może w jakiś sposób rozjaśnić nam część dotyczącą Zawadzkiego i jego powiązania z całą sprawą. Kwestię ewentualnej roli Sobieraja w inspiracji ataku Kiedrysa na Bednarowskiego mamy niewyjaśnioną i tak już, obawiam się, pozostanie. Kiedrys zmarł w nocy w szpitalu.

Krugły, słysząc te słowa, lekko poblądł. Michalczyk zauważył to.

– Coś się tak spłoszył? – zapytał. – Żal ci go?

– Przyszło mi do głowy, że trochę mu pomogłem. Wkurwił się na mnie ostro. Tak się niezdrowo podniecił, że aż nim telepało. Sam nie wiem...

– Ale ja wiem. To była kwestia bardzo krótkiego czasu. Ani mu nie pomogłeś, ani nie zaszkodziłeś, przestań robić sobie wyrzuty. Jakie życie, taka śmierć. Zdarza się. Wracając do tematu: tak naprawdę Sobieraja mamy na oku tylko dlatego, że jest jednym z wierzchołków trójkąta Sobieraj–Zawadzki–Zakład Karny Goleniów, mówię: zakład, myślę: Bednarowski. Kompletnie nie wiemy, o co chodzi w tym trójkącie, ale on bezsprzecznie istnieje, a ja, podobnie jak ty, nie wierzę w przypadki. W związku z tym...

Rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Michalczyk z wypisanym na twarzy niezadowoleniem sięgnął po komórkę. Wyświetlił tekst esemesa i zwątpił. Spojrzał na Krugłego.

– Za głośno mówiłem czy co? Sobieraj. Pyta, czy jestem przy faksie, bo chce mi coś przesłać. I że jeszcze zdążymy, tylko musimy go zabrać.

– Na co i po co?

– Nie wiem. Nie napisał.

– Niech cyknie zdjęcie tego, co chce wysłać i wyśle ememesa. Mamy dwudziesty pierwszy wiek...

– Może ma starą komórkę? Ale tak się składa, że jestem przy faksie. –

Michalczyk wskazał na stojące na biurku urządzenie wielofunkcyjne i zaczął stukać opuszką palca w wyświetlacz swojego telefonu.

Kilka minut później drukarka zaszumiała i wypluła z siebie trzy kartki papieru. Prokurator wyjął je z podajnika i rzucił okiem na treść. Krugły obserwował, jak zaczyna czytać, a oczy robią mu się coraz większe. Po dłuższej chwili Michalczyk podał Krugłemu wydruk.

Kartki wypełnione były odręcznym pismem. Charakter pisma był równy i staranny, nie było skreśleń ani pomyłek. Widać było na pierwszy rzut oka, że list nie został napisany w pośpiechu. Ale nigdzie nie było adresata ani nagłówek, który mógłby wskazywać, do kogo go napisano. Zaczął czytać.

– Nie wiem, co dzieje się ze mną w chwili, w której to czytasz. Prawdopodobnie siedzę i wpatruję się w ciało tego człowieka, czekając, aż ktoś się zorientuje i po mnie przyjdzie. A może już się zorientowali i zabrali mnie stamtąd. Ale mnie już nie ma. Może nie w ten nieodwracalny, straszny i niepojęty sposób, w jaki nie będzie jego, ale jednak. A może jednak jestem, lecz nawet jeśli, to już inną osobą. Pustą

w środku, wypaloną, wyciętą z uczuć, bo wiem, że choć osiągnę swój cel, to nie zmieni przeszłości. Ale wiem też, że inaczej postąpić nie mogę. W przeciwnym razie to wszystko mnie zadusi, zabije powoli, jak rak – nieubłagane i bezlitośnie.

Na początku liczyłam się z tym, że kiedy skończę z nim, dołączę do tych wszystkich, których kochałam, gdziekolwiek są. Ale musiałam zmienić plan. Nie ze względu na siebie ani nawet na Ciebie. Mam nadzieję, że to, iż pomyślałam o małym cudzie, który, jak to wy, księża, mówicie: rośnie pod moim sercem, pocieszy Cię trochę po tym, kiedy dowiesz się, co zrobiłam. Że nie odsądzisz mnie od czci i wiary, choć i tak wiesz, że wiary nie ma we mnie prawie w ogóle. Ledwie tyle, by uwierzyć wyłącznie w siebie, w to, że dam radę zrobić to, co muszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo zazdrozczę Ci Twojej wiary. Taka wiara daje ukojenie i spokój duszy, których bardzo potrzebuję i których nigdy nie zaznam. Mogę jedynie spróbować osiągnąć ten stan, ale wyłącznie na swój sposób. Sposób, który Ci się nie spodoba. Ale nie mam innego wyjścia. Już nie... Bo on nie ma prawa istnieć. Nie ma prawa oddychać, patrzeć na niebo, jeść... Nie ma prawa psuć powietrza. Nie ma prawa kłaść świata samą swoją obecnością. Nie ma prawa żyć.

Mój plan był skomplikowany i prosty równocześnie. Wymagał wiele zachodu, wiele poświęcenia i zmuszania się do rzeczy, które obrzydzały mnie do szpiku kości. Spotkania z mężczyznami, którzy mogli mi dać to, czego potrzebowałam. Nie mam wyrzutów sumienia, że ich wykorzystywałam, byli zwykłymi świniami, jak zresztą większość mężczyzn. To, co mi robili, co pozwalałam im ze sobą robić w zamian za te przysługi, było ohydne. Jednak najgorsze były spotkania z tym śmieciem. Rozmowa z nim, patrzenie mu z uśmiechem w oczy, dotykanie go... Wiesz, że po każdym spotkaniu spędzałam godzinę pod prysznicem, szorując skórę aż do czerwoności? A i tak nie mogłam pozbyć się wrażenia, że on wciąż na mnie jest. Jego wzrok, jego lepkie, obleśne i spocone paluchy, którymi dotykał moich rąk. Jakby wnikały głęboko we mnie, jak robaki pełzające pod skórą, których nie możesz się pozbyć inaczej, niż zdrapując ją z siebie. Ale musiałam dostać to, na czym mi zależało. On nie może zdechnąć szybko i bez bólu. Po prostu nie może, to byłoby niesprawiedliwe – wobec nas, ale przede wszystkim wobec Nich.

Jaki jest najbardziej przerażający rodzaj śmierci? To dziwne, chore pytanie, nad którym trzeba się mocno zastanowić. Ja się zastanawiałam.

Długo. Jest taka śmierć. I taką śmiercią zginie. W pełni świadomy jej nadejścia. Wpłynie do jego żył ze strzykawki i to ja nacisnę tłok. Kiedy będziesz czytał te słowa, będę w drodze. Kiedy przyjedziesz, będzie już po wszystkim. Ten człowiek będzie leżał martwy, z wybałuszonymi oczami, palcami wygiętymi drapieżnie w spazmie walki o oddech, jakby kurczowo łapał uchodzące z niego życie. Taki widok wyobrażałam sobie od dawna. Teraz już wiem, że w rzeczywistości będzie to wyglądać inaczej: będzie po prostu leżał na ziemi, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Parę koszmarnych minut. Dla niego będą się wlec w nieskończoność. Kiedy wszystkie mięśnie zwiotczą, tylko w jego oczach zobaczę bezmiar cierpienia i strachu, tak wielkich jak jego grzech i wina. Choć, kto wie, może będzie jeszcze gorzej i będzie to trwać jeszcze dłużej? Niech to się stanie. Wreszcie. Dopiero wtedy odzyskam spokój. Inaczej sobie nie poradzę; ani z tym, co się stało, ani ze sobą. Stracę wolność, być może do końca życia, ale zyskam o wiele więcej. Spokój. Ze względu na dziecko nie skończę ze sobą, jak planowałam wcześniej, ale będę już spokojna. Tak bardzo spokojna...

Wysłałam ten list w taki sposób, żeby mieć pewność, że dostaniesz go o właściwej porze. To też element mojego planu, nie miej mi, proszę, za złe, że sprowadziłam Cię do roli małego trybiku w jego maszynie. Po prostu zależy mi, żebyś przyjechał zaraz potem, jak TO zrobię. Będę Cię wtedy potrzebować. Tak bardzo jak nigdy dotąd. Kogo jak kogo, ale Ciebie powinni do mnie wpuścić. Mam nadzieję...

Jeszcze raz przepraszam, że Cię wtedy zostawiłam, i jeszcze raz dziękuję, że przyjąłeś mnie z powrotem do swego serca. Wybacz mi. Proszę.

Kocham Cię.

– Nie wygląda jak wypociny osoby chorej psychicznie – zwrócił uwagę Krugły. – Zgrabne, w miarę krótkie zdania, logika...

– Niby masz rację, ale i tak list brzmi niepokojąco... Dobra, jedziemy do Goleniowa – zdecydował Michałczyk. – Skoro jeszcze zdążymy... Pojedziemy twoim?

– A masz swój?

Pognali na dół.

Żaden z nich nigdy wcześniej nie przebył drogi ze Szczecina do Goleniowa szybciej niż wtedy. Dwadzieścia parę minut później byli już przed kościołem

Świętego Krzyża. Sobieraj czekał na nich na ulicy, chodził w tę i we w tę na krótkim odcinku chodnika przed schodami do świątyni i zacierał dłonie. Kiedy Krugły stanął tuż przy nim, otworzył tylne drzwi i wsiadł do samochodu.

– Nie mogę niczego więcej powiedzieć. – Sobieraj, widząc, że Krugły nabiera oddech, by go o coś zapytać, podniósł ręce do góry w geście obrony.

– Niech ksiądz chociaż nam powie, skąd wie, że ten list jest do niego? – zażądał Michalczyk, potrząsając wydrukowanym listem.

– Kurier mi go przywiózł.

– Może to pomyłka?

– To nie pomyłka.

– Ksiądz wie, od kogo jest ten list?

Sobieraj pokiwał głową, patrząc w podłogę.

– Dobrze, gdzie jedziemy? – zapytał Krugły, odwracając głowę do tyłu.

– Na Grenadierów – rzucił przed siebie ksiądz. – Do więzienia...

Milczał, wpatrując się przed siebie z zaciśniętymi szczękami.

– Proszę mnie o nic więcej nie pytać – wycedził po chwili. – To... jak tajemnica spowiedzi. Wszystkiego dowiedzą się panowie na miejscu. Wciąż mamy szansę zdążyć, ale teraz już naprawdę musimy się spieszyć...

Był blady, co chwila ocierał pot z czoła, używając wciąż tej samej papierowej chusteczki. Składał ją i rozkładał nerwowymi ruchami albo ścisnął w garści tak, że białe mu knykcie, a chustka wkrótce stała się twardą, poszarpaną kulką. Michalczyk dzwonił do dyrektora więzienia.

– Śpieszymy się od samego Szczecina, a z listu wynika, że ksiądz i tak nie zdąży – zauważył Krugły.

– Zdążę – wyszeptał Sobieraj. – Chciała, żeby list dostarczono na plebanie o trzynastej. Ale kurier zaczął ode mnie, bo miał po drodze. Zapytał, czy przyjmę przesyłkę wcześniej... Nie widziałem przeciwwskazań, i tak nie wiedziałem, co to za list.

– A skąd ksiądz w ogóle wie, gdzie mamy jechać? – zapytał Krugły.

Sobieraj milczał. Krugły pokręcił głową, ruszył gwałtownie i popędził w kierunku centrum. Kilka minut później usiłował znaleźć wolne miejsce na parkingu, już przed budynkiem więzienia.

– Po co ksiądz tracił czas, dzwoniąc i czekając na nas? – zapytał Michalczyk, chowając telefon. – A gdybym nie mógł od razu przyjechać? Gdyby nie kolega, nigdy bym tu nie dojechał tak szybko.

– Ale dojechał pan. Zrządzenie losu...

Krugły spojrział zaskoczony we wsteczne lusterko, na bladą twarz księdza.



„Losu? – pomyślał, wysiadając. – Nie Boga?”.

Sobieraj również gramolił się z wnętrza samochodu.

– To może już przyszedł czas, żeby ksiądz wreszcie wyjaśnił nam, o co tu chodzi? – zapytał Michalczyk.

– Jak zapewne panowie się zorientowali z treści listu, pewna kobieta chce kogoś zabić.

– Jaka kobieta?

– To teraz nieistotne.

– Więc może zapytam, kogo chce zabić? – Krugły poczuł, jak żyły na szyi nabrzmiewają mu gniewem. – Czy to też nieistotne?

Szli szybkim krokiem w kierunku bramy głównej.

– Chce zabić jednego z więźniów – wyjaśnił ksiądz.

Jego głos drżał lekko, pomiędzy słowami wciągał powietrze nerwowymi, małymi haustami.

– Kogo konkretnie?

– Piotra Bednarowskiego.

Krugłemu zrobiło się gorąco. Próbował ułożyć sobie w głowie wszystkie posiadane informacje, włączając te szczątkowe, które uzyskał przed chwilą, i znaleźć wspólny mianownik. Sobieraj, Bednarowski, Wichłacz, Zawadzki, Lubiszewski. I Domińczyk, numer zero. Wynik był zgodny z przewidywaniami. Żaden. W oczach Michalczyka zobaczył to samo. Wymyślony przez niego w prokuraturze trójkąt zależności zmienił się w wielokąt o nieokreślonej formie, a potem rozsypał się w żalospną kupkę szczątków. Mógł jej użyć jedynie tak, jak celtyccy kapłani używali run, a potem co najwyżej zrobić z tym to samo, co oni. Zgadywać.

– Bez urazy, ale śmierć Bednarowskiego chyba nie powinna księdzem mocno wstrząsnąć? – zapytał więc.

Sobieraj na pewno zorientował się, do czego pije, to było widać w jego oczach. Tak jak zdziwienie, że Krugły o tym wie.

– Wybaczyłem temu człowiekowi. Dawno temu. Chcę zapobiec jego śmierci z rąk tej kobiety.

– Dlaczego napisała ten list akurat do księdza? – Michalczyk marszczył tylko brwi, podobnie jak Krugły usiłując dojść do jakichkolwiek logicznych wniosków. – Kto to jest? To księdza kochanka?

Sobieraj milczał.

Przeszli w ciszy przez główną bramę, od której do budynku towarzyszył im już strażnik. Dyrektor więzienia czekał przy dyżurce. Krugły z Michalczykiem

i Sobierajem przeszli przez bramkę z wykrywaczem metali i dołączyli do reszty. Przeszli dalej, gdzie czekał już funkcjonariusz służby więziennej; ogromny, tęgi facet z obfitym „węgierskim” wąsem i z pękiem kluczy dyndającym u pasa.

– Skazany Bednarowski jest w sali widzeń intymnych – wyjaśnił strażnik.

– Z kim?

– No jak z kim? – Strażnik niemal parsknął śmiechem. – A z kim tam może być? Przecież, że z żoną.

– Kiedy przyszła?

– Dosłownie pięć minut temu. A on został tam doprowadzony przed chwilą.

– Rewidowaliście ją? – zapytał Michalczyk.

– Oczywiście. – Funkcjonariusz spojrzał szybko na dyrektora. – To, że będą konsumować swoje małżeństwo, nie oznacza, że mógłbym...

– I co znaleźliście?

– Nic. Z rzeczy nieregulaminowych tylko strzykawka. Ale pani Domińczyk jest chora na cukrzycę, miała zaświadczenie od... diabetologa – wyjaśnił. –

Podobno zawsze musi mieć przy sobie insulinę, bo może jej potrzebować w każdej chwili. No i to przecież jego żona, co nie? – dodał, zaniepokojony, widząc wzrok ich wszystkich.

– Jak powiedziałaś, że ona się nazywa? – wydusił z siebie Krugły.

– Agnieszka Domińczyk – powtórzył strażnik. – W zasadzie teraz już Domińczyk-Bednarowska. Coś nie tak?

Krugły spojrzał na Michalczyka. Rozumieli się bez słów. Norbert Domińczyk. Numer zero. Sobieraj wyglądał, jakby miał mieć zawał. Kurczowo zaciskał dłonie w pięści i wpatrywał się w ścianę. Jego wargi delikatnie się poruszały, jakby mówił coś do siebie niesłyszalnym dla nikogo szeptem. Jakby się modlił.

– Wpuściliście ją z tą torebką? – Dyrektor zbliżył się do strażnika i wysapał: – Popierdoliło was?

– Nie z torebką! – Strażnik chciał się odsunąć do tyłu, ale za sobą miał ścianę. – Z taką małą saszetką. Miała kondomy, chusteczki i tę strzykawkę z lekarstwem. Zwykła insulinówka! Miała to wszystko nieść w ręku?! Przy ludziach? No, szefie! Trochę zrozumienia...

– Jak wyglądała ta kobieta? – zapytał go prokurator.

– Brunetka, z grzywką, ciemne oczy. I ma fajne... Te...

– Dobra, nieważne! Lecimy tam, zanim będzie za późno!

– Otwierać! – rzucił Łabuda strażnikowi.

Podeszli ostrożnie do drzwi „celi miłości”.

– Muszę tam wejść z wami – wyszeptał Sobieraj do Michalczyka. – Jeśli mnie zobaczy, będzie spokojniejsza. Będziecie mieli więcej czasu, żeby ją obezwładnić.

– Słusznie. – Michalczyk spojrział na księdza, a potem na dyrektora.

Ten skinął z aprobatą głową.

Strażnik cicho włożył do zamka klucz i przekręcił go. Nacisnął klamkę i szybko się odsunął. Dyrektor, prokurator, ksiądz i Krugły weszli do pomieszczenia.

– Co jest, do ciężkiej... – Starszy mężczyzna, siedzący na niskim łóżku, jak większość mebli w tym przybytku zmontowanym z najtańszej płyty meblowej przez tutejszych więźniów, odwrócił się w stronę drzwi.

– Więzień pod ścianę – zarządził dyrektor.

Kobieta siedząca obok Bednarowskiego aż otworzyła usta z zaskoczenia. Gdy w grupie mężczyzn wchodzących do pomieszczenia zobaczyła księdza Sobieraja, wyraz jej twarzy zmienił się z zaskoczonego na pełen wściekłości.

– Dlaczego?! – wrzasnęła, wstając gwałtownie. – Dlaczego?! Dlaczego mi to zrobiłeś?! Jak mogłeś?!

Krugły z Michalczykiem zostali w drzwiach. Sobieraj wszedł do środka i, skulony, stanął obok drzwi. Dyrektor ze strażnikiem rzucili się w stronę kobiety. Bednarowski skoczył w kierunku prysznic, stając z rękami uniesionymi w górę. Patrzył, jak funkcjonariusze chwytają kobietę, dziko miotającą się w ich uścisku.

– Spokój! – strażnik podniósł głos i przytknął do jej boku paralizator.

Puścił ją i nacisnął na chwilę przycisk. Kobieta zastygła nieruchomo, wywracając oczy, a potem osunęła się na podłogę, wpadając w ramiona dyrektora Łabudy. Czarne włosy leżały obok łóżka, jasne, na jej głowie, jeszcze chwilę temu ciasno upięte pod peruką, sterczały na wszystkie strony. Położyli ją na łóżku. Mrugała oczami, dochodząc do siebie.

– Będzie pani spokojna?

Z wypisanymi na twarzy szokiem, bólem i rezygnacją skinęła twierdząco głową.

– Co tu jest, kurwa, grane, co? – zapytał Bednarowski spod ściany. – Ktoś mi powie? Czemu bijecie moją żonę?

– Nic ci nie jest? – zapytał go Łabuda.

– Co tu się, do chuja ciężkiego, dzieje? – Bednarowski podniósł głos.

– Więzień, spokój! – warknął strażnik. – Meldować do pana naczelnika!

– Nie, nic mi nie jest! – ryknął Bednarowski. – Tak dobrze, panie dowódcu? Aga, w porządku? – Wyjrzał zza strażnika.

– Nawet nie waż się na mnie spojrzeć, gnido – syknęła Domińczyk, chowając twarz za uniesionym ramieniem.

Wszystko działo się błyskawicznie. Zdziwienie w oczach Bednarowskiego zmieniło się w ból, kiedy igła wbiła się w jego szyję, a tłok wcisnął w nią zawartość strzykawki. Bednarowski cofnął się pod ścianę i wyrwał igłę tuż po tym, jak Sobieraj wypuścił strzykawkę z ręki. Spojrzał na nią, potem na niego. Otworzył usta, na uniesionej dłoni pokazał księdzu leżący na niej przedmiot, jakby przedstawiał zbrodniarzowi dowód przestępstwa. Sobieraj, blady jak kreda, osunął się pod ścianę, usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Torebka Domińczyk leżała otwarta obok niego.

– Kurwa mać! – Krugły był dla odmiany czerwony. – Wezwijcie karetkę! Natychmiast!

Strażnik wykazał się refleksem; nie pytając o nic, wyjrzał na korytarz i ryknął:

– Lekarz do sali intymnej!!! Ale już!!!

Domińczyk usiadła na łóżku i patrzyła szeroko otwartymi oczami to na Bednarowskiego, to na Sobieraja. Zaczęła się histerycznie śmiać, a potem płakać. Wycierała mokre oczy pięściami, a potem znów zanosila się przez łzy szaleńczym chichotem. Bednarowski chwiał się na nogach.

– Spokojnie. – Krugły podszedł do niego. – Niech pan się położy i oddycha spokojnie, zaraz sprowadzimy pomoc.

Pod Bednarowskim ugięły się kolana. Parsknął.

– A... Ale... Kurwa, dlaczego? – Siadając na ziemi, podparł się ręką.

Krugły pomógł mu się położyć. Nagle Bednarowski jakby oprzytomniał.

– Co on mi zrobił? – zapytał, uniósł głowę i wskazał na księdza. – Chcę wiedzieć, co on mi wstrzyknął?

– Proszę, pomoże pan sobie, tylko leżąc bez ruchu. – Krugły nie miał pewności, czy to prawda, ale nie widział innego rozwiązania.

Bednarowski złapał go za nadgarstek.

– Co mi wstrzyknął?! – powtórzył pytanie, głośno i agresywnie.

– Chlorek sukcyńlocholiny – powiedziała cicho Domińczyk. – Środek zwiotczający mięśnie prądkowane. Skolina.. Umierasz, gnido. Zdychasz... Udusisz się...

– Zamknij się! – Krugły obejrzał się na nią.

Łabuda, Michalczyk i strażnik stali nad Bednarowskim i nie mogli zrobić

nic, poza przyglądaniem się. Domińczyk uspokoiła się, siedziała na łóżku i również przyglądała się leżącemu na posadzce mężowi. Bednarowski skulił się nagle, łapiąc się za brzuch. Zaczął charczeć i jęczeć z bólu. Wił się po podłodze, a jego krzyki były coraz głośniejsze. Domińczyk przycisnęła do uszu dłoń i odwróciła głowę, Sobieraj wciąż siedział pod ścianą, w identycznej pozycji. Nagle Bednarowski drgnął konwulsyjnie i zwiotczał, jak dmuchana lalka, z której nagle uszło powietrze. Jego pierś jeszcze przez chwilę unosiła się w płytkim oddechu, a potem znieruchomiła. W tej samej chwili do celi wpadł lekarz. Przypadł do Bednarowskiego i zaczął go badać. W głowach wszystkich świadków zdarzenia było niemal to samo. Pustka, szok i niedowierzanie.

– Dlaczego? – Krugły pochylił się nad księdzem.

Sobieraj milczał. Lekarz przystąpił do resuscytacji. Prawdziwa nie wygląda tak jak na filmach. Prawdziwa może trwać nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt minut. Po pierwszych kilku lekarz wygląda jak po przebiegnięciu półmaratonu. Klatka piersiowa ofiary trzeszczy pod naporem jego rąk, często pękają żebra, a kończyny latają na wszystkie strony, jak u szmacianej pacynki. Prawdziwa resuscytacja to walka o życie. Te walkę Bednarowski przegrał.

– Pyta pan dlaczego? – odpowiedź w końcu padła, lecz nie z ust Sobieraja. Domińczyk oskarżycielskim gestem wskazała leżące na posadzce ciało Bednarowskiego i wysyczała: – Bo ten skurwysyn zabił naszych rodziców! Dlatego!

## XIV

– Wprowadziłem mordercę do więzienia, ale nie po to, żeby odbył wyrok, tylko żeby zabił. – Michalczyk wpatrywał się w podłogę, siedząc pochylony na krześle, z łokciami na kolanach, podpierał czoło dłońmi, a palce miał wplecione we włosy. – Ja pierdolę... Mietek nie wybaczy mi tego, pewnie straci stanowisko, ja zresztą też będę miał kłopoty... I to spore. Co mi strzeliło do łba, żeby wprowadzać do celi nieupoważnione osoby? Jak to się w ogóle mogło stać? O co tu chodzi? Przecież jego siostra zginęła w tym pożarze? Zmarła w szpitalu. Tak w gazetach napisali, czy nie? Sam mówiłeś!

Spojrzał na Krugłego, który podpierał ścianę, gapiąc się w okno. Byli w gabinecie dyrektora. Czekali, aż wróci z celi, w której zginął Bednarowski.

– Nie gryź się tak. Sobieraj nie był przecież obcy, posługiwał tam... – Krugły kręcił głową. – Powiedział, że chce zapobiec jego śmierci, a potem go zabił.

– Kłamczuszek, co? – Uśmiech Michalczyka był raczej sarkastycznym grymasem. – Każdemu innemu mógłbyś nie wierzyć, ale księdzu? Kurwa, sam powiedz: ten świat schodzi na psy. Już zszedł. Poziom kreta na Żuławach, że zacytuję z klasyki...

– Czekaj – powiedział nagle Krugły, kiedy uświadomił sobie coś. – Nie tak powiedział. Powiedział, że chce zapobiec śmierci Bednarowskiego z rąk Domińczyk. No i zapobiegł. Zrobił to osobiście... Czyli nie kłamał. A przecież twierdził, że mu wybaczył. Nic z tego nie rozumiem. Działali razem? Po to, żeby ona mogła go wprowadzić do więzienia? Przecież Sobieraj miał dostęp do osadzonych!

Michalczyk patrzył w okno, przetrawiając w myślach słowa Krugłego, i nic nie mówił. Westchnął w końcu i powiedział cicho:

– Wątpię, żeby Bednarowski chciał się spotkać z Sobierajem. Zwłaszcza jeśli wiedział, że to syn jego ofiar. Na jego miejscu tym bardziej unikałbym spotkania z nim. Mam inną teorię...

Spojrzał na Krugłego, wstał z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni, drugą pomagał sobie w werbalizacji przemyśleń, gestykulując nią zamasyście.

– Sobieraj to zrobił dla niej. Napisała ten list, będąc pewna, że dotrze do niego na tyle późno, żeby nie mógł jej powstrzymać. Ale jakimś cudem list dotarł szybciej. – Spojrzał na Krugłego i zmarszczył brwi. – A nie mogła po prostu wysłać esemesa spod celi? Nieważne, wybrała formę epistolarną, nie

wnikajmy teraz dlaczego. Sobieraj nie chciał nam wyjawić szczegółów, żebyśmy mogli zareagować sami. Chciał przy tym być, teraz wiemy dlaczego. Wiedział z listu, że śmierć Bednarowskiego może być lekarstwem na traumę Domińczyk. Ale nie chciał, żeby zapłaciła za to, co zrobi, pobytem w więzieniu. Więc zrobił to za nią. Popełnił jeden z największych możliwych grzechów, żeby pomóc swojej siostrze. Lokalny zbawiciel, psiakrew... – prychnął.

– Zbawiciele nie popełniają grzechów – przypomniał mu Krugły. – Oni tylko cierpią za cudze.

– No, to teraz będzie cierpiał za swój. – Michalczyk zerknął na zegarek. – Gdzie ten Mietek...?

Dyrektor Łabuda zjawił się jak na zawołanie. Wpadł do swojego gabinetu, czerwony na twarzy, z zaciętą miną i marsem na czole. Zobaczył nagle Krugłego i Michalczyka i stanął zdziwiony, jakby zapomniał, że kwadrans wcześniej sam kazał im tam przyjść. Minął ich bez słowa i uwalił się na fotelu za swoim biurkiem. Oparł łokcie o blat i złączył ze sobą palce obu dłoni w zgrabną piramidkę, na której oparł podbródek.

– Nie teraz, panowie – powiedział gdzieś w przestrzeń przed sobą i wzruszył ramionami. – Co mam powiedzieć? Nie mam nastroju. Wypierdalajcie.

Wyszli cicho z gabinetu. Pani Beatka nawet nie spojrzała na nich, skupiona na studiowaniu stylu czcionek na klawiaturze komputera.

Michalczyk przepuścił Krugłego przodem, a kiedy zamknął za sobą drzwi sekretariatu, szybkim krokiem nadrobił stracony dystans i zerknął na niego kątem oka.

– Ty, Robert... Grałeś kiedyś w brydżyka?

\* \* \*

Atmosfera sali przesłuchań goleniowskiej prokuratury w zasadzie nie różniła się niczym od takich samych sal w dziesiątkach innych prokuratur w kraju. Wystrój wnętrza nie ma znaczenia, jest dodatkiem, na który rzadko kiedy zwraca się uwagę. Takie miejsce to jak nietypowy czakram, emanujący złą energią, lecz nie swoją, tylko tą wyssaną wcześniej z setek ludzi i ludzkich nieszczęść; tych, które ich dotknęły, albo tych, które spowodowali. Zło jest tu namacalne, jak nigdzie indziej.

Była godzina siedemnasta, kiedy do sali wprowadzono kobietę. Prokurator nie chciał czekać do następnego dnia. Chciał wiedzieć dlaczego, i chciał to

wiedzieć już. I nie chciał równocześnie, żeby przy przesłuchaniu szarogęsił mu się ktoś z okręgowej. Pewnie jutro i tak zostanie przewieziona do Szczecina.

Agnieszka Domińczyk usiadła na krześle, przy stole, przy którym swoje miejsce zajął już Michalczyk. Z jej perspektywy jego postać na tle okna była słabo widoczna, musiała lekko mrużyć oczy, żeby widzieć go wyraźniej. On miał ją natomiast w całej krasie, oświetloną lampą spod sufitu i światłem dnia zza swoich pleców.

Domińczyk była ładna. Bardzo ładna. Miała klasyczną twarz o odrobinę zbyt wąskich ustach i ładnie zarysowanej linii podbródka, prostym nosie i jasnych oczach ukrytych za szklami okularów w czarnych, gustownych oprawkach. Ubrana w białą bluzkę i czerwoną marynarkę, w takim samym odcieniu jak szminka, wyglądała jak pracownica korporacji wyszykowana na oficjalne biznesowe spotkanie. Czerwień i biel pasowały do koloru jej włosów i oczu. Wyglądała chłodno, trochę nieprzystępnie, ale na pewno ślicznie. Nawet pomimo stanu jej garderoby i makijażu, nadwyrężonych w sali spotkań intymnych. Była zdenerwowana, na delikatnym meszku nad górną wargą prokurator widział maleńkie kropelki potu.

– Piotr Bednarowski nie żyje – poinformował ją na wstępie. – Jak sądzę po tym, co widziałem, fakt, że została pani młodą wdową, nie załamie pani zbytnio?

Spojrzała na niego oczami bez wyrazu i odwróciła wzrok.

– Chyba wiem, dlaczego on to zrobił – powiedział Michalczyk, patrząc Domińczyk w oczy. – Mam na myśli księdza Sobieraja. Bo chciał się bawić w Jezusa, prawda? Zbawić bliźniego swego, biorąc na siebie jego winę. Poświęcić się dla dobra innego człowieka... Tylko że nie wziął pod uwagę wszystkich aspektów sprawy. Bo pani... Pani jest jego siostrą, tak? Pani zabiła przecież trzy osoby. A może nawet cztery. To poświęcenie było niepotrzebne. Bezcelowe. To chyba nie działa w ten sposób, co? Są pewne granice i chyba pani brat je przekroczył. Pani zresztą też. I tak pójdzie pani siedzieć, podobnie jak on. Myślicie, że było warto? Że akt zemsty się dokonał i... I już? Wszyscy są szczęśliwi?

Domińczyk patrzyła na Michalczyka szeroko otwartymi oczami. Wargi jej drżały, cała się trzęsła.

– Ja... Ja nie rozumiem... Przecież ja nikogo nie zabiłam?

– Teraz ja nie rozumiem. Pani mnie pyta? To pani tego nie wie?

Z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte strachem gardło.

– Nnie... Nie wiem! Nie wiem, o czym pan w ogóle mówi!



– Nie wie pani... – Michalczyk sięgnął do leżącego na stole dyktafonu i włączył go. – Dobrze, zaczynamy więc oficjalnie przesłuchanie zatrzymanej Agnieszki Domińczyk-Bednarowskiej, oskarżonej o usiłowanie popełnienia zabójstwa swojego męża, Piotra Bednarowskiego, w dniu dzisiejszym, to jest szesnastym lipca dwa tysiące piętnastego roku. Zarzuty zostaną wkrótce rozszerzone, zamierzam oskarżyć panią również o popełnienie przestępstw z artykułu sto czterdzieści osiem paragraf jeden Kodeksu karnego, to jest o dokonanie zabójstw Wojciecha Wichłacza, Krystiana Zawadzkiego i Norberta Domińczyka. Oraz Dawida Lubiszewskiego... – Spojrzał na nią. – Może nie w tej kolejności, ale o nich mówię. O pani ofiarach. Daty i miejsca? Mam przypomnieć? Czy już pani wie, o czym mówię? No, ale jeżeli chce pani oprzeć linię obrony na zaprzeczaniu ewidentnym faktom, to ja nic nie poradzę...

Typowa taktyka śledczego. Twarde fakty, nawet niekoniecznie poparte dowodami. Zarzucić nimi podejrzanego, sprawić wrażenie, że wszystko już wiadomo, a im szybciej się przyzna, tym łagodniej potraktuje go sąd. Prawie zawsze działa. Prawie.

Domińczyk zaczęła płakać. Cicho, ze spuszczoną głową, skulone ramiona i wciśnięta w nie głowa drżały, kiedy podskakiwała na krześle w rytm spazmów płaczu. Michalczyk czekał. W końcu otarła nos nadgarstkiem i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Czy mogę dostać papierosa? – zapytała.

Michalczyk pokręcił głową.

– W tym budynku można palić wyłącznie w przeznaczonym do tego pomieszczeniu, a pani w obecnej chwili nie może tam pójść. Poza tym nie mam przy sobie papierosów, jestem niepalący. Przykro mi.

Pociągnęła nosem i wytarła łzy.

– Znęca się pan nade mną.

– Nie. Przestrzegam przepisów. I mam mdłości od dymu. Wytrzyma pani bez papierosa, ja natomiast z papierosem – nie. A tak się składa, że to ja tu decyduję, i proszę nie mieć do mnie o to pretensji, bo oboje pracowaliśmy na to, żeby się tu znaleźć w swoich rolach. No, więc?

– Nie zabiłam ich – powiedziała hardo. – Nawet nie wiedziałam, że Wichłacz i Zawadzki nie żyją.

– Naprawdę? A pani były mąż? O jego śmierci pani wiedziała?

Spuściła głowę.

– Tak – szepnęła. – Byłam na pogrzebie. Akurat dzień wcześniej wyszłam ze

szpitala.

– A gdzie pani była w czasie tegorocznych świąt wielkanocnych?

– Nie wiem. Pewnie w domu. Nie pamiętam wielu rzeczy, które działy się w ostatnim czasie...

– Od Wielkanocy minęło już trochę czasu... A co pani robiła w nocy z dwunastego na trzynasty czerwca?

Wzruszenie ramion wystarczyło Michałczykowi.

– Podejrzana nie zna odpowiedzi na pytanie – rzucił w stronę dyktafonu. – Ma pani w domu nóż?

– Oczywiście! Pan nie ma?

– Mam na myśli nóż szturmowy. Wojskowy.

Zamrugła oczami.

– Norbert taki miał. Z czarnym ostrzem.

– Wie pani, gdzie ten nóż jest teraz?

– Nie. – Zdecydowanie pokręciła głową. – Zabrał go ze sobą, kiedy odszedł.

– Z czyjej winy orzeczono rozwód?

Chciał ją dezorientować, skacząc z tematu na temat. W takim stresie człowiek odpowiada niemal automatycznie, zbyt długie zastanawianie się nad odpowiedzią zdradza podejrzanego i jego intencje wprowadzenia przesłuchującego w błąd.

Domińczyk nabrała głęboko powietrza i spojrzała w okno.

– Z mojej – wyrzuciła z siebie.

– Otrzymaliście państwo również unieważnienie ślubu kościelnego, prawda?

– Tak.

– Jaki był powód?

– Przecież pan wie. Skoro wie pan o unieważnieniu... – Wzruszyła ramionami.

– Chcę to usłyszeć od pani.

Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

– Zatajenie choroby psychicznej.

– To prawda?

– Nie do końca. Nie jestem chora psychicznie.

– A orzeczenie psychiatry?

Spojrzała na niego kpiąco. Z jej twarzy zniknął przestach.

– Podobam się panu?

– Pani wybaczy, to nie ma nic do rzeczy.

– Ma. Niech mi pan odpowie na pytanie. Niech pan nie patrzy na rozmazany makijaż, potargane włosy i wygniecione ubranie. Niech pan wyobrazi sobie, że tego nie ma. Jest pan w stanie?

Tak się składało, że Michalczyk był w stanie i to nawet bez większego trudu. I choć pozwalając jej kierować rozmowę na te tory, sam wpadł w pułapkę, którą zastawił, postanowił odpowiedzieć jej szczerze.

– Powiedzmy, że typ kobiety, który pani reprezentuje, odpowiada moim preferencjom w tym zakresie – powiedział ostrożnie.

– Poproszę wprost. Czy podobam się panu?

– No dobrze: nie wiem, do czego pani zmierza i nie lubię takiego tonu, ale tak, podoba mi się pani. I co z tego?

– Co byłby pan w stanie dla mnie zrobić, gdybym zaproponowała panu seks?

– Proszę?

– Dziki, wyuzdany seks. – Założyła nogę na nogę i odchyliła się na krześle.

– Odłot. Spełnienie wszystkich, no, prawie wszystkich, najbardziej skrywanych fantazji? Oral, anal, złoty deszczyk, BDSM, co tylko zechcesz!

– Pani daruje, to zaczyna robić się niesmaczne...

– Nie jeden raz. Kilka. Kilkanaście razy. Co noc. Do białego rana. Przez tydzień. Dwa tygodnie. Tego chcesz?

– Ta rozmowa zmierza...

Domińczyk pochyliła się ku prokuratorowi.

– Powiem panu, do czego JA zmierzam. Do tego, że cały świat kręci się wokół dupy.

– To chyba żyjemy w innych światach – stwierdził Michalczyk.

Od jej spojrzenia temperatura w sali wyraźnie się obniżyła.

– Tak się panu tylko wydaje. Ja mam na to twarde dowody. Za to, o czym panu przed chwilą powiedziałam, za swoje ciało, mogę mieć, co tylko zapragnę. Wszystko, rozumie pan? Więc co mogłabym osiągnąć, zabijając ich, jeśli to, czego od nich chciałam, dostałam za seks?! – Ostatnie słowa wysyczała Michalczykowi prosto w twarz.

Brak reakcji prokuratora nie spowodował u niej zmieszania czy zdenerwowania.

– Ten psychiatra chciał tylko, żebym podczas seksu mówiła po włosku. –

Wykrzywiła usta. – *Non c'è problema*, wykułam parę słówek. Był nawet miły, umówiliśmy się tylko na jeden raz. Ale ponieważ ta opinia psychiatryczna nie

zależała tylko od niego, musiałam spotkać się z jego kolegą. Tamten lubił ostro i chciał więcej niż raz. Na szczęście papiery zostały już podpisane, więc po tym jednym razie mogłam go olać. Groził, że jak nie dostanie, czego chce, wznowi sprawę i wystawi nową opinię, że jestem zdrowa. Pokazałam mu nagranie z naszego spotkania i zapytałam, czy jego żona, nastoletnie dzieci i koledzy z pracy mają obejrzeć, jak na jego własne życzenie wsadzam mu w odbył wielkiego gumowego penisa. Więcej skurwiela nie widziałam na oczy.

– Hm... Po co pani to orzeczenie? Takie rzeczy łamią ludziom życie. Nie można dostać pracy w wielu profesjach.

– Chciałam dać wolną rękę Norbertowi. Nie jego wina, że ożenił się z niewartą tego dziewczyną. To był dobry chłopak, a ja... nie zasługiwałam na niego, taka prawda. Moi rodzice byli ludźmi głęboko wierzącymi, nasza trójka była wychowywana zgodnie z naukami Kościoła, wszystko kręciło się wokół Boga... Pewnie dlatego poślubiłam człowieka głęboko wierzącego. Przesiąkłam tą religijnością, która zajęła moją podświadomość, mimo że z Bogiem zerwałam po... – Zawahała się na moment, szukając określenia. – ... śmierci rodziców i siostry. Szanowałam go, ale go nie kochałam. Nie chciałam go dłużej oszukiwać, zresztą on widział, że coś jest ze mną nie tak. Chciałam, żeby Norbert ułożył sobie życie na nowo. Chciałam mieć świadomość, że kiedy już pogodzi się z tym, co mu zrobiłam, znajdzie sobie nową, dobrą, religijną kobietę, która da mu dużo dzieci. Ta sprawa była dla niego bardzo istotna. To wszystko. Tę całą hecę z psychiatrami, którzy orzekli, że w tamtym momencie mojego życia nie mogłam racjonalnie potwierdzić przed księdzem i Bogiem woli zawarcia sakramentu małżeństwa... Zrobiłam to dla niego. Jednego z dwóch porządnych mężczyzn, którzy mi zostali na tym świecie. A potem ktoś go zabił...

– Rozumiem, że... hm... sposób, w jaki uzyskuje pani te różne potrzebne jej rzeczy, nie stanowi dla pani bariery mentalnej?

– Mówi pan o seksie?

Michalczyk skinął głową.

– To nie może pan nazwać rzeczy po imieniu? – zdziwiła się. – SEKS. Ludzka rzecz. Czy jak pan idzie do toalety załatwić potrzeby fizjologiczne, zastanawia się pan nad tym głębiej? Czy po prostu robi, co trzeba, nie myśląc o tym, że to obrzydliwe?

– To porównanie chyba nie jest zbyt trafne?

Domińczyk spojrziała na niego, a jej uśmiech był drapieżny i obleśny.

Michalczyk nie miał pojęcia, że taki grymas można ujrzyć na twarzy kobiety.

– Zdziwiłby się pan, w jak wielu przypadkach te rzeczy są do siebie podobne. Ilu grzecznych mężusiów, wzorów cnót i troskliwych strażników ogniska domowego, zmienia się w wyuzdane, sprośne i dogadzające wyłącznie sobie świnię. A jeśli chodzi o moje podejście: wystarczy mieć silną motywację, a obrzydzenie i ból znikają. Stają się dodatkami, środkami uświęconymi przez cel. Jak pan myśli, dlaczego ci osiemdziesięcioletni milionerzy z taką dumą i radością żenią się z dwudziestoletnimi, napompowanymi silikonem panienkami i nie reagują na ostrzeżenia rodziny, że one czyhają tylko na ich majątek?

– Myślę, że są świadomi sytuacji – stwierdził Michalczyk. – Nie mają nic do stracenia, przynajmniej przed śmiercią naoglądają się ładnych ciałek. Co innego im zostało?

– Typowy facet. – W jej głosie brzmiała nuta lekkiej pogardy. – Ale gdyby był pan na miejscu tego staruszka, myślałby pan to, co wmówiłaby panu ta siksa. Zaspokoiłaby pańskie męskie ego, napompowałaby je do rozmiarów swoich piersi gadką, słodkim spojrzeniem, całusem, błyskiem aksamitnej skóry uda spod rąbka spódniczki. Byłby pan przekonany, że poleciała na pana nieco przywiedłą męskość. Że zaimponował pan jej tym, co osiągnął przez całe życie, ale nie dlatego, że pan to ma, tylko dlatego, że był pan na tyle silny, żeby to zdobyć. Otóż nie. I nawet jeśli przez chwilę gdzieś na dnie pańskiej duszy błysnie iskra podejrzliwości, zaraz zgaśnie, zdmuchnięta uspokajającym przekonaniem o własnej wielkości. Już one tego dopilnują. Mężczyzna nie jest istotą zbyt skomplikowaną, za to przewidywalną przez swoją próżność i zadufanie w sobie.

– Cóż... – Michalczyk nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, więc przesunął leżące przed nim papiery, mimo że nie było takiej potrzeby, bo z nich nie korzystał. – Przykro mi, że miała pani takie przykre doświadczenia w sferze intymnej. Moje są zupełnie inne, być może dlatego, że reprezentuję krańcowo odmienny typ mężczyzny niż ci, których miała pani nieprzyjemność spotkać. No, ale to nie miejsce ani czas, żeby kontynuować ten wątek. Może wrócimy do zabójstw?

Jej twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę.

– Powiem panu wszystko, co wiem o Wichłaczu i Zawadzkiem. Wszystko, co chce pan wiedzieć. Opowiem panu również swoją historię. Dlaczego doszło do tego wszystkiego. – Machnęła ręką. – Ale za papierosa. Inaczej nie usłyszy pan ode mnie ani słowa.

– Och, naprawdę? – Michalczyk był najwyraźniej rozbawiony. – Pani chce się ze mną targować? To chyba nie miejsce na targi? Tu ja ustalę zasady.

– A chce pan mieć to z głowy? Zamiast użerać się ze mną, może mieć pan moje pełne zeznanie od razu. Jeden papieros. Pięć minut. Co pan na to?

Michalczyk wstał bez słowa i podszedł do drzwi. Przywołał policjanta i zapytał go:

– Pali pan?

Kiedy ten skinął głową, poprosił:

– Poczęstuje mnie pan jednym? I poproszę zapalniczkę.

Kiedy dostał to, o co prosił, bez słowa zamknął drzwi. Podał papierosa kobiecie, przypalił go jej i podstawił swoje krzesło pod oknem, ruchem ręki wskazując, żeby zajęła na nim miejsce. Uchylił prawe skrzydło, na wszelki wypadek sprawdził siatkę zabezpieczającą i odszedł w kąt pomieszczenia. W milczeniu patrzył, jak Domińczyk wydmuchuje dym mocno i daleko przed siebie.

– Czegoś nie rozumiem... – powiedział Michalczyk, przerywając ciszę. – Wspomniała pani o śmierci siostry... Gazety pisały o śmierci pani rodziców i jednej dziewczynki. I o pani bracie, który ocalał. O nikim więcej nie wspominały. Pani jest córką Sobierajów?

Kobieta spojrzała na niego, potem odwróciła głowę w stronę okna i wydmuchnęła dym z płuc. Wróciła spojrzeniem do prokuratora.

– Chodzi panu o Dankę. Danką zmarła w szpitalu trzy dni po... tym. Mnie nie było wtedy w domu. Byłam na pielgrzymce w Częstochowie. W artykułach faktycznie wspomniano o trzech ofiarach i o Marku, ale on był już wtedy pełnoletni. Ze względu na mój stan psychiczny i wiek poproszono dziennikarzy, żeby nie pisali o drugiej córce ofiar. Prośbę uszanowali. –

Popatrzyła na papierosa i strzepnęła popiół przez siatkę. – Wtedy nie było „Faktu”, a dziennikarze prezentowali jeszcze jakiś poziom. Prokuratura i policja też bardzo ładnie się zachowały, nie było żadnych sensacyjnych przecieków do mediów.

Michalczyk nie zadawał więcej pytań, tylko pozwolił jej wypalić papierosa do końca. Dwie minuty później zgasiła niedopałek o stalową ramę siatki i przepchnęła go przez jedno z jej oczek. Kiedy spadł na zewnętrzny parapet, z którego po chwili zwał go wiatr, zamknęła okno, obciągnęła wygniecioną spódnicę i wróciła na swoje miejsce. Michalczyk zabrał swoje krzesło spod okna i przystawił do biurka. Usiadł, włączył z powrotem leżący na stole dyktafon i powiedział:

– Słucham.

Poczęstowała go słabym uśmiechem i Michalczyk na chwilę zapomniał o lekkim uczuciu mdłości.

– Dziękuję – powiedziała, wskazując okno za nim. – Faktycznie, nie jest pan typowym facetem. Inni spełniali moje życzenia, biorąc w zamian moje ciało, pan spełnił je za darmo.

– Nie za darmo – zwrócił uwagę – tylko za wyjaśnienia. Proszę. – Wskazał dyktafon.

Wbiła wzrok w blat stołu, jakby szukała w nim natchnienia albo obawiała się patrzeć prokuratorowi w oczy. Znów założyła nogę na nogę, ale tym razem w tym geście nie było śladu wyzywającej pozy. Chwyciła kolano mocno splecionymi dłońmi i monotonnym głosem zaczęła swoją opowieść.

– Zacznę od początku, tak chyba będzie najlepiej, prawda? – Michalczyk przytaknął jej ruchem głowy. – W dziewięćdziesiątym szóstym roku miałam trzynaście lat. Żyłam otoczona miłością rodziny, kochałam ich wszystkich, kochałam Boga, kochałam cały świat. Nie miałam kompleksów, mimo że byłam małym pulpetem w niezbyt twarzowych okularach, nie przeżywałam depresji, burzy uczuć, w którą zwykle zaczynają wpadać dziewczyny w tym wieku. Byłam szczęśliwa. Zastanawiałam się, czy zostanę zakonnica, czy jednak będę miała gromadkę dzieci i cudownego męża. Poukładany, spokojny i cudowny świat bez przemocy, gniewu i krzyku. Pewnego dnia do taty zadzwonił ktoś z kancelarii prawniczej. Piaseczny i Wspólnicy, tak się nazywali, to jedyne, co zapamiętałam z całej procedury spadkowej, która w sumie trwała prawie rok. Zresztą te rzeczy nie interesowały mnie w ogóle. Efektem tego wszystkiego było coś, co tacie zostawiła ciotka, o istnieniu której nie miał nawet pojęcia. Dom. W Szczecinie. Na Pogodnie. Wie pan, co to za dzielnica?

– Wiem. – Michalczyk skinął głową. – Pochodzę ze Szczecina.

– Czyli rozumie pan, że wartość spadku była dość znaczna? Nawet uwzględniając stan domu? – Nie czekała na odpowiedź. – Boże jedyny, jak myśmy się cieszyli! Nie było nam źle, biedy nie klepaliśmy, ale dom spadł nam z nieba. Niemal dosłownie, bo uważaliśmy ten spadek za coś w rodzaju nagrody za naszą pokorę wobec Boga. Za nasze życie według Jego wskazań. Za to wszystko, co zawsze dawaliśmy innym. Może to źle, że tak myśleliśmy? Może On ukarał nas za to, że zamiast oczekiwać nagrody w niebie, my uznaliśmy za nagrodę ten dom? W końcu Jezus kazał modlić się w swojej izdebce, a nie jak ci obłudnicy w synagogach, co już dostali swoją nagrodę...

Pytałam Go o to, kiedy byłam w szpitalu, ale nie odpowiedział. Uznałam, że skoro nie chce ze mną rozmawiać, nie będę się narzucać. Od tej pory nie mamy kontaktu. – Uśmiechnęła się lekko.

– Obraziła się pani na Boga? – zapytał Michalczyk.

– Można tak powiedzieć – przyznała po krótkim namyśle. – Ale to moja sprawa.

– Owszem – przytaknął Michalczyk. – Rozumiem, że historia zmierza w kierunku Wichłacza i Zawadzkiego?

– Tak. Tak jak panu obiecałam.

– Słucham więc dalej.

Nagle rozluźniła się w swoim krześle, jakby opadło z niej jakieś napięcie. Michalczyk zauważył to.

– W tym domu mieszkał pewien człowiek. Piotr Bednarowski. Tego, kim był i co robił w życiu, dowiedziałam się później. Trzynastolatki nie są zainteresowane przeszłością byłych funkcjonariuszy SB, usuniętych ze służby za pospolite przestępstwa przeciw mieniu. Wtedy był dla mnie zwykłym sąsiadem z dołu. Mieszkał tam od dawna, w latach siedemdziesiątych dostał z magistratu przydział na lokal mieszkalny w domu ciotki mojego ojca. Miał psa, właściwie sukę, która raz się oszczeniła, pokazał mi nawet jej małe, ślepe pieski. Pamiętam, jak otworzył pudełko, w którym siedziały, i zapytał mnie: „Jak myślisz, dziecko, lepiej je utopić czy przywiązać do torów?”. Kiedy zaniemówiłam, zaczął rechotać, a potem pogłaskał mnie po głowie i powiedział, że żartował. Że to dobre psy i będzie szkoda. Więcej ich nie widziałam, mogę tylko podejrzewać, co się z nimi stało. Rodzice prosili, żebym nie zadawała się z tym człowiekiem. Miałam mówić mu „dzień dobry” i to wszystko. Dziwiło mnie to, ale nie dyskutowałam z nimi, bo wychowano mnie na grzeczną dziewczynkę, która nie sprzeciwia się rodzicom, tylko wypełnia ich wolę. Nie miałam pojęcia, że są z Bednarowskim skonfliktowani. Że on im groził, że uderzył ojca na podwórzu, a matkę ciągnął za włosy, wyzywając ją od „głupich cip”. Nigdy nie wspomnieli mi o tym ani słowem, tak jak ja nie wspominałam im o epizodzie ze szczeniakami. Dopiero Marek powiedział mi o tym wszystkim, ale to było już po ich śmierci. Mieszkaliśmy tak prawie rok: ja w słodkiej nieświadomości, oni w psychicznych męczarniach z powodu znęcającego się nad nimi potwora. A potem był pożar...

Urwała. Michalczyk nic nie mówił, pozwalając jej samej stoczyć potyczkę z demonem przeszłości. Opanowała się, jej głos był taki sam, beznamiętny



i rzeczowy, choć odrobinę niższy niż poprzednio.

– Bał się. Bednarowski bał się, że rodzice usuną go z domu, żeby sprzedać nieruchomość. Sam miał na niego chrapkę, był przekonany, że ciotka nie ma nikogo i że przejmie dom przez zasiedzenie. To był pieniacz z wieloletnią praktyką w zasypywaniu sądów i urzędu miejskiego dziesiątkami pism i roszczeń. My byliśmy przeszkodą, którą chciał usunąć. Oczywiście w czasie procesu wszystkiemu konsekwentnie zaprzeczał. Bednarowski był starym ubekiem, a przy tym wojującym antyklerykałem. Przypominał, że ofiary pożaru to osoby związane z Kościołem. Twierdził, że to wszystko to spisek „czarnych”, że zrobili z niego kozła ofiarnego. Upierał się, że nie ma z pożarem nic wspólnego, że sam o mało co nie stał się jego ofiarą. Wskazywał na jego źródło: zwarcie instalacji elektrycznej, którą przegryzła mysz. Obwiniął rodziców o brak troski o dom: o stan instalacji, o to, że nie tępil insektów ani gryzoni... Obarczał ich pośrednio winą za ten pożar. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby tak mówić? Żeby coś takiego zrobić? Tylko że Bednarowski popełnił błąd. Wspominał o tej myszy, jeszcze zanim pojawiły się pierwsze ustalenia w sprawie przyczyn pożaru. Nadpaloną mysz faktycznie znaleziono, tylko że myszy nie noszą ze sobą butelek z rozpuszczalnikiem i nie polewają nim konstrukcji dachu. A eksperci stwierdzili, że owszem, pożar zainicjowała iskra ze zwartej instalacji, ale część drewnianych elementów oblano łatwopalną cieczą: rozpuszczalnikiem do farb. Poza tym ta mysz miała zmiądzoną szyję. To było truchło wyjęte z pułapki na myszy, rozumie pan? Bednarowski wykręcił odpowiedni korek, zwał odrapane z izolacji kable od lamp na strychu i podrzucił przy nich tę mysz. A w nocy poszedł do tablicy z bezpiecznikami, starej, jeszcze poniemieckiej, i zrobił co trzeba. – Gorzkemu, pełnemu niedowierzania półuśmiechowi towarzyszyło kręcenie głową. – Na korku od tej części instalacji były jego świeże odciski palców. Tłumaczył się, że wymieniał go dwa dni wcześniej...

Michalczyk nie przerywał jej. Wciąż czekał, aż Domińczyk przejdzie do sedna i opowie o Wichłaczu i Zawadzkim, ale bał się, że kiedy zacznie ją popędzać, zamknie się w sobie i niczego więcej nie wydusi. Widać musiała to z siebie wyrzucić. Powstrzymał się od zerknięcia na zegarek.

– Jak pan już wie, nie było mnie wtedy w domu – kontynuowała tym samym, wypranym z uczuć tonem, choć wyraźnie zeszywniała; ramiona podniosły się, a kostki palców zaciśniętych na kolanie lekko pobiełały. – Pożar błyskawicznie objął strych i górne piętro domu, gdzie mieszkaliśmy. Marek obudził się jakoś, w jego pokoju nie było jeszcze dymu ani ognia. Mówił, że

przez sen usłyszał huk płomieni szalejących na strychu. Wyniósł z jej pokoju niedającą żadnych oznak życia Dankę, ale po rodziców nie zdążył już wrócić. Niosąc ją na plecach, krzychał do nich, ale się nie obudzili. Lekarze powiedzieli, że zapewne byli nieprzytomni lub już nie żyli, zatruci dymem. Danką nie odzyskała świadomości, umarła w szpitalu. Rodzice spalili się w swoim łóżku. A ja? – Wzruszyła ramionami. – Co może zrobić dziecko, któremu w jednej chwili odebrano całą rodzinę? Również umrzeć? Popaść w obłąd? Mnie spotkało to drugie. Wylądowałam w psychiatryku. Wyrwana z objęć szczęścia dziewczyna, wrzucona w czarne odmęty szaleństwa. Usiłowałam sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Nie dać się. Marek poszedł do seminarium, ja trafiłam pod opiekę ciotki mamy, tu, do Goleniowa. Stoczyłam się, można tak powiedzieć. Nie zaczęłam pić, ale opuściłam się w nauce, zaczęłam się szwendać z nieciekawym towarzystwem, stałam się zamknięta i opryskliwa. Stałam się inną osobą. Zerwałam kontakt z Markiem. Byłam zła, że zamiast mnie wybrał Boga, w którego ja w zasadzie przestałam wierzyć. Nie robi się swoim dzieciom takich rzeczy, jaką On zrobił mnie. Na szczęście zdałam maturę, sama nie wiem, jakim cudem. Wyrosłam, wyładniałam i zauważyłam, jak wiele można osiągnąć nie rozumem, nie wiedzą, nie dobrocią, tylko własną urodą i ciałem. Moje zdanie o mężczyznach już pan zna. Za dużo ich było w moim życiu, żeby ktokolwiek mógł mi udowodnić, że nie jest tak, jak mówię. Norbert miał być odtrutką. Lekiem na całe zło. Miałam spokojniejszy okres w życiu, zrobiłam licencjat z administracji w prywatnej uczelni i dostałam pracę dziennikarki w radiu. Pobraliśmy się. Przeszłam do lokalnej gazety, ciotka sprzedała swoje mieszkanie i kupiła dwie kawalerki, jedną dała nam. Przyszłość rysowała się różowo. Ale wtedy dopadł mnie cień przeszłości. Niemal dosłownie. Co noc śniłam o pożarze. Budziłam się z tych koszmarów dwa razy. Raz, kiedy ciała rodziców były już czarne i poskręcane – stałam przy ich łóżku, ogień mnie się nie miał, a ja musiałam patrzeć, jak pożerają ich płomienie. Wie pan, dlaczego ofiary ognia są tak powykęcane? To żar ścina białko w komórkach skóry i mięśni. One tężeją i w końcu człowiek, miotający się w płomieniach z bólu i szoku, zastyga w koszmarnej pozycji, jak w kadrze zatrzymanego nagle filmu. Budziłam się, kiedy gorąco i żar były już nie do wytrzymania. A gdy siedząc na łóżku, dochodziłam do siebie po koszmarze, który, jak sądziłam, już się skończył, nagle na ścianie widziałam cień człowieka z butelką rozpuszczalnika. Skradał się w moją stronę, a z szyjki tej butelki sterczała wetknięta w nią szmata. Kołysała się, kiedy on szedł do mojego łóżka. Nagle

cień tej szmaty buchał ogniem. I wtedy budziłam się już naprawdę. Norbert miał dość. Byłam strzępkiem nerwów, a to, że go nie kochałam, nie pomagało w naszych relacjach. Zrobiłam więc to, o czym mówiłam. Wyprowadził się, próbował sobie ułożyć życie na nowo, z daleka ode mnie. A ja musiałam zniszczyć demona. Postanowiłam zabić Bednarowskiego. To nie miała być zemsta. To miała być eliminacja, jak wycięcie nowotworu zagrażającego całemu organizmowi. Ale chciałam równocześnie, żeby czuł swoją śmierć wszystkimi zmysłami. Żeby był świadomy tego, że nadchodzi. Żeby przeżył takie męczarnie, jakie zgotował moim bliskim...

– Więc jednak zemsta? – zapytał Michalczyk.

Popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem.

– Jakie to ma znaczenie? – Przekrzywiła głowę. – Jakkolwiek by tego nie nazwać, miał zdechnąć. Liczyłam na to, że wtedy koszmary znikną. Że pożegnają się wreszcie z rodzicami i Danką, a on, jego cień, przestanie przychodzić do mnie w nocy z tą butelką. I będę wreszcie żyć normalnie. Nie będę co kilka miesięcy spędzać dwóch czy trzech tygodni w szpitalu. Odstawię leki, które poprawiają w głowie, ale psują ciało. Nie będę budzić się w przepeconej strachem pościeli, z pieczeniem w przetyku i z sercem wrywającym się z piersi. Będę żyć normalnie, rozumie pan? NORMALNIE!

– Jak chciała pani żyć normalnie w więzieniu? – zdumiał się Michalczyk.

– Jednak nie rozumie mnie pan. Przekalkulowałam to. Sąd usprawiedliwiłby okoliczności. Ile bym dostała? Osiem lat? Nawet dwanaście. Odsiedziałybym. Z czystym umysłem. Uwięziona, ale wolna! Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej tego pragnęłam. Sprawdziłam, co dzieje się z Bednarowskim. Odsiadywał dożywocie, tu, w Goleniowie. Co za przypadek. Co za ulga! Chciałam zobaczyć, czy mnie pamięta. Zadzwoiłam do dyrektora więzienia z prośbą o umożliwienie mi rozmów z więźniami. Planowałam zrobić duży artykuł o systemie penitencjarnym, sytuacji więźniów, ich historiach, dlaczego popełnili przestępstwo, co ich do tego skłoniło i tak dalej... Może napisać o tym książkę. Chwyciło. Tam poznałam Krystiana. Bednarowski siedział na jego oddziale. Dyrektor więzienia nie wyraził zgody na spotkania z najniebezpieczniejszymi więźniami, ale Krystian dał się przekonać i umożliwił mi widzenia z tym sukinsynem...

– Uwiodła go pani? Mam na myśli Zawadzkiego.

– Owszem – stwierdziła sucho. – Dałam mu, czego chciał. To był barter. Towar za towar.

– Biedaczysko. – Michalczyk nie mógł się powstrzymać.

Może to wzburzenie, wywołane jej perfidią, a może zwykła solidarność plemników. Po prostu nie mógł.

– Znał go pan? – Jedna brew powędrowała w górę, zerknięcie zza oprawek okularów było wymowne.

– Z opowieści.

– I na tej podstawie oparł pan swój osąd o nim? Brawo! I to mówi prokurator. – Pokręciła głową. – Biedaczysko mówi pan? Bo go wykorzystałam i zostawiłam? O to chodzi?

– Mniej więcej. Słyszałem, że to był dobry chłopak. Trochę dziwny, ale dobry.

– Zna pan takie powiedzenie: cicha woda brzegi rwie? – zapytała. – Głupie pytanie, pewnie że pan zna. Każdy zna. Czasem ta woda bywa bardzo brudna, panie prokuratorze.

Wstała i skrzyżowała ramiona, chwyciła się za bluzkę w okolicach talii i zanim Michalczyk powiedział cokolwiek, żeby ją powstrzymać, uniosła ją do góry. Skórę na żebrach, po prawej stronie, tuż pod stanikiem, szpeciła dziwna regularna blizna. Świeża. Otoczona różowymi kropeczkami. Też bliznami, maleńkimi bliznami po szwach.

– Tak wyglądają ślady po fragmencie służbowego pasa funkcjonariusza Służby Więziennej. Najbardziej bolesnym fragmencie: klamrze. I to powinno panu wystarczyć. – Opuściła bluzkę i usiadła, jakby nic się nie stało.

Michalczyk wyprostował się, a potem opadł na oparcie krzesła.

– Ten siniec na policzku, który bardzo zgrabnie zamaskowała pani makijażem, to też pamiątka po jakimś dżentelmenie? – zapytał obojętnym tonem.

– Ktoś próbował mnie zgwałcić, kiedy kilka dni temu wieczorem uprawiałam jogging. – Jej ton był równie obojętny. – Będzie jakiś komentarz o kuszeniu losu i tak dalej?

– Nie będzie. Zgłosiła to pani na policję?

Milczała przez chwilę, patrząc na niego w taki sposób, że przez chwilę poczuł się jak idiota.

– Widzę po pana twarzy, że właśnie się pan zastanowił nad sensem tego pytania.

– Źle pani widzi. W porządku, skoro pani tego nie zgłosiła, uznaję temat za zamknięty. Pani decyzja.

– Miałam przy sobie gaz – wyjaśniła. – Gnojek i tak uciekł, zdążył tylko raz uderzyć mnie w twarz. Nie pierwszyczna... – Roześmiała się gorzko.

– Więc jednak chce pani kontynuować temat?

– Nie – odpowiedziała po chwili, patrząc gdzieś w kąt. – Nie chcę.

Nagle Michalczyk zdrętwiał. Podrażnione spojówki ofiary numer cztery czy raczej numer trzy...

– Dawid Lubiszewski – powiedział z namysłem, spoglądając jej w twarz. – O nim pani nic nie powiedziała.

– Bo nie mam pojęcia, kto to jest.

Nie mogła grać. Nikt, będąc w takiej sytuacji jak ona, nie potrafiłby tego powiedzieć w tak obojętny sposób. Bez żadnych wątpliwości nie wiedziała, kim był Lubiszewski. Co nie musiało oznaczać, że go nie zabiła.

– Po tym joggingu, podczas którego napadnięto panią... Wróciła pani do domu?

– Zmienił pan zdanie? Teraz pan chce kontynuować temat? – zapytała z lekkim rozbawieniem w głosie.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Bolał mnie policzek... – Wskazała na kość jarzmową. – ...więc zeszłam do sąsiadki po coś przeciwbólowego. To starsza pani, jest samotna i nie ma do kogo ust otworzyć, więc kiedy już otworzyła je do mnie, to nie mogła ich zamknąć. Ale całkiem miło się rozmawiało. Z godzina nam zeszła.

– Imię i nazwisko tej pani?

– Janina Borecka.

– Jaki to był gaz? Ten, którego użyła pani przeciw napastnikowi?

– Normalny. To znaczy... Nie wiem dokładnie, jaki to był gaz. Taki policyjny, kupiłam go w sklepie z bronią. A to takie istotne?

– Owszem.

– Mam go w domu. – Wzruszyła ramionami. – Mogę go przynieść.

Michalczyk uśmiechnął się do siebie lekko.

– Sami go znajdziemy – powiedział.

– Jak to? – nie zrozumiała.

– Niczego nie będzie pani przynosić. To my będziemy przeszukiwać pani mieszkanie.

– Ach tak... – Zgarbiła się.

– Dobrze, zostawmy na razie Lubiszewskiego i wróćmy do Zawadzkiego.

Domińczyk wbiła wzrok w blat stołu i zaczęła opowiadać monotonnym tonem, który kojarzył się Michalczykowi z uczniem wygłaszającym przed klasą referat na temat, który go zupełnie nie interesuje. Bez uczucia, beznamiętnie, byle przelecieć tekst, skończyć i wrócić do ławki, pisać esemesy i grać

w *Minecrafta*.

– Zawadzki pozwalał mi w tajemnicy rozmawiać z Bednarowskim. A on... Nie poznał mnie. Mój przypadek to trochę jak ucieleśnienie bajki o brzydkim kaczątku. Nie miał prawa mnie poznać, minęło tyle lat... Zeszczuplałam, wyładniałam, miałam inne nazwisko... Pierwszy raz był straszny, wie pan? Bałam się swojej reakcji, ale nie miałam wyjścia, musiałam być silna, jeśli chciałam zrealizować swój plan. Kiedy zobaczyłam go za tą szybą, mój nocny koszmar stanął mi przed oczami. Jezu, czekałam tylko, kiedy wyjmie ręce spod blatu i zobaczę w nich tę butelkę z płonącą szmatą... Dałam radę. – W jej obojętnym głosie nagle i na chwilę pojawiła się odrobina uczucia; nawet teraz słysząc w nim było ulgę. – Zgodził się na spotkanie ze mną, bo nie miał nic innego do roboty. Jedyne kobiety, jakie oglądał od lat, miały dwa wymiary, wyblakłe kolory i dotykały ich setki palców, i nie tylko palców. Sprawiałałam wrażenie szalenie zainteresowanej jego historią. Wciąż twierdził, że jest niewinny, że go wrobiono. Żałowałam go. Pytałam, czy na pewno nie da się zrobić nic, żeby wzruszyć wyrok. Pisaliśmy do siebie. Ja o tym, jak silnym i twardym mężczyzną jest, że z takim spokojem znosi swój los, on o tym, gdzie chciałby mi wsadzić. Taaak, miłość od pierwszego wejrzenia. Był o tym przekonany, przecież to czasem się zdarza. Co z tego, że był sporo po sześćdziesiątce? Uwierzył we wszystko, co mu mówiłam, tak jak starcy milionerzy wierzą siksom czyhającym na ich forszę. Bo to działa, czy pan w to wierzy, czy nie. Moją propozycję małżeństwa traktował jako naturalny ciąg dalszy tego, co było między nami. Zwłaszcza kiedy zwróciłam mu uwagę, że wtedy będzie mnie mógł wreszcie dotknąć. Wszędzie, gdzie tylko zechce...

Michalczyk machinalnie bawił się uchem od kubka. Rzadko kiedy pozwalał sobie na kawę podczas przesłuchania, odkąd jeden z tymczasowo aresztowanych, wielki i bezczelny typ pokroju Gruchy, rzucił się na niego z jego kubkiem, usiłując oblać go jego zawartością. Skończyło się dobrze, bo oprych oblał świeżo zaparzoną kawą sam siebie, i to w okolicach genitaliów, od tej pory jednak Michalczyk był ostrożny. Dziś, teraz, potrzebował kawy. Właściwie tego kubka; wielkiego, białego pojemnika na napój bogów, z którego spoglądało na niego oblicze jego syna. Pilnował, by twarz Mikołaja była zawsze zwrócona w jego stronę, nie chcąc dawać siedzącym po drugiej stronie bandzirom okazji do poznania jego słabych stron. A teraz chciał mieć syna koło siebie, choćby w formie zdjęcia. Chciał wiedzieć, wiedzieć na pewno, że to, w czym uczestniczył parę godzin temu, jest co prawda okrutną częścią świata, ale taką, od której może się odciąć dzięki synowi. Że coś

dobrego czeka na niego w domu, tam, gdzie pójdzie, zostawiając to całe gównu za sobą, przynajmniej na najbliższe kilkanaście godzin, dopóki następnego dnia rano nie będzie musiał tu wrócić i znów się w nim zanurzyć.

Domińczyk dostrzegła palce prokuratora wędrujące po porcelanowym uchu i przerwała swą opowieść.

– Czy mogę dostać wody? – zapytała, oblizując usta.

Michalczyk wstał i podszedł do dystrybutora, stojącego w rogu sali. Śledziła go wzrokiem, nie odwracając głowy, jakby miała zamiar poczekać, aż oddali się na odpowiedni dystans i zrobić coś, czego się nie spodziewa. Kiedy niosąc ostrożnie plastikowy kubek z wodą, wrócił do niej, odebrała go od niego i podziękowała cicho. Upiła trochę, pilnując się, by nie zrobić tego zbyt łąpczywie, i odstawiła wodę na stół.

– Wystąpiłam do władz więzienia o zgodę na zawarcie małżeństwa z Bednarowskim. Dyrektor robił problemy, ale poradziłam sobie. Wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, sprawa Jaremowicz przeciwko Polsce. To wytrąciło mu z ręki argumenty. Przedwczoraj oficjalnie zostaliśmy mężem i żoną.

– Zaraz, zaraz. Naczelnik USC udzielił wam ślubu mimo ustawowej przeszkody? Choroby psychicznej? – spytał podejrzliwie Michalczyk. – Coś mi tu nie gra.

Domińczyk spojrzała na niego tym swoim kpiącym spojrzeniem.

– Chyba nie powie mi pani, że... – Zawiesił głos, nie będąc pewnym, czy chce zadać to pytanie, a właściwie czy chciałby poznać na nie odpowiedź.

– Nie, nie powiem – zapewniła go, wyraźnie rozbawiona. – Dyrektor nie miał z tym nic wspólnego. A co do orzeczenia o chorobie psychicznej... Każdą opinię można zmienić, prawda? To kwestia uporu i determinacji. Ja te cechy posiadam.

– Wystarczy omotać sobie wokół palca odpowiednich ludzi? No, może nie wokół palca...

Przytaknęła skinieniem głowy. Jak najbardziej poważnym, rozbawienie nagle zniknęło.

– Kiedy wyszłam za Bednarowskiego, mogłam wreszcie finalizować swój plan.

– I do tego wcześniej potrzebowała pani Wichłacza? Kolejnego zboczeńca do kolekcji? – zapytał, zauważając poniewczasie, że tą uwagą może ponownie skierować rozmowę na tematy ocierające się już nawet nie tyle o sferę seksualną, co o skatologię.

– Wichłacz nie był zboczeńcem. Nie miał wyuzdanych zachcianek, nie lubił bólu... Był po prostu tępakiem, nawet trochę zabawnym, ale tępakiem. Z popędem zająca. Lubił dużo i szybko. Jak zwierzę. Kryteria, jakie musiała spełniać kobieta, by mu się podobać, nie były w jego przypadku skomplikowane; wystarczyło, że miała narządy płciowe i pozwoliła mu z nich skorzystać. I był szczęśliwy, i zadowolony, jak dziecko. Zasypiał jak osesek po butelce ciepłego mleczka, nawet miał taki wyraz twarzy.

– Skąd pani wie, jak wygląda osesek? Nie miała pani przecież dzieci?

– Nie, ale oglądałam kiedyś albumy Anne Geddes. Śliczne małe cudeńka z anielskimi buźkami. Taki sam wyraz twarzy miał po kopulacji niezaspokojony Wojtuś, który chwilę wcześniej zasnął ze słodką myślą, że w domu czeka żonka, którą też przecież zdąży jeszcze przelecieć...

– Po co on był pani potrzebny?

– Naprawdę pan się nie domyśla? – Spojrzała na Michalczyka kpiąco. – Sam pan przed chwilą wspomniał, że był mi potrzebny na końcowym etapie mojego planu. Czyli wie pan po co?

– To przesłuchanie. Ja panią przesłuchuję, a nie snuję domysły, które pani potwierdza bądź nie. Słucham.

– Był ratownikiem w pogotowiu. Miał dostęp do różnych leków i środków. Przypomniała mi się afera „łowców skór” z Łodzi. A Wichłacz pasował do planu. Handlował prochami w szkołach, sumienie miał wielkości swojego mózgu. Moją prośbę o skolinę odpowiednio umotywo wałam, nie był w stanie oprzeć się mojej argumentacji. – Spojrzała na swój dekolt. – Kiedy dostałam to, co chciałam, zerwałam z nim kontakt. Skupiłam się już wyłącznie na Bednarowskim. Trenowałam, wie pan? – Lekko się uśmiechnęła. – Wojtek załatwił mi fantom do nauki sztucznego oddychania i reanimacji. Twierdził, że nikt go nie używa, że i tak jest przestarzały, leży tylko w magazynie w budynku pogotowia i się kurzy. Że mają nowy, naszpikowany elektroniką, a o tamten nikt nie będzie pytał... Ćwiczyłam. Obejmowałam ten gumowy korpus, szeptałam czule do jego gumowego ucha, a drugą ręką sięgałam do torebki i jednym ruchem wbijałam igłę strzykawki w jego szyję. Uznałam jednak, że ryzyko jest zbyt duże, że mogę nie trafić. Więc ćwiczyłam zastrzyki domięśniowe, jednak w takim przypadku, by uzyskać efekt, o jaki mi chodzi, potrzebowałam dwa razy większej dawki. Co najmniej szesnaście mililitrów. W przypadku dożylnego przy wadze Bednarowskiego wystarczyłoby osiem, dla pewności dziesięć. I tak setki razy. Setki igieł, dziesiątki strzykawek, mnóstwo wieprzowiny. Wklucie, przytrzymanie, naciśnięcie tłoka. To nie jest



łatwe, niech mi pan wierzy, kiedy ma się mało czasu, a opór cieczy w igle jest całkiem spory. Ćwiczyłam też zmianę igły z insulinowej na zwykłą, po omacku, gdybym nie miała okazji zrobić tego, zanim jeszcze Bednarowskiego przyprowadzą do celi. Normalną, dużą igłę miałam przyklejoną wysoko do wewnętrznej strony uda, w pachwinie, już pod majtkami. Byłam przygotowana niemal na wszystko...

– Hm... A Wichłacz nie miał żadnych podejrzeń? Przecież musiał się zorientować, po co pani środek zwiotczający i manekin do złudzenia przypominający ludzkie ciało.

– Wie pan, że nigdy mnie o to nie zapytał? Mówię o skolinie. O manekin pytał, ale zbyłam go, a on nie robił problemu, tylko po prostu mi go przywiózł. Przygotowywałam się na pytanie o skolinę, to prawda. Nie znaczy to, że chciałam mu wciskać kit o szczurach w piwnicy czy mrówkach pod parapetem kuchni, bo chyba aż tak głupi to nie był. Ale nie zapytał.

– A gdyby zapytał?

Spojrzała na niego.

– Tak bym prosiła, aż by się zgodził. – Końcówka języka dotknęła górnej wargi.

Michalczyk pozostawił ten jej gest bez komentarza.

– Trochę mnie dziwi, że dorosły facet dał pani coś takiego, nie wnikając, po co to pani. Kiepsko było u niego z moralnością. Albo z myśleniem.

– Bo pan go nie znał. To był dzieciak. Zresztą sam święty nie był. Sprzedawanie gówna małodatom na ulicy jest według pana bardziej moralne niż załatwienie leku, którym można zabić? To jak pytanie, co lepiej zrobić z psem: utopić czy przywiązać do torów. I to, i to jest równie naganne. Czyż nie?

– Cieszę się, że jest pani chociaż tego świadoma. Choć, niestety, za słowami nie poszły czyny. Więc rozstała się pani z Wichłaczem i więcej go nie widziała?

– Gdzieś w połowie maja przylazł do mnie. Jęczał, że chce się ze mną spotkać, że tęskni... Spławiłam go, był żaloszny. Wyglądał, jak pies siedzący pod płotem domu, w którym jest suka z cieczką. Widział pan takiego psa? Te oczy? Tę nachalną cierpliwość? – Pokręciła głową. – To był ostatni raz, kiedy go widziałam. Kazałam mu więcej nie przychodzić. Nie przyszedł.

– I co robiła pan od tamtej pory?

– Nawiązałam z powrotem kontakt z Markiem. Spotkaliśmy się kilka razy. Nie mówiłam mu, co planuję, bo wiedziałam, że będzie starał się mnie od tego

odwieść. A ja chciałam to zrobić. Musiałam. Cieszyłam się, że mam go z powrotem, żałowałam, że tyle lat straciłam bez niego, nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniłam. Poza tym czekałam. Byłam na L4. Czasem napisałam jakiś tekst i wysłałam go mejlem do redakcji, raz, w któryś weekend, koleżanka z redakcji wyciągnęła mnie na jakąś babską imprezę do Szczecina. Z rzadka robiłam zakupy w sklepie po sąsiedzku. I czekałam. Czekałam na sposobność. Czekałam na ślub z Bednarowskim. I na jego śmierć.

– Dlaczego napisała pani do niego list? Dlaczego po prostu nie zadzwoniła pani spod więzienia albo nie wysłała esemesa z celi? Tylko bawiła się w kuriera?

Milczała, wpatrując się w swoje czerwone paznokcie.

– Sama do końca nie wiem. Ten list był formą terapii. Był przemyślany. Nie chciałam powiadamiać Marka nagle, bałam się, że z nerwów powiem coś, czego będę żałować, czego nie da się już cofnąć... List był chyba najlepszym rozwiązaniem... Nie wiedziałam, że kurier dostarczy go wcześniej. Za wcześniej.

– Optymalizacja pracy. – Michalczyk pokiwał głową. – Mają dużo roboty i ustawiają ją sobie, jak im wygodnie. Pewnie przejeżdżał obok kościoła.

Westchnął. W głowie czuł lekki zamęt, zaczął zastanawiać się, do którego punktu rozmowy jeszcze wrócić. I czy zapytać ją, czy było warto. Wyglądała już normalnie, jakby to, co się stało, faktycznie uwolniło ją od traumy. Patrzył na nią, widział inteligentne oczy za szklami okularów i chciał ją zrozumieć. A może jednak nie chciał...

Nagle zobaczył, jak pod jej zgrabnym nosem pojawia się czerwona plamka, a potem smuga, znacząca górną wargę ciemnym szkarłatem.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, dotykając odruchowo swojego nosa.

Musiała sama poczuć swędzenie cieknącej krwi albo jej wilgoć na skórze, bo w tym samym momencie pociągnęła lekko nosem i delikatnie przytknęła do niego palec wskazujący.

– Tak, dobrze – odpowiedziała i popatrzyła z lekkim zdziwieniem na swój palec. – To nic takiego. Kiedy się mocniej zdenerwuję, zaczyna mnie boleć głowa i dostaję krwotoku z nosa. Poproszę chusteczkę...

Michalczyk podał jej paczkę jednorazówek, leżącą w szufladzie. Przesłuchiwani często ich potrzebowali, choć z nieco innego powodu. Domińczyk wyciągnęła jedną chusteczkę, starannie złożyła ją w zgrabną poduszeczkę i przyłożyła do skrzydełka nosa. Odczekała chwilę, sprawdziła, czy chusteczka jest mocno pobrudzona krwią i poruszyła się na swoim krześle.

– Jestem w ciąży – powiedziała nagle.

Michalczyk aż otworzył usta. Takiego zwrotu się nie spodziewał. Zobaczyła, że zerka na jej brzuch.

– Jeszcze nie widać.

– Czemu nie zgłosiła pani tego wcześniej?

– Zgłaszam teraz.

– Pali pani w ciąży? – Skinął głową w kierunku okna.

– Jest pan moim ojcem?

Michalczyk zamilkł.

– Czy ojciec dziecka wie?

– Powtarzam pytanie: jest pan moim ojcem? Co to pana obchodzi?

– Dobrze. Wobec tego kończymy na razie przesłuchanie, dokończymy jutro, a jeszcze dziś zbada panią lekarz. – Michalczyk popukał w blat stołu. –

Podsumowując: podtrzymuje pani swoje zdanie, że nie zabiła pani ani swojego byłego męża, ani Krystiana Zawadzkiego, ani Wojciecha Wichłacza? I Dawida Lubiszewskiego.

– Zdecydowanie tak. – Spuściła głowę. – Nie zabiłam. Jestem niewinna. Chyba że przestępstwem jest utrzymywanie kontaktów seksualnych z mężczyznami, którzy później stają się denatami...

– Może skończmy już ten temat? – zaproponował Michalczyk. – Mam wrażenie, że to jakaś pani obsesja.

– Taki pan wrażliwy?

– Nie chodzi o wrażliwość. Nie ma pani pojęcia, co widziałem, o czym słyszałem i czego doświadczyłem jako prokurator i jako człowiek. Nie zmienia to także faktu, że jakimikolwiek pobudkami się pani kierowała, to przykre doświadczenia z mężczyznami miała wyłącznie na własne życzenie. A jeśli opowiedziała mi pani o tych wszystkich krzywdzących panią zbrodniach po to, żeby wzbudzić we mnie litość, to się pani przeliczyła. Nie wie pani, jakie mi ludzie rzeczy opowiadali, żeby się usprawiedliwić. Często była to prawda, ale niestety nawet ona ich nie rozgrzeszała z tego, co robili. Bo nic nie usprawiedliwia morderstwa.

– Jest pan o tym przekonany?

– Owszem. – Nawet nie drgnęła mu powieka.

– A był pan kiedykolwiek doprowadzony do takiej skrajności, by pałać żądzą zabicia kogoś? Tak NAPRAWDE? – podkreśliła to słowo. – By mieć stuprocentową pewność, że odebrałby pan temu komuś życie? Łatwo mówić o czymś, czego się nie doświadczyło, co?

Jej oczy płonęły, a jednocześnie była w nich jakaś pustka, jakby patrzyły, ale nie widziały. Uniosła się lekko na krześle, dłonie oparła o stół, mocno; w pozycji, jaką zwykle przyjmuje się, chcąc przy wstawaniu odciążyć nogi. Ale Domińczyk nie wstała. Michalczyk zebrał papiery, sięgnął do dyktafonu i wyłączając go, spojrzał jej w oczy.

– Zostanie pani osadzona w areszcie śledczym do momentu podjęcia przez sąd decyzji, co do pani dalszego losu. Prokurator złożył wniosek o tymczasowy areszt na okres trzech miesięcy...

– Prokurator? – Znów to spojrzenie podszyte kpiną. – Czyli pan? Kryje się pan za swoim stanowiskiem? Czemu nie powie pan po prostu: „złożyłem wniosek o...” i tak dalej? Wstydzi się pan tego?

– Pani się wydaje, że traktuję to wszystko osobiście, co? A to nie tak. Wniosek złożyłem jako obligowany do tego urzędnik, a nie Mateusz Michalczyk. – Zobaczył, jak Domińczyk lekko spuszcza głowę i dodał: – Zarzut usiłowania zabójstwa Piotra Bednarowskiego zostanie rozszerzony o popełnienie trzech innych zabójstw. Na pani miejscu nie spodziewałbym się radykalnej zmiany obecnej sytuacji. Nawet pomimo tego, że jest pani w ciąży. Przykro mi.

– Będę mogła zobaczyć się z Markiem? – zapytała spokojnie, dotykając zmiętą już chusteczką nosa.

– Nie – odpowiedział krótko i dodał: – To wykluczone.

Kiedy szła z policjantem w stronę drzwi, spojrzał za nią i jego wzrok spoczął na jej pośladkach. Zapewne wyłącznie dlatego, że biała plama jej spódnicy odcinała się od czerwieni góry kostiumu i mdłych kolorów ścian wyraźną, bijącą wręcz w oczy plamą. Ale być może z innego powodu. Być może jednak dlatego, że były zgrabne i kształtne. Michalczyk uświadomił sobie, że oba światy: jej i jego, właśnie spotkały się w tym pomieszczeniu.

Wracając po pracy do domu, ze słuchawkami empetrójki wetkniętymi w uszy, myślał o wielu kobietach, które siedziały przed nim tak, jak dziś Domińczyk, i tak jak ona usiłujących przekonać go, że na to, co zrobiły, ogromny wpływ miały świnię zwane mężczyznami. Tak jak jej powiedział, w wielu przypadkach była to prawda, nie wątpił w to. Ale żadna z tych kobiet wcześniej nie umiała uzasadnić swego stosunku do mężczyzn w taki sposób jak Domińczyk. Ani poprzez go takimi doświadczeniami. Kiedy jęk riffów gitary po pierwszych kilku fortepianowych taktach *Would you fight for my love* Jacka White'a wyrwał go z zamyślenia, nie wiedzieć czemu przypomniał sobie swoją znajomą, która uświadomiła mu kiedyś pewną rzecz, na którą wcześniej

nie zwrócił uwagi. W powieściach kryminalnych i sensacyjnych kobiety niezwykle chętnie i szybko wchodzą do łóżka głównych bohaterów, którymi są oczywiście mężczyźni. Podobnie jak autorami. Kiedy się zastanowił nad tym, co powiedziała, prawda tego faktu wydała mu się tak oczywista, jak to, że woda jest mokra. Tyle że wcześniej nie zwrócił na to uwagi. A dlaczego? No, właśnie... Bo ona spojrzała na to oczami kobiety.

Kiedy Michalczyk wchodził do mieszkania i z głębi domu usłyszał cichy okrzyk radości Mikołaja, przestał też żałować dwóch rzeczy. Że w domu nie czeka na niego żadna seksowna panienka, na którą po dzisiejszym spotkaniu z Domińczyk i tak nie miałby ochoty. Oraz tego, że od ośmiu lat ani razu nie trafił w totka nawet cholernej trójki.

Tak było bezpieczniej...

\* \* \*

Wieczorem Michalczyk zrelacjonował Krugłemu to, czego dowiedział się od Domińczyk. Konkluzja była taka, że jeśli przyjąć jej zeznania za prawdziwe, a nie było dowodów, że nie są prawdą, to Michalczyk wciąż nie miał zabójcy czterech osób. Krugły też nie był szczęśliwy z tego powodu. Wizja sowitego wynagrodzenia za oczyszczenie Gruszeńskiego z zarzutów oddaliła się z prędkością światła. Jeszcze raz potwierdziła się stara, ludowa prawda, że witanie się z gąską zbyt wcześnie może rodzić frustracje. A na pewno zrodziło je u Krugłego.

– I twierdzi, że nie wiedziała o zabójstwach Wichłacza i Zawadzkiego? – psioczył Michalczykowi do telefonu. – Ani Lubiszewskiego? Gazet nie czyta? Dziennikarka?

– W gazetach podawali imię i inicjał nazwiska ofiary. Nawet jeśli przeczytała, mogła się nie zorientować.

– A nie pisali, kim były ofiary? Ratownikiem i klawiszem? Przecież wiedziała, kim oni byli z zawodu, z tego powodu ich wybrała.

– Może i pisali.

– No, właśnie! Wybacz, nawet przedszkolak by się zorientował.

– A może nie pisali. Poza tym mówiła, że ostatnie tygodnie spędzała w domu, przygotowując się psychicznie do tego, co chciała zrobić. Do pracy też nie chodziła, bo miała zwolnienie, czasem tylko skrobnęła coś i wysłała do redakcji mejlem. W ogóle nigdzie nie wychodziła, tylko do spożywczaka na osiedlu. Z nikim nie rozmawiała. Pogodziła się tylko z bratem. Spotkała się z nim parę razy.

– I on jej nie powiedział? O Zawadzkim, którego przecież znał i o którego śmierci wiedział? O Wichłaczcu zresztą też...

– W domu powieszzonego nie rozmawia się o sznurze. Na miejscu Sobieraja nie mówiłbym o takich rzeczach własnej siostrze, która przeżyła w dzieciństwie traumę po zabiciu prawie całej rodziny. To chyba naturalne? Ona też mu nie opowiedziała o Zawadzkim i Wichłaczcu, bo jak? Seks za przysługi to nie jest chyba pierwszy temat, który podejmuje się z bratem, szczególnie kiedy jest on księdzem. Poza tym MIAŁ o nich nie wiedzieć, tak?

– Ty, ale że nie spotkali się w więzieniu, kiedy odwiedzała Bednarowskiego?

– Mogła tak ustalać widzenia, żeby Sobieraj nie wiedział. Przecież nie siedział tam przez cały czas...

– To kto ich wszystkich zabił, Mateusz? Przecież nie Grucha, do cholery!

– W czasie zabójstwa numeru zero Domińczyk była w szpitalu. Mam kolegę na Broniewskiego, znaczy jest tam lekarzem, a nie pacjentem. Sprawdził mi na *cito*.

– A gdy ginęli pozostali dwaj?

– Nie wiem – przyznał Michalczyk. – Ona sama nie pamięta dokładnie. A wiesz, że jest w ciąży?

– Z kim?

– Tego też nie wiem. Nie chciała powiedzieć. Powiem ci za to coś jeszcze: wspomniała, że jej były mąż, czyli nasz numer zero, miał nóż wojskowy. Nie było oczywiście mowy o typie i tak dalej, twierdziła tylko, że zniknął razem z nim. Domińczyka znaleziono w lesie, gdzie wybrał się na grzybobranie. Ja wiem, że trudno ścinać grzyby nożem szturmowym, choćby to był najdorodniejszy prawdziwek na świecie, ale może miał go wtedy przy sobie? A sprawca użył go na nim, zabierając go potem ze sobą i od tej pory używa go dalej? Teoria o byłym desantowcu upada wtedy, czyż nie?

– Sam wspominałeś, że zabójca mógł sobie taki nóż zorganizować gdziekolwiek. Czyli, jak sądzę, nie byłeś do tej teorii o komandosie za bardzo przywiązany?

– No, nie – westchnął prokurator. – Może to rozpacзлиwa próba odsunięcia od siebie myśli, że to jednak jakiś szalony klecha.

– Skandal w łonie Kościoła, przy którym błędną pedofilskie wyczyny niektórych jego przedstawicieli. Tego się boisz?

Michalczyk zamilkł na chwilę.

– Lubię stryja Błażka. Naprawdę. Czasem ma drętwą gadkę, sam słyszałeś,

ale to się zdarza u hierarchów. Tak naprawdę gość jest w porządku. On tak wrósł w te struktury, że odczułby ten skandal, jakby był mu winny personalnie, rozumiesz? To by go załamało! A jest po jednym zawale. Stryj i tak strasznie przejął się Sobierajem, rozmawiałem z nim przed chwilą. Fakt, że ksiądz z jego archidiecezji jest winny zabójstwa, napawa go ogromną troską!

– Zgrabnie powiedziane. Nic, tylko dać ci sutannę i koloratkę. Pasowałyby ci.

– To były słowa stryja. Co miał powiedzieć? Że ma doła, bo czarny z jego stajni wyrwał chwastą?

Krugły parsknął śmiechem. Nagle usłyszał, jak Michalczyk również wydaje z siebie dziwny dźwięk.

– Kurwa mać! – wykrzyknął nagle prokurator. – Ty, przecież... Przecież to oczywiste!!! Tam, w gabinecie Mietka, miałeś rację! Oni działali wspólnie, Robert! Żadne tam poświęcanie się dla bliźniego swego! Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć? To był pieprzony teatrzyk, rozumiesz?! A my byliśmy statystami! Ja pierdołę! – gorączkował się. – Zobacz sam: kwalifikacja prawna czynu będzie bardzo skomplikowana...

– Skomplikowana? Jeśli działali razem, to on jest winny zabójstwa, a ona pomocnictwa.

– Akurat. To tylko w teorii jest takie proste. Popatrz. Ona przysłała tam z zamiarem bezpośrednim zabicia Bednarowskiego, ale nie zabiła go. On przyszedł tam być może z zamiarem ewentualnym. Wiedział, co się stanie, godził się na to, lecz sposób, jaki wybrał, by jednak temu zapobiec, stawia go w jeszcze gorszym położeniu. Ale nie do końca. A dlaczego? Bo owszem, jest winny zabójstwa, ale można powiedzieć: w afekcie, a to uprzywilejowany typ zabójstwa, rozumiesz? Zagrożony karą pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat. Od roku, Robert! Psiakrew, zaplanowali to od początku. Nie mieli innej możliwości zbliżenia się do Bednarowskiego. Bednarowski odmawiał spotkania z księdzem, więc Sobieraj nie mógł tego zrobić sam, bo nie miał do niego dostępu. Domińczyk mogła się do niego zbliżyć, i to bez problemu, ale gdyby zabiła go sama, dostałaby co najmniej osiem lat. Musieli więc to zrobić jawnie, bo nie mieli innego wyjścia, ale równocześnie w taki sposób, żeby konsekwencje były jak najmniej dotkliwe. Pięknie! – Michalczyk jakby zapalił się własnym odkryciem. – Pamiętasz Kiedrysa, tego chorego na AIDS? Dam sobie paznokiec uciąć, że Sobieraj jednak go wtedy napuścił na Bednarowskiego. Nagadał mu pewnie, że Bóg tego by chciał, że może w ten sposób odkupić swoje winy... Nie wyszło wtedy, bo Kiedrys chybił i tylko

Bednarowskiego drasnął. Teraz za to trafili bez pudła!

– I jeszcze wykorzystali do tego ciebie i mnie – mruknął smętnie Krugły.

Michalczyk wyraźnie sposepniał, w telefonie słychać było tylko jego przyspieszony oddech.

– Ten list – powiedział w końcu – ta łzawa historia o zemście, kurier, który przypadkiem dostarczył go wcześniej... Wszystko starannie wyreżyserowane. Pieprzeni statyści z nas, co? Marionetki. I frajerzy. Jak ona to napisała w tym liście? „Trybiki w maszynie”? Nie daruję im tego. Nawet jeśli sąd potraktuje ich łagodnie, ja będę kopał tak długo, aż zdobędę jakieś dowody na to, że maczali palce w tych trzech morderstwach. Belzebubowi w dupę zajrzę, jeśli tylko będę miał podejrzenia, że je tam ma. A tobie też powinno na tym zależeć, Robert.

– Aż tak bardzo, żeby zaglądać w czeluści piekieł? Chyba jednak nie...

– Twój wybór. Ale pamiętaj, że o popełnienie tych zabójstw formalnie wciąż podejrzany jest Grucha. A tylko niewinny Grucha to duże fufu od wujka Sokołowskiego. – Westchnął głośno i po chwili znów potok jego słów wylał się z telefonu Krugłego. – Myślisz, że mój szef pozwoli mi go wypuścić? Głupek będzie gnął w pierdłu miesiącami, będę musiał wnioskować o przedłużenie mu aresztu, będę...

– Może Zawadzki zginął właśnie dlatego, że nie chciał Domińczyk i Sobierajowi umożliwić dotarcia do Bednarowskiego? – przerwał mu nagle Krugły. – Może ona chciała za pomocą swoich wdzięków nakłonić go nawet do zabójstwa Bednarowskiego? A Zawadzki chciał to zgłosić, gdzie trzeba?

– Nooo... – W głosie Michalczyka słychać było wyraźny podziw. – Już lepiej. Brzmi to logicznie. A Wichłacz?

– Może z tego samego powodu?

– Twierdziła, że on nie był nawet zainteresowany tym, po co jej skolina.

– A ty, oczywiście, jej uwierzyłeś?

– Przyznaję, w obliczu nowych faktów wygląda to trochę inaczej...

– Pomyśl jeszcze o tym.

– Pomyślę – obiecał i westchnął. – Dobra, Robert, na razie będę kończył. Muszę położyć Mikołaja spać.

– Jasne, na razie.

Michalczyk rozłączył się. Uspokoił się już. I wiedział też, że złamie obietnicę. Nie miał już ochoty myśleć o sprawie Domińczyk i Sobieraja. Chciał odpocząć. Zepchnąć makabryczny obraz agonii Bednarowskiego gdzieś na samo dno umysłu; tam, gdzie więcej go nie odnajdzie. Zdawał sobie



sprawę, że to niemożliwe, chciał jednak chociaż spróbować. Zawsze warto próbować...

Kiedy jego syn zasnął, usiadł w fotelu i słuchał płyt Cocteau Twins i This Mortal Coil aż do późnej nocy; dopóty, dopóki syreni śpiew Liz Fraser nie wyczyścił jego mózgu z resztek mijającego dnia. Przy *Another day* odleciał; zasnął twardym, spokojnym i głębokim snem, przesypiając całą noc w fotelu.

## **Piątek, 17 lipca**

Przesłuchanie księdza Sobieraja prowadził prokurator Michalczyk. Jako delegowany do Szczecina, nie mógłby już prowadzić sprawy rodzeństwa Sobierajów, nie łącząc jej oficjalnie z morderstwami nożownika. Powiązanie obydwu wątków pozwoliło mu w spokoju zająć się tym, co bardzo chciał zrobić – dowiedzieć się dlaczego.

Ksiądz Sobieraj nie był skory do współpracy. Siedział przy stole w sali przesłuchań, z łokciami na blacie i twarzą schowaną w dłoniach. Nie mówił nic. Nie odpowiadał na pytania. Po prostu siedział, jakby zasnął albo zapadł w stupor. Michalczyk co jakiś czas przerywał przesłuchanie, a w zasadzie swój składający się z pytań monolog. Podchodził wtedy do dystrybutora z wodą i nalewał jej sobie trochę do plastikowego kubka; najpierw lodowatej, z kranu z niebieskim kurkiem, a potem trochę wrzątku z tego z czerwonym. Nie chciał się przeziębic. Albo podchodził do okna i wyglądał przez nie, czekając cierpliwie, aż Sobieraj zdecyduje się mówić.

W pewnej chwili, po niemal godzinie tej gry, stojąc oparty o ścianę przy oknie, zauważył, że Sobieraj zmienia pozycję. Oparł ręce o blat i siedział teraz wyprostowany, wpatrując się w ścianę przed sobą. Michalczyk ożywił się, wypił zawartość kubeczka jednym haustem, odstawił już pusty na parapet i wrócił na swoje miejsce.

– Niech ksiądz mi odpowie na chociaż jedno pytanie. – Pochylił się nad stołem, żeby ich oczy spotkały się. – Jedno, jedyne. Czy ksiądz załatwił sobie przydział do Goleniowa? Do parafii Świętego Krzyża?

Sobieraj spojrzał wreszcie na Michalczyka, jakby zastanawiając się, czy spełnić jego prośbę, i odezwał się po raz pierwszy tego dnia. Głos miał zachrypnięty.

– Pan naprawdę myśli, że to wszystko planowałem?

– Oczywiście. – Michalczyk wyprostował się. – Wszystko na to wskazuje. Dosłownie wszystko. Ale najbardziej jestem zły z tego powodu, że wplątał ksiądz w to mnie. I nie tylko mnie. Kilka osób będzie miało przez księdza kłopoty. Być może nawet straci pracę. Pomyślał ksiądz o tym? – Michalczyk

spojrzał w puste oczy Sobieraja. – Więc jak, załatwił ksiądz sobie ten przydział?

– Nie. To był czysty przypadek.

– Ręka Boga, co? – zapytał Michalczyk.

– Nie – odparł twardo ksiądz. – Przypadek.

– Dlaczego ksiądz nie powiedział nam podczas naszego pierwszego spotkania, że znał Wichłacza? Przecież wiedział ksiądz na pewno, że on też został zabity?

Sobieraj wzruszył ramionami. Wyglądał bezradnie, jak zagubione w hipermarkecie dziecko, czekające w informacji na rodzica. Ale przynajmniej zaczął odpowiadać na pytania.

– Nie wiem – wyszeptał. – Po prostu nie wiem dlaczego... Oczywiście, że wiedziałem, ale nie pytaście o niego... I miałem kaca. To mi się naprawdę rzadko zdarza, dlatego nie jestem wtedy w pełni władz umysłowych.

– Rozumiem. A teraz chciałbym się dowiedzieć, czy tę akcję w więzieniu zaplanował ksiądz sam, czy razem z siostrą.

– Powtarzam, niczego nie planowałem. Nie miałem pojęcia, co chce zrobić Agnieszka, dopóki nie przeczytałem listu.

– Podjął ksiądz decyzję w tej jednej chwili, w której go przeczytał?

– Nie. Podejmowałem ją od tamtej chwili aż do momentu, w którym chwyciłem strzykawkę. Nie mogłem pozwolić, żeby to Agnieszka go zabiła.

– Mógł ksiądz po prostu do mnie zadzwonić. Dużo wcześniej. Albo chociaż do więzienia. Zatrzymano by ją przy bramce i nic by się nie stało. Bednarowski by żył, wam nie groziłoby wieloletnie więzienie, księdzu wydalenie ze stanu kapłańskiego... Uważam, że zadziałał ksiądz pochopnie.

– To nie była łatwa decyzja.

– Och, domyślam się. Ale podtrzymuję swoje zdanie. Zakładając, oczywiście, że to rzeczywiście było działanie spontaniczne, a nie planowana zbrodnia. Było spontaniczne?

– Odpowiedziałem na to pytanie dwa razy. Trzeci raz nie odpowiem.

– Znał ksiądz Norberta Domińczyka?

– Nie. Nie wiem, kto to jest.

„Jest”, a nie: „był”. Michalczyk użył formy przeszłej, Sobieraj terażniejszej, co mogło mieć dwojakie znaczenie; albo ksiądz nie znał Domińczyka i nie wiedział, że nie żyje, albo przygotował się na takie pytanie.

– To były mąż księdza siostry, która nawet nosi po nim nazwisko.

– Możliwe...

Michalczyk roześmiał się.

– Proszę księdza, z całym szacunkiem, ale nie rozmawia ksiądz z dzieckiem. Mam uwierzyć, że siostra nie powiedziała księdzu o swoim mężu, o tym, jak miał na imię, jak się nazywał? Przecież odnowiliście kontakt po kilku latach. Ja na waszym miejscu nie mógłbym się z tą drugą osobą nagadać! Chciałbym wiedzieć wszystko! Co się działo przez te lata, co dzieje się teraz... Wszystko! A ksiądz nie wie nawet, jak nazywa się obecnie jego własna siostra! To już ja wiem o ostatnich latach jej życia więcej niż ksiądz. Naprawdę ksiądz się spodziewa, że to łyknę?

– Pan nie ma pojęcia, co się działo z Agnieszką. W jakim była stanie. I jak wyglądało te kilka naszych spotkań.

– Jak wyglądało?

– Milczeliśmy. Patrzyliśmy na siebie, uśmiechaliśmy się, rzadko rozmawialiśmy. Nie musieliśmy się spieszyć. Jasne, że ją pytałem o różne rzeczy, ona czasem wspomniała coś o sobie... O swoim szefie, który ją napastował, o ciotce Grażynie, u której mieszkała, kiedy studiowałem w seminarium...

– O Bednarowskim?

– Nie. O nim nie. Nigdy.

– Nie wracaliście do tego? Nie chcieliście wyjaśnić wszystkiego?

– Co tu wyjaśniać? – Sobieraj wzruszył ramionami. – Ten człowiek skaleczył jej duszę na zawsze. Rozorał ją. Spalił żywcem.

– Ksiądz mu przecież wybaczył. Ona nie?

– Jak widać, nie. I nie mnie to oceniać.

– A komu?

Sobieraj spojrzał na niego.

– Tu, na ziemi? Panu, jako prokuratorowi. A tam, na górze? – Nie dokończył.

– A jednak to ksiądz zabił Bednarowskiego. Dla niej...

Sobieraj wyprostował się nagle. Mięśnie szczęk napięły się pod skórą policzków.

– Tak. Zabiłem go – powiedział głośno i wyraźnie. – Przyznaję się do winy, odmawiam składania dalszych wyjaśnień. Proszę o odesłanie mnie do celi.

– Co ksiądz robił siódmego kwietnia tego roku we wczesnych godzinach rannych?

– Odmawiam składania dalszych wyjaśnień.

– Trzynasty czerwca dwa tysiące piętnaście?

- Odmawiam składania dalszych wyjaśnień.
- Czy jest ksiądz pewien?
- Tak, jestem pewien. Odmawiam składania dalszych wyjaśnień...

# XV

## Poniedziałek, 20 lipca

Dwa dni później, podczas których bohaterowie wydarzeń w celi goleniowskiego zakładu karnego usiłowali znaleźć się jakoś w nowej, niewesołej dla nich wszystkich sytuacji, Michalczyk odwiedził Krugłego, wstępując do niego na chwilę po pracy. Jego delegacja w prokuraturze okręgowej wciąż trwała, nie wiadomo tylko, czy w najlepsze, czy w najgorsze. A Krugły wciąż tkwił w zawieszeniu. Niby sprawę załatwił, ale oczekiwanego efektu wciąż nie było: Grucha nadal siedział w pierdlu, a on wciąż nie dostał kasy.

Na zewnątrz nie było gorąco, ale jakoś duszno. Krugły wyciągnął z lodówki dwie butelki coli. Usiedli przy stole, Michalczyk przyssał się do swojej, jak niemowlę do piersi matki.

– Sobieraj wreszcie zaczął mówić. – Odstawił pustą butelkę, otarł górną wargę i nadstawił twarz, pozwalając, by owiał ją strumień chłodniejszego powietrza ze stojącego obok stołu przenośnego wentylatora. – Twierdzi, że nie pamięta, gdzie był, kiedy zabito Domińczyka, upierając się równocześnie, że nie ma pojęcia, kto to taki. To było dawno temu i praktycznie jest to nie do ustalenia. Tak więc nie ma alibi. Natomiast Agnieszka Domińczyk była wtedy w szpitalu, tak?

– No, skoro tak twierdzisz...

– Tak twierdzą, bo to sprawdziłem, mówiłem ci. Kiedy zabito Zawadzkiego, Sobieraj był w Szczecinie. O siódmej z minutami pobrał numer z automatu kolejkowego w Wydziale Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców Urzędu Wojewódzkiego. Odbierał paszport, bo miał za parę tygodni jechać do Rzymu na pielgrzymkę. Odbierał go osobiście, za pokwitowaniem. Klawisz zginął około szóstej rano, ksiądz za cholerę nie zdążyłby w godzinę dotrzeć z Goleniowa do Szczecina.

– Zdążyłby... I przecież do Włoch można podróżować na dowód osobisty, prawda? Po co mu paszport?

– Wtorek po świętach, korki i tak dalej. Nie ma samochodu, nie ma prawa jazdy. Słabo to widzę. No i musiałby się umyć, wbicie noża w serce to nie jest czysta robota. Przyjmijmy, że nie zdążył, to bardziej prawdopodobne. O wiele bardziej. Jeśli chodzi o paszport, Sobieraj wspominał też coś o Medjugorie, a to Bośnia i Hercegowina, czyli poza Unią i strefą Schengen, więc tu paszport musisz mieć. Nieważne. Za to Domińczyk była wtedy podobno w domu, ale

nikt tego nie może potwierdzić.

– No...?

– Wichłacz. Trzynasty czerwca. Sobota, nad ranem. Domińczyk przypomniała sobie, co robiła tamtego dnia, a właściwie tamtej nocy. Pojechała do Szczecina, w piątek, około szesnastej. Znajoma z redakcji wyciągnęła ją na wieczór paniński swojej siostry. Wróciły do Goleniowa w sobotę po południu. Mnóstwo świadków, alibi pierwsza klasa. Sobieraj? Jego koledzy księży nie pamiętają, czy był na miejscu, czy nie. Plebania to nie akademik, więc raczej nie spędzają ze sobą długich wieczorów, tylko zamykają się przeważnie u siebie w pokojach. Zresztą to był środek nocy. Z kościoła do parku, w którym zginął Wichłacz, jest kilka minut biegiem. Rozumiesz?

– Jeszcze nie do końca...

– Mówiłem ci, że ten list i zabójstwo Bednarowskiego to według mnie ich gra? Ustawka, teatrzyk...

– Z nami jako statystami. Mówiłeś.

– Kiedy jedno z nich ma murowane alibi, drugie nie ma żadnego. Moja teoria się potwierdza. Popełniali te zabójstwa razem, choć osobno!

– Razem, choć osobno... Ciekawa konstrukcja – zauważył Krugły.

– Charakter zabójstw: rany, narzędzie zbrodni, okoliczności i tak dalej, świadczą o tym, że dokonał ich jeden, ten sam sprawca. A jeśli nie? Jeśli to znów gra? Coś w rodzaju nieznanym z pociągu? Rozumiesz już?

– Rozumiem. Ale to będzie kurewsko trudne do udowodnienia.

– Wiem. Ale zrobię wszystko...

– Tak, wiem. Belzebubowi do... Ty, a Lubiszewski?

– Cóż, teoretycznie oboje mają na ten czas alibi. Ona godzinę siedziała u sąsiadki, do której zeszła po coś przeciwbólowego po tym, jak ktoś, najprawdopodobniej Lubiszewski, napadł ją na ulicy. Sąsiadka to potwierdza. On miał wieczorną mszę ze studentami. A po mszy kilkoro z nich poszło do niego na plebanię, na dyskusję. I tu jesteśmy w czarnej dupie. Niekoniecznie u Belzebuba.

– Zauważyłeś, że giną ludzie, którzy w jakiś sposób krzywdzili Domińczyk?

– Nie do końca tak, Robert. Wichłacz jej nie krzywdził, a przynajmniej ona tak twierdzi. Jej były mąż też nie, to już raczej ona jego.

– Ale ze wszystkimi była związana.

– Z Lubiszewskim nie była. Nie znała go nawet.

– A może znała?

– Nie. Raczej nie. Jezu, sam już nie wiem... Może jednak dorwała go w tym parku i zarżnęła...? Ja pierdolę, muszę znaleźć ten nóż! To klucz do wszystkiego; jak będę miał nóż, to reszta pójdzie jak z płatka. Sam pojedę przetrzepać jej mieszkanie i biurko w redakcji, przysięgam! I kwaterę Sobieraja na plebanii też!

– A może cały ten napad i próba gwałtu to też wymysł Domińczyk? Może wcale nie o to chodziło?

Michalczyk poczęstował Krugłego spojrzeniem bazyliuszka. Odsunął się od wentylatora, oparł się i założył ręce za głowę.

– To się zaczyna robić jak las. Im dalej idziesz, tym więcej drzew. Możesz mieć rację, Robert. W takim razie muszę teraz pogrzebać w przeszłości Lubiszewskiego... – Spojrzał na zegarek. – Dobra, lecę na pociąg. Pozdrów Ewcię, na razie.

Krugły odprowadził Michalczyka do drzwi. Wrócił do pokoju i wziął do ręki telefon. Wybrał numer Ewy.

– Cześć, piękna.

– Cześć, przystojniaku.

– Co porabiasz?

– Powoli kończę robotę i zbieram się do domu. Do mamy, znaczy.

– A gdybym po ciebie przyjechał?

– Nooo... Kusząca propozycja. Odwieszysz mnie do Podjuch?

– A nie chciałabyś wrócić?

– Gdzie? Do...?

– Do domu.

– Kiedy?

– Dziś. Teraz.

– A jest bezpiecznie?

– Nie wiem. Ale skoro nic nie zdarzyło się przez ten czas, to mam nadzieję, że tak.

– Ale musimy pojechać do mamy po rzeczy.

– Pojedziemy.

– Robert... Czy ty coś knujesz?

– Ja? Skąd taki pomysł?

– Tak ci się nagle odmieniło?

– Nie nagle. Ckni mi się za tobą...

– Skąd ty znasz takie słowa?

– Gdzieś czytałem. To co?

– Jasne!!! Czekam. Pa.

– Pa.

Kiedy wrócili do domu, usmażyli krewetki tygrysie i wrzucili je do makaronu z sosem śmietanowym, wymieszanym ze szpinakiem i rukolą. Siedzieli przy stoliku i jedli, Krugły popijał obiad winem. Pojedyncze promienie słońca schowanego za ogromnymi lipami, przebijały się pomiędzy liśćmi i lizały ogromny kieliszek, odbijając się w nim migotliwymi refleksami i barwiąc czerwień wina smugami światła. Krugły nie znosił konwenansów oraz białego wina.

– Skończyłeś tę sprawę? Z tym Sokołem, czy jak mu tam? – zapytała Ewa.

– Sokołowskim. Teoretycznie skończyłem.

– A praktycznie?

– Praktycznie skończę, jak mi zapłaci.

– A jak nie zapłaci?

– Nie martw się, zapłaci.

– W sumie masz umowę. Jakby co, pójdziesz do sądu, nie?

– Nie do końca.

– Nie rozumiem?

– Nie szkodzi.

– Co to znaczy „nie szkodzi”? To może mi wytłumaczysz?

– Długo by tłumaczyć...

– A czy my się gdzieś spieszymy? – Wskazała stół. – Siedzimy sobie, obiadek jemy, winko pijemy... Dasz spróbować?

– Nie. Tylko patrzeć możesz.

– Usta chociaż zamoczę.

Krugły upił łyk wina i pocałował ją.

– Tyle możesz.

– Drań. Żartowałam. To co?

– Nie mam umowy i nie pójde do żadnego sądu.

– A możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Ewa, ta dyskusja jest bezcelowa. Facet mi zapłaci. Niedługo.

– A umowa?

Krugły pokręcił głową.

– Świat nie wygląda tak, jak go widzimy. Bo nie widzimy wszystkiego i nie wszystko wiemy. Nieraz pewne rzeczy są poza naszym zakresem, nie tyle pojmowania, co po prostu... obszaru zainteresowania. Nie zdajemy sobie sprawy, że w pewnych sytuacjach, w których wcześniej nie byliśmy, trzeba



zachować się nieco inaczej.

– Czyli nie podpisać umowy?

– Na przykład. I nie musimy nawet wiedzieć o tym, jak się zachować. Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że są inni, którzy wiedzą.

– Czyli ty?

– Dokładnie.

– A jaśniej?

– Nie potrafię jaśniej.

– Po prostu powiedz mi to tak: nie podpisałem z gościem umowy, bo... i tu podajesz powód. Konkretny i jasny.

– Bo nie było takiej potrzeby.

– Ja uważam, że była. Zawsze jest. To jest twoje zabezpieczenie. Nawet na tego pudła, co do suki uciekł, umowę podpisałeś...

Rok temu Krugły przyjął zlecenie na odszukanie psa, który zbiegł z domu w poszukiwaniu przygód. Faktycznie podpisał umowę na usługi detektywistyczne z właścicielką pudła z Dobrej Szczecińskiej, obwieszoną biżuterią gadatliwą matroną, która wyczerpawszy inne możliwości, wynajęła go, błagając, by przyprował Lola do pańci. Oficjalnie pies się nie znalazł, nieoficjalnie leżał w przepuście pod zjazdem z szosy z Dobrej do Sławoborza, w której zdechł, potrącony pewnie przez samochód. Krugły zadał sobie sporo trudu, odnalazł chyba wszystkie suki z cieczką w promieniu pięciu kilometrów, obszedł całą okolicę, wypytywał o Lola, i kiedy ktoś powiedział mu, że trzy dni wcześniej widział białego pudła włóczącego się koło lasu, przeszedł dwa kilometry w jedną i dwa w drugą, przeszukując pobocze, zarośla i rowy. Nie miał serca powiedzieć o tym właścicielce, więc tylko przekonująco kiwał głową, kiedy matrona, ni to pytając, ni to stwierdzając, roztaczała wizję cudownego domu, jaki stworzył Lolowi porywacz, popchnięty do tego niecnego uczynku niezwykłą urodą psa. Krugły dostał za zlecenie pięć stów i zapewne takie coś nigdy więcej nie miało się powtórzyć...

– Pewni ludzie nie podpisują umów – powiedział do Ewy. – Po prostu mówią, że zapłacą, i im się wierzy.

– Boże, Krugły, ile ty masz lat? Jesteś naiwny jak to małe, śliczne coś, co noszę w brzuchu!

– Czy ja dociekam, czy właściwie przyznałaś pomoc socjalną albo czy prawidłowo zareagowałaś w czasie kłótni z klientem?

– Przecież ty nie masz o tym zielonego pojęcia!

– O, właśnie. I *vice versa*, Ewa.

– O, nie, nie. Ja wiem, że prawidłowym zabezpieczeniem twojego interesu jest umowa. To podstawa i to wie każdy...

– Ewa, dajmy już temu spokój...

– Dlaczego?

– Naprawdę chcesz się pokłócić?

– Przecież to ty się kłócisz!

– Ja?!

– Tak, ty!

– Dobrze, zatem decyduję, że kończymy się kłócić poprzez zakończenie tematu.

– Cwaniak. A jak już jesteśmy przy sprawach organizacyjnych, to przypominam o niedopełnionych formalnościach związanych z oświadczeniami. Myślisz, że zapomniałam?

– Nie, nie myślę. Czekam na odpowiedni moment...

– Który w zasadzie właśnie nadchodzi. Albo nawet nadszedł.

– Jeszcze trochę nie jestem gotowy.

– Trochę? Jak można być trochę niegotowym?

– Nie zgromadziłem wszystkich wymaganych akcesoriów.

– Czekasz z tym, aż nasze dziecko wyprowadzi się na swoje?

– Nie, czekam, aż mi klient zapłaci...

– A podpisałeś umowę?

– O, Jezuuu...

\* \* \*

– Co to? – zamruczała Ewa.

Krugły otworzył oczy. Było ciemno, leżał na brzuchu i przez chwilę jeszcze nie wiedział, co się dzieje. Białe cyfry na niebieskim wyświetlaczu budzika pokazywały godzinę, której Krugły nie widział na oczy od lat. Najgłębsza noc, która wkrótce miała zacząć przeradzać się we wczesny świt. Nawet dziwki i złodzieje spali o takiej porze.

– Gdzie: co to? – zapytał.

– Tu, pod twoją poduszką. Coś twardego...

– Zostaw.

– Ale co to jest?

– Po co wkładasz rękę pod moją poduszkę?

– Bo mi tak wygodniej było. Co to?

– Ewa, zostaw i śpijmy już, co?

– Ale w czym problem? Nie możesz mi powiedzieć?

Krugły westchnął.

– Mam tu broń, no. Śpij już.

– Dlaczego nie jest w sejfie?

– Na wszelki wypadek. Chcesz znów pojechać do mamy?

Ewa usiadła na łóżku i Krugły poczuł, jak koc zsuwa mu się z pleców i tyłka, którym świecił teraz w blasku sierpowatego księżyca, wpadającym przez okno sypialni.

– Czyli coś jednak nam grozi? – zapytała.

Krugły westchnął, rozbudzony już i zły. Nie wstał, obrócił tylko głowę w jej stronę.

– Powiedziałem ci, że nie wiem do końca, co się dzieje, i dlatego wołałem, żebyś pomieszkała u mamy. Chciałaś bardzo wrócić, to się zgodziłem, tak? Ale na moich warunkach.

– Żałujesz, że wróciłam? Przecież sam mnie ściągnąłeś.

– Przestań, nie o to chodzi. Chodzi o warunki bezpieczeństwa. Ogólnie pojęte warunki bezpieczeństwa.

– I to dlatego trzymasz rewolwer pod poduszką?

– To nie jest rewolwer, tylko pistolet. I nie pod poduszką, tylko między materacem a tym... no... wezgłowiem. Musiał się przesunąć. Pewnie się wierciłaś.

– To nie ja się wierciłam. Jak myślisz, dlaczego się obudziłam?

– Niech będzie, ja się wierciłem. Ale nie dotykaj go więcej, dobrze?

– Dobrze. A... a mogę dotknąć czegoś innego?

– To znaczy czego?

– Tego... – Wsunęła rękę pod jego biodro, materac ugiął się pod naciskiem jej dłoni.

– W środku nocy?

– Myślisz, że to dla niego problem, że jest noc?

– O... Myślę, że nie... Już nie... Zdecydowanie nie.

– Odwróć się na plecy.

– Proszę uprzejmie... A gdzie masz koszulkę nocną?

– Tam. – Wskazała tonący w mroku kąt sypialni.

– Mniemam...

Patrzył na jej ciało, mleczną skórę fosforyzującą w bladym świetle księżyca, ciemne nabrzmiałe brodawki i wąski trójkąt u zbiegu rozchylnych ud. Klęczała w rozkroku, wodząc dłonią po jego brzuchu, a on czuł, jak

przechodzą go dreszcze. Jej lekko zarysowany brzusek i sam fakt odmiennego stanu oraz związanych z nim fizycznych zmian w wyglądzie wznagał pożądanie. Dotknął jej w najwrażliwszym miejscu, było gorące i wilgotne, a Ewa w tym samym momencie westchnęła, odchylając głowę do tyłu i wyprężając się. Przewrócił ją na plecy i wszedł w nią. Wpuściła go, rozchylając uda jeszcze szerzej, objęła jego ciało nogami, krzyżując je w kostkach i kontrowała biodrami jego pchnięcia, wznagając rozkosz sobie i jemu. Nie trwało to długo, ale głębia doznań w zupełności im to zrekompensowała. Doszli prawie równocześnie, jęcząc z zaciśniętymi zębami, z palcami wplecionymi we włosy. Chwilę później leżeli obok siebie objęci, dysząc i śmiejąc się jak nastolatki po pierwszym razie.

– Myślisz, że nic mu nie zrobiłem? – zapytał Krugły.

Popukała go pięścią w czoło.

– To masz na myśli?

Roześmiał się.

– Mniej więcej.

– Jest niewiele mniejsze od tego, co przed chwilą ze mnie wyjąłeś. Nie ma szans, żebyś go nim uderzył, głąbie. I jest jeszcze główką do góry.

Krugły gapił się w ciemny sufit.

– Trochę późno to wszystko.

– Co późno?

– No... dziecko. Na pierwszej wywiadówce, jak nauczycielka zapyta o rodziców Oleńki i mnie zobaczy, to będzie zdziwiona, dlaczego przyszedł dziadek, a nie tata...

Ewa roześmiała się i zmierzwiła mu włosy.

– Nie śmieć się – powiedział poważnie, odsuwając jej rękę od swojej głowy. – Kiedy będzie zdawać maturę, będziemy staruszkami. Jak jej pomożemy na starcie, jeśli będziemy już starzy, chorzy i niedołążni? Kiedy ona będzie święcić sukcesy zawodowe, my będziemy mówić na chleb: „blep”, a na muchy: „ptapta”...

– Czasu nie cofniesz. Nie chcieliśmy mieć dziecka. To teraz, jak już je mamy, musimy zrobić wszystko, żeby było szczęśliwe... O, Jezu!

– Co się stało?! – Krugły, zaniepokojony, uniósł się na łokciach.

– Boże, poruszyło się!

– Coś ty? To jednak ją tryknąłem?

– Idiota! Samo się poruszyło! Daj rękę! – Wzięła jego dłoń i przyłożyła sobie do brzucha.

- Nic nie czuję. – Krugły był wyraźnie zawiedziony.
- Cicho! Albo powiedz coś...
- Oleńko, słoneczko... Tatuś mówi...
- Znowu! Czujesz?
- Nie...
- No, skup się, facet!
- Przecież się... Jezu, faktycznie! Kopnęła mnie!

Ewa zaczęła nagle płakać. Krugły nie miał pojęcia dlaczego. Przecież w takich chwilach trzeba się cieszyć, a nie ryczeć. Cóż, na Wenus pewne rzeczy są kompletnie inne niż na Marsie...

## **Wtorek, 21 lipca**

Tego dnia upał oblepiał wszystko swoimi mackami. Południe Polski trapiły burze, a Szczecin grzał się w piekielnym żarze, choć to i tak jeszcze nie był szczyt możliwości natury.

Krugły leżał na kanapie w samych slipach i starał się nie poddawać spiekocie. Ewa poszła do pracy, choć upał dawał się mocno we znaki, a on sprawdzał w telefonie pocztę i zastanawiał się, czy przyjąć zlecenie od zdenerwowanej podejrzanym zachowaniem męża kobiety. Nie było przeciwwskazań: sprawa Gruchy była już w rękach Michalczyka, kasa od Sokołowskiego była jeszcze w rękach Sokołowskiego, a on nie miał w tej chwili żadnej innej roboty, oprócz rozmyślania na okrągło, kto założył mu w mieszkaniu podsłuch. Nie było nad czym się zastanawiać, jeśli chodzi o zlecenie. Stwierdził, że odpisze na mejla z laptopa. Zablokował wyświetlacz telefonu i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w obudowę komórki, w miejscu, w którym przecinała ją wąska szpara zasłonięta siateczką o mikroskopijnych oczkach. Tamtędy do urządzenia dostawały się dźwięki. Nie tylko te, które wydawał z siebie Krugły podczas rozmowy, ale także te z otoczenia. Coś nagle zaskoczyło. Momentalnie.

Krugły podszedł do laptopa i wszczął małe, ale obfite w wyniki internetowe śledztwo. Zakończył je pięć minut później i był już niemal pewien, że jego nieprawdopodobne podejrzenia mogą być prawdą, choć nadal trudno było mu w to uwierzyć.

Włożył bermudy i podkoszulkę, wyszedł z mieszkania, poszedł piętro wyżej i zapukał do drzwi Gosi Bogackiej. Otworzył Marcin.

- Cześć, Robert. Mamy nie ma.
- Nie szkodzi. Pożyczysz mi na chwilę swój telefon?
- Jasne!

W oczach chłopaka było nieme pytanie, ale nie zwerbalizował go.

– Zaraz ci oddam – obiecał Krugły.

– W porządku. Ale nie dostanę potem rachunku na półtora tysia?

– Spokojnie...

Zszedł na podwórze, wpisał do telefonu Marcina jeden z numerów z listy kontaktów swojego i wcisnął „Połącz”.

– Halo? – usłyszał.

– Cześć, Pid. Krugły z tej strony.

– Zmieniłeś numer?

– Nie, na wszelki wypadek dzwonię nie ze swojego.

– Znowu pajak coś ci przytargał?

– No, właśnie mam takie podejrzenia. Wpadłbyś ze swoimi dziećmi?

– Nie ma mowy. Po ostatnim razie rzygałem cały następny dzień. Przenicowało mnie na lewą stronę! Żartowałem... Żartowałem, że nie wpadnę.

– Słuchaj... To dość pilne... Więc jakbyś mógł się zorganizować jakoś w miarę sprawnie, byłbym ci dozgonnie wdzięczny.

– Jak pilne?

– W zasadzie problem jest palący.

– Wpadnę koło południa.

Krugły odetchnął.

– Tylko dyskretnie. Musimy to zrobić w taki sposób, żeby gość się nie zorientował.

– Dobra. – Huryń spoważniał. – Coś wymyślimy. Przelecimy się razem po chacie.

Przyjechał krótko po południu. Powtórzyli procedurę sprzed dwóch tygodni, tyle że tym razem Krugły rozmawiał przez telefon z Berdakiem. Gdyby faktycznie ktoś Krugłego podsłuchiwał, kroki dwóch osób w całkowitej ciszy mogłyby być trochę podejrzone. Zatem zafundował podsłuchującemu niezobowiązujące pogaduchy o niczym, podlane sosem wspomnień.

– Telefon masz czysty – powiedział Piotrek cicho, kiedy po wszystkim wyszli na klatkę schodową. – Ale w tamtym miejscu na komodzie, które mi pokazałeś... – Wskazał za siebie. – ...nadaje jakiś pierdolony J-23.

– Mógłbyś go zagłuszyć na chwilę?

Piotrek wzruszył ramionami.

– Bez problemu. Jedno z moich dzieci w walizeczce to zagłuszacz sygnału.

– Gość się nie zorientuje?

– Jeśli odbiornik jest aktywowany głosem, a pewnie jest, to nie powinien się zorientować. A jeśli nie... Cóż, to zawsze może być przypadkowy szum elektromagnetyczny. Zwłaszcza jeśli będzie trwał bardzo krótko, a potem znów będzie czysty sygnał. Czemu mam go zagłuszyć tylko na chwilę?

– Bo facet ma myśleć, że nic nie wiem o pluskwie. Chodź.

Wrócili cicho do mieszkania. Krugły poprosił na migi o włączenie zagłuszacza. Ostrożnie wziął z komody pudełko z różańcem i otworzył je. Wyciągnął delikatnie różaniec i odłożył go na bok z cichym chrzęstem koralików. Pogmerał delikatnie pod wyściełającą pudełko cieniutką jak bibuła pianką i wyciągnął z niego coś jeszcze. Huryń spojrzał na jego dłoń i zagwizdał.

– Ja pierdołę... Poprzednia była za telewizorem, dobrze pamiętam? Zajadły jest facet, co? Ale se kryjówkę wymyślił... W życiu bym na to nie wpadł. Myślisz, że chuj jeden zostawił odciski na pudełku?

Krugły pokiwał głową, zapakował pudełko do foliowego woreczka, schował je do kieszeni kurtki, a potem delikatnie odłożył pluskwę na komodę i zdjął lateksowe rękawiczki. Wskazał wzrokiem urządzenie, które trzymał Piotrek, więc kiedy wyszli cicho na korytarz, tamten je wyłączył.

– J-23 znowu nadaje – szepnął Huryń.

Po chwili obaj stali na półpiętrze klatki schodowej. Krugły wyjrzał przez okno na podwórko; betonową studnię z trzech stron objętą zachłannie ścianami kamienicy i oficyn, a z czwartej trzymetrowym murem. Ponury plac wylany betonową posadzką urozmaicały oprócz trzepaka dwie donice z dorodnymi bukszpanami, które jeden z bardziej zatroskanych beznadziejnym stanem podwórka sąsiadów przytachał z działki. Słońce nie zaglądało tu nigdy.

– Tak jak mówisz, ktoś jest wyjątkowo uparty. – Krugły wskazał na drzwi swojego mieszkania. – Drogi jest ten sprzęt, który mi podłożył?

– Ja wiem? Zapytaj hobbysty, czy jego hobby jest drogie... Co ci powie?

– A jaśniej?

– Po prostu wygląda mi to tak, jakby ktoś, kto to robi, był hobbystą. Takie mam wrażenie, no...

– Na czym je opierasz?

– Jak by ci to powiedzieć? Sprzęt nie jest z najwyższej półki, ale sposób, w jaki jest używany... – Piotrek wskazał kieszeń kurtki Krugłego, w której tkwiło pudełko. – ...świadczy o dużym zaangażowaniu. Profesjonalista działałby na lepszym sprzęcie i dzięki temu nie musiałby się bawić w takie rzeczy. A ktoś, kto nigdy wcześniej tego nie robił... Pewnie, że mógłby pójść

do specjalistycznego sklepu i by mu doradzili, ale... Nie wykazałby takiej inwencji, widać by było rękę nowicjusza. Ja bym to rozpoznał, z doświadczenia. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Krugły w zamyśleniu pokiwał głową.

– Ten rower, co wisi u ciebie na ścianie – powiedział Pidu, skinąwszy głową w stronę drzwi – wygląda na dość drogi...

– Kompletowałem wyposażenie ponad rok, bo musiałem odkładać kasę. Niezły jest, ale są dużo droższe i lepsze.

– I o to mi chodziło.

– To chyba już rozumiem – powiedział Krugły. – A, słuchaj... Tamta poprzednia pluskwa była za telewizorem. Obok jest wieża z radiem, Ewa często go słucha. Myślisz, że to mogło powodować jakieś zakłócenia sygnału?

– Nie, tamta pluskwa działa w innym zakresie fal. Pasma radiowe nie powinny spowodować żadnych zakłóceń. Telewizor też nie.

– Czyli, podkładając ją za telewizorem, facet wiedział, co robi?

– Najprawdopodobniej tak.

– Okej, dzięki. – Krugły klepnął Piotrka w ramię. – Wiszę ci.

Huryń zasalutował i roześmiał się. Zaraz potem jego sto dwadzieścia kilo i dwa metry zbiegało z głuchym hukiem na dół, po dwa stopnie naraz, machając aluminiową walizką. Krugły, obserwując go, pomyślał, że na trzeźwo obchodzi się z nią o wiele mniej ostrożnie. Potem znów zszedł na dół, na podwórze, i zadzwonił do Michalczyka. Użył telefonu Marcina, na wszelki wypadek. Strzeżonego, i tak dalej...

– Słucham, Michalczyk. – Głos w telefonie był chłodny i oficjalny, według Michalczyka miało to zrazić potencjalnego upierdliwca do zwracania mu głowy w przypadku, gdy sprawa nie była zbyt ważna. Na czym oparł swe przekonanie, że to działa, Krugły nie miał pojęcia.

– To ja, Robert. Słuchaj, jest pilna sprawa, wpadnę do ciebie za chwilę. Gdzie jesteś? W Goleniowie? W swoim gabinecie? To nic już nie mów, tylko wyjdź na korytarz. Już, wyszedłeś...? Dobra. Po drugie: skoro już jesteś w Goleniowie, to podjedź do aresztu i zapytaj Sobieraja, jak nazywa się osoba, która odwiedziła go w dzień poprzedzający naszą pierwszą wizytę u niego na plebanii. Pamiętasz, był taki skacowany, jak mi zionął w twarz, to się zachwiałem? Albo nie jedź, tylko zadzwoń do kogoś tam, na Grenadierów, żeby go spytał! Zresztą nieważne jak to załatwisz, byle szybko. Jak najszybciej! A kiedy już będziesz miał to nazwisko, zapytaj o tę osobę Domińczyk. Czy zna kogoś takiego. Okej? Czeka...! To jeszcze nie wszystko!



Jeśli faktycznie to będzie ta sama osoba, sprawdź ją. Kim jest, gdzie mieszka, gdzie pracuje. I zdobądź zdjęcie. Muszę je zobaczyć.

– A jeśli będzie kilka osób o tym nazwisku?

– Zawęż do obszaru województwa, i to spokojnie do jego zachodniej części. Jak będziesz miał zdjęcia, to nie będzie problemu. Rozpoznam go.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Jeszcze nie. Nie chcę zapeszyć! I jeszcze coś: absolutnie nie załatwiał tego ze swojego gabinetu, dobra?

– Bo?

– Po prostu nie rób w nim nic, co jest związane z naszą sprawą. Rozumiesz? W okręgowej tak, ale u siebie broń cię Panie Boże!

– Zauważyłem u ciebie skłonność do popadania w paranoję. Niepokoi mnie to deczko. To prokuratura, Robert, więc jakim niby cudem...?

– Załatwiał. Nie ze swojego gabinetu. Cześć!

W całej swojej karierze policyjnej Krugły doznawał tego uczucia wielokrotnie. Kiedy potwierdzały się jakieś jego przypuszczenia, nawet kiedy miał już pewność, co do tożsamości sprawcy albo przebiegu wydarzeń i następowała chwila taka jak ta, gdy otrzymywał ostateczny, potwierdzający jego domysły dowód, ostatni klocek pasujący do układanki, czuł nagłe, wilgotne zimno. Wędrowało po plecach, pełzło wzdłuż kręgosłupa i sięgało karku. Nie było nieprzyjemne, odkąd po trzecim razie zorientował się, w jakim momencie się pojawia. Czuł to teraz. Jego macka sięgała już linii włosów z tyłu głowy. Koniec sprawy był bliski. Ale nazwisko, które dał Michalczykowi do sprawdzenia, nie było jeszcze ostatnim klockiem tej układanki. Ostatni klocek miał on.

Wrócił do góry i oddał telefon Marcinowi. Potem zszedł do siebie. Czterdzieści minut później miał odpowiedź od Michalczyka. Aleksander Wahl. Sobieraj podał takie nazwisko, Domińczyk potwierdziła, że zna taką osobę. Żeby mieć całkowitą pewność, Krugły musiał jeszcze pojechać do kurii i spotkać się z księdzem kanonikiem Lachertem. Ale to później, teraz nie było na co czekać. Wysłał do Hurynia esemesa, czy ma jeszcze trochę czasu. Miał. Krugły pojechał więc najpierw po niego, a potem do Goleniowa.

Kiedy pojawili się w tamtejszej prokuraturze, większość jej pracowników wychodziła już do domów. Gdy weszli do gabinetu Michalczyka, ten właśnie schylał się na krzesło, sięgając po leżącą pod biurkiem teczkę. Krugły przyłożył palec do ust w geście milczenia i machaniem wywołał prokuratora na korytarz. Pidu stał pod ścianą ze swoją walizką i nie odzywał się.

– Co jest, panie paranoik? – zapytał Michalczyk Krugłego, wyraźnie zdziwiony. – Wysłałem ci nazwisko esemesem. Nie dostałeś?

– Dostałem. Ale to jeszcze nie wszystko. Żeby mieć pewność, muszę mieć jego twarz.

– Jutro, Robert. Pewnie zdążyłeś zapomnieć, ale ludzie w urzędach i instytucjach publicznych kończą pracę mniej więcej o tej porze. Nic już dziś nie załatwimy. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – Zerknął w bok i dodał cicho: – Ten wiking przyjechał z tobą?

Krugły wyciągnął z kieszeni pudełko po różańcu.

– O to chodzi. Załatw to, proszę cię, z samego rana. Odciski palców. – Wskazał pakuneczek wzrokiem. – Będą pewnie należały nawet do kilku osób, będą też moje... Dla porównania złożyłem swoje na tej płytce, która też jest w woreczku. – Widząc szeroko otwarte oczy Michalczyka, dodał: – Tu schował kolejną pluskwę.

Michalczyk przeniósł wzrok z pakuneczku na Krugłego, a potem na Hurynia.

– I...?

– I niech porównają te „nie moje” z paluchem zdjętym z biurka Zawadzkiego. Któryś powinien pasować. I jeśli jutro poznam twarz na którymś ze zdjęć, a pewnie tak będzie, to mamy go, Mateusz. Mamy go...

Michalczyk wypuścił z płuc powietrze. Głośno.

– Muszę to przepuścić przez Szczecin. A po co w ogóle przyjeżdżałeś? Mogłeś mi dać to jutro w Szczecinie, dziś tu jestem przypadkiem... – Urwał nagle i powiedział zaskoczony: – Domińczykowa, jak ją o niego spytałem, powiedziała, że facet był w niej kiedyś zakochany. Na zabój... Tak się wyraziła: na zabój...

– To jeszcze nie wszystko.

– Nie? – zdziwił się Michalczyk. – Jeszcze jakieś niespodzianki?

– Po to właśnie przyjechałem...

Krugły wciągnął Michalczyka z powrotem do jego gabinetu, znów przystawiając palec do ust. Huryni wszedł za nimi. Korzystając z okazji, Michalczyk zanurkował pod biurko po swoją teczkę. Wyglądał zabawnie, zza blatu wystawała tylko jego głowa, widać wcześniej przypadkiem przesunął teczkę nogą zbyt głęboko i teraz nie mógł jej dosięgnąć. Pidu ostrożnie wyciągnął z torby detektor, włączył go i zaczął chodzić po gabinecie Michalczyka. Prokurator zastygł w skulonej pozie, z ręką wciąż wyciągniętą po teczkę. Z głupią miną obserwował Hurynia, usta miał lekko otwarte ze zdziwienia. Otworzył je jeszcze szerzej, kiedy Huryni dołączył do niego pod

biurkiem, a po chwili wyłonił się spod niego, trzymając coś w ręku. Pluskwę. Z kieszeni wyciągnął małe monterskie szczypce i zacisnął je na urządzeniu. Trzasnęło cicho i Krugły pokiwał głową.

– Już możesz mówić. To jest Piotrek Huryń, a ten pod biurkiem to Mateusz Michalczyk. Poznajcie się...

– Ja... jebię – wyjąkał Michalczyk, wstał z klęczek, wypuścił z ręki teczkę i opadł na swoje krzesło. – Zabijcie mnie, a i tak nie mam pojęcia, kto i jak... I sorki za paranoika...

## **Czwartek, 23 lipca**

Dwa dni później Krugły wciąż nie wiedział, co dzieje się w sprawie, którą właśnie rozwiązał. Prawie rozwiązał, bo wiedział: kto, ale nie wiedział do końca dlaczego. Ale dowiedzenie się tego to była już działka Mateusza.

Poprzedniego dnia Michalczyk zdobył dane i zdjęcia trzech osób o tych samych personaliach, zameldowanych na obszarze województwa zachodniopomorskiego. Jedna miała osiemdziesiąt dwa lata, więc odrzucili ją od razu. Druga mieszkała w Szczecinie, trzecia w Goleniowie. Zdjęcia rozwiąły ostatnie wątpliwości co do tożsamości mordercy, chociaż i tak bardzo krótka rozmowa, którą Krugły przeprowadził kilka godzin wcześniej z księdzem kanonikiem Lachertem w kurii, ostatecznie potwierdziła jego podejrzenia. Michalczyk za to po obejrzeniu zdjęcia mordercy zorientował się, jak pluskwa znalazła się w jego gabinecie. „Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale pamiętam, że gdy do mnie przyszedł, pomyślałem, że wygląda jak ostatnia pierdoła – opowiadał Krugłemu z niedowierzaniem w głosie. – Twierdził, że posiada informacje o grubym przekręcie w goleniowskim magistracie i co ja na to. Zainteresowałem się tematem, oczywiście, ale jak zaczął pierdolić o tym, że burmistrz kontaktuje się z kosmitami, to zasugerowałem mu wizytę w gabinecie lekarskim. Potknął się, kiedy wstawał z krzesła, a wstając, oparł się o biurko...”

Sokołowski był wyraźnie zawiedziony, że siostrzeniec jeszcze nie wyszedł z aresztu, choć Krugły obiecał mu rychłe rozwiązanie sprawy. Ale mógł być spokojny, to była tylko kwestia czasu. Odcisk palca z miejsca zbrodni pasował do jednego z tych, które były na pudełku przekazanym do laboratorium przez Krugłego *via* Michalczyk. Pozostało tylko zorganizować zatrzymanie. Zajęło to trochę czasu, lecz dziś wszystko miało się definitywnie zakończyć. Tyle że Michalczyk od prawie dwóch godzin nie odbierał telefonu, a ostatnia wiadomość od niego brzmiała: „Jedziemy po niego”. Kiedy wreszcie zadzwonił, Krugły rzucił się na telefon jak sęp na wątrobę Syzyfa. Żarłocznie

i ze stuprocentową pewnością, że smakowita uczta go nie ominie.

– Robert! – W tle słyhać było jakiś szum, widać prokurator był na zewnątrz. – W domu jesteś?

– A gdzie mam być? – burknął Krugły. – Czekam na jakiś znak od ciebie. Własne jaja można znieść...

– Włącz telewizor. Polsat News albo TVN24. – Głos Michalczyka był dziwnie wesoły. – I daj mi znać, jak to zobaczysz.

– To znaczy co?

– Będiesz wiedział – rzucił i rozłączył się, zanim Krugły zdążył o cokolwiek zapytać.

Podejrzewał, że to była zemsta za akcję z nazwiskiem sprzed dwóch dni, kiedy nie chciał powiedzieć Michalczykowi, o co chodzi.

Odłożył telefon na stół i wziął do ręki pilot. Włączył telewizor, przerzucał programy, aż trafił na blok kanałów z serwisami informacyjnymi. W TVN-ie pokazywali wyjazdowe posiedzenie darmozjadów w którymś z miast wojewódzkich, więc Krugły od razu zorientował się, że to nie to. Polityka, według Michalczyka, była rzeczą absolutnie niewartą jakiegokolwiek uwagi. Ale na czerwonym pasku przelatującym przez ekran kątem oka zauważył nazwę miejscowości. Goleniów. Minutę później darmozjady zniknęły. Zrobił głośniejsze. Zobaczył twarz zaaferowanego reportera, za nim stało kilka radiowozów, karetka pogotowia i wóz bojowy straży pożarnej. Kamerzysta też musiał być zaaferowany, bo w kadr wszedł również wóz transmisyjny konkurencyjnej stacji. Krugłemu zrobiło się gorąco, choć wcale nie z powodu logo Polsatu. Nie usłyszał, co mówi reporter, bo facet nagle zniknął z wizji, ustępując miejsca innemu. Widok był przedziwny.

Nagi mężczyzna stał w oknie na drugim piętrze, trzymając się kurczowo słupka ramy okiennej. W drugiej ręce trzymał czarny nóż, który przykładął sobie do szyi, tuż pod łukiem żuchwy. Tłum gapiów stał w odległości kilkudziesięciu metrów, oddzielony od bloku trawnikiem, betonowymi donicami z uschniętym zielskiem i kordonem policji, znad którego wystawał las zaciśniętych na komórkach rąk. Przedstawienie trwało w najlepsze, główny aktor monodramu dawał z siebie wszystko. Sympatyczna twarz księdza kanonika Remigiusza Lacherta, a właściwie człowieka nazwiskiem Wahl, który się za niego podawał, była czerwona z emocji. Żyły i ścięgna nabrzmiały na szyi grubymi węzłami, rzadkie włosy, zlepione w strąki, przylepiły się do boków głowy i czoła, niczym źle dopasowana peruka.

– ...a Bóg oznajmił przez proroka Johna Andertona z Teksasu, że

*w Gorzowie Wielkopolskim w kwietniu dwa tysiące jedenastego roku nastąpi potężne uduchowanie społeczeństwa polskiego... – Jego głos niósł się lekkim echem i nikał między blokami, nie wszystkie słowa dało się zrozumieć. – ...i pojawi się wśród niego sprawiedliwy, ten, który poprowadzi ich nie na zgubę, jak chciał Zły, lecz prosto w ramiona Mojżesza, który czeka już w niebiesiech! – Czubek noża zatoczył łuk i pozostał przez chwilę wycelowany w niebo, w geście dystygowanego oficera, wychylającego się z okopu, by dać znak szarży na nieprzyjaciela, a potem wrócił do szyi. – Osoby, których duch ludzki jest chroniony Duchem Bożym, czego nie było od czasów apostołów...*

Krugły, nie spuszczać wzroku z ekranu telewizora, wziął telefon i zadzwonił do Michalczyka.

– Widzisz to? – zapytał prokurator, kiedy wreszcie odebrał.

– Widzę – bąknął Krugły. – I oczom nie wierzę.

– Ja też.

– Ktoś coś spierdolił? – Pytanie miało lekko sugerujący ton.

– Nie, to nie tak. Nno, może po prostu trochę go nie doceniliśmy, przyznaję. Wszystko miało odbyć się schematycznie i grzecznie. Ale się łobuz zorientował i chyba już wiem jak. Jeden z „kominiarzy” zauważył kilkanaście minut temu kamerkę na podbitce dachu sąsiedniego budynku. Jest skierowana na wejście do jego bloku. Administracja osiedla nie przyznaje się do niej, ale biorąc pod uwagę jego wykonywany zawód, nie mam do administracji więcej pytań. Informatyk, kurwa, w komendzie powiatowej, dasz wiarę? – Krugły wyobraził sobie, jak Michalczyk z niedowierzaniem kręci głową. – Zabarykadował się w swojej kawalerce. Negocjator nie może z nim nawiązać żadnego logicznego kontaktu. Pokazują w tiwi, co on wygaduje?

– Owszem, pokazują. Co mówi i jak wygląda. Tylko wypikselowali mu imponderabilia.

– Cyrk, co?

– Ano cyrk. I tak dobrze, że nie pokazał się w sutannie. Kiedy kończycie?

– Jak tylko „czarni” wywalą drzwi do mieszkania. Mówią, że nawet te u nich, w magazynie broni, nie mają tylu zabezpieczeń.

– A jak wybierze drogę na skróty?

– Pod oknem strażacy rozłożyli skokochron.

– A jak się dźgnie tym majchrem?

– W ostateczności w odwodzie jest snajper. Dostanie gumową kulą w klatę i po sprawie... Ty, patrz, co się dzieje... Pokazują? Widzisz to?!

– Widzę...

Krugły obserwował, jak cztery czarne ręce pojawiają się w oknie, obejmują nagie ciało i ściągają je z parapetu, a dwie kolejne, również czarne, dłonie chwytają za nadgarstek ręki trzymającej nóż, odsuwając go od szyi. Na tle ciemnego prostokąta otworu okiennego majaczyły głowy w kevlarowych hełmach. Po chwili mężczyzna, na którego twarzy malowało się absolutne zaskoczenie, zniknął z wizji, a w tle rozległ się ryk i oklaski rozentuzjasmowanego tłumu. Krugły wyłączył telewizor. Pożegnał się z Michalczykiem, jeszcze przez chwilę patrzył w czarny ekran, a potem przebrał się, zdjął z wieszaka na ścianie korytarza rower i pojechał do Puszczy Wkrzańskiej dać sobie w kość.

# XVI

## Później

Krugły znów siedział u Michalczyka w gabinecie, znów spoglądał przez okno na podwórze i rozglądał się po nijakich ścianach ciasnego pomieszczenia, zastanawiając się, czy utknąć w przyciasnym foteliku. Lecz tym razem było mu dużo lżej na duszy. Czuł wewnętrzny spokój, coś jak atmosfera wspominkowego spotkania, na którym rozmawia się o tym, co się skończyło. Już na luzie, bez spinki i nerwów, które towarzyszyły zebranim, kiedy to wszystko się działo. No i perspektywa grubszej gotówki od Sokołowskiego... Taaak, Krugły naprawdę czuł ten spokój.

– Aleksander Wahl – zaczął Michalczyk urzędowym tonem, który zmienił się na pełen niedowierzania, kiedy kończył – *vel* Remigiusz Lachert, lat trzydzieści sześć, niedoszły ksiądz, z wykształcenia informatyk, zatrudniony jako cywilny pracownik policji w komendzie powiatowej w Goleniowie. Mieliśmy go pod samym nosem. – Spojrzał na Krugłego i mrugnął jednym okiem. – Historia lubi się powtarzać, co, panie inspektorze?

– Były inspektorze... – bąknął Krugły odruchowo i uśmiechnął się do siebie.

– Tu to co innego oczywiście – rzucił Michalczyk. – Nie ta liga, ale niesmak pozostaje... Przyjaciół Sobieraja z czasów licealnych i pierwszych dwóch lat studiów w seminarium, zakochany do szaleństwa w Agnieszce Domińczyk, *de iure* Bednarowskiej, *de domo* Sobieraj. Relegowany z WSD w Szczecinie za alkoholizm i niestosowne, niegodne kleryka zachowanie. Od dwóch lat zatrudniony jako cywilny pracownik w tutejszej komendzie policji, obsługiwał sprzęt informatyczny tu i w jednostkach podległych na terenie powiatu; komisariacie w Nowogardzie i posterunkach w Maszewie, Przybiernowie i Stepnicy. Oprócz tego prowadził sklep internetowy z drobną elektroniką, ale o dość szerokim asortymencie, jak mieliśmy zresztą obaj okazję się przekonać. Zabójca Norberta Domińczyka, Krystiana Zawadzkiego, Wojciecha Wichłacza i Dawida Lubiszewskiego. Ogarnięty manią religijną świr o aparycji totalnej pierdoły. Dwukrotnie przyłapany na podawaniu się za księdza katolickiego, w takim przebraniu zresztą, w tym raz na terenie WSD, sześć lat temu. I jeszcze raz przez ciebie, w Różance. Tyle ja. Teraz ty. Jak wpadłeś na to, że to on?

– Przez pluskwy. Wszystko przez pluskwy w moim mieszkaniu.

– Coś czuję, że to będzie skomplikowany wywód...

– Jakbyś zgadł. Kiedy znalazłem podsłuch za telewizorem, skontaktowałem się z Sokołowskim, żeby mu to gównem przekazać z pozdrowieniami dla człowieka, którego wynajął, żeby mi ją podłożył. Taki prztyczek to miał być, rozumiesz?

– Nie. Dla mnie to po prostu dziecinada...

– Dziecinada mówisz? Nieważne. Tak się składa, że gdyby nie ta dziecinada, to nie wiem, gdzie byśmy teraz byli. Pewnie stałbyś nad piątym czy szóstym trupem, mędrkując, o co w tym wszystkim chodzi. W każdym razie wkrótce pojawił się drugi podsłuch. Sokołowski nie chciał ujawnić tożsamości tego swojego eksperta. Nawet kiedy przekazał mi informację od niego, gdzie tamten zostawił swoją pluskwę, dalej mogłem podejrzewać, że gość podłożył po prostu dwie i teraz woli przyznać się do drugiej, zanim sam znajdzie ją, a potem jego. Niedawno ustaliłem w końcu, kto był tym ekspertem i dowiedziałem się, że to faktycznie nie on podłożył tę drugą. A jeśli nie on, to kto? I po co? Nie miałem wtedy jakichś ważnych zleceń, tylko sprawę Gruchy. Na marginesie, Grucha miał z tymi zabójstwami najmniej wspólnego ze wszystkich zaangażowanych w nią osób, ale tak tę sprawę nazywam, bo od niego zacząłem grzebanie. I ponieważ przyjęcie „sprawy Gruchy” pokrywało się czasowo ze znalezieniem pierwszego podsłuchu, uznałem, że to mogło być to: sprawa „rytualnych” zabójstw.

– Mogło, ale nie musiało.

– Niby racja. Nie można tworzyć teorii, nie posiadając danych, na których można by je oprzeć. Zamiast tworzyć teorię zgodną z faktami, zaczynasz dostosowywać i naginać fakty w taki sposób, aby to one były zgodne z nią. To niebezpieczne. Ale czas leciał, nie miałem innego punktu zaczepienia, więc w tym kierunku poszedłem. I tak sobie krążyliśmy najpierw wokół księdza Sobieraja, potem wokół tajemniczej brunetki z grzywką i dużym biustem... A potem Bednarowski i jego śmierć w sali widzeń intymnych. Mieliśmy tylko przecucie, że oba wątki, Sobierajów i „rytualnych” zabójstw, w jakiś sposób się łączą. Tylko ta pluskwa do niczego nie pasowała. Które z nich? Późno, bo późno, ale w końcu doszedłem do wniosku, że twoja teoria, Mateusz, o współdziałaniu rodzeństwa Sobierajów, owszem, trzyma się kupy, ale przecież nie musi być prawdą, tak?

– No i nie była...

– Uznałem, że mimo wszystko niemal na pewno musi to być ktoś z kręgu osób w jakiś sposób powiązanych ze „sprawą Gruchy”.

– Dlaczego akurat Wahl?



– Czysta eliminacja, jak z Sherlocka Holmesa. Jeśli odrzucisz wszystko, co niemożliwe, to, co pozostało, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. Oni wszyscy nie mogli zrobić tego fizycznie, wynajęcie kogoś też było mało prawdopodobne. Grucha? Od początku wiedzieliśmy, że to nie on, zresztą po numerze drugim zapuszkowałeś go. Sobieraj? Owszem, był na naszym celowniku, ale po incydencie w celi i ujawnieniu jego siostry to wszystko wydało mi się jakoś grubymi nićmi szyte. Niby możliwe; ten brak alibi jednego z nich co drugą zbrodnię, twoja teoria o ustawce... A jednak coś mi nie grało. Żona Wichłacza? Drobną, niziutką dziewczyną, w dodatku z niedowładem ręki? Jak miałyby to zrobić? Stryj Błażek? Nawet nie będę komentował. I tak po kolei. Został mi tylko Lachert-Wahl. Najbardziej nieprawdopodobna prawda. Miły, sympatyczny i lekko nachalny ksiądz o zaskakujących, zadziwiająco liberalnych poglądach. Ksiądz równiacha. Moje podejrzenie potwierdziło się ostatecznie, kiedy dwa dni po tym, jak dałem ci różaniec do sprawdzenia, pojechałem do kurii i poprosiłem o spotkanie z wicekanclerzem Lachertem. Prawdziwy ksiądz kanonik, dość posunięty w latach zresztą, był bardzo zdziwiony, kiedy pożegnałem się z nim trzy sekundy od powitania...

– Wcześniej nie wzbudził twoich podejrzeń młody wiek „Lacherta”?

Krugły uśmiechnął się lekko.

– Nie. Nie mam dużej wiedzy o Kościele katolickim, co zresztą jest w moim przypadku dość zrozumiałe. Skoro zdarzają się ministrowie w takim wieku... Ale nawet jeśli, to tak się składa, że jest w Polsce kilku kanoników w okolicach czterdziestki. Sprawdziłem.

– Ksiądz-nieksiądz... – Michalczyk w zamyśleniu pokiwał głową. – I jak już tak ci został tylko on, to co cię nagle olśniło, że coś jest z nim nie tak?

– Kiedy pracuje się w policji, to jest naturalne: każdy ma stopień, tak? Obowiązuje strój służbowy, zależny od okazji, pory roku i tak dalej, ale wciąż odpowiednio oznaczony: stopniem. Są na to ministerialne rozporządzenia, zarządzenia komendantów i tak dalej. Podobnie jest w wojsku czy innych służbach mundurowych. Musisz wiedzieć, z kim przestajesz...

– Uwielbiam, kiedy włącza ci się program „nostalgia” – przerwał mu Michalczyk. – I zalewasz mnie wspomnieniami z poprzedniej pracy. A jak to się ma do księdza?

– Wyobraź sobie, że ma. Kościół to taka sama zhierarchizowana struktura jak policja czy wojsko. – Krugły spojrział na Michalczyka. – Ich strój wynika z pozycji, którą zajmują w hierarchii i muszą tego pilnować. Sutanna

Lacherta... przepraszam, Wahla. Sutanna, Mateusz. Drobnny detal. Niby drobnny. Kanonicy to hierarchowie o dość wysokiej pozycji. Ich sutanny nie są całkiem czarne. Mają purpurowe obszycia i guziki. Nawet te, w których chodzą na co dzień. A on miał zwykłą, z czarnymi guzikami, caluteńką czarną. Nie zwróciłem na to uwagi, kiedy się z nim widziałem. I chyba nie ma się czemu dziwić, jak już wspominałem, moja wiedza o rzymskim imperium jest znikoma, więc tym bardziej nie miałem zielonego pojęcia o strojach księży. Dopiero potem, kiedy wreszcie przyszło mi do głowy to sprawdzić, w dodatku w najprostszy sposób: w Wikipedii, ta wpadka stała się kamyczkiem, który wywołał lawinę. Bo najbardziej podejrzana była inna sprawa i to ona od początku nie dawała mi spokoju. Sprawa spotkania w Różance, podczas którego Wahl opowiadał mi historię pożaru w domu Sobierajów. W sumie nic dziwnego, znał ją z bezpośredniej relacji uczestnika tamtych wydarzeń: swojego przyjaciela. Ale tu popełnił błąd. Gazety nie wspominały o ocalonej siostrze, dla jej dobra. Nawet my o tym nie wiedzieliśmy. Stryj Błazek, który też opowiadał mi o pożarze, również mógł nie wiedzieć, że Sobieraj miał dwie siostry... Ale najbliższy przyjaciel? Wahl słowem nawet się nie zająknął o Agnieszce, a przecież tak szczerze ze mną rozmawiał.

– Faktycznie – mruknął Michalczyk. – Że też na to nie zwróciłem uwagi, kiedy Domińczyk wyjawiała mi, kim jest...

– Właśnie. I tego, że o niej nie powiedział, nie mógł tłumaczyć nawet fakt, że nie było jej wtedy w domu. Nawet to, że, jak sam wspominał, w liceum nie przyjaźnili się jeszcze, a tylko chodzili do jednej klasy. Podejrzewam teraz, że nie chciał o niej wspominać, bo kierowała nim ostrożność. A może to było podświadome? Coś na zasadzie: jak nie będziemy wymieniać nazwy tego czegoś, to nikt się o tym nie dowie i nie zapyta. Nie będzie tego, rozumiesz? To tak jak ludzie boją się głośno powiedzieć słowo „rak”. To przeważnie jest: „ta choroba”, „to gówno”, „ten skurwiel, który we mnie siedzi”... Dopiero później zdałem sobie sprawę, że skoro wiedział o drugiej siostrze, ale mi o niej nie powiedział, to może oznaczać, że coś ukrywa i może nie mówi mi również o innych rzeczach. A te, o których wspomina, mogą nie być prawdą. To było raczej przeczucie niż jakieś konkrety, ale... Zobacz: wyskoczył jak diabeł z pudełka. Zadzwonił ni stąd, ni zowąd, zaproponował spotkanie, na którym ujął mnie swoją osobą. Gdybym go nie poznał, pewnie nigdy nie wpadłbym na to, że ma coś wspólnego z zabójstwami. Nie wiedziałbym w ogóle o jego istnieniu. A tak, nie dość, że wzbudził moje lekkie wątpliwości tą rozmową, po której nie wiedziałem, czy próbuje mi coś zasugerować, jeśli

chodzi o Sobieraja, czy wręcz przeciwnie: usiłuje mnie przekonać, że on jest niewinny, to niepotrzebnie zaryzykował... Zacząłem coraz częściej zadawać sobie pytanie, po co w ogóle było to spotkanie. Z troski o Sobieraja, jak twierdził? Aż wymyśliłem po co. Rozmowa była pretekstem. Nie chciał poznać szczegółów śledztwa w sprawie nożownika, bo po pierwsze, i tak nikt by mu niczego nie powiedział, a po drugie, sporo pewnie dowiedział się z podsłuchów. Celem spotkania było wręczenie mi tego różańca, a właściwie pudełka, w którym był. Skromny, tandetny wręcz różaniec w wypasionym opakowaniu, niemal szkatulce na precjoza. Gdzie tu sens? Ale to pudełko musiało być takie, żeby pomieściło pluskwę i to dlatego miało znaleźć się u mnie w mieszkaniu. Skoro znalazłem tę wcześniejszą, Wahl nie miał już możliwości podsłuchania mnie. A musiał mieć kontrolę nad wszystkim, nie wiem, to jakiś imperatyw? Ale nie mógł ryzykować kolejnej wizyty. Więc po prostu dał mi tę pluskwę do rąk, a ja sobie ją wziąłem, ot tak... Jeszcze było mi miło, bo to prezent... Położyłem to na komodzie, na której trzymamy bibeloty, durnostojki i inne łapacze kurzu... Wiesz co? Ten facet to urodzony psycholog i manipulator. Ryzyko zdemaskowania nie było jednak tak duże, jak myślałem. On dokładnie przewidział, jak się zachowam. Wiedział, że nie będę miał żadnych wątpliwości. Wiedział, że skoro prosił mnie, żebym nie mówił nikomu o spotkaniu z nim, to tak zrobię... To był majstersztyk. To pudełko na różaniec też. Sporo się narzeźbił, żeby tak zgrabnie przygotować skrytkę na pluskwę. Te otworki naokoło krzyża, sugerujące jakąś aureolę, promienie czy coś w tym rodzaju... A to po prostu obudowa mikrofonu! Wpadłem na to, kiedy patrzyłem na swój telefon...

– Nie bałeś się, że się zorientuje, kiedy majdrowałeś przy pluskwie?

– Piotrek, mój spec od takich rzeczy, ten wielkolud, którego przywiozłem ostatnio do ciebie, zagłuszył sygnał na czas operacji. Pluskwa została u mnie w domu, jak gdyby nigdy nic, pudełko i różaniec przywiozłem do ciebie na zdjęcie „paluchów”.

– To był tak zwany różaniec trojański... – rzucił Michalczyk i zmarszczył brwi. – Nurtuje mnie jeszcze jedno pytanie. Czemu podszywał się pod wysokiego rangą kościelnego hierarchę? Nie byłoby bezpieczniej, jeśli już chciał tak bardzo udawać księdza, gdyby podał się za zwykłego księżula z jakiejś odległej parafii?

– Niekoniecznie. – Krugły pokręcił głową. – Kanclerz czy nawet wicekanclerz kurii jest zapewne osobą bardzo zajętą i w związku z tym nieuchwytną. Gdybym próbował się skontaktować z tym prawdziwym,

odbijałbym się od drzwi. Zresztą próbowałem, jak już się domyśliłem prawdy – dwa dni mi to zajęło i to tylko dlatego, że byłem nachalny. No i powaga urzędu; wiesz, jakieś wewnętrzne przekonanie o niestosowności zwracania głowy nieistotnymi sprawami takiej kościelnej szyszce... Raz się ze mną spotkał, ze swojej inicjatywy w dodatku, i to musi mi wystarczyć. Zwykli śmiertelnicy patrzą na to zupełnie inaczej. Wahl wiedział pewnie i o tym, w końcu był niedoszłym księdzem. No, i jakim cudem zwykły księżulo miałby się dowiedzieć o tym, że rozpracowujemy Sobieraja? A tak Wahl mógł twierdzić, że wie to od arcybiskupa, bo jest jego współpracownikiem.

– Też prawda. Ale jednak ryzykował. A jeśli bym spytał o niego stryjka Błażka, a on spytałby prawdziwego Lacherta? Powiedziałeś mi o spotkaniu w Różance, i on musiał o tym słyszeć. W końcu założył mi podsłuch.

– Nie szkodzi. To była sobota, byłeś w domu. A ja dzwoniłem do ciebie z samochodu. Więc nie słyszał.

– Ale ryzyko, mimo wszystko, wciąż istniało. Zawsze mogłeś komuś wypaplać o spotkaniu, mimo że prosił, żebyś tego nie robił. Nie mógł spać spokojnie.

– No, nie mógł – przyznał Krugły. – Ale ryzyko jest zawsze. Zawsze. Mniejsze, większe, ale jakieś jest.

– A jak faktycznie się dowiedział, że ty grzebiesz przy śledztwie? I skąd miał twój numer? Przecież nie od arcybiskupa, jak mówił?

– Skąd miał numer? – Krugły roześmiał się. – Panie prokuratorze... z internetu. Z mojej stronki firmowej.

– Ale na twojej stronie nie było napisane, że grzebiesz w tej sprawie?

– Tego dowiedział się z podsłuchu. Tak samo jak tego, że ty również w niej grzebiesz. Choć o tobie mógł się dowiedzieć też inaczej; pewnie korespondowałeś z komendą powiatową w sprawie Wichłacza?

– Tak.

– No, właśnie. A on przecież tam pracował... Może widział przypadkiem jakieś pismo od ciebie, usłyszał coś...

– Zaraz, zaraz. Przecież tobie podsłuch założył dopiero wtedy, jak już wiedział, że jesteś w to zaangażowany.

– Zgadza się.

– To jak się dowiedział?

– Z podsłuchu, ale u Sobieraja.

– Skąd wiesz, że jemu też założył podsłuch?

– Nie mam pewności, raczej mocne podejrzenia. Ale mając na uwadze, że

rozsiał te pluskwy po całym województwie, raczej się nie mylę. Może zleć jeszcze raz przeszukanie jego pokoju na plebanii, to się przekonamy? Po prostu powiązałem fakty. O tobie jak o tobie, ale nie było innej możliwości, żeby Wahl dowiedział się o mnie, jak tylko przez Sobieraja. Kiedy przyszliśmy na plebanie w tamten poniedziałek, Sobieraj był potężnie skacowany. Wspomniał o znajomym, który odwiedził go poprzedniego wieczora. Ale ostatnio mam alergię na dziwne, niespodziewane wizyty nietypowych ludzi. Kontrolerów szczelności instalacji gazowych, na przykład...

– Łowców kosmitów...

– Też. Oraz dawno niewidzianych znajomych. Domyśliłem się, że ten przyjaciel mógł zostawić coś u niego. Pluskwę. To dlatego prosiłem cię o sprawdzenie, kto wtedy odwiedził i schlał księdza Marka. To był Wahl. W niedzielę był u Sobieraja na plebanii, w poniedziałek byliśmy tam my, rozmawialiśmy z Sobierajem, we wtorek rano ktoś podłożył pluskwę mnie. I tobie też. Nie pamiętasz, kiedy dokładnie to było, ale założę się, że tego samego dnia, góra następnego. To stąd wiedział, że na piątek umówiłeś mnie w kurii na rozmowę z biskupem, bo u mnie w domu jego pluskwy już nie było, znalazłem ją dzień wcześniej, w środę. Dwa plus dwa jest cztery.

– Wahl mógł namierzyć ciebie również w komendzie powiatowej. Może słyszał, jak rozmawiałeś z tamtejszymi glinami? Albo któryś z nich mu o tobie opowiedział?

Krugły pokręcił głową.

– Nie. W komendzie nie. Rozmawiałem z kolegą na zewnątrz budynku, poza tym byłem tam dopiero w środę, w tym czasie pluskwa była już od wtorku zainstalowana w moim mieszkaniu. Czyli to musiało być przez Sobieraja. I zwróć uwagę na czas reakcji. Z dnia na dzień. Podsluchiwał wtedy na plebanii nas, potem podsluchiwał mnie w moim mieszkaniu, ciebie w pracy i zapewne tych wszystkich, którzy mieli związek z Domińczyk. Miał możliwości i korzystał z nich. Chciał mieć kontrolę nad wszystkim, a przynajmniej na tyle, na ile dał radę ogarnąć. Sobieraj i Domińczyk nie mieli pojęcia, że on krąży wokół każdego z nich, niczym cień. Wokół niej: od lat, zapewne opętany nieodwzajemnionym uczuciem, i wokół niego, od kiedy dowiedział się, że znów nawiązała z bratem kontakt. Po tym, co stało się w więzieniu, zacząłem na serio myśleć, że te zabójstwa popełniono z zazdrości, choć ich charakter nie świadczył o udziale emocji, jakie zwykle towarzyszą takim przypadkom. Były zbyt... porządne, rozumiesz? Zemsta też mi nie pasowała z powyższego powodu, już raczej nauczka. Odcisk palca

z pudełka różańca pograżył Wahla. Nie był wystarczająco ostrożny. Ryzykował spotkaniem ze mną, ale ostatecznie pograżył go ten odcisk. Tylko po kiego grzyba bawił się w to ostatnie namaszczenie? Chciał stworzyć wrażenie, że to seryjny psychol? Odwrócić uwagę? Żeby nikt nie wpadł na to, że ofiary są jednak ze sobą powiązane osobą Agnieszki Domińczyk.

Michalczyk zszedł z biurka i obszedł je, siadając na swoim fotelu. Położył dłoń na myszy i spojrział w monitor.

– Na to pytanie akurat mogę załatwić ci odpowiedź – powiedział i zerknął na Krugłego z lekkim podziwem. – Miałeś trochę nosa z tą karą. Z cieniem też. Kiedy ona zamieszkała w Goleniowie, on sprzedawał mieszkanie w Szczecinie i też się tam przeprowadził. Był jak niewidoczny cień; zawsze za nią, choć ona nie miała o tym pojęcia. Spotkała go w Goleniowie dwa razy, ale zawsze tłumaczył, że to przypadek...

Michalczyk poruszał myszą. Wygaszacz ekranu zniknął zastąpiony dwoma białymi paskami na zielonym tle, prokurator wpisał login i hasło, i zalogował się. Z jednego z folderów rozrzuconych w nieładzie na pulpicie wybrał plik i otworzył go. Ekran pociemniał, a potem pojawił się na nim obraz. Krugły rozpoznał salę przesłuchań szczecińskiej prokuratury, w której miał okazję bywać. Wahl siedział przed kamerą, wyglądał tak jak wtedy, w oknie, kiedy z parapetu ścigał go SPAP. Wyglądał jak osoba, którą był. Jak szaleniec. Nie tak, jak w Różance. Krugły poczuł coś w rodzaju wstydu wymieszanego ze złością na samego siebie.

Michalczyk przesunął o kilka minut wskaźnik na pasku odtwarzania, kliknął strzałkę „play” i Wahl poruszył się.

– Wie pan, kto to jest kambion? – zapytał, patrząc poza kadr. – To syn inkuba i kobiety. A inkub to demon. Zapładnia kobiety, by ich dziecko szerzyło na świecie zło. Mój ojciec był inkubem. Jestem o tym przekonany. Wyglądał jak człowiek, ale w nocy, kiedy przychodził do mojego pokoju, żeby ukarać mnie za grzeszki z całego dnia, widać było, kim naprawdę jest. Dobrze, że nie posiadał matki skutecznie jeszcze raz i nie narodził się kolejny kambion. Na szczęście ja nie musiałem szerzyć zła. Zostałem ochrzczony. Matka wyrwała mnie z mocy inkuba. Jestem jak Merlin z arturiańskiej legendy. On też był kambionem, ale został ochrzczony.

– Jest pan czarodziejem? – głos Michalczyka zza kadru.

– Usiłuje pan zrobić ze mnie wariata, co?

– Nie. Usiłuję dowiedzieć się, co panem kierowało. Jest pan czarodziejem?

– Absolutnie nie. To było tylko porównanie. Bycie ochrzczonym kambionem

to jedyne nasze podobieństwo.

– Tu się z panem zgodzę. Merlin nie podawał się za księdza, a pan owszem.

– Byłem o wiele lepszym księdzem niż wielu z tych, którzy ukończyli seminarium.

– Technicznie nie był pan księdzem. Pan go udawał.

– Nie szkodzi. Wyświęcenie nie zawsze sprawia, że człowiek zmienia się w księdza.

– To wygodny punkt widzenia. Wygodny dla pana...

Cisza. Wahl siedział bez ruchu i wpatrywał się przed siebie, co jakiś czas na jego twarzy pojawiał się lekki grymas, odzwierciedlający zapewne myśli i stan umysłu w ogóle. Krugły z zaskoczeniem zauważył, że Wahl ma wyjątkowo plastyczną twarz, jak mim. W Różance zestaw min nie odstawał od typowego: lekkie marszczenie albo unoszenie brwi, krzywienie ust. Nic podejrzanego. Normalna twarz normalnego człowieka.

– Po co te rytuały? – zapytał Michalczyk, kiedy cisza przedłużała się. – Pan naprawdę wierzył, że to im coś da?

– Oczywiście. – Zdumienie w głosie, ręce rozłożone szeroko. – Musieli odejść w zgodzie z Bogiem.

– Ten chłopak, który napadł panią Domińczyk, też? Był niewierzący.

– Wszyscy jesteśmy Jego dziećmi. – Pewność i przekonanie wymalowane na twarzy. – To nie ma znaczenia, czy ktoś w Niego wierzy, czy nie. To jak z prawem państwowym. Będąc obywatelem danego państwa, podlegamy jego prawu, czy to nam się podoba, czy nie. Tak samo jest z Bogiem. Jako Jego dzieci...

– Dobrze... Pan nie miał uprawnień do sprawowania tego sakramentu. Maść, którą pan to robił, też nie była do tego przeznaczona. To był teatrzyk.

Cisza. Spojrzenie w sufit, skubnięcie podbródka, nieokreślony ruch ręką z rozczapierzonymi, długimi palcami, za które każdy pianista gotów byłby oddać duszę diabłu.

– To nie był żaden teatrzyk. Nie wolno panu tak mówić! To był sakrament. Rozumie pan? Sakrament!

– Dobrze, zostawmy to. Spotkanie w Różance. Oprócz wiadomej sprawy z różańcem, co jeszcze pan chciał osiągnąć? Mam na myśli tę sugestię dotyczącą Sobieraja. Tę o kryzysie...

Cisza, jakieś kilka sekund. Zmarszczenie brwi.

– On też sobie trochę zasłużył. Tak, niech pan tak na mnie nie patrzy. Kto zostawia w chwili rodzinnej tragedii swoją siostrę? A on zostawił ją. Poszedł

do seminarium i zostawił ją samą sobie. W takim stanie, rozumie pan? Tak się nie robi. Tak-się-nie-ro-bi!!! Nawet wiara w Boga nie usprawiedliwia takiego postępowania. W końcu ona też była Jego dzieckiem, więc powinien poświęcić się dla niej. Otoczyć ją opieką, pomóc jej w tych trudnych chwilach...

– Chciał pan delikatnie skierować na niego podejrzenia, tak?

Cisza.

– Mylę się? – tu znów głos prokuratora, dobiegający zza kadru.

– Nie myli się pan.

– Mógł pan przecież zostawić jakiś przedmiot z jego odciskami palców na miejscu jednej z pańskich zbrodni. Mógł go pan nawet zabić. A pan tylko zasugerował coś nam. Lekko i w bardzo zawołowany sposób.

– Nie mogłem go zabić. – Niewyraźne słowa dochodziły zza dłoni, które teraz Wahl trzymał przy twarzy, niczym maseczkę tlenową.

– Tłumaczył mi pan wcześniej, że Norbert Domińczyk, były mąż pani Agnieszki, zginął właśnie za to. Za to, że ją zostawił. Też nie zasługiwał na śmierć, był dobrym człowiekiem, religijnym, tak jak ksiądz Marek, ale w przeciwieństwie do niego, to on został porzucony przez nią, a nie na odwrót. Co pan na to?

– Dał się spławić. Mógł o nią walczyć, walczyć o jej miłość, a on wybrał kapitulację i wygodne życie w domciu w Świdwinie... Zasłużył. To też był rodzaj krzywdy. A Marek? Marek miał szczęście...

– Wyjaśni pan to?

– Był jej bratem. Gdyby nie to, odszedłby do Boga, jak tamci. Ale nie mogłem pozwolić, żeby Agnieszka straciła jeszcze brata, rozumie pan? Rozumie pan to?

– Nie. Więc rzucenie tych podejrzeń to z zemsty, tak?

– Skoro pan i tak tego nie rozumie... Walczyłem ze sobą, po prostu. Jakoś musiał zostać ukarany. Chociaż tak! Chociaż tak...

– Pan też wtedy poszedł do seminarium. Poszłicie tam razem. Też pan ją zostawił, prawda?

Cisza. Płacz. Znów cisza.

– Agnieszka mnie nie chciała. Powiedziała mi, żebym zostawił ją w spokoju. Żebym nie przychodził. Żebym nie pokazywał się jej na oczy. Że nigdy mnie nie pokocha! A to nie takie proste. Ona jest przecież cudem, boską niemal istotą! Pogodziłem się z tym, że nie jestem jej godzien. Ja, prosty sługa Pana. On powiedział mi w końcu, żebym się nie martwił. Że została mi



przyporządkowana inna rola. Tak jak Józef musiał pogodzić się z faktem, że nie był ojcem Jezusa, a mimo to miał pełnić taką rolę tu, na ziemi, tak i ja miałem do spełnienia swoją. Mimo tego, że ją kochałem, musiałem skryć się w cieniu. I pozostać tam, niewidoczny dla niej.

– Jaka to miała być rola?

– Miałem ją chronić. – W głosie Krugły usłyszał wyraźną dumę.

– Przed czym?

– Przed złem. Przed zakusami sił ciemności. Przed wszystkimi, którzy ją krzywdzili. Miałem też wymierzać karę.

– Komu?

– Tym wszystkim, których nie zdołałem powstrzymać przed skrzywdzeniem jej.

– W jaki sposób panią Domińczyk skrzywdzili Wichłacz i Zawadzki?

Spojrzenie pełne obrzydzenia.

– Skalali jej boskie ciało. Nie mieli prawa jej dotknąć, nie zwiąawszy się z nią świętym węzłem małżeńskim! Nie mieli prawa! Rznęli ją jak dziwkę, rozumie pan? Traktowali ją jak szmatę, spuszczaali się na jej aksamitne ciało! Boże... Jak mogli? Jak ona mogła...

– Bednarowskiego nie zdołał pan... ukarać?

Spuszczenie głowy.

– Przyznaję, korciło mnie, ale nie miałem możliwości. A on przecież zasługiwał na karę najbardziej, prawda? Tu chyba jesteśmy zgodni?

Michalczyk nie odpowiedział.

– Kara polegała na fizycznej eliminacji? – zapytał Wahla po chwili.

– Dobrze pan to określił! Tak! Naprawdę dobrze! Bo, widzi pan, ja nie chciałem im robić krzywdy. Nie, krzywdy nie! Naprawdę. Mimo wszystko zasługiwali na szansę. Oni wszyscy. Dlatego im ją dałem, właśnie dlatego, tak. Pojednałem ich z Bogiem tuż przed śmiercią... Opuściłem im winy, odeszli w pokoju... Tym zbereźnym świniom, nawet temu gnojkwowi, który ją napadł na ulicy. Nawet jemu!

– Z nikim ich pan nie pojednał. Ani nigdzie nie odeszli, panie Wahl. Zostali zabici. Przez pana.

Cisza. Łkanie. Smarknięcia i dziwny, syczący, spazmatyczny odgłos. Głowa spuszczone, kiwa się w geście potakiwania.

– Zabiłem ich. Zabiłem. To przez nią. Wszystko przez nią, rozumie pan? –

Głos zmienia się we wrzask. – Opętała mnie, jak diabeł! Anioł i diabeł w jednym, rozumie pan?!

– Proszę spokojnie...

– Zabiłem tylu ludzi... – Szept, ledwo zrozumiały, przerywany westchnieniami. – Gdybym mógł cofnąć się w czasie, zabić swojego ojca, zabić inkuba i nigdy się nie narodzić... Tak, to byłoby chyba najlepsze rozwiązanie. Nie byłoby kambiona...

– Gdyby pan zabił swojego ojca, nie narodziłby się pan, więc nie mógłby pan cofnąć się w czasie, żeby go zabić, nieprawdaż?

– I tu pan się myli. – Nagły wybuch entuzjazmu. – Ma pan na myśli paradoks dziadka, ale to nie jest wbrew pozorom niemożliwe. Wie pan, co to jest kwantowa teoria wielu światów Hugh Everetta III? W każdej chwili każda cząsteczka mająca do wyboru kilka dróg, wybierając teoretycznie każdą z nich, tworzy nowe uniwersum. Jak pączkujące w nieskończoność drzewo. Jest to kwestia nie do ogarnięcia ludzkim umysłem...

– Pan ją ogarnia? – wtrącenie Michalczyka.

– Nie do końca. – Żadnego wahania w głosie. – Ale uważam się za jedną z niewielu osób na świecie, która jest o krok od zgłębienia tego tematu w całości.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Tak. Tę pewność daje mi Bóg. Patrzy pan na mnie jak na wariata, ale jest pan w błędzie. Wszyscy jesteście.

– To, co stało się u pana w mieszkaniu podczas pańskiego zatrzymania, daje mi pewne podstawy, by sądzić, że jednak nie wszystko jest z panem w porządku. Nie uważa pan?

Chwila ciszy. Znów potakiwanie. Trwa długo, jest mechaniczne, jakby Wahl wpadł w lekki trans.

– Tak, trochę rozumiem, co ma pan na myśli. Rozumiem, że może pan tak to odbierać, dlatego... – Spojrzenie rzucone poza kadr, zapewne w stronę Michalczyka, pełne pobłażliwości i głos pełen wyrozumiałości. – Dlatego wybaczam panu.

– Aha, dziękuję. Więc co się tam stało? W pana mieszkaniu?

– Miałem chwilowe załamanie na tle nerwowym. Jestem bardzo wrażliwym człowiekiem. Wyjątkowo wrażliwym. Proszę pamiętać, że jestem kambionem. Kiedy zobaczyłem na podglądzie, jak idą po mnie te czarne diabły, zwątpiłem. W siebie i w Boga. Mam nadzieję, że Bóg Ojciec mi wybaczy te chwile zwątpienia... Górę wzięły emocje. Ale wracając do paradoksu dziadka: cofając się w czasie, trafiamy do wszechświata równoległego. Rów-no-leg-łego, rozumie pan to? To bardzo ważne, żeby pan to pojął, bo to niezwykle

subtelna różnica. Zabijając swojego dziadka, czy w moim przypadku mojego ojca, sprawiam, że nie urodzę się w nieskończonej liczbie wieloświatów, z wyjątkiem jednego: tego, w którym JUŻ się urodziłem, tak? Łapie pan? I to w nim cofnę się w przeszłość. Ale w innych nie będę istniał, bo zabiłem mojego ojca przed moim poczęciem...

Michalczyk kliknął „stop”, jeszcze przez chwilę patrzył w ciemny ekran, a potem spojrzął znacząco na Krugłego.

– W tym miejscu zacząłem żałować, że wdałem się z nim w dyskusję na takie tematy. Pewnie nie wiesz, co to *Pingwiny z Madagaskaru*? Nie szkodzi, dowiesz się w końcu, za kilka lat... Oleńka ci pokaże na YouTubie. No, więc, w wielkim skrócie, *Pingwiny z Madagaskaru* to fajna animacja o czterech pingwinach. Mieszkają w nowojorskim zoo, a wśród nich jest jeden taki geniusz, nazywa się Kowalski. Wymyśla pozytonowo-neutronowe anihilatory kondensacyjne i temu podobne gadżety, objaśniając ich działanie i przeznaczenie tonem naukowca. Merytorycznie dyskusja z Wahlem to był mniej więcej ten poziom. Bełkot. Słuchałem, co plecie, bo nie chciałem wybijać go z rytmu i miałem nadzieję, że wróci w końcu do meritum.

– Wrócił?

– Jeszcze nie wiem. Muszę dopiero przeanalizować to, co powiedział później. Oszczędzę ci tego, póki co. – Wskazał komputer.

Milczeli chwilę, potem Michalczyk przysiadł na blacie swojego biurka.

– Wiesz sam, Robert, że istnieją klasyfikacje typów takich psycholi, opracowane przez naukowców na podstawie badań przypadków z całego niemal świata. Wyobraź sobie, że nawet z Azji i Afryki. Podziały ze względu na motyw, sposób działania, i tak dalej. Ale powiem ci, że mnie to nigdy do końca nie przekonywało. Bo to wszystko badania oparte w dużej mierze na statystyce. Biały mężczyzna, między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, pierworodny... Tak wynika ze statystyk. Czyli jak wychodzisz z psem na spacer do lasu, a w tym lesie widzi was kosmita, który przyleciał do nas robić badania nad obcymi cywilizacjami, to wyciąga wniosek, że statystyczny mieszkaniec Ziemi ma trzy nogi. Ludzie naoglądali się *Milczenia owiec* czy innych *Dexterów* i myślą, że typowi seryjni mordercy to sympatyczni, hiperinteligentni ludzie, wodzący policję za nos. Albo odwrotnie, że to potwory w ludzkiej skórze, krwawi sadyści o fizjonomii goryla, którym tylko nieudolność policji pozwala zabijać w nieskończoność. A tymczasem sam słyszałeś... – Wskazał na dyktafon. – ...nasz seryjny, pomijając fakt, że w polskim prawie karnym nie istnieje pojęcie seryjnego mordercy, jest

w sumie dość typowy. Przeciętny, średnio inteligentny facet, który płacze się w zeznaniach, zaprzecza sam sobie, logika w tym słaba...

– I jest białym mężczyzną, między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia... no, prawie, w dodatku, skoro jedynakiem, to także pierworodnym synem – dokończył Krugły zgryźliwie.

– No, właśnie. Statystyka królową nauk.

– Przypominam ci, że byłeś fanem statystyki już wtedy, kiedy rozważaliśmy motyw kościelny i deklarowaną wiarę polskiego społeczeństwa...

Michalczyk machnął ręką.

– Czepiasz się. Dobra, Wahl nie jest typowy, bo zabijał wyłącznie mężczyzn i nie czerpał przyjemności z zadawania ofiarom cierpienia. Zresztą, mówiąc o nim „typowy”, miałem na myśli raczej tę jego przeciętność. Powierzchnową, jak się okazało, bo maskującą tylko poważne problemy ze zdrowiem psychicznym. Everyman. Ilu takich ludzi jest wokół nas, panie inspektorze? Ilu? Mieszkają w tych samych miastach, co my, w tych samych kamienicach, blokach. A czasem nawet w tych samych mieszkaniach...

– Ale oni nikogo nie zabijają, a Wahl tak.

– Na szczęście nie zabijają... Tak czy siak, pójdzie na obserwację, bo nie mam wątpliwości, że ma coś nie tak z psychiką. Na bank, sam słyszałeś. Zobaczymy, co powiedzą konowały. Może ma guza mózgu, jak Karol Kot. A może po prostu jest zwykłym szajbusiem, jak Knychała czy inni. – Wzdrygnął się. – Pójdziemy wieczorem na browara?

Krugły patrzył w podłogę.

– Sorry, nie obraż się, ale nie mam nastroju. Nie tym razem.

– Jak chcesz.

– To nie kwestia chcenia, tylko nastroju. Braku nastroju...

– Jesteś pewien, że też nie jesteś w ciąży?

– Faktycznie, od dość dawna nie miałem okresu. – Krugły wstał. – Ale jeśli chodzi o nastrój... Wiem, co mogłoby go poprawić. Znacznie poprawić.

– Proś, o co chcesz. W granicach rozsądku, oczywiście.

– Grucha.

– Chcesz Gruchę???

– Nie dosłownie.

– Wyjdzie w ciągu kilku dni.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Powiesz to Sokołowskiemu?

- Ja?
- Ja już raz mu to mówiłem. A potem musiałem to odszczekiwać.
- Przypominam, że dzięki temu zarobiłeś większe fufu.
- Tak, przyznaję, to jest plus dodatni tej sytuacji.
- Nie, naprawdę nie dziękuj, nie trzeba...
- Skoro tak... To co, dzwoniemy?

Michalczyk westchnął. Krugły wyciągnął komórkę i wybrał numer Sokołowskiego.

- Mam dobre wieści – oznajmił bez wstępów, kiedy biznesmen odebrał.
- Już to raz słyszałem, panie komisarzy. A konkrety?
- Jeden konkret stoi obok mnie. Przekazuję telefon.

Oddał komórkę Michalczykowi i słuchał.

Michalczyk odstawił szopkę, informując Sokołowskiego jak najbardziej poważnym tonem, że gdyby nie działania Krugłego, Grucha kwitłby w kryminale nie wiadomo jak długo. Na całkiem zasadną uwagę o trzymiesięcznym terminie aresztu tymczasowego odpowiedział, że to tylko teoria, dodając, iż prokuratura z mocy prawa dysponuje odpowiednimi narzędziami, by termin ten wydłużyć. Nie omieszkał również uświadomić Sokołowskiemu, że z tych narzędzi dość często korzysta. Dodał także, że ponieważ Grucha był jedynym podejrzanym, który w dodatku nie przejawiał najmniejszej chęci do pomocy w oczyszczeniu się z podejrzeń, skorzystałby z tego narzędzia bez chwili wahania również w tym przypadku. Michalczyk nie miał tylko pewności, czy słowa „głupi chuj”, wywarczone cicho przez Sokołowskiego, dotyczyły siostrzeńca, czy też jego. Postanowił być wspaniałomyślny i udać, że nie słyszał. Miał za dobry dzień, żeby psuć go sobie takimi pierdołami. Rozmowę zakończyli jak dżentelmeni, żegnając się grzecznie, choć dość oziębłe.

– Gratulacje, panie inspektorze – powiedział Michalczyk, oddając komórkę Krugłemu. – Szczere i gorące.

\* \* \*

Krugły spotkał się z Sokołowskim jak zwykle w miejscu publicznym. Tym razem były to Jasne Błonia. Przyszedł wcześniej, zajął ławkę przy ścieżce biegnącej wzdłuż ulicy Ogińskiego, żeby uniknąć tłumów oblegających lodziarnię po drugiej stronie, przy Moniuszki. Miał oko na parking, pomniki Trzech Orłów i papieża oraz fontannę Bartłomiejkę. Siedział, chłonał zieleni i słońce, i nigdzie się nie spieszył. Daleki błysk słońca w szybie cadillaca

escalade, zajeżdżającego na parking przy ulicy Skargi, był sygnałem, że za chwilę ostatnie spotkanie z Sebastianem Sokołowskim zacznie się, a niedługo później zakończy.

Krugły siedział, obserwując, jak czarno ubrana postać kroczy powoli ku niemu, a w niewielkiej odległości za nią, niczym cień, podąża jej giermek, „Synek”. Jak wierny pies za swoim panem. Albo jak Wahl za Agnieszką Domińczyk.

Sokołowski dotarł do ławki Krugłego i stanął przed nim, podpierając się pod boki. Z czernią koszuli z krótkim rękawem kontrastowało dyskretne logo Tommy’ego Hilfigera i wcale nie dyskretny złoty łańcuch, do którego Sokołowski chyba zapomniał dowiesić kotwicę. Ogniwa łańcucha z trudem przeszłyby przez kluzę kontenerowca. Krugły ucieszył się, że przynajmniej nie przyprowadził ze sobą siostrzeńca.

Nie wstał z ławki, przesunął się tylko lekko w prawo, robiąc Sokołowskiemu miejsce. Ten usiadł i rozejrzał się na boki. „Synek” zajął miejsce dwie ławki dalej.

– Witam, panie komisarzu – powiedział Sokołowski, studiując twarz Krugłego.

– Witam – odparł Krugły, nie przejmując się tym zupełnie.

Siedział rozparty, obejmując górną deskę oparcia szeroko rozłożonymi rękoma, z nogą założoną na nogę. Czuł się swobodnie.

– Wygląda na to, że to już koniec? – zagał Sokołowski.

Krugły poczuł delikatną woń alkoholu. Już wiedział, skąd biznesmen miał ten wesoły błysk w oczach. Było tak gorąco, że z pewnością nie musiał wypić zbyt dużo.

– Zgadza się – potwierdził. – To już koniec.

Powtórzył to tak na wszelki wypadek, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, gdyby jakimś cudem Sokołowski jeszcze je miał.

– Trochę to trwało... – Głos Sokołowskiego nie był zaczepny, choć niewykluczone, że takie miał intencje.

Krugły skinął głową.

– Okoliczności były nieco niesprzyjające. Ale mamy jednak szczęśliwe zakończenie. Jak Rafał?

– Naprawdę to pana interesuje?

– Nie. W ogóle. Ale miło, że zapytałem, no nie?

– Może dla pana miło. Już zdążył zrobić imprezę z okazji powrotu do domu. Jej finał to dwie osoby w szpitalu, jedna zatrzymana...

– Ale nie on?

Sokołowski roześmiał się.

– Liczy pan na następne zlecenie?

Krugły pokręcił głową. Zdecydowanie.

– Nic z tego.

– Żałuje pan tego, które pan właśnie skończył? Opłaciło się w końcu, co?

– Formalnie rzecz biorąc, jeszcze się nie opłaciło.

– Słusznie. Zatem dopełnijmy formalności...

Sokołowski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, zahaczając sygnetem o podszewkę. Nic dziwnego, był tak wielki i tak złoty, że pierścień biskupa Michalczyka wyglądał przy nim jak tandetna, odpustowa zabawka. Po chwili, tak jak Krugły się spodziewał, w dłoni Sokołowskiego pojawił się zwitek żółtobrazowych banknotów. Spiętych gumką. Niespodzianka: niebieską, a nie czarną.

– Zgodnie z umową. Plus dwa i pół premii. Zadowolony?

– Owszem.

– Ta dodatkowa kasa... – Sokołowski wskazał zwitek i podał go Krugłemu.

– ...to w zasadzie pierwsza część premii.

– Tak, wiem. Stać pana.

– Otóż to, stać mnie.

– Zatem dziękuję. I będzie jeszcze druga?

– Tak, choć nie pieniądze. Ale o tym zaraz. Nie przeliczy pan? – zapytał, widząc, że Krugły chowa pieniądze do kieszeni spodni, wypychając je nieprzyzwoicie.

– Nie. A muszę?

Sokołowski wywrócił oczami.

– Fakt, przecież sobie ufamy...

– Wcale sobie nie ufamy – sprostował Krugły. – Po prostu uważam, że cokolwiek bym o panu nie myślał, w tej sytuacji nie sądzę, by miał pan potrzebę oszukania mnie.

– A jeśli się pomyliłem? O jeden czy dwa banknoty? Przypadkiem i w sposób niezamierzony?

– Przeżyję. Skończmy już temat.

Sokołowski spojrział w kierunku lodziarni. W jego ustach pojawił się koniuszek języka i Krugły przestraszył się, że zechce zaprosić go na lody. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło.

– No, dobrze – powiedział Sokołowski z namysłem. – A teraz druga część

premii, panie komisarzu. Należy się panu. – W jego oczach Krugły ujrzał coś w rodzaju rozbawienia, a może była to po prostu kwestia odpowiedniej dawki alkoholu. – Wróćmy na chwilę do tej sprawy sprzed dziesięciu lat. Do „Szczura”... Posuwał mi żonę, wie pan? Nie ma się czym chwalić, ale tak było. Oni nie wiedzieli, że ja wiem, ja się z tą wiedzą nie ujawniałem. Akurat zdarzyła się ta sprawa ze zniknięciem Zbrojewskiego, wszyscy sądzili, że to ja mam z tym coś wspólnego. No i równocześnie pan węszył wokół mnie... Mam na myśli motoryzacyjną część moich interesów. A tak się składało, że „Szczur” trzymał z tymi złodziejami, których pan namierzył. Pomyślałem, że nie zachowam się jak typowy samiec, tylko wykorzystam tę niezręczną sytuację. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak to się mówi, choć w tym przypadku brzmi to niesmacznie – pieczeń ze szczura, wyobraża pan to sobie? „Szczur” tak naprawdę był nikim, pan to wie. Ale mimo to dałem mu wybór. Mógł albo... hm... wyjechać z kraju, albo iść siedzieć. W ramach, powiedzmy, zadośćuczynienia.

– Więc ta cała szopka z wzajemnymi oskarżeniami dotyczącymi Zbrojewskiego miała po prostu odsunąć od pana podejrzenia? Wykorzystał pan okazję?

– Można tak powiedzieć.

– I jako informator CBS miał pan później względny spokój w interesach...

– Też można tak powiedzieć. Spokój przynajmniej od pana. Niech pan potraktuje to jak komplement.

– Ale Zbrojewski to jednak pana sprawka?

Sokołowski spojrzał na Krugłego z politowaniem. Ciemne oczy, patrzące zza przymrużonych powiek, wciąż błyszczały wesołością i alkoholem, ale gdzieś głęboko Krugły zobaczył ostrzegawcze isierki. Nie przejął się tym.

– A tego akurat nie powiedziałem. – Ton Sokołowskiego nie zmienił się za to ani na jotę.

– Nie musiał pan. Ale za to ja powiem panu w zaufaniu, że jakoś nie jestem wstrząśnięty tymi rewelacjami. Ani trochę. I tak naprawdę w dupie mam to, co stało się ze Zbrojewskim czy „Szczurem”. Traktuję was trochę jak... ścierwojady. Bardzo pożyteczne zresztą dla zdrowej części społeczeństwa, no i nie roznosicie chorób. Tak jest skonstruowany świat, robactwa nie da się wyplenić. I wszystko jest w porządku, oczywiście dopóty, dopóki zzeracie się nawzajem. Im was mniej, tym lepiej. – W głosie Krugłego była gorycz i rezygnacja równocześnie.

– Ulżyło?



– Ulży mi dopiero, jak dojdę do domu.

– Tak myślałem, że strasznie się pan gryzie tą dawną sprawą między nami. Dlatego powiedziałem panu to wszystko. Ale przyznaję, zdziwiony jestem, że siedzi to w panu aż tak bardzo.

– Też mnie to dziwi, mimo że wspomniałem, że mam to wszystko w dupie. Ale ma pan rację, siedzi. Przyznaję. Tkwi jak niezbyt bolesna, ale wkurwiająca zadra w tyłku. Może po prostu dlatego, że nie podobają mi się newsy w telewizji? Że jestem staroświecki i wolę, jak triumfuje dobro? Że lubię patrzeć, jak podczas wygłaszania wyroku grdyki chodzą wam niczym pijaczkowi, który dorwał się do jabola po tygodniu abstynencji...?

– Cóż... – Sokołowski wzruszył ramionami. – ...wypadł pan już z obiegu, panie komisarzu. Nie jest pan już gliniarzem, jest pan takim samym szarym człowieczkiem jak ja. Ta premia, a w zasadzie jej druga część, którą panu może trochę zbyt pochopnie dałem, jest oczywiście sprawą poufną, tylko między nami. To chyba zrozumiałe?

– Boi się pan, że podzielę się nią z kimś z moich kolegów z komendy?

– Jestem pewien, że nic tak głupiego nie wpadnie panu do głowy.

Sokołowski patrzył przed siebie. Siedział rozparty, z założonymi rękami. Wyglądał jak zadowolony z siebie chłop spędzający leniwe niedzielne popołudnie na przyzbie przed swoją chatą. Tylko założona noga na nogę nie pasowała do tego obrazu.

– A jeśli jednak wpadnie? – zapytał Krugły. – Wtedy będę musiał... wyjechać? Tak pan to określa?

– Pewnie pan nie uwierzy, ale mam do pana dużo szacunku, panie komisarzu. Mimo wszystko.

– Słabe ucięcie tematu. Myślałem, że stać pana na więcej. To było niepotrzebne i trąciło lizusostwem, wie pan? Nie będzie panu przykro, że nie odwzajemnię się tym samym komplementem?

– Absolutnie nie. – Wzruszenie ramion było równie szczere, jak wyraz twarzy. – Nie mówię tego po to, żeby panu sprawić przyjemność. Gdybym tak nie uważał, po prostu bym tego nie powiedział, a nie silił się na słodzenie panu, nie wiedząc, kurwa, po co. Nikomu nie muszę się podlizywać, a już na pewno, proszę wybaczyć, nie panu. To zwykle ja czuję czyjś jęzor w swojej dupie, a nie na odwrót i skończmy już ten temat, co pan na to?

Krugły pokiwał głową, a Sokołowski spojrział mu w twarz. Prosto w twarz, bez zerkania na boki.

– Dziękuję za Rafała – powiedział cicho, jakby te słowa z trudnością

przechodziły mu przez gardło.

Nie wiadomo dlaczego: czy dlatego, że nie był typem człowieka, który musi komukolwiek za cokolwiek dziękować, czy z powodu swojego stosunku do siostrzeńca.

– Zrobiłem to wyłącznie dla pieniędzy. – Krugły, pozwalając sobie na zadowolenie w głosie, poklepał spięty gumką rulon banknotów wypychający kieszeń spodni.

– Nie wątpię. *Pecunia non olet*, co?

– W tym przypadku bym się nie zgodził. – Wstał i poprawił klapy marynarki. – Ale na pewno się przydadzą. W końcu dziecko mi się rodzi, będą wydatki... Pójdę już, nie znoszę łzawych rozstań. Aha... Życzy pan sobie fakturę?

Sokołowski ryknął śmiechem. Ryczał tak, aż łzy ciurkiem leciały mu z oczu. Kiedy się trochę uspokoił, też wstał z ławki i klepnął Krugłego w ramię, kręcąc głową.

– Ale mnie pan ubawił na koniec, panie komisarzu – załkał, odchodząc już w kierunku samochodu.

– Musiałem zapytać. Nie lubię być zaskakiwany po fakcie, a zdarzało mi się już.

Sokołowski zatrzymał się.

– Tak z ciekawości... Cena, którą podał pan za swoje usługi, to netto czy brutto?

– A jak ktoś pyta pana o długość członka, podaje ją pan razem z długością kręgosłupa?

Sokołowski znów parsknął śmiechem.

– Czyli pieniężna część premii, którą panu dałem, to ten kręgosłup? – zapytał. – Mimo że bez faktury? Pytam *pro forma*, bo i tak mnie stać.

– Powiem tak: jestem usatysfakcjonowany zapłatą. Premią, jak wspomniałem, również. Żegnam, panie Sokołowski. – Krugły odwrócił się i uniósł dłoń.

Nie widział, jak biznesmen odchodzi i wkrótce znika we wnętrzu cadillaca. Szedł ścieżką w kierunku Bartłomiejki i urzędu miejskiego i był zadowolony. Z siebie, z życia oraz z tego, że ta sprawa wreszcie formalnie się skończyła. Że w ogóle się skończyła...

\* \* \*

Spotkali się w pasażu na parterze Kaskady. Michalczyk zostawił Mikołaja

w bawialni i usiadł koło Krugłego na ławce, przypatrując się synowi wdrapującemu się na zjeżdżalnię.

– Pamiętasz o mojej teorii, że Sobierajowie współdziałali przy zabójstwie Bednarowskiego? – zapytał.

Krugły pokiwał głową. Mikołaj próbował właśnie wleźć na zjeżdżalnię od złej strony. Widać było, że sprawia mu to frajdę, choć był bliski upadku, a Krugły pomyślał, że gdyby to było jego dziecko, rzuciłby się teraz je ratować. Albo chociaż wrzasnął do pilnujących dzieci dziewczyn, żeby zareagowały. Miał nadzieję, że dziewczynki są mniej kreatywne w wymyślaniu sposobów na uszkodzenie siebie.

– To wszystko jest wyłożone miękką matą – powiedział Michalczyk z rozbawieniem, widząc minę Krugłego. – I materac jeszcze jest. Nie przejmuj się. A wracając do zabójstwa Bednarowskiego... Nie było żadnego zabójstwa.

– Cco? – wyjąkał Krugły, przenosząc wzrok z placu zabaw na twarz Michalczyka.

Była już poważna, a przynajmniej wystarczająco poważna, jak na niego.

– Sobieraj go nie zabił.

– Kurwa, przecież tam byłem, pamiętasz? Wszystko widziałem!

– Co widziałeś? Widziałeś, jak Sobieraj łapie strzykawkę...

– Tego nie widziałem. Nikt z nas nie widział.

– Racja. Dobrze więc, widziałeś, jak bierze zamach, wbija igłę w szyję Bednarowskiego i naciska tłok. Potem on się kładzie, bo mu każesz i dostaje konwulsji. I po chwili umiera. To widziałeś?

– Dokładnie to.

– Hm... Ten cios strzykawką... Wiesz, jaka jest szansa, że zrobisz to skutecznie? Że trafisz idealnie w żyłę? No, dobra, powiedzmy, że jakaś tam szansa jest. Ale koniec igły musiałby zostać w tej żyłę, a nie ją przebić na wylot, a to w przypadku użycia takiej siły, jaką nadaje zamach, byłoby już praktycznie niemożliwe. Rozumiesz? Szansa jedna na milion. Nie wiem, czy pamiętasz, jak wyglądała igła. Jeśli nie pamiętasz, to ci przypomnę: miała centymetr długości i grubość niewiele większą od włosa. To była igła insulinowa. Już wcześniej zastanowiła mnie jedna rzecz: Domińczyk opowiadała podczas przesłuchania, jak trudno wstrzyknąć w ciało kilkanaście mililitrów ciecchy. A Sobieraj zrobił to w kilka sekund. W dodatku małą igłą, bo Domińczyk nie zdążyła jej zamienić na tę grubą, którą miała przyklepioną do uda...

– Rozumiem. Ale przecież Bednarowski zginął. Udusił się. Czyli Sobieraj trafił i igła została w żyłę... Zdarzył się ten jeden przypadek na milion.

Michalczyk przewrócił oczami.

– Jasne... Otóż nie trafił. Nno, może zahaczył trochę.

– Więc co? Pęcherzyk powietrza spowodował zator?

– Naoglądałeś się za dużo kryminałów, chłopie...

– Cierpliwość mi się kończy, Mateusz.

– Nawet jakby jakimś cudem trafił i wstrzyknął zawartość strzykawki do żyły, Bednarowskiemu nic by się nie stało.

– Bo?

– Bo to, co było w strzykawce, nie było skoliną.

– Tylko czym?

– Tylko najzwyklejszą w świecie solą fizjologiczną.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Dostałem pełne wyniki z sekcji Bednarowskiego. Z analizami toksykologicznymi. To była sól fizjologiczna. Czysta. Badanie zawartości strzykawki potwierdziło to jednoznacznie. Wyjaśniła się tym samym zagadka, dlaczego Wichłacz nie miał żadnych oporów, żeby dać Domińczyk strzykawkę ze skoliną. Bo to nie była skolina, po prostu. Poza tym ona jest w postaci liofilizatu. To proszek, który rozrabia się na przykład z roztworem soli fizjologicznej, i to tuż przed użyciem. – Michalczyk prychnął z lekkim rozbawieniem. – Czego facet nie zrobi, żeby zamoczyć, co? Chciała, to jej dał, zwłaszcza że oferowała mu w zamian to, na czym zależało mu najbardziej... Jednak faceci to świnie, jak mawia Domińczyk.

– To co zabiło Bednarowskiego?

– Strach. – Michalczyk uniósł głowę i sprawdził, co robi Mikołaj. – Kiedy byłem mały, jakiś mój koleś opowiedział mi historię o jednym gościu, któremu zawiązali oczy, przywiązali do słupa, przejechali tępym nożem po nadgarstkach i zaczęli polewać je ciepłą wodą, mówiąc, że podcięli mu żyły i właśnie się wykrwawia. I gość umarł.

– W zmutowanego krokodyla w miejskich kanałach i Świętego Mikołaja też jeszcze wierzysz?

– W każdej historii tkwi ziarno prawdy. Autosugestia, słyszałeś o tym?

– Po prostu powiedz mi, co go zabiło.

– Tak naprawdę zawał. Potężny zawał serca i w konsekwencji arytmia, migotanie komór. Oraz nagłe zatrzymanie krążenia. Facet miał w wywiadzie epizody kardiologiczne, chorował na hipercholesterolemię i tak dalej. Miał

szczęście, że w ogóle dożył takiego wieku.

– Widać uregulowany tryb życia, jaki prowadził od lat, służył jego zdrowiu.

– Chyba że nabawił się tego wszystkiego właśnie „we więźniu”. Przestał mieć to szczęście tam, w celi miłości. Bo miał pewne szanse na przeżycie, ale właśnie tego szczęścia mu zabrakło.

– Co masz na myśli?

Michalczyk spojrział na Krugłego z dziwną miną.

– Kiedy lekarz resuscytował Bednarowskiego, ktoś wspomniał mu, że ofierze wstrzyknięto skolinę. Gdyby doktor wiedział od razu, że to arytmia, użyłby przenośnego AED. Znaczący defibrylatora. Mają takie w więzieniu na stanie...

– Hm... To smutne – rzekł Krugły.

– Trochę – przyznał Michalczyk i machnął ręką. – Nieważne. Ważne, jaki to ma wpływ na kwalifikację czynu Sobieraja.

– No?

Michalczyk parsknął cicho.

– Sam, kurwa, nie wiem, jaka ma być kwalifikacja – przyznał z rozbrajającą szczerością. – Myślę o tym, odkąd przeczytałem raport z sekcji. Kwestia Domińczyk to jedno, ale Sobieraj? Między czynem Sobieraja a śmiercią Bednarowskiego nie ma związku przyczynowo-skutkowego, rozumiesz?

– Nie – odpowiedział Krugły, zdumiony. – Nie rozumiem...

– Wiem, jak to brzmi. Ale formalnie rzecz ujmując, skutku, czyli zgonu Bednarowskiego, nie można przypisać bezpośrednio działaniu Sobieraja. Wbicie strzykawki i wstrzyknięcie płynu nie było przyczyną śmierci Bednarowskiego, jego zgon nie był skutkiem działania księdza.

– Jakby mu nie wbił tej igły, to Bednarowski by żył, tak czy nie?

Michalczyk uśmiechnął się lekko.

– Tu już wybiegasz za daleko w swoich rozważaniach. A jak nie? Może dostałby tego zawału chwilę później, na spacerunku albo w nocy, we śnie? Nie jesteśmy w stanie tego obiektywnie ocenić. Nikt nie jest.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci?

– Też nie. To tak zwane usiłowanie nieudolne. Nieudolne ze względu na użycie środka nienadającego się do popełnienia czynu zabronionego, nawet jeśli sprawca o tym nie wie. Pomijając fakt, że Sobierajowie działali w porozumieniu, jeśli w ogóle działali, to w grę wchodzi okoliczności, o których nie mieli pojęcia. Udawana skolina i choroba wieńcowa Bednarowskiego. Coś jak napad na bank z użyciem mydła albo sandała. Ten

rodzaj usiłowania nieudolnego jest karalny, ale sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wykonania! Wygląda na to, że im się upieczą, a przynajmniej kara nie będzie zbyt dotkliwa.

– A jeśli mieli pojęcie o tych okolicznościach? – zapytał Krugły.

Michalczyk pomachał swojemu synowi, który szczerzył się do niego takim samym michalczykowym uśmiechem. Mikołaj okupował zjeżdżalnię i chyba był z tego faktu dumny.

– Myślę, że w chwili popełnienia czynu Sobieraj miał ograniczoną w znacznym stopniu zdolność kierowania swym postępowaniem, lecz nie rozumienia znaczenia czynu, jaki popełniał. Jestem prawie pewien, że w tamtej chwili był go całkowicie świadomy, mimo emocjonalnego rozchwiania. To wszystko potwierdzą lub wykluczą specjaliści. Lecz w chwili obecnej nie wyobrażam sobie, jak mógłbym mu to udowodnić. – Prokurator wykrzywił usta w wyrazie zniechęcenia. – Wiesz, Robert, mam w pracy mnóstwo roboty, oni oboje już i tak sporo się w życiu nacierpieli... Mam do tego znów wracać?

– Już nie chcesz zaglądać Belzebubowi do tyłka?

– Czy warto? – Michalczyk spojrzał na Krugłego.

– Zmieniłeś się przez te parę lat, odkąd cię poznałem.

– Wiem. Ty też. Z wiekiem poglądy się radykalizują, to prawda, ale równocześnie na pewne sprawy patrzemy inaczej. Gaśnie w nas płomień młodzieńczej zapalczywości...

– Którym mógłbyś rozświetlić ciemności tyłka Belzebuba?

– Paradoksalnie, panie inspektorze, dzięki temu, że ten płomień zgasł, wiele rzeczy mogę zobaczyć w zupełnie innym świetle.

– Były inspektorze... – rzucił Krugły, nagle zamyślony.

– Może to nie po chrześcijańsku, ale nie żał mi Bednarowskiego. Zabrzmi to kontrowersyjnie, ale zasłużył na to. Żał mi za to ich, Sobieraja i Domińczyk. Ona nie ma pewności, czy ojcem jej dziecka jest Zawadzki, czy Wichłacz, ale nie zamierza tego sprawdzać, nawet gdyby miała taką możliwość... –

Michalczyk westchnął, wyprostował się i spojrzał na Krugłego. – Wyglądasz jak struś na pustyni, który patrzy w horyzont i zastanawia się, czy to, co na nim widzi, to oberwanie chmury czy burza piaskowa i w związku z tym ma się cieszyć czy spieprzać. W momentach takiego zamyślenia cofa ci się podbródek, wiesz?

– Wiem. – Krugły drgnął, wziął głęboki oddech i spojrzał na Michalczyka. – Myślę teraz o Wahlu. Dużo o nim myślę ostatnio.

– Ty nie masz, facet, co robić? Ciesz się życiem, dużym fufu od

Sokołowskiego i rychłym tacierzyństwem.

– To silniejsze ode mnie. Znasz takich ludzi, którzy mają... hm... bałagan w oczach?

– Znam – przytaknął prokurator. – Widuję ich nawet czasem w wiadomościach i na plakatach wyborczych.

– Wiodą normalne życie; praca, dom i tak dalej, czasem nawet do jego końca nie dzieje się nic, co mogłoby świadczyć o tym, że coś z nimi jest nie tak. Nie masz żadnych racjonalnych podstaw, by posądzać ich o odchylenie od normy. Trochę tacy everymani, o których wspominałeś. Ale jest coś, co ich od tych everymanów różni. Ich oczy... Zagładasz w nie i widzisz coś niepokojącego. Obłąd. Jego załączki. Coś w sposobie, w jaki ci ludzie patrzą na ciebie, na innych, na rzeczywistość generalnie, każe ci sądzić, że „to” tkwi w ich środku i tylko czeka, żeby się ujawnić. Że to tylko kwestia czasu. Jakiejś iskry, która zainicjuje wybuch...

– Nie ma ludzi zdrowych psychicznie – wtrącił Michalczyk tonem belfra. – Są tylko niezdiagnozowani.

– U Wahla tego nie było – powiedział powoli Krugły. – To był ten everyman. Kiedy z nim wtedy rozmawiałem, dałbym głowę, że to najnormalniejszy człowiek w świecie. Normalniejszy nawet niż ty czy ja. Z którym mógłbym pójść na browar i pogadać o życiu, nie zważając na to, że ma pod szyją koloratkę. Spoko koleś. – Pokręcił głowę z niedowierzaniem i roześmiał się gorzko. – Zahaczał o malarstwo, a ja cieszyłem się, że spotkałem kogoś, kogo ten temat też interesuje... Skurwiel po prostu widział moje albumy na półkach, kiedy podkładał pluskwę. A potem zrobił pewnie to samo, co ja przed spotkaniem z Gruchą: poszperał w internecie... Dałem mu się podejść, jak jakiś szczaw. To, co mówił o złu i o człowieku, wydawało mi się nie do końca spójne, ale nie wzbudziło moich podejrzeń. Zupełnie inaczej niż na nagraniu z przesłuchania, które mi puszczałeś. Na nim ewidentnie słyhać było, że facet jest zdrowo trzepnięty. Tam, w Różance, to była luźna dyskusja, i to bardzo nieformalna, taka tam wymiana poglądów. Dopiero teraz jego słowa o dobrodziejstwie śmierci w pojednaniu z Bogiem brzmią inaczej. Jeszcze mu mówiłem, że jest wyjątkowym księdzem i że znam się na ludziach. Ale musiał mieć ubaw. Ja pierdołę, jak mogłem się tak pomylić? Może już czas przejść na prawdziwą emeryturę?

Twarz Michalczyka wykrzywił grymas.

– Nie katuj się tak tym, nie ty jeden się pomyliłeś. To tak zwana maska zdrowego umysłu. Poza tym wbrew temu, co sam słyszałeś na nagraniu

z przesłuchania, facet ma ponadprzeciętną inteligencję, w dodatku posiada rzadką umiejętność manipulowania obrazem własnej osoby. Nie zorientowali się również w komendzie, sąsiedzi też bardzo zdziwieni...

– Sąsiedzi zawsze są zdziwieni – przerwał mu Krugły. – „To był taki miły człowiek, nosił mi zakupy, podwiózł mnie kiedyś, głaskał mojego pieska”... Nie tak mówią do kamery?

– Niby racja. Ale niektórzy mówią inaczej: „Ja od dawna wiedziałem, że coś z nim jest nie tak”...

– Pierdołą głupoty. Niczego nie wiedzieli. Chcą się poczuć ważniejsi albo jest im głupio, że dali się naciąć, jak pozostali.

– Może i tak. Więc tym bardziej nie powinieneś się ani przejmować, ani myśleć o emeryturze. Ciesz się, że to ty w końcu wpadłeś na jego trop, bo nie wiadomo, jak długo likwidowałby tych, którzy „krzywdzili” Domińczyk. Wziąłby się w końcu i za mnie, przecież aresztując ją, też zrobiłem jej krzywdę. – Michalczyk mrugnął z rozbawieniem, ale zaraz potem wzdrygnął się. – Taaak, to całkiem realne, nie sądzisz?

Wstał i podszedł do siatki odgradzającej plac zabaw od pasażu.

– Mikołaj! – zawołał do syna. – Zostajesz na tej ślizgawce czy zjedziesz z niej w końcu, żeby pójść z nami na lody?

Krugły patrzył, jak po chwili młody z dziką radością w oczach pędzi do bramki. Ewa czekała już pewnie na nich na miejscu, u Marczaka. Krugły był pewien, że smak tych lodów do końca życia będzie mu się kojarzył z Sokołowskim. Nieważne.

To miał być miły dzień. To już był miły dzień. I to było ważne.

## **Jeszcze później**

Krugły siedział w zakamarku gabinetu szpitala na Pomorzanach i z nerwów gryzł paznokcieć kciuka. Było mu gorąco, temperatura oscylowała pewnie w granicach trzydziestu stopni, a fartuch z zielonej flizeliny tylko pogarszał sytuację, zwłaszcza że na dworze był mróz. Chciało mu się pić, z nerwów zapomniał o butelce wody. Stracił poczucie czasu, nie wiedział, czy minęło piętnaście minut, czy dwie godziny, a nie zabrał z domu komórki, na której mógłby sprawdzić godzinę. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Okręcał obrączkę na palcu i oblizywał wyschnięte z pragnienia usta.

Nagle usłyszał, jak z tyłu otwierają się drzwi. Głośny krzyk, który raptownie przerwał panującą w gabinecie ciszę, powiedział mu wszystko. Zacisnął pięści i nie wstając z krzeselka, obejrzał się, wyglądając zza ścianki.

– Niespodzianka! – powiedziała położna z uśmiechem, wnosząc do



pomieszczenia wrzeszczące głośno zawiniątko.

Krugły nie wiedział, co myśleć. W obecnej sytuacji, w uścisku szaleńczej niepewności wynikającej zarówno z okoliczności, jak i z samego faktu przebywania na kompletnie nieznanym terenie, słowo „niespodzianka” brzmiało niepokojąco. Ale ten szeroki uśmiech pozwalał mieć nadzieję, że jednak wszystko jest w porządku. Wyciągnął ręce, rozluźniając pięści. Położna asekurowała dziecko, dopóki nie wylądowało bezpiecznie na okrytych fartuchem kolanach Krugłego. Odwinęła pieluszkę i jego oczom ukazał się... siusiak.

– Żona mówiła, że miała być dziewczynka. – Roześmiała się, widząc jego wzrok. – Składa pan reklamację?

– W życiu! – Krugły zobaczył, jak jego kciuk obejmują maleńkie paluszki i poczuł, jak rozpiera go duma.

Miał chłopaka. Syna. Przypomniał sobie słowa Michalczyka: „To uczucie, kiedy pierwszy raz dają ci twoje dziecko do rąk, jest nie do opisanego. I nie do zapomnienia”. Teraz wiedział, o czym Mateusz mówił. Ścisnął mocno kolana, żeby broń Boże to maleńkie, zawinięte w pieluszkę ciało nie spadło mu z nich, i delikatnie je objął, samymi palcami, uważając, by nie zahaczyć klipsa zaciśniętego na pępownie. Maluch był już spokojny, miał zamknięte oczka i mocno zaciśnięte powieki, a na ustach pianę wód płodowych, wyciśniętą z płuczek głośnym krzykiem protestu. Posapywał cicho i mlaskał, wykrzywając usteczka. Krugły spojrzał mu w twarz i stwierdził, że ta pomarszczona i czerwona buźka okolona gęstymi, pozlepianymi gęstą mazią włoskami jest absolutnie najpiękniejszą rzeczą, jaką widział w życiu. Poczował, że coś dławi go w gardle, przełknął więc ślinę i poprawił się na niewygodnym krzeselku.

– Starczy, tata – powiedziała położna, wyciągając ręce po małego. – Teraz go obejrzymy, pomierzemy i zaniesiemy mamie, żeby się trochę popasł. Jak będzie miał na imię?

Krugły spojrzał na nią, a potem znów na małego. Wyglądało na to, że dobrze mu u tatusia na kolanach.

– Na imię? – zapytał zaskoczony, w końcu Ola była od kilku minut opcją nieaktualną.

Mały nagle zakaszlał, rozwrzeszczał się, a potem zaczął machać rączkami i wierzyć nóżkami. Krugły pozwolił położnej zabrać go sobie z kolan.

– Wiktor – powiedział do niej. – Będzie miał na imię Wiktor. Po dziadku.

KONIEC

# Od autora

Tak, to koniec.

W polskiej literaturze kryminalnej trylogie mają już swoją świecką tradycję, więc postanowiłem do niej nawiązać. Po części również dlatego, by nie popaść w pastisz i ostatecznie nie zrobić z Krugłego i Michalczyka karykatur samych siebie. A więc koniec. Przynajmniej na razie. Krugły i Michalczyk odpoczną sobie trochę, bo, umówmy się, ilu seryjnych (a w zasadzie wielokrotnych) morderców może zdarzyć się na przestrzeni kilku lat w jednym mieście czy nawet województwie? W historiach, które Wam opowiedziałem na kartach *Rykoszetu*, *Twardego zawodnika* i tej książki, którą właśnie skończyliście czytać, zasadniczo starałem się trzymać realiów. Oczywiście, w powieści kryminalnej nie zawsze się da, zwłaszcza w przypadku kontroli osób przybyłych w celu odbycia widzenia ze skazanym w tzw. oddzielnym pomieszczeniu bez osoby dozorującej, choć nie takie rzeczy się w więzieniach działy... Ale mimo wszystko się starałem. W mojej opinii mnożenie zwyrodnialców w jednym czasie i miejscu byłoby zaprzeczeniem tych starań.

A teraz podziękowania. Należą się. Wszystkim, dzięki którym Krugły i Michalczyk są tacy, jacy są. Policjantom KWP w Szczecinie: panu Andrzejowi i Sylwkowi oraz pani rzecznik KMP w Goleniowie. Prokuratorom: Mateuszowi, pani Małgorzacie – rzecznik Prokuratury Okręgowej w Szczecinie – oraz zastępującemu ją czasem nieznanemu mi z nazwiska prokuratorowi, którzy zawsze byli gotowi odpowiedzieć na najbardziej kretyńskie pytania. Rzecznikowi Zakładu Karnego w Goleniowie. Medykom przeróżnych specjalności, zwłaszcza „lekarzom ostatniego kontaktu”: Miłoszowi, Oktawianowi, Maćkowi, Łukaszowi. Prawnikom: Monice i Przemkowi za „pierwsze czytania”, wyłapywanie bzdur, nadawanie kierunku oraz rozkosznie bezlitosne uwagi. Joasi z drugiego końca Polski, za to samo. Redaktorom Videografu: zwłaszcza Ani i Grzegorzowi, za wzorową współpracę. Karolowi, za relację Soedergren–Strobisz. Ludziom, którzy nawet nie wiedzieli, że mi pomagają: pracownikom IPN-u i Książnicy Pomorskiej. Oraz, jak zwykle, dziewczynom. No i *last but not least*: Wam – Czytelnikom.

Brzmi jak pożegnanie. Bo to jest pożegnanie, przynajmniej z Krugłym i Michalczykiem. Ale, jak mawiał Gustaw Kramer: „To jeszcze nie koniec!!!”.

Pozdrawiam  
Marek Stelar

*Szczecin, czerwiec 2015–styczeń 2016*

# Table of Contents

<a href="#">Strona tytułowa</a>
<a href="#">Strona redakcyjna</a>
<a href="#">Motto</a>
<a href="#">I</a>
<a href="#">II</a>
<a href="#">III</a>
<a href="#">IV</a>
<a href="#">V</a>
<a href="#">VI</a>
<a href="#">VII</a>
<a href="#">VIII</a>
<a href="#">IX</a>
<a href="#">X</a>
<a href="#">XI</a>
<a href="#">XII</a>
<a href="#">XIII</a>
<a href="#">XIV</a>
<a href="#">XV</a>
<a href="#">XVI</a>
<a href="#">Od autora</a>